

Słowo wstępne

Tom wspomnień, który Czytelnik bierze do ręki, obejmuje lata dwudzieste i trzydzieste II Rzeczypospolitej oraz lata wojny i okupacji; miejscem, w którym działały się opisywane wydarzenia, jest przede wszystkim Lwów, a przy końcu tomu wagon więźniów, w którym na wiosnę 1945 roku wywieziono mnie ze Lwowa. Środowisko, którego dotyczy moja narracja, i którego częścią byłem sam, to inteligencja lwowska, ściśle związana z Uniwersytetem Jana Kazimierza, inteligencja tamtego czasu. W jej kształtowaniu się podstawową rolę odgrywała szkoła średnia; uczęszczałem do dwóch, zupełnie odmiennych — jednej prywatnej, Mieczysława Kistryna, drugiej państwowej, X lwowskiego gimnazjum humanistycznego. Obie odegrały w moim życiu ważną rolę i obie przedstawiam tak, jak pozostały w moich oczach.

Dziś, po raz któryś już za mego życia, usiłuje się wznieść nagrobek polskiej inteligencji. Powtarza się stare argumenty, iż jest to warstwa zrodzona z naszego nienormalnego rozwoju, że stanie się wkrótce zbędna i zniknie lub zejdzie na margines życia zbiorowego, jak tylko kraj stanie się normalny. Nie podzielałem tych poglądów, słyszałem je już w latach trzydziestych, gdy w Polsce panował ten system gospodarczy, który teraz wielu reformatorów uważa za normalny. Nie zniknęła wtedy polska inteligencja, wręcz przeciwnie, to ona właśnie odcisnęła silne piętno na całych dziejach II Rzeczypospolitej i okresie okupacji; ją też bezwzględnie zwalczali przeciwnicy Polski i kolejni okupanci.

Wśród wielu strat, jakie poniosła Polska w II Wojnie Światowej, utrata Lwowa jest szczególnie bolesna, mimo że otrzymaliśmy historyczne rekompensaty. Myślę tu nie tylko o polskich kamieniach, z których wiele zachowało się do dziś i należy do narodowego sanktuarium, lecz o Lwowie jako o wielkim środowisku polskim, z całym jego dziedzictwem stuleci, bogatą, różnorodną kulturą, a przede wszystkim — o Lwowie naukowym i artystycznym, budowanym wysiłkiem pokoleń i organicznie związanym z miastem. Byłem świadkiem przedwojennego rozkwitu i wojennej katastrofy tego środowiska, kolejnych ciosów, jakie na nie spadały, ogromnych wysiłków dla obrony polskiego Lwowa, podejmowanych uparcie przez wielu ludzi głęboko przywiązanych do miasta; byłem także świadkiem haniebnych dezercji.

Nie mogą to być więc wspomnienia pogodne, mimo że Lwów do końca bronił się także swym oryginalnym, niepowtarzalnym humorem. Dziś wiele opowieści o tamtych czasach stara się wskrzesić i utwalić obraz miasta „Wesołej Fali” radiowej i jej bohaterów, lwowskiej gwary, beztroskich anegdot oraz ich oryginalnych twórców. Był jednak także inny Lwów, Lwów ostrych, często dramatycznych konfliktów, spraw, które wstrząsnęły nie tylko miastem, ale całą ówczesną Polską. Dramatyczne były losy Lwowa w czasie wojny i zmieniających się okupacji lat 1939—45. Dramatis personae tych wydarzeń znikły, rozproszyły się po świecie, poniosłszy klęskę, pozostały w cieniu. Celem tych wspomnień jest właśnie choćby częściowe rozproszenie tego cienia.

Wspomnienia moje dotyczą czasu przeszłego dokonanego. Od opisanych wydarzeń dzieli nas już nie Jedna, ale kilka epok, zarówno w kraju, jak i za granicą powstała obszerna literatura poświęcona, zwłaszcza wojennym, losom Lwowa. Obejmuje ona prace historyczne, odpowiadające wymogom warsztatu naukowego, jest też literatura pamiętnikarska. Moje wspomnienia należą do tego drugiego rodzaju, są relacją osobistą i tylko osobistą, opisują to, w czym sam brałem udział. Tak się jednak złożyło, że w latach trzydziestych i czterdziestych uczestniczyłem w wielu wydarzeniach, działaniach czy instytucjach, które mogą także w jakimś stopniu zainteresować historyka, zwłaszcza tego, którego ciekawia dzieje oświaty, organizacji młodzieżowych, ruchów politycznych i wreszcie państwa podziemnego okresu okupacji.

Należałem do współpracowników „Kuźni Młodych”, byłem członkiem „Straży Przedniej”, współzałożycielem Polskiej Młodzieży Społeczno-Demokratycznej na Uniwersytecie Jana Kazimierza, członkiem lwowskiego Klubu Demokratycznego i Stronnictwa Demokratycznego. W latach wojny byłem długi czas czynny w konspiracji; jako członek lwowskiej Delegatury Rządu pełniłem funkcję sędziego Sądu Specjalnego.

Aresztowany w 1944 roku, zostałem skazany przez radziecki Trybunał Wojskowy na 15 lat więzienia, wywieziony ze Lwowa na Północ, do Republiki Kornii, spędziłem ponad dziesięć lat w obozach Gułagu. Pobyt za drutami to już jednak zupełnie inna historia, inne wspomnienia.

Można oczywiście postawić autorowi pytanie, dlaczego dopiero teraz zdecydował się na opublikowanie wspomnień? Przyczyn było sporo, część natury osobistej. Gdy w 1956 roku repatriowałem się do kraju, okazało się, że nie jestem materiałem na kombatanta; nie chciałem utknąć w przeszłości, zacząłem doganiać utracone lata, patrzeć w przyszłość, poświęciłem się na długie lata naukowej karierze socjologa. Do tego dochodziły i inne, wtedy wręcz oczywiste względy. Moje doświadczenia dotyczyły spraw, o których jedni chcieli zapomnieć, inni wykorzystać, a w każdym razie dostosować do potrzeb chwili. Miałem zawsze odrazę do modnych życiorysów.

Nie znaczy to bynajmniej, że chciałem o czymś zapomnieć, wręcz przeciwnie. Pisałem, notowałem, utrwaliałem wiele spraw na papierze. Zachowałem także obszerne osobiste archiwum, gromadziłem w nim od czasów szkolnych różne dokumenty, świadectwa, listy, druki i ulotki, fotografie i wycinki z gazet. Dzięki staraniom mojej matki archiwum to, już po moim aresztowaniu i wywiezieniu ze Lwowa, zostało zabezpieczone i w całości przewiezione do Krakowa, dziś jest w moim posiadaniu. Dlatego też wiele moich wspomnień ma także archiwalne oparcie.

W 1957 roku Józef Chałasiński, którego adiunktem byłem wtedy w nowo utworzonym Zakładzie Socjologii i Historii Kultury PAN, namówił mnie na spisanie w formie pamiętnika historii mego wywiezienia ze Lwowa z grupą Polaków, po procesie lwowskiej Delegatury Rządu. Te notatki stanowią dziś podstawę ostatniej części prezentowanych wspomnień. Nie mogłem jednak zdecydować się na obszerniejszą relację. Wspomnienia zwykle pisze się o sprawach zakończonych, zamkniętych, tymczasem długo, z różnych stron, nie tylko przypominano mi, a raczej wypominano, tę przeszłość, lecz także wskazywano, że nie jest ona bynajmniej zamknięta. Na teczkach więźniów politycznych w ZSRR widniał napis — „Chranit' wieczno — przechowywać wiecznie”. Doświadczeni więźniowie mówili mi, że ich sprawy nigdy nie będą zakończone, zawsze władze mogą do nich wrócić: przekonałem się o tym w niezwyklej okolicznościach. W 1973 roku, już jako profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, obywatel Polski ze służbowym paszportem w kieszeni, przebywałem we Francji, w Paryżu, w ramach naukowej wymiany z tym krajem. W tymże czasie byłem znowu sądzony w ZSRR. Tym razem zaocznie i w samej Moskwie, przez Plenum Sądu Najwyższego ZSRR, jego Kolegium Wojskowe. Wyrok, w języku rosyjskim, przesłano do Warszawy, wręczyła mi go Prokuratura Generalna. Plenum uznało, że zasługuję na rehabilitację, gdyż moja działalność w czasie niemieckiej okupacji Lwowa nie była wymierzona przeciwko ZSRR — co zresztą twierdziłem w procesie w 1945 roku. Z treści przesłanego mi dokumentu wynika jednak niedwuznacznie, że Sąd Najwyższy w Moskwie w 1973 roku w dalszym ciągu traktował mnie tak samo jak Trybunał Wojskowy we Lwowie 1945 roku; jako mieszkaniec terenów wcielonych w 1939 do radzieckiej Ukrainy byłem dla moskiewskich sędziów wciąż obywatelem radzieckim. Sąd Najwyższy uznał jedynie oskarżenie o zdradę ojczyzny za nie udowodnione.

Proces był prawdopodobnie wynikiem jakiegoś donosu. Gdy zapytałem w Prokuraturze, czy

gdyby Sąd Najwyższy ZSRR zmienił wyrok na moją niekorzyść, odesłano by mnie znowu do obozu na Północ — odpowiedzi nie otrzymałem.

Nowa sytuacja polityczna w kraju: powstanie III Rzeczypospolitej, reformy gospodarcze, świadome nawiązywanie do czasów międzywojnia — spowodowała rosnące zainteresowanie realnym życiem społeczeństwa w tamtym okresie historycznym. Wiele obiegowych sądów, uogólnień i opinii wydaje mi się, jako świadkowi i uczestnikowi wydarzeń, zniekształconych, powierzchownych, czasem wręcz naiwnych. Czasy te nie były ani czarne, ani białe: były różnokolorowe. To samo dotyczy okresu okupacji, i on jest pełen, ze zrozumiałych dla mnie względów, białych i czarnych plam. Był to ważny argument, który skłonił mnie do opracowania tego tomu. Nie sądzę jednak, aby pełna prawda o tamtych czasach mogła być już ujawniona mimo upływu lat i przyjscia nowych pokoleń. Taka pełna prawda byłaby nader przykra dla wielu znanych aktorów ówczesnych wydarzeń. Tragiczne klęski, które spadły na nas w ostatnim okresie wojny i okupacji, z Powstaniem Warszawskim na czele, zaważyły na naszym widzeniu ówczesnych wydarzeń. Powojenne prześladowania ludzi Polski Podziemnej, zwłaszcza Armii Krajowej, podziały w podobny sposób: obraz tamtego czasu jest w świadomości społecznej heroizowany, i to w szczególny sposób; znikają z niego cienie i półcienie, które w codziennej rzeczywistości wydobywały często dramatyczny kontrast pomiędzy bohaterstwem i podłością, wiernością i zdradą, rozsądkiem i lekkomyślnością, cynicznym egoizmem i niezwykłym poświęceniem.

Winien jestem Czytelnikowi jeszcze dwie uwagi. Moje relacje z czasów okupacji dotyczą głównie spraw politycznych i walki cywilnej; osobiście nie brałem udziału w żadnej akcji zbrojnej, choć o wielu wiedziałem.

Druga uwaga dotyczy sposobu przedstawienia wydarzeń. Czas ludzki jest niejednorodny, a pamięć wybiórcza. Sądzę, że prawem autora wspomnień jest przedstawiać swój indywidualnie przeżyty czas i jego kulminacje. Również w tamtym okresie były dni, które głęboko wryły mi się w pamięć, i miesiące puste. Dlatego też o niektórych odcinkach czasu piszę wiele, inne zaledwie wspominam, i wreszcie jedna informacja, ważna może dla tych Czytelników, którzy lubią wątki liryczne we wspomnieniach. Moje opowiadanie dotyczy spraw publicznych: życia instytucji, organizacji, działań zbiorowych i związanych z nimi wielu polskich problemów tamtych czasów. Taka była wtedy, narzucona przez okoliczności, dominanta mego życia, ona przede wszystkim pozostała w mojej pamięci, i choć były oczywiście i inne strony, nie ma w tych wspomnieniach wątków czysto prywatnych, intymnych.

Chcę także serdecznie podziękować moim bliskim, przyjaciołom, kolegom i towarzyszom czasów lwowskich i więziennych, którzy pomogli mi odświeżyć dawne wspomnienia, uściślić fakty, przypomnieć nazwiska. W szczególności dziękuję:

- moim kolegom szkolnym, Janowi Czudżakowi i Janowi Wysokiemu;
- współoskarżonym z procesu lwowskiej Delegatury Rządu, Stanisławowi Czurukowi i Andrzejowi Niezabitowskiemu;
- współwięźniom z lwowskiego etapu Karolowi i Kazimierzowi Jankowskim (ten ostatni zmarł w 1990 roku).

Część pierwsza - Lata szkolne

Dom rodzinny

Rodzina moja pochodzi z Krakowa. Według tradycji rodzinnej jeden z moich przodków, Stanisław Żygulski, brał udział w Konfederacji Barskiej, wymienia go w swym spisie konfederatów Aleksander Kraushar. Od wczesnego dzieciństwa pamiętam wiszący na ścianie w domu dagerotyp z lat czterdziestych XIX wieku, przedstawiający pana z ręką założoną za połą długiego surduta. Mam ten portret do dziś u siebie w mieszkaniu. Przedstawia on mego pradziadka Jana Żygulskiego. Urodził się równo wiek przed moim urodzeniem, w 1819 roku, przeżył zaledwie 36 lat. Uczył się w Krakowie, w liceum Św. Anny, a później w Instytucie Technicznym, który istniał w tym czasie przy Uniwersytecie Jagiellońskim, ukończył go w 1842 roku. Brał udział w konspiracji, a następnie w powstaniu w Krakowie w lutym 1846 roku. Po upadku powstania poszedł na emigrację. Mieszkał w Paryżu do roku 1848, był świadkiem rewolucji lutowej we Francji. Pozostały po nim listy z tego czasu, w których opisuje dole i niedole emigranta. Chciał wstąpić do francuskiej szkoły artylerii w Metz, zabiegał o to usilnie; jednak życzliwi gospodarze zasięgnęli opinii u władz austriackich i odmówili mu przyjęcia. Brał czynny udział w życiu politycznym emigracji: był członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego (wymienia go Marian Tyrowicz w swoim przewodniku bibliograficznym Towarzystwo Demokratyczne Polskie 1832—1863 z 1964 roku). Gdy Jan Żygulski wrócił do kraju, zaczął pracować w nowo tworzącej się wtedy instytucji kolei żelaznych. Był dwukrotnie więziony przez Austriaków, w więzieniu nabawił się śmiertelnej choroby.

W tym samym czasie drugi dziadek mego ojca, Franciszek Sądecki, szlachcic spod Sambora, za udział w ruchu narodowym odsiedział we Lwowie trzy lata w więzieniu, w Brygidkach. Był towarzyszem niedoli Franciszka Smółki, z którym utrzymywał latami kontakt, oraz Albina Dunajewskiego, arcybiskupa krakowskiego i kardynała; później Franciszek Sądecki gospodarował na wsi.

Następne pokolenie miało życie spokojniejsze. Mój dziadek Franciszek Żygulski, urodzony w Krakowie w 1856 roku, także ukończył Instytut Techniczny i jako inżynier pracował na kolei. Budował nowe linie kolejowe w ówczesnej Galicji. Poza zawodem miał wraz z moją babką Wandą, z domu Sądecką, wielkie zamiłowanie do teatru. Pracując latami i mieszkając w Przemyślu, gdzie w 1888 roku urodził się mój ojciec, Zdzisław Żygulski, dziadek działał w teatrze „Fredreum”. Był tam w latach siedemdziesiątych reżyserem. Polski niepodległej nie dożył, zmarł we Lwowie w roku 1911.

Mój ojciec studia uniwersyteckie zaczął we Lwowie, a skończył w Wiedniu. Tam też w 1914 doktoryzował się z zakresu filologii niemieckiej. Były to lata barwne, wesołe, lecz też pełne różnorodnych konfliktów. Udział ojca w 1911 roku w głośnej podówczas sprawie honorowej związanej ze Stanisławem Przybyszewskim i jego żoną Jadwigą, poprzednio żoną Jana Kasprowicza, spowodował nawet, że jego nazwisko znalazło się w tzw. polskim epizodzie znanej powieści Tomasza Manna Czarodziejska góra. Ojciec mój nie brał aktywnego udziału w życiu politycznym. W tym czasie wielką polityką zajmował się wuj ojca, Juliusz Leo, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie; był specjalistą w dziedzinie skarbowości, następnie prezydentem Krakowa, posłem do parlamentu austriackiego w Wiedniu, od 1912 roku prezesem Koła Polskiego, inicjatorem i pierwszym przewodniczącym Naczelnego Komitetu Narodowego utworzonego w 1914, po wybuchu I Wojny Światowej.

Urodziłem się w miejscowości Wolanka-Tustanowice koło Borysławia 8 grudnia 1919. Ojciec mój, który całe życie poświęcił pracy naukowej, publikując do późnej starości rozprawy i monografie, głównie z dziejów europejskiego dramatu, w trudnych latach 1919—1920 uczył

w prywatnym gimnazjum w Borysławiu, bardzo szybko jednak powrócił do Lwowa i miejsce urodzenia nie odegrało w moim życiu żadnej roli.

Dzieciństwo miałem szczęśliwe, ale krótkie. Szczęśliwe, bo byłem otoczony uczuciem moich bliskich, przede wszystkim dwóch kobiet, mojej matki i babki; krótkie, gdyż wcześniej poszedłem do szkoły, a gdy pojawiło się młodsze rodzeństwo, zaczęto w domu traktować mnie jak dorosłego. O młodszym o dwa lata bracie Zdzisławie, w przyszłości profesorze i historyku sztuki, oraz młodszej o siedem lat siostrze Halinie, w przyszłości profesorze medycyny, mówiło się w rodzinie „dzieci”. Mnie już do tej kategorii nie zaliczano.

Mieszkaliśmy wtedy we Lwowie, przy ulicy Dąbrowskiego 12, w pobliżu wielkiego i pięknego parku Stryjskiego. Dom miał ogród należący do nas, babka dbała o drzewa owocowe, krzaki porzeczek i malin, kwiaty; miejsce to, o wyjątkowym uroku, pozostało mi w pamięci jako kraj zabaw dziecińczych.

Moja matka, Maria z domu Staszkiwiczówna, poświęcała mi w dzieciństwie dużo czasu, troski i serca. Byłem jej pierworodnym synem, któremu starała się we wszystkim pomóc i w którym do ostatniej chwili życia widziała swe nadzieje. Była wszechstronnie wykształcona, ukończyła we Lwowie znane liceum im. Zofii Niedziałkowskiej, studiowała filozofię na uniwersytecie u Kazimierza Twardowskiego, ale nie ukończyła jej, miała natomiast ukończone studium dramatyczne prowadzone przez Wandę Siemaszkową. Całe życie pasjonował ją teatr. Potrafiła pojechać do stolicy tylko po to, aby zobaczyć ciekawe przedstawienie, była czynna w ruchu amatorskim, współdziałała z ówczesnym Związkiem Teatrów i Chórów Włociańskich i jego animatorem Jędrzejem Cierniakiem. Gdy ja podrosłem, matka ograniczyła swe zainteresowania domem i dziećmi, poświęciła się bardzo aktywnie pracy społecznej. Była przekonaną stronnikiem obozu legionowego, do końca życia żywiła głęboki kult dla Józefa Piłsudskiego, działała w „Strzelcu” i Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet: w czasie wojny i okupacji była w konspiracji, nosiła pseudonim „Janina”.

Matka włożyła wielki wysiłek w moją początkową naukę; czytała mi i godzinami opowiadała bajki i opowieści, wreszcie, gdy byłem w wieku niespełna pięciu lat, nauczyła mnie czytać i pisać. Przywiązywała ogromną wagę do nauki i szkolnych sukcesów, pomagała mi zwracając zawsze uwagę na wystawianie się, sama mówiła piękną polszczyzną.

Dla mojej babki, Wandy Żygulskiej, byłem także pierwszym i najbardziej kochanym wnukiem. Opiekowała się mną i troszczyła do końca swoich dni, chciała mi przekazać całą swą mądrość życiową, ustrzec przed niebezpieczeństwami, uzbroić.

Była człowiekiem innej epoki. Wychowywała się w majątku, za młodu jeździła jeszcze dyliżansem, przeżyła wiele lat i sytuacji trudnych: I Wojnę Światową, różne, czasem dramatyczne wydarzenia rodzinne. Uchodziła za kobietę silnego charakteru, opanowaną i stanowczą. Nie chodziła nigdy do żadnej szkoły, uczono ją w domu. Znała bardzo dobrze dwa języki, niemiecki i francuski, czytała systematycznie nowości literackie, lubiła teatr. Znakomicie prowadziła dom, orientowała się w sprawach publicznych, stale czytając gazety, przy końcu życia stała się miłośniczką radia. Na życie miała bardzo trzeźwy, krytyczny pogląd, nigdy nie roztkliwiała się nad sobą, starała się sama rozstrzygać problemy; była religijna. Chodziłem z nią w dzieciństwie do kościoła Św. Mikołaja na niedzielne msze, niosąc jej dużą książkę do nabożeństwa. Była to książka wydana w 1856 roku w Lesznie, ułożona dla kobiet z polecenia arcybiskupa gnieźnieńskiego Marcina Dunina, tego samego, którego Prusacy więzili czas jakiś w Kołobrzegu; przechowuję ją w mej bibliotece. Patrząc dziś, z odległej perspektywy, na losy trzech kolejnych pokoleń kobiet w mojej rodzinie, a żyć im przyszło, zwłaszcza we Lwowie, w czasach niełatwych, widzę, jaka dokonała się zmiana.

Jest ona charakterystyczna dla dziejów polskiej inteligencji: prowadzi od dziewiętnastowiecznego domowego wykształcenia kobiety jako pani domu — aż do studiów uniwersyteckich, pełnoprawnej działalności zawodowej i społecznej, a nawet karier naukowych.

Ojciec w dzieciństwie imponował mi wiedzą i pracowitością. Gdy wracał z gimnazjum, w którym uczył, siedział godzinami przy biurku, studiując lub pisząc swe naukowe prace: w domu była biblioteka licząca tysiące tomów. To on, aby mi pomóc, gdy w dzieciństwie zadawałem rodzicom setki pytań, podprowadził mnie do półki, gdzie stała kupiona jeszcze przez mego dziadka wielotomowa Encyklopedia Orgelbranda, i pokazał mi, jak się wyszukuje hasła. Od tego czasu zadawałem dorosłym znacznie mniej pytań. Siedziałem na podłodze obłożony tomami i wyszukiwałem jedno hasło po drugim. W rezultacie bardzo wcześnie wiedziałem o wielu sprawach, w tym i o takich, o których moi koledzy szkolni dowiadawali się od swych towarzyszy w prostackich, jeśli nie w wulgarnych, wersjach.

Początek lat dwudziestych był dla rodziny dobry finansowo, a że ojciec ogromnie lubił przyrodę, kąpiele, spacer, jeździłem z nim na wakacje i w 1924 roku pierwszy raz w życiu zobaczyłem morze. Byliśmy w Karwi, kąpałem się, przypatrywałem powrotom rybaków z morza i kobietom, które na plaży dzieliły połów pomiędzy załogę łodzi, zręcznie rozrzucając ryby. Morze ówczesne zapamiętałem na całe życie.

We Lwowie mieliśmy w sąsiednim domu znajomą, panią Stebelską, wdowę po profesorze politechniki. Pani Stebelska lubiła mnie i często zapraszała do siebie. Gdy pewnego razu zaprowadziła mnie do małego pokoiku, aby poczęstować ciastem, zobaczyłem, że jest on całkowicie wypełniony zapasami żywności; stały tam różne worki, skrzynki, paczki i słoiki. Zapytałem, po co jej tyle jedzenia, a ona odpowiedziała: „Synku, wkrótce będzie wojna i niczego nie będzie można kupić”. Zdanie to tak mnie zaniepokoiło, że zaraz zapytałem matkę, co nam grozi. Opowiadania o wojennych wydarzeniach we Lwowie od 1914 do 1921 roku były stałym tematem przy rodzinnym stole i znałem je dobrze; w 1920 roku moi rodzice uciekli ze mną przed najazdem bolszewickim aż do Poronina. Niczego z tego oczywiście sam nie pamiętałem, ale opowiadania rodziły obawy dziecka. Matka wprawdzie uspokoiła mnie, ale zdanie starej sąsiadki zapamiętałem dobrze.

Po latach, już w zupełnie innych, nie sielankowych okolicznościach, wspominając nieraz dzieciństwo zdałem sobie sprawę, jak wiele mu zawdzięczałem, jak wpłynęło na mój rozwój umysłowy i ukształtowało charakter. Nie tylko nie nabawiłem się wtedy kompleksów, nie przeżyłem urazów, które tak silnie wpływają na życie wielu ludzi i tak trudne są do wyleczenia, ale zdobyłem trwałą, ogromny kapitał, ciepło uczuć, które umożliwiło mi przetrwanie wielu chłódów, jakie czekały mnie w późniejszych latach.

Pan Dyrektor

1 września 1925 roku rozpoczęła się moja długotrwała i pełna różnorodnych napięć kariera szkolna. Jej początek był bardzo udany, co więcej, pozostawił nie tylko wspomnienia, lecz trwałe ślady — wieloletnie więzi koleżeńskie i przyjacielskie, szacunek dla szkoły, w której rozpocząłem naukę, solidny bagaż wiedzy i przede wszystkim szczególną postawę wobec życia, jaką kształtował u swych uczniów twórca i dyrektor prywatnej szkoły ludowej imienia Henryka Jordana we Lwowie — Mieczysław Kistryn.

Naukę szkolną rozpocząłem wcześnie, nie mając jeszcze ukończonych sześciu lat. Stało się to za sprawą mojej matki, która mimo wahań ojca uznała, że jestem już dostatecznie dorosły, aby usiąść w szkolnej ławie. Umiałem już wtedy dzięki matce czytać i pisać, miałem dobrą pamięć i zdolności koncentracji, fizycznie byłem jednak słabszy od moich kolegów i

miałem trudności z wymową: nie potrafiłem jeszcze wymówić głoski „r” — słowo „rura” w moich ustach brzmiało dziecinnie „juja”, co w pierwszym roku nauki sprawiło mi w klasie naturalne kłopoty. Zostałem jednak przyjęty i 1 września pojawiłem się w mojej klasie. Szkoła mieściła się przy ulicy Mikołaja 16, w starym budynku dawnej kamienicy czynszowej. Znalazłem się w małej grupie chłopców, w pokoiku na piętrze. Klasy mieściły się w przerobionych mieszkaniach. Większość uczniów zachowywała się spokojnie, jednak jeden z naszych kolegów był tak przerażony, że płakał głośno i chciał natychmiast wracać do domu. Przyproceedziła go do szkoły starsza siostra, ostatecznie musiała zostać na miejscu, tak aby łkający braciszek mógł ją widzieć. Siedziała na parapecie okna na klatce schodowej, a Pan Dyrektor pozwolił, aby drzwi pozostały w pół otwarte. Siedziała tak i przez następne dni, dopóki jej brat nie przyzwyczał się do klasy i szkoły.

Prywatna męska szkoła Kistryna miała podówczas we Lwowie szczególny charakter — obejmowała pełny kurs nauki, od szkoły ludowej do gimnazjum typu humanistycznego. Aby się w niej uczyć, trzeba było płacić stosunkowo wysokie czesne, choć były zniżki; miała więc w porównaniu z innymi szkołami, zwłaszcza państwowymi, bardzo mało uczniów. W klasie pierwszej było nas zaledwie dziewięciu.

Spędziłem u Kistryna osiem lat, ukończyłem cztery klasy szkoły ludowej i cztery klasy gimnazjum. Przez cały ten czas liczba uczniów w mojej klasie była równie mała. Biorąc pod uwagę normalną szkolną absencję, na lekcjach było nas zwykle siedmiu—ośmiu. Pomieszczenia klasowe były niewielkie, nauczyciele i uczniowie znajdowali się dosłownie na wyciągnięcie ręki. Na każdej lekcji każdy uczeń musiał być przynajmniej raz pytany lub wywołany do tablicy. Przerabialiśmy, w porównaniu z innymi szkołami, przynajmniej dwa razy tyle materiału z każdego przedmiotu, przynajmniej dwa razy tyle pisaliśmy wypracowań i rozwiązywaliśmy zadań.

Szkoła nosiła imię Henryka Jordana, zasłużonego lekarza, propagatora wychowania fizycznego w Polsce. Mieczysław Kistryn, dobierając do każdego przedmiotu bardzo wysoko kwalifikowanych pedagogów, sam był niestrudzonym organizatorem zajęć sportowych i gimnastycznych, wycieczek pieszych i narciarskich, w czasie których z surowego dyrektora zamieniał się w wesołego, koleżeńkiego przewodnika. Jeździliśmy z nim do pięknego podmiejskiego uzdrowiska Bruchowice, chodziliśmy na Pohulanę, do Czartowskiej Skały i Miodowej Groty, poznawaliśmy dokładnie malownicze okolice Lwowa. Z inspiracji dyrektora w szkole często organizowane były imprezy artystyczne, amatorskie wieczorki w wykonaniu wychowanków. Kistryn regularnie prowadził nas do kina. To właśnie dzięki niemu w drugiej połowie lat dwudziestych zacząłem wciągać się w świat filmu. Zwykle w sobotę po południu Kistryn zapowiadał, że oczekuje chętnych przed wskazanym kinem w śródmieściu, często było to eleganckie „Casino” w samym centrum Lwowa. Przychodziła nas cała gromadka, dyrektor zbierał od nas po 90 groszy lub złotówkę i 10 groszy, wykupywał zniżkowe bilety, i wspólnie oglądaliśmy kolejny film. Repertuar zmieniał się wtedy szybko, nowości zagraniczne pojawiały się we Lwowie bez żadnej zwłoki.

Lubił Kistryn szczególnie sporty zimowe — jazdę na nartach, wycieczki saniami — rodzaj kuligu. Na niskich, chłopskich saniach, wysłanych słomą, w mroźną, śnieżną pogodę jechaliśmy do pięknych podlwowskich miejscowości. Wieczorem wracaliśmy do miasta pałac pochodnie, które na tę okazję dostawał dla nas Pan Dyrektor.

Mieczysław Kistryn prowadził także internat w budynku położonym w okolicy Wysokiego Zamku, tam też urządzał regularne spotkania ze swoimi uczniami. Szkole i uczniom poświęcał cały swój czas, nie założył rodziny, nie urzędował tylko „od—do” wyznaczonej godziny. Miał charakterystyczny wygląd: ruda broda, krótkie spodnie-pumpy, nigdy nie nosił nakrycia głowy. Kistryn był przez uczniów niezwykle lubiany i szanowany, mimo że był

bardzo wymagający, a czasami nawet surowy. Za większe przewinienia stosował karę karceru, odsiadwaną po lekcjach. Bywały przypadki, że winny lub grupa winnych siedziała w karcerze całą niedzielę, po nabożeństwie. Z uczniami, którzy nie chcieli podporządkować się regułom dyscypliny, po prostu rozstawał się. Był w stałym kontakcie z rodzicami swych uczniów, ich obecność w szkole traktowaliśmy jako całkiem naturalną. Kistryn interesował się postępiami swych wychowanków, a zwłaszcza ich uzdolnieniami, starał się je odkryć i pomóc w rozwoju. W rezultacie mieliśmy wciąż dodatkowe zajęcia, zwykle nadobowiązkowe. Nie zawsze udawało się w ten sposób odkryć talenty, zawsze natomiast pomagało to w określeniu własnych możliwości, rzeczywistych zainteresowań. Widząc, jak bardzo męczę się na lekcjach rysunku bazgrząc węglem po papierze (rysowaliśmy wtedy węglem), zachęciłem moich rodziców, aby skierowali mnie na dodatkowe lekcje. Nie ujawniły one wprawdzie we mnie żadnych ukrytych zdolności plastycznych, zacząłem jednak powoli rozumieć, o co właściwie chodzi w rysunku, a także pojąłem, że sam nie potrafię się w ten sposób wypowiedzieć. Jeszcze gorzej było z obowiązkową w pierwszych klasach nauką śpiewu. Zupełny brak słuchu był prawdziwym utrapieniem zarówno dla nauczycieli, jak i dla mnie. Gdy wreszcie śpiew i rysunki zniknęły z listy przedmiotów obowiązkowych, odetchnąłem z prawdziwą ulgą; mimo starań nie tylko nie dawałem sobie z nimi rady, ale w dodatku psuły mi każde świadectwo: z trudem dostawałem przy końcu roku noty dostateczne.

W tak nielicznej klasie jak ta, w której się uczyłem, szczególnie łatwo było o szkolne przyjaźnie. Od pierwszych lat pobytu u Kistryna kolegowałem z Janem Czudżakiem, synem właściciela wielkiej piekarni „Merkury” we Lwowie, po wojnie agronomem we Wrocławiu. Po latach znajdę się na ławie oskarżonych przed radzieckim wojennym trybunałem z drugim kolegą, Andrzejem Kórnickim. Kolegowałem również z Romanem Domaszewiczem, później profesorem ekonomii w Krakowie, Witoldem Tołłoczka, Antonim Stefanowiczem, synem znanego we Lwowie malarza, Ormianinem, który aresztowany przez Gestapo, przeżył wojnę, lecz wyszedł z niej z trwałym kalectwem. Bliskim mi wtedy przyjacielem był Jerzy Sichulski, syn wybitnego polskiego malarza; bawiliśmy się często w podmiejskiej willi, gdzie mieszkał. Inny mój rówieśnik, Roman Dmytrach, był synem właściciela sklepu z bronią w samym centrum miasta. Przynosił ze sobą do szkoły modne wówczas metalowe boksery (kastety), małe pistoleciki, naboje, kajdanki — fascynowało to nas niezwykle. Koleżeńskie stosunki łączyły mnie także z braćmi Andrzejem i Antonim Romaszkanami ze znanej lwowskiej rodziny ormiańskiej.

Wspólne imprezy, wycieczki, wspólne życie szkolne w małym budynku i zabawy na przylegającym doń podwórku, gdzie spędzaliśmy przerwy, powodowały, że nasze kontakty z uczniami innych klas, w tym także starszych, były bliższe niż w innych szkołach. Kolegowałem więc z Erwinem Axerem, Jerzym Lerskim-Sołtysikiem, Longinem Chmielewskim, Tadeuszem Żakiejem i wieloma innymi.

Erwin Axer, syn znanego lwowskiego adwokata, słynnego obrońcy w wielu głośnych sprawach karnych, między innymi w sprawie Gorgonowej, inscenizował u Kistryna okolicznościowe imprezy. Brałem w nich udział recytując utwory poetyckie. Jego młodszy brat Ryszard, również serdeczny mój kolega, z którym kilka lat siedzieliśmy w jednej ławce, zginął tragicznie we Lwowie w okresie okupacji hitlerowskiej. Longin Chmielewski, działacz akademickiej skrajnej lewicy, zginął w więzieniu radzieckim. Jerzy Lerski-Sołtysik, to późniejszy cichociemny, w czasie konferencji w Jałcie współpracownik Mikołajczyka, następnie działacz emigracyjny w Stanach Zjednoczonych, autor wspomnień pt. *Emisariusz Jur*. Mieczysław Kistryn rozpoczął swą działalność pedagogiczną jeszcze w czasach zaborów, przed 1918 rokiem. Nie tylko sam był wielkim patriotą, lecz wychowywał w takich właśnie ideałach swoich uczniów; zawsze mówił, że chce, aby mieli w sobie hart ducha. Kistryniakiem, chlubą szkoły, był Jurek Bitschan, najmłodszy z Obrońców Lwowa. Zginął w listopadzie 1918 walcząc na cmentarzu Łyczakowskim i w tym właśnie miejscu był

pochowany. W dniu Święta Zmarłych chodziliśmy wszyscy na jego grób.

U schyłku lat dwudziestych, a o nich teraz mowa, wydarzenia I Wojny Światowej, a zwłaszcza obrona Lwowa, wojna z Ukraińcami, a następnie bolszewikami, były jeszcze niezwykle żywym, gorącym wspomnieniem. Mówiono o tych wydarzeniach często i w szczegółach, linie podziału, fronty, racje i działania ludzi były oceniane jednoznacznie. Lwów był dla nas wszystkich częścią Polski, fragmentem jej długiej i dramatycznej historii, ziemią polskich bohaterów i zarazem ziemią polskiej przyszłości. Mieczysław Kistryn i na tym polu narodowej, patriotycznej edukacji, potrafił uniknąć świątecznej retoryki i okolicznościowego schematu. Wyszukiwał na cmentarzu Łyczakowskim, jednej z polskich narodowych nekropolii, groby ludzi zasłużonych, których rodziny wymarły. Groby te powierzał indywidualnej i stałej opiece swych uczniów. Mnie przypadł w udziale grób żołnierza napoleońskiego, Józefa Czołowskiego, rotmistrza kawalerii, jednego z tych nielicznych uczestników szarży pod Somosierrą, którzy pozostali wtedy żywi. Grób jego zdobiło kamienne czako z monogramem cesarza — wielką literą „N” i napis: „Ułan z pod Somosierry”. Józef Czołowski zmarł w 1863, roku Powstania Styczniowego, w wieku 87 lat.

Mimo że często bywałem na tym grobie i od tego czasu polubiłem cmentarze, a nawet zacząłem się nimi interesować, nie nabrałem jednak przekonania do kawalerii i ułańskiego spojrzenia na historię Polski. A podziw dla nich był jeszcze w tych latach rozpowszechniony: obok nas na cmentarzu Łyczakowskim pojawiali się, pełniąc warty w swych ogromnych czakach, ówcześni kombatanci, ułani Beliny, na paradach wojskowych we Lwowie kawaleria wywoływała niezmiennie entuzjazm widzów i oklaski. Czasy napoleońskie — a czytałem już o nich sporo, w domu była stara miniatura cesarza, pamiątka kultu poprzednich pokoleń — wydawały mi się odległe i teatralne.

W tych latach pokazywano jeszcze w teatrach tzw. żywe obrazy, wielokrotnie byłem, właśnie z Kistrynem, na takich przedstawieniach. Ich główną atrakcją był żywy koń, zwykle biały, który ruszał głową, kiedy aktorzy, ustawieni w układach naśladujących znane arcydzieła historycznego malarstwa, stali nieruchomo. Mieszkałem wtedy w pobliżu miejsca, gdzie znajdowała się Panorama Raclawicka, i często ją oglądałem. Czasy napoleońskie wydawały mi się właśnie takie, niezwykle, wzruszające, ale bardzo odległe. Z biegiem lat coraz bardziej zastanawiała mnie druga data z nagrobka Józefa Czołowskiego, data jego śmierci — rok 1863. Był on wtedy jeszcze bardzo bliski. Po mieście chadzali starzy powstańcy w charakterystycznych ciemnogrnatowych mundurach, uczestniczyli w uroczystościach i spotkaniach, opowiadali, dyskutowali. Do doświadczeń roku 1863 odwoływał się w swych pismach, szeroko wtedy cytowanych, Józef Piłsudski, atakowali zryw powstańczy ci, którzy widzieli w jego wybuchu brak rozumu i odpowiedzialności polityków polskich. Trwały jeszcze bulwersujące opinie publiczną sprawę sądowe związane z powstaniem: administracja państwowa broniła się przed oddaniem dóbr skonfiskowanych rodzinom powstańców, dóbr, które po 1918 roku przejęto w spadku po administracji carskiej.

Na cmentarzu Łyczakowskim, w wyodrębnionej części, znajdowały się groby żołnierzy Powstania Styczniowego: dwa z nich utkwiły mi w pamięci. Pierwszy to grób Benedykta Dybowskiego, zmarłego w 1930 roku we Lwowie w wieku 97 lat, profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza, wielkiego uczonego, patrioty i społecznika, więźnia, a następnie badacza Syberii. Drugi, to grób Bronisława Szwarce, urodzonego we Francji, członka pierwszego Rządu Narodowego: po długich latach więzienia i zesłania osiadł on we Lwowie.

Cmentarz Łyczakowski był więc dla mnie swoistym dopełnieniem różnych historycznych lektur oraz sporów toczonych wokół dziejów Polski. Był też miejscem szczególnie pięknym ze względu na swe położenie, artystyczną wartość wielu pomników i literacką wartość napisów. Tam też znajdował się grobowiec rodzinny, leżeli tam pochowani moi dziadkowie,

Franciszek Żygulski, zmarły w 1911 roku, oraz Wanda z Sądeckich Żygulska, zmarła w 1940.

Po latach, gdy rozpocząłem pracę naukową, pierwszą moją publikacją wydrukowaną w 1957 roku w poznańskim „Przeglądzie Zachodnim” był właśnie artykuł poświęcony socjologicznym problemom cmentarza na terenie sporów narodowościowych. Nosił on tytuł Na opolskim cmentarzu.

Wtedy, w latach dwudziestych, nikt nie przypuszczał, że Lwów i jego cmentarze mogą znaleźć się poza granicami Polski. Po zwycięskiej wojnie 1918 i 1920 roku, po bataliach dyplomatycznych o Małopolskę Wschodnią i granicę na Zbruczu, terytorialny kształt państwa i jego trwałość zdawały się być niezłomnym pewnikiem. Już jednak w pierwszej klasie szkoły podstawowej zetknąłem się z niezwykłymi wydarzeniami, które wstrząsnęły państwem. Był rok 1926, Piłsudski dokonał zamachu, po krwawych walkach objął władzę w Warszawie. W domu rodzice byli wzburzeni i zaniepokojeni, przynosili nadzwyczajne wydania gazet. Czytałem drukowane ogromną czcionką nagłówki — straszyły one wojną domową, informowały o zaciętych starciach i stratach ludzkich. Idąc w tych dniach do szkoły, odprowadzany przez matkę, otrzymałem pierwszą w życiu przestrożę polityczną; nakazała mi, abym w szkole niczego na temat wydarzeń w Warszawie nie mówił.

W 1926 roku Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) dokonuje we Lwowie zamachu na kuratora lwowskiego okręgu szkolnego, Sobińskiego. Władze urządzą ogromny pogrzeb, w którym zorganizowany udział biorą uczniowie wszystkich lwowskich szkół. Szedłem i ja w tym kondukcje. W pamięci mej pogrzeb ten, pierwsza masowa demonstracja, w której przyszło mi uczestniczyć, pozostał jako coś niezwykłego i groźnego zarazem.

W jakiś czas później żywa historia zjawiała się w naszej klasie. Dostaliśmy nowego katechetę — został nim ksiądz Józef Panaś. Jego imię urosło w tamtych latach do symbolu opozycji wobec Józefa Piłsudskiego i stosowanych przez niego metod. Ludowiec, był zarazem żołnierzem, legionistą, nagrodzonym wieloma odznaczeniami bojowymi; po 1926 roku na znak protestu rzucił je publicznie pod nogi oficerom Marszałka.

Jak się można było spodziewać, zatrudnienie w prywatnej szkole osób tak znanych ze swych opozycyjnych poglądów jak ksiądz Panaś nie mogło pozostać bez wpływu na stosunek władz do Mieczysława Kistryna. Szykanowano go więc w różny sposób, nasyłano inspektorów na niespodziewane a drobiazgowo kontrole. W dziedzinie nauki i wychowania, bardzo nowoczesnego jak na owe czasy, niełatwo było znaleźć dziurę w całym. Uczniowie prywatnej szkoły Kistryna mogli spokojnie współzawodniczyć w wiedzy z uczniami każdej ówczesnej szkoły, zarówno państwowej, jak i samorządowej, i całe miasto o tym dobrze wiedziało. Usiłowano więc uderzyć z innej strony — zwrócono uwagę na materialne warunki nauki, wyposażenie gabinetów, zwłaszcza fizyki, chemii, geografii i przyrodoznawstwa. Wyposażenie to było rzeczywiście skromne, w znacznej części pochodziło jeszcze z czasów austriackich. Kistryn nigdy nie miał dużo pieniędzy, dawał często zniżki w opłatach chesnego (i ja miałem taką jako syn pedagoga pracującego w szkolnictwie), sam materialnie pomagał, zwłaszcza zdolnym uczniom. Szykanowany przez władze, grożące zamknięciem szkoły „z braku warunków do nauki”, Kistryn mógł tylko zaapelować do rodziców swych uczniów. Zrobiono składkę (byli wśród nas synowie ludzi majątnych) i sami rodzice wspólnie zakupili nowe wyposażenie gabinetów naukowych. Nie dawano jednak Kistrynowi pełnych praw szkół publicznych, co oznaczało, że uczeń przy każdym przejściu do innej, publicznej szkoły, musiał zdawać egzamin wstępny ze wszystkich przedmiotów. Jeszcze gorzej było z maturą, którą trzeba było zdawać aż z siedmiu przedmiotów, ! to przed przysłaną przez kuratorium, a więc obcą komisją.

Naukę w gimnazjum Kistryna, po zdaniu wstępnego egzaminu, rozpocząłem w 1929 roku. Było to gimnazjum typu humanistycznego z szerokim programem nauki języków. W czwartej klasie szkoły powszechnej mieliśmy obowiązkowy język francuski, od pierwszej klasy gimnazjalnej także niemiecki, od czwartej — łacinę. Mimo dobrych ocen, które zawdzięczałem głównie pamięci i różnym lekturom, nauka języków nie pasjonowała mnie. Odstręczała mnie od niej gramatyka, wykładana wówczas sucho i nudno, do tego w ogromnych dozach. Naprawdę interesowała mnie historia, przede wszystkim polska i europejska. Znał ją doskonale mój ojciec, który mimo swej filologicznej specjalności zdumiewał mnie nieraz znajomością różnych szczegółów i pamięcią. Dla mnie historia łączyła się w sposób naturalny z lekturami, czytałem wtedy, dla własnej przyjemności, całe cykle powieści, zaczynając od Kraszewskiego, Waltera Scotta, Dumasa, Sienkiewicza, Tolstoja, Żeromskiego. Nieco później, wykorzystując obfitą bibliotekę ojca, zacząłem pochłaniać też historyczne dramaty, zaczynając od Szekspira.

Drugim przedmiotem bardzo mi bliskim było przyrodoznawstwo, sprzyjały temu ciągłe wycieczki i spacerowanie w okolicach Lwowa, wakacje w górach. Moi nauczyciele szkolni, zwłaszcza Mieczysław Stroński, potrafili do tego dodać dobre podstawy naukowe, zasady obserwacji, początki anatomii i fizjologii, rozumienie tych mechanizmów żywej przyrody, które dziś bada ekologia, a które wtedy określano jako związki pomiędzy organizmem i środowiskiem naturalnym.

Wakacje spędzałem wówczas wraz z całą rodziną w Karpatach, w miejscowości Skole w województwie stanisławowskim, położonej nad rzeką Opór. Ojciec wynajmował tam część domu u gospodarzy, Bojków — była to odrębna grupa ludności ukraińskiej zamieszkująca tamte tereny. Czas spędzaliśmy nad rzeką i na spacerach we wspaniałych, bogatych w faunę i florę lasach, gdzie mogliśmy obserwować salamandry i wielkie, piękne motyle. Lasy były własnością magnackiej rodziny, baronów Groedłów. Dobrze utrzymane, były dla turystów i wczasowiczów dostępne tylko na podstawie wykupionej przepustki, sprawdzanej często przez gajowych. W tym czasie w nagrodę za wyniki w nauce ojciec kupił mi mały aparat fotograficzny — skrzynkowy kodak „Brownie”. Zacząłem z pasją fotografować i to też — podobnie jak zainteresowania przyrodnicze — pozostało mi na stałe.

Pierwsze lata mego pobytu w gimnazjum zbiegły się z głębokim kryzysem gospodarczym, jaki ogarnął Polskę. Odczuwałem to bezpośrednio. Pensję ojca obcięto i w domu było znacznie mniej pieniędzy. Wtedy to nieoczekiwanie Kistryn zaproponował mi, abym podjął się korepetycji. Chodziło o pomoc ze wszystkich przedmiotów uczniowi zaledwie rok ode mnie młodszemu. Rozmowa z dyrektorem odbyła się, jego zwyczajem, w przejściu, na korytarzu, była krótka i rzeczowa. „Nie bój się — powiedział widząc moją zaskoczoną minę — dasz sobie radę.” Zgodziłem się i wkrótce zarobiłem pierwsze w życiu pieniądze, 25 złotych, sumę wtedy dla mnie ogromną. Z powodzeniem zarabiałem różnymi korepetycjami, zarówno w gimnazjum, jak i na uniwersytecie, aż do wybuchu wojny w 1939 roku.

Sytuacja pogorszyła się w całym kraju, narastały konflikty społeczne i narodowościowe, walki polityczne. W tych latach byłem już gorliwym czytelnikiem prasy codziennej i tygodniowej, czytałem prasę lwowską i ogólnopolską: „Wiek Nowy”, „Gazetę Polską”, krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny”, stołeczne „Wiadomości Literackie”, „Sygnały” lwowskie i „Drogę” warszawską. W domu toczyliśmy nieustanne dyskusje na aktualne tematy.

Powstanie Centrolewu, sprawa Brześcia i opozycji wobec Piłsudskiego łączyły się z groźnym problemem regionalnym, nasilaniem się działań nacjonalistów ukraińskich: zamachami, podpaleniami, i represjami ze strony władz, pacyfikacjami ukraińskich wsi. Żywa pamięć wojny z Ukraińcami powodowała, że problemy polityczne były we Lwowie

zawsze widziane inaczej niż w Warszawie czy nawet w Krakowie. Zamordowanie w 1931 roku w Truskawcu Tadeusza Hołównki, jednego z głównych architektów linii porozumienia z Ukraińcami, traktowano powszechnie we Lwowie jako dowód bankructwa tej polityki. Sprawa ukraińska była sprawą nadrzędną: oskarżano Warszawę o brak jej zrozumienia powodujący osłabienie polskości na Kresach Południowo-Wschodnich.

Kryzys nie ominął też gimnazjum Kistryna. Gdy we wrześniu 1933 roku, po powrocie z wakacji, poszedłem do szkoły, okazało się, że z braku uczniów klasy piątej w tym roku nie będzie. Musiałem przejść do innej szkoły, co więcej, czekał mnie egzamin wstępny ze wszystkich przedmiotów. Po kilku tygodniach starań ojca dopuszczono mnie do egzaminu wstępnego do piątej klasy X gimnazjum państwowego im. Henryka Sienkiewicza we Lwowie, również typu humanistycznego. I tak po ośmiu latach przymusowo, wbrew mej chęci, zakończył się mój pobyt u Kistryna. W tej samej szkole uczył się przez pierwsze lata mój brat Zdzisław, tamże zaczęła naukę moja siostra Halina. Wtedy bowiem Kistryn przekształcił swą szkołę powszechną z męskiej na koedukacyjną. Ja byłem w niej z całej rodziny najdłużej i byłem zdecydowany wytrwać do matury, nawet tej bardzo utrudnionej. Była to wyjątkowa szkoła o niezwykłych zaletach. Nieraz wracałem w życiu myślą do moich kistryniackich czasów; uczyłem się jeszcze długie lata, widziałem z bliska wiele szkół, były one jednak nieporównywalne z tamtą pierwszą, kształtującą inteligentną postawę życiową, prowadzoną przez pedagoga o własnych poglądach, silnej i bogatej indywidualności, trudnej do wtłoczenia w ramy choćby najlepszego publicznego systemu. Na początku życia los uśmiechnął się do mnie: u Kistryna spędziłem dobre, cenne, szczęśliwe lata.

W klasztorze ojców bernardynów

Moja nowa szkoła mieściła się w obiekcie historycznym, w klasztorze ojców bernardynów. Klasztor był czynny, natomiast mnisi odnajmowali państwu część pomieszczeń — jedno skrzydło budynku, i tam znajdowało się gimnazjum. Wysoki mur otaczał cały klasztor wraz z podwórzem, na którym spędzaliśmy przerwy i skąd przez zakratowane okna widać było cele i pracujących w nich zakonników. Sale były duże, ściany, zwłaszcza zewnętrzne, ogromnej grubości, parapety okienne bardzo głębokie.

Klasztor łączył się z kościołem Bernardynów — jednym z najpiękniejszych zabytków architektury lwowskiej. Przechodziłem obok niego co najmniej dwa razy dziennie, mijając również słynną figurę św. Jana z Dukli. Z krypty pogrzebowej wyruszały kondukty na cmentarz, jeździły stare, jeszcze z austriackich czasów, konne karawany, czarne ze srebrnymi aniołkami. W czasie Wielkiego Postu w kościele wywieszano ogromny obraz o treści pasyjnej, zawsze chodziłem go oglądać.

Początki w nowej budzie nie były łatwe. Zaczynałem naukę z parotygodniowym opóźnieniem, spowodowanym koniecznością uzyskania w kuratorium zezwolenia na egzamin, przychodziłem ze szkoły prywatnej, do której władze odnosiły się z wyraźną niechęcią. Ta niechęć udzielała się także gorliwym dyrekcjom szkół państwowych i ich radom pedagogicznym: X gimnazjum należało właśnie do takich.

Mój egzamin wstępny był nietypowy; rok szkolny już się rozpoczął, szkoła pracowała pełną parą, do tego musiałem go zdawać ze wszystkich przedmiotów oprócz gimnastyki, która nazywała się wtedy urzędowo „ćwiczenia cielesne”. Aby dla jednego ucznia nie tracić czasu, uznano za zbędne powoływanie komisji egzaminacyjnej, lecz posadzono mnie w kącie długiej i ponurej sali — mieściła się tam rada pedagogiczna — i trzymano cały dzień. W nierównych odstępach czasu, w zależności od swoich zajęć, obok mnie siadali różni nauczyciele. Nie znałem nikogo z nich, mówili, o jaki przedmiot chodzi, i zadawali mi pytania. Niektórzy kazali mi dawać odpowiedzi pisemne, po które następnie przychodzili, innych

zadowalała odpowiedź ustna. Od razu doszło do paru konfliktów; moje odpowiedzi, i to właśnie z historii oraz literatury polskiej, więc przedmiotów, które Jak na czternastolatka znałem doskonale, potraktowano jako błędne. Podjąłem spór: fakty znałem dobrze, nie podobała się natomiast moja interpretacja, której usiłowałem bronić.

Nauczyciele zapamiętali to — w pierwszym roku obniżyli mi noty. Do najbardziej zadowolonych należał katecheta, wiedziałem o sprawach Kościoła i religii więcej, aniżeli się spodziewał.

Ostatecznie przyjęto mnie i po dwóch dniach znalazłem się w klasie piątej, gdzie spotkałem dawnych kolegów od Kistryna, Jana Czudzaka i Andrzeja Kórnickiego. Przeszli oni do państwowego gimnazjum od razu po szkole podstawowej.

W pierwszych tygodniach w czasie lekcji musiałem niejednokrotnie wysłuchać cierpkich i, jak sądziłem, zupełnie niezasłużonych uwag. Odejście ze szkoły Kistryna było dla mnie niespodziewanym wstrząsem. Oburzyła mnie zarozumiałość nowych nauczycieli i pogardliwe traktowanie nie tyle mnie samego, co mojej starej szkoły, z którą tak silnie czułem się związany. Zrozumiałem, że znalazłem się w nowej, trudnej sytuacji, i zdecydowałem się walczyć. Od egzaminu wstępnego po egzamin maturalny pobyt w X gimnazjum był dla mnie okresem różnych konfliktów, niekiedy bardzo ostrych. W ogniu tych właśnie konfliktów dojrzewałem.

Przede wszystkim musiałem udowodnić moją szkolną wiedzę. Świadectwo za pierwszy, półroczny okres, jakie otrzymałem, było najgorsze w moim życiu, jedynie katecheta dał mi lojalnie ocenę „bardzo dobry”. Nauka religii, a uczyłem się jej dwanaście lat, była wtedy nie tylko obowiązkowa, lecz także bardzo rozbudowana, przynajmniej w programach. W wyższych klasach gimnazjum uczyliśmy się historii Kościoła, dogmatyki, etyki, podręczniki były przeładowane materiałem, często zawierały trudne pojęcia teologiczne i filozoficzne, ogromnie odległe od przeciętnej wiedzy religijnej, nawet w środowiskach wykształconych. Wykładany w ten sposób byłby to przedmiot niezwykle trudny. Katecheci wiedzieli o tym dobrze i traktowali uczniów bardzo wyrozumiale. Swe istotne zadanie widzieli w krzewieniu praktyk, a nie wiedzy, wręcz nie lubili wchodzić głębiej w przedstawione w podręcznikach sprawy. Zdecydowana większość moich kolegów byli to chłopcy wierzący i praktykujący, wielu należało do Sodalicji Mariańskiej, służyli stale do mszy jako ministranci. Katecheci w pełni doceniali takie postawy, nie ukrywali, że chcą wychowywać raczej aktywnych katolików aniżeli chłopców mających pojęcie o apologetyce w czasach wczesnego chrześcijaństwa lub o historii średniowiecznych herezji. „Tego nauczą się ci, którzy pójdą do seminarium, do tego trzeba powołania” — tak zwykle uzasadniali swe postępowanie. Potrafili jednak wszyscy docenić moje historyczno-religioznawcze zainteresowania, choć nie lubili, gdy próbowałem wciągać ich w dyskusje. „Przynajmniej będziesz coś wiedział — mówił do mnie nieraz ksiądz Andrzej Mołdoch — a wiedza to dar Boski.” Był on przez nas bardzo lubiany, pomagał uczniom, wstawiał się za nimi u dyrektora, daleki był od zacietrzewienia. Po latach dowiedziałem się, że mój katecheta zginął tragicznie w czasie wojny w więzieniu radzieckim.

X gimnazjum należało wtedy do czołówki szkół lwowskich, przekonałem się wkrótce, że poziom nauczania jest dobry, a wymagania stosunkowo wysokie. Stosunkowo, to znaczy w porównaniu z innymi gimnazjami państwowymi, w których miałem kolegów. W klasie było nas ponad czterdziestu i to była dla mnie nowość. Nauczyciele bardzo różni, pewna część zupełnie młodych, dopiero co po studiach, niektórzy lepiej, niektórzy gorzej przygotowani. U Kistryna nigdy nie było debutantów, wszyscy nauczyciele w jego gimnazjum byli doświadczonymi pedagogami, zazwyczaj z naukowym stopniem doktora.

Z początku razila mnie zła polszczyzna niektórych nauczycieli, wkrótce dowiedziałem się, że

byli to ludzie nie polskiej, lecz ukraińskiej narodowości. Podobnie zróżnicowana była sama klasa, kilku kolegów było Ukraińcami, mówili po polsku, lecz z silnym nalotem ukraińskim, kilku było Żydów, w tym także ze środowisk ortodoksyjnych, i ci mówili z wyraźnym akcentem. W gimnazjum Kistryna w ciągu ośmiu lat ani razu nie zetknąłem się z kolegami — Ukraińcami, byli natomiast, o czym wszyscy wiedzieli, koledzy z rodzin żydowskich czy ormiańskich, traktowaliśmy ich — tak jak oni sami — zawsze po prostu jako Polaków.

Wśród moich nowych kolegów byli synowie ziemian, a nawet rodowej arystokracji o słynnych nazwiskach — w mojej klasie był Antoni Czartoryski z Zurawna nad Dniestrem — nie było natomiast synów chłopskich, dominowali synowie wyższych urzędników.

W roku 1934 według oficjalnego sprawozdania gimnazjum liczyło 288 uczniów, z czego 277 deklarowało narodowość polską, a 11 ruską, gdyż wciąż unikano nazwy „ukraińska”. Ogromna większość — 232 uczniów — była religii rzymskokatolickiej, 40 deklarowało wyznanie mojżeszowe, 10 — religię grekokatolicką, 3 było Ormian wyznania ormiańskokatolickiego, jeden prawosławny i jeden ewangelik. Naukę religii odbywano osobno, czasem nawet ci, którzy stanowili znikomą mniejszość, uczyli się jej w innych salach. Postępy w nauce oceniano surowo. W 1934 roku z bardzo dobrym postępowaniem ukończyło swą klasę zaledwie 29 chłopców, z dobrym 111, dostatecznym 118, a za nieuzdolnionych uznano 30 uczniów. Nieuzdolnieni musieli powtarzać klasę lub opuścić szkołę, szukać szczęścia gdzie indziej.

Po serdecznej, wręcz rodzinnej atmosferze panującej u Kistryna reżim X gimnazjum przypominał klasztor, i to o surowej regule. Przede wszystkim od uczniów żądano zewnętrznej dyscypliny wzorowanej na szkołach wojskowych. Punktualnie o ósmej rano zamykano furtkę w murze. Znienawidzony powszechnie woźny po ósmej nie wpuszczał nikogo, dopóki nie nadszedł dyżurny nauczyciel. Spóźnienie, każde, choćby najmniejsze, uchodziło za poważne przewinienie. Zarówno w szkole, jak i poza nią, w każdym miejscu publicznym byliśmy zobowiązani nosić stale przepisowy granatowy mundur, czapkę i mundurowy płaszcz. Wymagany był także granatowy krawat. Chłopcy, zwłaszcza z wyższych klas, z upodobaniem nosili wzorzyste czy kolorowe krawaty. Musieli je chować lub zmieniać przy wejściu do szkoły, gdyż stale groziły kontrole. Sprawował ją nieraz sam dyrektor gimnazjum, czając się na schodach. Gdy był nie w humorze, co mu się często zdarzało, potrafił wyjąć z kieszeni scyzoryk i postawionemu na baczność uczniowi przeciąć na szyi nieprzepisowy krawat.

Mieliśmy także obowiązek nosić na rękawach kolorowe tarcze z numerem szkoły. Chłopcy często nosili je przypięte na szpilkach i zdejmowali po wyjściu ze szkoły, kontrole szukały winnych, złapani byli karani. W szóstej klasie, by, jak to sformułowano w zarządzeniu szkolnym, „zapobiec aroganckiemu trzymaniu rąk w kieszeniach przez uczniów”, z inicjatywy naszego wychowawcy klasy kazano nam po prostu zaszyć boczne kieszenie spodni.

Z najmniejszego powodu wzywano do szkoły rodziców, grożąc utratą roku lub też wyrzuceniem syna ze szkoły. Nauka była wtedy nie tylko kosztowna — w szkołach państwowych również obowiązywało chesne — ale w poważnym stopniu określała przyszłość dziecka, zwłaszcza w rodzinach inteligenckich i urzędniczych; groźby były więc realne, w rezultacie rodzice naciskali na dzieci, aby poddawały się narzuconej dyscyplinie.

Szkołą rządził w tych latach samowładnie jej dyrektor, Stanisław Fyda, z fachu filolog klasyczny. Kuratorium przysłało go na miejsce nieudolnego poprzednika, za czasów którego szkołą faktycznie kierował katecheta, syn znanego uczonego, rektora politechniki, sędziwego senatora i osobistego przyjaciela prezydenta Mościckiego. O tych rządach katechety, zesłanego następnie na prowincjonalne probostwo, słyszałem przez lata całe

legandy: zakończyły się one szybko zatuszowanym skandalem obyczajowym. Dyrektor Fyda przyszedł, aby przeprowadzić sanację szkoły i przywrócić normalną hierarchię. Robił to twardą ręką, szkoła szybko uznana została przez władze oświatowe za wzorową, śmiało realizującą zadania reformy. Były to lata reform premiera Jędrzejewicza, kiedy to właśnie szkolnictwo średnie było oczkiem w głowie rządu. Miał też dyrektor własne, bardzo silne wtedy powiązania na wysokich piętach władzy, jego brat był pułkownikiem w służbie dyplomatycznej.

Dyrektor wzbudzał strach i nienawiść. Zaraz po jego przyjściu doszło do konfliktu między nim a najstarszą, ósmą klasą. Sprawa przybrała niezwykle jak na owe czasy obrót i ostatecznie większość klasy, za zgodą kuratorium, na kilka miesięcy przed maturą przeszła do innych szkół. Gdy ja pojawiłem się w szkole, Fyda zdążył już ją spacyfikować. Opowiadano wprawdzie o nim wiele, komentarze wzbudzał zwłaszcza jawny romans z matką jednego z uczniów, ale dyscyplinie się podporządkowano. Obejmowała ona także grono nauczycielskie. Do starszych z tego grona dyrektor odnosił się z jawnym lekceważeniem, ścigał nowych, których protegował i używał jako swoich pomocników. Życie w tej wzorowej szkole nie było łatwe.

Aby osiągnąć pozycję bardzo dobrego ucznia, czytałem różne nadobowiązkowe czy po prostu naukowe opracowania, czasem dzięki znajomościom mojego ojca przyjmowali mnie wybitni specjaliści, których prosiłem o wyjaśnienia, informacje i wskazówki. Przypominam sobie, jak, aby przygotować referat z antropologii, poszedłem na uniwersytet do Jana Czekanowskiego. Profesor przyjął mnie w swym gabinecie pełnym czaszek ludzkich — pierwszy raz coś takiego widziałem i zrobiło to na mnie wielkie wrażenie. Czekanowski, podówczas światowy autorytet naukowy, wysłuchał mnie i nie tylko odpowiedział na moje pytania, prostując ich nieścisłości, lecz dał mi odbitkę swojego artykułu, który dopiero miał się ukazać w naukowym czasopiśmie. Pozwolił mi skorzystać z tego tekstu przy opracowywaniu referatu. Podobnie było z matematyką, tu mój ojciec, przy całej swej ogromnej wiedzy humanistycznej, nie mógł sam mi pomóc, wobec tego umówił mnie na uniwersytecie z Juliuszem Schauderem, wybitnym lwowskim matematykiem, współpracownikiem Stefana Banacha i Hugo Steinhausa. Schauder jak i wielu innych uczonych lwowskiego uniwersytetu padł w kilka lat później ofiarą hitlerowskich mordów.

W dziedzinie języka polskiego, literatury oraz historii czułem się pewnie, gorzej było z łaciną, choć stale pomagał mi ojciec, wychowanek klasycznego gimnazjum. Mimo starań nigdy nie potrafiłem dobrze opanować gramatyki łacińskiej. Wymagania w tym względzie, zwłaszcza Fydy, który nie tylko dyrektorował, lecz także sam uczył, były nawet na owe czasy przesadne. Żądał on, abyśmy nie tylko czytali i tłumaczyli teksty, ale mówili po łacinie.

X gimnazjum nie tylko uczyło, lecz także wychowywało i to — jak uważano powszechnie — w sposób bardzo nowoczesny. Mieliśmy więc szkolny samorząd i sejmik, gminy klasowe z wójtami na czele, wybory, dyskusje, plany pracy rocznej, finanse z naszych gminnych składek i sprawozdania. Miała to być, w założeniu, szkoła demokracji, metoda obywatelskiego wychowania. Moimi wychowawcami w latach 1933—37 byli Ignacy Pawluch, nauczyciel języka niemieckiego, i Bronisław Żukowski, nauczyciel gimnastyki. Pawluch, Ukraińiec, odnosił się do uczniów na ogół życzliwie, był dość lubiany, ganiać kogoś za brak postępów powtarzał swe ulubione powiedzenie: „A ty to już całkiem na pana zeszedłeś”. Wobec zarządzeń władz był zewnętrźnie lojalny, realizował państwowotwórcze wytyczne kuratorium. Rok 1939 i klęska państwa polskiego zmieniły całkowicie jego postawę, w czasie okupacji był związany z nacjonalistami ukraińskimi wrogimi wobec Polski i Polaków. Bronisław Żukowski, o przydomku „Jamnik”, był nielubiany. To on właśnie nader gorliwie wcielał w życie każde zarządzenie dyrektora, mające na celu narzucenie nam koszarowego porządku. Był złośliwy, zwłaszcza wobec mniej odpornych psychicznie

uczniów, lubił im dokuczać, a okazji miał sporo.

Na zebraniach gminy klasowej omawialiśmy przeróżne sprawy — od drobiazgów życia codziennego szkoły aż do spraw wtedy dla nas zasadniczych, takich jak nasze stosunki z nauczycielami, ich wymagania i sprawiedliwe oceny. Pojawiały się także, zwłaszcza w wyższych klasach, tematy czysto polityczne, związane z sytuacją w kraju i aktualnymi wydarzeniami. Jednym z takich wydarzeń było uchwalenie w 1935 roku nowej Konstytucji, która wywoływała ostre spory w społeczeństwie.

Głównym zadaniem gminy i całego szkolnego sejmiku były działania wychowawcze zgodne z ówczesnymi poglądami i zadaniami, jakie stawiał sobie obóz Józefa Piłsudskiego, a zwłaszcza reformator systemu szkolnictwa w Polsce, premier Janusz Jędrzejewicz. Gimnazjum kształciło podówczas inteligencję polską, reforma wychowania miała na celu przewyciężenie dziedzictwa przeszłości, okresu zaborów, i ukształtowanie ludzi nowoczesnych. Dlatego też punktem wyjścia programów wychowawczych była analiza przeszłości inteligencji i jej utrwalonych, wciąż dających o sobie znać postaw i opinii. Chodziło przede wszystkim o stosunek pomiędzy myślą i słowem, którymi żyje i które tworzy inteligencja, a życiem realnym, wolą człowieka, a zwłaszcza wolą zbiorową. W roku 1935, roku śmierci Józefa Piłsudskiego, dyrekcja X gimnazjum w dorocznym sprawozdaniu określiła swe cele wychowawcze. Zachowałem ten dokument, gdyż wyjątkowo dobrze oddaje istotę poglądów i charakter wysiłków ówczesnych piłsudczykowskich reformatorów. A oto najważniejszy fragment tego tekstu, który, jak łatwo spostrzec, nie utracił całkowicie aktualności:

Myśl nasza, nie znajdując w dobie niewoli zastosowań praktycznych, zamykała się w sobie, stając się sama w sobie celem. Stąd i dzisiaj jeszcze myśl jest przeważnie nie planem działania, lecz procesem wyczerpywania się energii psychicznej, myśleniem dla myślenia, poglądem bez obowiązku zastosowania. W tych warunkach myśl pozwalała sobie na przejawskrawienie, na radykalizm słowa, bo była abstrakcją wobec życia, nieodpowiedzialna wobec rzeczywistości — taki stan myślenia prowadzi! do fanatycznego odosobnienia jednostek i grup, utrudniał zgranie się opinii publicznej, ramowe bodaj ujednostajnienie poglądów. Wychowanie społeczne, państwowe, musi zwalczyć to szkodliwe dla jej celów nastawienie intelektualne, ten solipsyzm rozpanoszony groźnie w naszej psychice zbiorowej. Są to zasadniczy wrogowie myśli obywatelskiej i państwowej, Państwo bowiem nie jest zagadnieniem literackim, tematem do deklamacji, lecz faktem realnym natury politycznej, społecznej, gospodarczej i kulturalnej. Wymaga więc umysłów przystosowanych do jego celów. Nakazuje ono przewyciężenie niewolniczej bierności, obojętności wychowanej w nas sztucznie przez zaborców. Organizacyjne i gospodarcze ujmowanie zjawisk życia skutecznia się w nas jeszcze pod kątem myślenia literackiego, nie opartego o czynnik gospodarczy, choć zaniedbywanie tego czynnika mści się w polityce i odporności militarnej. Stąd nakazem szkoły jest wychować młodzież w myśleniu konstruktywnym, praktycznym, jak to czynią ludy Europy Zachodniej, wychować obywatela nowego typu, zdrowego moralnie i fizycznie, uspołecznionego i państwowotwórczego, umięjącego żyć dla dobra i potęgi państwa.

Na zebraniach gminy dyskutowano więc tematy ogólne, społeczne, państwowe; zagajeniem dyskusji był zawsze referat, sporządzony przez kogoś zwykle na ochotnika. Początkowo wychowawcy byli zadowoleni, że chętnie zgłaszam się do tej roli, potem wynikały jednak z tego ostre spory i napięcia. Wychowany pod wpływem idei Józefa Piłsudskiego, broniłem koncepcji państwa i obywatela, jaka znalazła swój wyraz w Konstytucji przyjętej przez Sejm w 1935 roku. Chodziło w szczególności o te zapisy, które głosiły, że „wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne” oraz że „ani pochodzenie, ani wyznanie, ani pleć, ani

narodowość nie mogą być powodem ograniczenia tych uprawnień". Przygotowałem na zebranie gminy referat o nowej Konstytucji, podkreślając jej oryginalność, niezależność od abstrakcyjnych teorii, związek z doświadczeniami naszej historii, które są odmienne od doświadczeń innych krajów, zwłaszcza Europy Zachodniej. Gdy tam kwitł absolutyzm, nieszczęściem Polski był anarchiczny parlamentaryzm z liberum veto. Dlatego też uznawałem za słuszny zapis głoszący, że: „funkcje rządu państwem nie należą do Sejmu”, a także wyraźnie podkreślone równouprawnienie wszystkich obywateli. Konstytucja 1935 roku nie wszystkim się podobała, miała zdecydowanych przeciwników zarówno na lewicy, jak i prawicy. Prawica lansowała hasła państwa narodowego i wyznaniowego, co nie tylko przeczyło zasadom demokracji, lecz narażało kraj, w którym było 35 procent obywateli należących do mniejszości narodowych, na ciągłe konflikty wewnętrzne. Większość moich kolegów w klasie wywodziła się z rodzin podzielających poglądy endeckie lub chadeckie, powtarzała argumenty ówczesnej opozycji, była wobec obozu legionowego niechętna lub wręcz wroga. W gimnazjum w wyższych klasach działały już ówczesne nielegalne organizacje młodzieży, zwłaszcza tzw. „Noga” — Narodowa Organizacja Gimnazjalna, związana z prawicową organizacją młodzieży akademickiej. W dyskusji nad nową Konstytucją atakowano mnie więc ostro, podobnie było przy innych okazjach, popierało mnie w klasie nie więcej niż pięciu—sześciu kolegów, reszta była przeciw. Właśnie wtedy nauczyłem się stawiać czoło większości, publicznie sprzeciwiać się jej opinii, walczyć słowami. Powodowało to jednak moje osamotnienie w klasie, gdyż rozdzwiewki ujawnione w dyskusjach nieuchronnie odbijały się na stosunkach koleżeńskich.

Drugim źródłem konfliktów, w których uczestniczyłem, były nasze stosunki z nauczycielami. Tu jednak moja aktywna rola dawała mi sympatię, a nawet poparcie kolegów. W rezultacie jednego z takich konfliktów zostałem wybrany wójtem gminy. Mimo że sięgnięto po środki nacisku — obniżono mi stopnie ze sprawowania na świadectwie, wzywano rodziców do dyrekcji gimnazjum, na wywiadówkach musieli wysłuchiwać nieprzyjemnych uwag o moim charakterze, zachowaniu i niedopuszczalnej postawie — nie byłem skłonny do ustępstw. Chodziło przede wszystkim o sprawiedliwość ocen, o złośliwość, jakich dopuszczali się nauczyciele, zwłaszcza wobec mniej zdolnych czy po prostu słabszych psychicznie, o kpiny i głupie dowcipy, o próby rozbicia naszej solidarności klasowej, wygrywanie jednych uczniów przeciwko drugim. Wiele lat później, w 1969 roku, będąc we Francji w czasie wielkiego strajku w liceach tego kraju, mogłem przekonać się, że doprowadziły do niego te same przyczyny, podobne zachowania nauczycieli, a żądania licealistów były takie same jak w latach trzydziestych w mojej klasie.

Wtedy, w siódmej klasie gimnazjum, doszedłem do wniosku, że zorganizowana i solidarna gmina uczniowska może skutecznie przeciwstawić się nauczycielom nie naruszając przy tym żadnego przepisu. W styczniu 1936 roku zorganizowałem akcję, która miała być odwetem na zachowanie nauczyciela, które nas boleśnie dotykało. Na kolejnej lekcji zachowywaliśmy ponure milczenie, nie patrząc na nauczyciela, nie reagując na jego dowcipy i powiedzonka, dla których zwykle szukał odzewu i poklasku, nie przejawiając żadnej inicjatywy. Odpowiadaliśmy na pytania krótko i rzeczowo, zwracając się do nauczyciela pozornie grzecznie: „tak jest, panie profesorze”. Efekt był piorunujący. Po awanturach z dyrektorem nasz przeciwnik zmienił zachowanie, zrezygnował ze swych dowcipów, uwag i złośliwości. Zapłaciłem jednak za to obniżeniem stopnia ze sprawowania. Przynależność wojskowa

Tymczasem w gimnazjum, w szóstej klasie, rozpoczął się dwuletni okres obowiązkowego przysposobienia wojskowego. Zadanie traktowano niezwykle poważnie, nie tylko w przekonaniu, że wszyscy musimy być przygotowani do walki z bronią w rękę (pamięć wojny była jeszcze bardzo żywa), lecz także ze względu na ambicje dyrekcji. Chodziło o wyróżnienie się wśród innych szkół średnich Lwowa w corocznych zawodach strzeleckich o sztandar przechodni ufundowany przez Miejski Komitet Wychowania Fizycznego i

Przysposobienia Wojskowego we Lwowie.

Dla zdobycia tego sztandaru trzeba było ćwiczyć; miesiącami na podwórzu szkoły strzelaliśmy do tarczy z karabinka małokalibrowego. Wyróżniający się strzelcy, noszący w klapach mundurka złote odznaki, byli w szkole szczególnie honorowani. Mimo wielu prób nigdy nie udało mi się zdobyć więcej niż brązową odznakę trzeciej klasy, wciąż byłem poniżej oczekiwań moich dowódców i godzinami leżałem na stanowisku psując kolejne naboje. Ostatecznie jednak na samych zawodach wystrzelałem średnią liczbę punktów i, choć skromnie, przyczyniłem się do naszego zwycięstwa.

Ćwiczenia PW obejmowały wiele zajęć w terenie. Przechodziliśmy przeszkolenie piechoty, mieliśmy stare karabinki francuskie typu Lebel przechowywane w szkole, a co pewien czas na strzelnicy wojskowej strzelaliśmy ostrymi pociskami. Centralnym punktem dwuletniego szkolenia był kilkutygodniowy obóz w górach, w województwie stanisławowskim, w Delatynie nad Prutem, w okolicy zamieszkaney w większości przez chłopów ukraińskich. Obóz prowadzili zawodowi wojskowi, byliśmy na wikcie żołnierskim z kuchni, którą obsługiwali poborowi rekruci, mieszkaliśmy w namiotach i godzinami musieliśmy czyścić nasze karabiny. Gimnastyka, marsze, a przede wszystkim ćwiczenia taktyki natarcia piechoty wypełniały nam całe dni. Nasi dowódcy byli przyzwyczajeni do koszarowej gwary, której nie szczędzili i nam, zwłaszcza gdy coś nie wychodziło w ćwiczeniach. Traktowaliśmy to raczej pogodnie i z humorem, chociaż na ogół wulgarne określenia używane były w naszej klasie wyjątkowo.

Śmieszyły nas także wychowawcze pogadanki oficerów, jeszcze długo potem cytowaliśmy z nich wyjątki, jak choćby z pierwszego przemówienia porucznika, które miało nam uświadomić, że jesteśmy już dorośli i musimy sami na siebie liczyć. Przemówienie zaczynało się od słów: "Ojciec i matka to rzeczy obliczone na krótki dystans".

Okoliczna ludność ukraińska odnosiła się do nas niechętnie, widząc w nas dodatkową polską siłę zbrojną strzegącą tych terenów. Złorzeczenia wywoływały zwłaszcza nocne ćwiczenia, kiedy to w pobliżu wiejskich zabudowań otwieraliśmy na rozkaz ogień z karabinów, wprawdzie ślepyimi nabojami, ale dostatecznie głośny, aby wywołać w chałupach strach, płacz przebudzonych dzieci i krzyki kobiet. Dowódcy ostrzegali nas przed kontaktami z miejscową ludnością, był tam bowiem rozpowszechniony endemiczny syfilis, pamiątka po przejściu wojsk rosyjskich w 1848 roku dla stłumienia powstania na Węgrzech. Objawy tej choroby były u miejscowych niewielkie, natomiast zakażenie ludzi z zewnątrz przebiegało ostro.

W tym też okresie zacząłem uprawiać szermierkę. Sport ten był w X gimnazjum rozpowszechniony, uczył nas znany w tych latach zawodnik, sierżant Łabędziewski. Miałem już pewne przygotowanie z domu, jako że mój ojciec uczył zarówno mnie, jak i mego brata Zdzisława fechtowania, mieliśmy w domu szable, maski i rękawice. Ojciec lubił ten sport, który zresztą wtedy miał wciąż jeszcze dodatkowe znaczenie — walką na szable, rzadziej szpady, rozstrzygano sprawy honorowe. W latach dwudziestych, gdy byłem jeszcze zupełnie małym dzieckiem, ojciec miał taki pojedynek na szable, z którego wyszedł zwycięsko przecinając przeciwnikowi policzek.

Szermierka szła mi dobrze, rąbałem się zaciekle, zostałem mistrzem klasy, a następnie broniłem honoru szkoły w drużynowych zmaganiach z reprezentacją Korpusu Kadetów. Zawody przegraliśmy, kadeci byli lepiej wyćwiczeni. Lwowski Korpus Kadetów, będący rodzajem zmilitaryzowanego gimnazjum, był wtedy bardzo popularny w mieście, miałem tam kolegów. Nosili oryginalne mundury, a na defiladach szczylicili się sztandarem szkoły; był to autentyczny sztandar oddziału powstańczego z 1863 roku.

W kilka lat później, już w czasie okupacji, kadeci jako pierwsi zaczęli we Lwowie konspirację i pierwsi zapełniali radzieckie więzienia.

Na boisku i w teatrze

W latach trzydziestych Lwów był na mapie Polski wielkim ośrodkiem sportowym, działało tam wiele znanych klubów, niektóre powstały jeszcze przed 1914 rokiem, na samym początku ery sportowej, i chlubiły się swymi tradycjami. Byli więc „Czami” oraz „Pogoń”, rywale w wielu dyscyplinach, były kluby wojskowe i cywilne, ukraińskie i żydowskie, nawiązujące do nazw biblijnych: „Makkabi” i „Hasmonea”. Młodzież szkolna pasjonowała się piłką nożną, chodziła na mecze, kibicowała, grała w drużynach szkolnych.

Zajęć sportowych było w X gimnazjum co niemiara, w tym także na stadionie, gdzie co tydzień obowiązkowo graliśmy w piłkę nożną. Nie byłem mocny w tej dyscyplinie, nie interesowały mnie też mecze, po prostu nigdy na nie nie chodziłem. Ciekawił mnie natomiast hokej, sam latami jeździłem na łyżwach, grałem też z kolegami. Chodziłem na pływalnię, w pobliżu domu miałem basen kryty i dwa letnie na kąpieliskach zwanych „Żelazna Woda” i „Zielone Oko”. Grałem nawet w piłkę wodną, a pływanie, obok szermierki i nart, należało do moich ulubionych zajęć sportowych.

W tych latach ogromną karierę robił w Polsce brydż. Grano weń wszędzie, rozmawiano na ten temat, żartowano, pisano. Gra w karty była wtedy bardzo rozpowszechniona także w szkole wśród moich kolegów. Grywali nawet w klasie pod ławką, a ogromna awantura wybuchła, gdy złapano karciarzy na grze w kościele, w czasie obowiązkowych wielkanocnych rekolekcji. Przed brydżem nie można się było uchronić. Nauczyłem się oczywiście grać, lecz wkrótce okazało się, że nie mam pod tym względem żadnych uzdolnień, oprócz drażnienia moich partnerów. Szybko przekonałem się, że nie tylko brydż, ale i inne modne gry karciane nie dają mi żadnej satysfakcji, i zrezygnowałem z nich zupełnie.

Umiejętność tańca była wtedy wciąż jeszcze traktowana jako powszechny wymóg w edukacji młodego człowieka. Nie było to wprawdzie takie miejsce, jakie zajmował taniec w pokoleniu mego ojca — mazury, kotyliony i karnety znałem tylko z opowiadań rodzinnych — ale naukę tańca traktowano na serio. Dyrekcja naszego gimnazjum męskiego w porozumieniu z państwowym gimnazjum żeńskim imienia Zofii Strzałkowskiej urządziła co roku wspólne kursy tańca towarzyskiego. Płatne, odbywały się one w gmachu żeńskiego gimnazjum, pod nadzorem tamtejszych nauczycieli i nauczycielek. Kurs obejmował zarówno tańce klasyczne z mazurem, kadrylem i walcem, jak i nowoczesne, z fokstrotem i tangiem. Uczono nas także przyjętych wówczas form przedstawiania się partnerce, zaproszenia oraz podziękowania, w tym także towarzyszącym partnerce starszym osobom.

Gimnazjum Strzałkowskiej było bardzo wtedy we Lwowie znane: krążyły o nim różne opowieści i plotki nie zawsze pochlebne. Większość dziewcząt ze środowisk inteligenckich kształciła się w licznych zakładach szkolnych prowadzonych przez zakonnice, z urszulankami na czele. Szkoły te nie tylko uczyły, i to często na bardzo dobrym poziomie, ale wychowywały inaczej niż państwowe. Na ogół wpajały także to, co dziś można by nazwać kulturą osobistą — szczególnie, łatwo rozpoznawalny styl zachowania, staranną polszczyznę. Zwykle zresztą dziewczęta z tych instytucji były dalekie od bigoterii, zachowywały się często bardziej swobodnie niż te z innych szkół, ale robiły to inaczej. W starszych klasach szkół żeńskich była wtedy rozpowszechniona instytucja narzeczonych; w tym charakterze pojawiali się zazwyczaj studenci szkół wyższych i młodzi podchorążowie lub oficerowie. Status narzeczonego upoważniał do znacznej swobody w zachowaniach młodych, był czymś oficjalnym, akceptowanym przez rodzinę. W gimnazjum Strzałkowskiej

uczennice obowiązywał nawet nakaz rejestrowania narzeczonych w dyrekcji szkoły. Narzeczonych i narzeczone dość powszechnie zmieniano, tylko część par, zwykle zresztą już po maturze (panny) i dyplomie (mężczyźni), po otrzymaniu pracy, zawierała małżeństwo.

Były też przypadki romansów uczennic z nauczycielami, tępione przez władze szkolne, które reagowały natychmiastowym przeniesieniem pedagoga do innej szkoły. Pewna część moich kolegów chwaliła się już także kontaktami z licznym we Lwowie półświatkiem, poruszenie w szkole wywołał kolega, który w szóstej klasie gimnazjum uciekł w Polskę z przystojną manikiurzystką. Rodzina była zamożna i energiczna, zbiega znaleziono, manikiurzystką zadowolili się odszkodowaniem, a młodzieniec miał długo co opowiadać kolegom.

Bardziej dramatyczny charakter miała znajomość dwojga naszych kolegów ze „Straży Przedniej”. Ona była starsza, z rodziny bardzo zamożnej, on gimnazjalista ze środowiska kolejarskiego, robotniczego. Pewnego dnia, po dłuższej i nieskrywanej zażyłości, panna postanowiła pojechać z innym na wczasy do Zakopanego: po dramatycznej rozmowie nasz kolega w jej obecności, w willi jej rodziców, strzelił sobie w pierś z rewolweru. Byłem wkrótce po tym u niego w szpitalu, był poważnie ranny, ale lekarze uratowali go. Sprawa wywołała nie tylko poruszenie, ale i ostrą dyskusję między nami nie tylko na temat stosunków uczuciowych i ich powikłań, lecz także na temat poważniejszy, samobójstwa i jego uzasadnienia. Wraz z większością kolegów uważałem, że członek organizacji, decydując się na wybór światopoglądu i drogi życiowej, nie ma prawa do takich melodramatycznych gestów.

W pamięci z tego okresu pozostały mi jednak nie tyle tak jaskrawe zdarzenia i romanse, co sama atmosfera tańca, tworząca wówczas swoisty wymiar życia. Tańczyliśmy na licznych zabawach szkolnych, na zabawach w organizacjach młodzieżowych, w lokalach różnego rodzaju, w domach prywatnych. Tańczyłem w gimnazjum, na studiach, nawet jeszcze w okresie okupacji.

W tych latach zacząłem bywać coraz częściej w teatrze. Zapalonymi miłośnikami teatru byli moi rodzice: ojciec był nie tylko historykiem dramatu, lecz także niestrudzonym widzem teatralnym i człowiekiem dobrze znającym środowisko. Wiłam Horzyca był jego szkolnym kolegą i przyjacielem, gdy zaś został dyrektorem teatru lwowskiego, a Leon Schiller współpracował z nim jako reżyser, kontakty ojca z teatrem jeszcze się zacieśniły. Ojciec był wtedy radnym, członkiem Komisji Teatralnej Rady Miejskiej we Lwowie, mając w ten sposób bezpośredni wgląd w byt i problemy teatrów utrzymywanych z kasy miejskiej. W domu wszyscy regularnie chodziliśmy do teatru: czytałem także recenzje, orientowałem się w sporach o repertuar, koncepcje artystyczne i problemy cenzury. Były to lata teatralne pod wieloma względami niezwykle, miałem możliwość oglądania znakomitych przedstawień i ról, słynnych aktorów i reżyserów, wybitnych scenografów.

Pamiętam też najgłośniejsze spory repertuarowe tych lat: o sztukę Siergieja Tretiakowa pt. Krzyczcie Chiny, którą uznawano za zbyt rewolucyjną, i o inscenizację Snu srebrnego Salomei Słowackiego. W tym przypadku spór dotyczył problemu ukraińskiego, na który Lwów był uczulony; w inscenizacji Schillera z 1932 roku widziano apoteozę hajdamaków.

Oglądałem więc w tych latach, mimo bardzo młodego wieku, wspomniane już Sen srebrny Salomei i słynne Dziady w inscenizacji Schillera, Księżda Marka Słowackiego i Nie-Boską komedię Krasieńskiego. Horzyca wystawiał sztuki grane rzadko, a nawet takie, które nigdy przedtem na scenie się nie pojawiły. Na całe życie zapamiętałem niezwykłą prapremierę Kleopatry Norwida z Ireną Eichlerówną w roli głównej, Peer Gynta Ibsena, Koriolana Szekspira, Życie snem Calderona, Majora Barbarę Shawa, Człowieka, który był czwartkiem według Chestertona. Bardzo młodą, ale już w rozkwicie talentu Irenę Eichlerównę widziałem

tańczącą taniec siedmiu zasłon w Salome Oscara Wilde'a i w głośnej wtedy w kraju Fraulein Doktor Jerzego Tępy, też w roli głównej. Horzyca miał oryginalnych i utalentowanych scenografów, Andrzeja Pronaszkę i Władysława Daszewskiego, oprawa przedstawienia była sama w sobie dziełem sztuki. Ponieważ często przyjeżdżali do Lwowa wybitni artyści z całej Polski, widziałem Ludwika Solskiego we Fryderyku Wielkim Adolfa Nowaczyńskiego, Irenę Solską w Wachlarzu lady Windermere, Juliusza Osterwę w Romansie Edwarda Sheldona, Aleksandra Węgierkę w sztuce Shawa Żołnierz i bohater.

Nie było dla nikogo tajemnicą, że część środowiska teatralnego wyznaje bardzo lewicowe poglądy, a nawet, jak to wtedy określano, „komunizuje”; dotyczyło to zarówno ludzi wybitnych, jak choćby samego Leona Schillera czy dobrego aktora Władysława Krasnowieckiego (grał m.in. św. Jana w Salome), jak i wielu innych, mniej znanych. Zaostrzenie się sytuacji politycznej w Europie, a zwłaszcza wzrastające w siłę ruchy faszystowskie, aktywizowały siły lewicowe, w tym także pozostające w kręgu wpływów Kominternu lub wprost z nim związane. Działalność tych ostatnich była wroga wobec samego istnienia niepodległego państwa, dążyły one do jego zniszczenia i utworzenia jeszcze jednej radzieckiej republiki. Stosunek do państwa polskiego i jego niepodległości wyznaczał wtedy i później ostrą granicę dzielącą partie polityczne, ruchy społeczne, poglądy i ludzi, we Lwowie miało to dodatkowy wymiar, chodziło także o polskość miasta i Kresów Wschodnich. Spór o interpretację sceniczną Snu srebrnego Salomei był zatem sporem politycznym, chodziło nie tylko o perypetie historyczne z czasów I Rzeczypospolitej, lecz o sam charakter obecności i prawa Polski na Ziemi Czerwieńskiej.

„Straż Przednia”

W tych latach, w X gimnazjum, rozpocząłem zupełnie nowy i w znacznej mierze decydujący o charakterze całego mojego przyszłego życia okres: wstąpiłem w szeregi organizacji młodzieżowej. Organizacje takie — legalne, a także nielegalne, konspiracyjne — były wtedy w szkolnictwie średnim bardzo liczne. Wszystkie ruchy i partie polityczne, wszystkie siły społeczne, starały się pozyskać młodych możliwie wcześniej — zwykle już około piętnastego roku życia. Rozumowano słusznie, że tylko tak wczesna inicjacja pozwala na trwałe ukształtowanie ludzi, na ich rzeczywiste poznanie i wypróbowanie. Nie bez wpływu były też przykłady zagraniczne; w ościennych krajach, w Niemczech i Rosji, mobilizowano miliony młodych, którzy mieli być siłą napędową rewolucyjnych, radykalnych przemian narodowo-socjalistycznych czy komunistycznych. Dla wszystkich było jasne, że i w Polsce należy mobilizować młodych, aby zapewnić ciągłość zarówno idei, jak i działań.

W X gimnazjum była drużyna harcerska, ale z różnych względów harcerstwo nigdy mnie nie pociągało, wydawało mi się z jednej strony zbyt dziecinne, z drugiej zbyt podobne do formacji militarnej. Rosnące natomiast moje zainteresowanie sprawami społecznymi i politycznymi, atmosfera gimnazjum, bardzo upolitycznionego zarówno w swej części nauczycielskiej, jak i uczniowskiej, a przede wszystkim wpływ mojej matki, silnie zaangażowanej w piłsudczykowski Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet i „Strzelca”, spowodowały, że w połowie 1934 roku wstąpiłem do Organizacji Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia”. Równocześnie zacząłem współpracę z czasopisem „Kuznia Młodych” i jego lwowskim kręgiem, nawiązałem kontakt z „Legionem Młodych”. Zespół „Straży Przedniej” w X gimnazjum był nieliczny, nigdy nie było nas więcej niż dziesięć osób.

Odpowiadało mi to, przypominało koleżeńską grupę jednej klasy u Kistryna. W ciągu zaledwie kilku miesięcy zostałem kierownikiem gimnazjalnego zespołu „Straży”, gdyż mój poprzednik, Mieczysław Gerstman, i jego koledzy odeszli z organizacji, kiedy przygotowywali się do matury. Musiałem więc od razu zorganizować nowy zespół, do którego weszli moi koledzy i przyjaciele: Paweł Borzemski, Jerzy Karpiński, Zbigniew

Mańkowski, Marian Polek, Otmar Borysławski i Aleksander Gallet.

Kilka tygodni po przyjęciu do zespołu, w okresie wakacji letnich 1934 roku, pojechałem na obóz „Straży” na Wileńszczyznę, nad największe wówczas w kraju jezioro Narocz, urzekające nie tylko swym ogromem, lecz także wyjątkowym urokiem, pięknym krajobrazu całej okolicy. Mieszkaliśmy w namiotach na wysokim brzegu jeziora, wyżywienie otrzymywaliśmy z kuchni polowej, którą obsługiwali nasi koledzy, wszystkie prace związane z uruchomieniem, funkcjonowaniem i likwidacją obozu wykonywaliśmy sami.

Czas był wypełniony dyskusjami, działaniami w okolicznych wsiach i wycieczkami, co kilka dni urządaliśmy ognisko z programem artystycznym w wykonaniu samych obozowiczów. Nie znałem tej części Polski, po raz pierwszy znalazłem się na ziemi tak tchnącej historią i romantyzmem. Zwiedzaliśmy Wilno i Troki z zamkiem na wyspie i świątynią karaimów polskich — kenesą, poznaliśmy naszych wileńskich kolegów ze „Straży” (niektórzy z nich byli już związani z kręgiem uniwersyteckim i czasopismem „Po Prostu”), chodziliśmy po okolicznych wsiach i zaściankach szlacheckich.

Opinię publiczną w Polsce poruszyła wtedy sprawa rybaków znad Naroczy, którzy od wieków żyli z połowu ryb w jeziorze. Administracja państwowa uznała, że jezioro jest własnością skarbu i że rybacy nie mają do niego żadnych praw. W sporze sądowym okazało się, że w wioskach rybackich przechowywane są nadal akty prawne z czasów I Rzeczypospolitej, przywileje królewskie podpisane przez Stefana Batorego, gwarantujące mieszkańcom oraz ich potomkom swobodne prawo połowu w Naroczy. Powstał problem prawnej ciągłości Rzeczypospolitej i szerszy — naszej odpowiedzialności za przeszłość państwa. Łączył się on ściśle z problemem mniejszości narodowych, zmian etnicznych, szlachty, zwłaszcza zagrodowej, bardzo jeszcze na Kresach Północno-Wschodnich licznej. Rozmowy na ten temat trwały nieraz do późnego wieczoru, przyjeżdżali do nas jako goście obozu legioniści, dawni działacze niepodległościowi, wtedy często już wysocy urzędnicy stołecznych ministerstw. Dyskusje były ostre i bezpośrednie, traktowano nas, mimo wieku i uczniowskiego stanu, jak ludzi dojrzałych, rozmówców, których trzeba wysłuchać. Patrząc z odległej perspektywy sądzę, że był głęboki sens w tych spotkaniach, które miały zapewnić bezpośredni kontakt różnych pokoleń, czynnych i połączonych wspólnymi przekonaniami. Takie właśnie obyczaje, które istniały zresztą w „Straży Przedniej” bardzo krótko, zaledwie kilka lat, rodziły do niej niechęć, wywoływały zawiść, gwałtowną krytykę, ataki prasowe i niewybredne oszczerstwa. Przyzwyczajano nas do tego i my się do tego przyzwyczailiśmy. Nasi ówczesni wychowawcy i przywódcy wskazywali na losy obozu legionowego i osobiście Józefa Piłsudskiego, którym nic nie było oszczędzone. Latami działali otoczeni wrogością, szkalowani — i odpowiadali na to słowami swej pieśni; „Nie trzeba nam od was uznania”, przekonaniem o słuszności dobrowolnie wybranej drogi. Ataki na „Straż” prowadzono z prawa i z lewa, były one częścią kampanii przeciwko systemowi rządów pomajowych oraz podstawowym koncepcjom Józefa Piłsudskiego i jego obozu. Zachowałem do dziś materiały prasowe z końca 1933 roku, fragmenty artykułów odzwierciedlających opinie różnych odciałów ówczesnego życia publicznego na temat „Straży Przedniej”.

w „Kurierze Warszawskim” ks. Choromański wskazując na powiązanie „Straży” z „Kuznią Młodych”, a poprzez nią z „Legionem Młodych”, sugerował, że „Straż” to organizacja o ideologii wolnomyślicielskiej; „Goniec Pomorski”, organ Narodowej Demokracji, artykuł o „Straży” zatytułował Straż Przednia komunizmu. W tym samym miesiącu, październiku 1933, organ PPS, warszawski „Robotnik” w artykule pt. Straż Przednia faszyzmu informował swoich czytelników, że: „Straż Przednia stara się uczynić z młodzieży ślepo oddaną armię kapitalizmu...” i ciągnął dalej: „Do Straży Przedniej wchodzić zakładnicy od pierwszej klasy do ósmej. Małym dzieciom wmawia się, że Straż Przednia, zbudowana systemem masońskim i hierarchicznym, rozszerza swoje wpływy na cały kraj i że ona właściwie rządzi

państwem. Na kołach Straży Przedniej jeszcze w zimie omawiano sprawę reformy konstytucji. Odpowiednio podsunięte projekty były przesłane po tym do nieznanymi bliżej władz centralnych. Prezes Sławek ogłosił na zjeździe legionistów ten projekt".

W szkołach większość nauczycieli odstręczała od „Straży” głoszona przez jej założycieli i przywódców, z Adamem Skwarczyńskim na czele, zasada samowychowania młodzieży w zespołach; była ona uważana za próbę ograniczenia wychowawczej roli szkoły i pedagogów. Dyrekcje szkół niechętnie patrzyły na zespoły „Straży”, w istocie niezależne od nich i mające bezpośrednie kontakty z władzami pozaszkolnymi, politycznymi. Tradycyjne organizacje młodzieżowe z harcerstwem na czele, zwykle starające się objąć jak najszersze rzesze młodzieży i nastawione na masową działalność, z ukosa patrzyły na kadrową „Straż”, bardzo powściągliwą w werbowaniu nowych członków.

Program Adama Skwarczyńskiego i jego najbliższych współpracowników, na którym oparta została „Straż Przednia”, był w istocie prosty i logiczny, choć, zwłaszcza z perspektywy czasów obecnych, wygląda jak romantyczna utopia. Jego podstawą była analiza historii Polski od Konfederacji Barskiej do zamachu majowego i wielkiego kryzysu gospodarczego lat trzydziestych.

Punktem wyjścia była teza o potrzebie utrzymania niepodległego państwa polskiego, wychowania pokolenia uspołecznionych obywateli gotowych tego państwa bronić. Zagrożenia niepodległości istniały i na zewnątrz, i wewnątrz państwa, część ich wynikała z dziejowej spuścizny, którą byliśmy obciążeni, z naszej genealogii. To o tej Genealogii teraźniejszości, o trwałości narodowych wad, pisał kilka lat później, w 1938 roku, Aleksander Świętochowski w swym głośnym, ale trudnym do obalenia, bo opartym na faktach, pamflecie.

Zasadniczym celem „Straży Przedniej” miało być wyrobienie światopoglądu młodych, wychowanie ludzi związanych z ideą i praktyką państwa, mających stały i czynny kontakt z życiem. Powołując do życia nową organizację, jej twórcy usiłowali także zapobiec moralnym następstwom kryzysu gospodarczego, upowszechnianiu się wśród młodzieży postaw sobkowskich, przedkładania swego osobistego interesu, zwłaszcza materialnego, ponad wszystko. Stąd podkreślony w programie wymóg bezinteresowności, wewnętrznego przygotowania się do wyrzeczeń, gdyby okoliczności znów, jak w czasach legionowych, tego wymagały. I wreszcie nakaz odrzucenia każdego frazesu, pustych, demagogicznych zdań, nie obowiązujących w rzeczywistym działaniu. Powtarzano nam nieustannie, że frazes to namiastka działania i zwykle zasłona dymna dla egoistycznych, często cynicznych postaw i wynikających z nich interesów.

Przyjąłem wtedy, w 1934 roku, program „Straży Przedniej” z całym przekonaniem i nie zmieniłem zdania, mimo że wkrótce „Straż” przestała istnieć, a katastrofa wrześniowa zakończyła okres II Rzeczypospolitej. Była to organizacja oparta na własnych, polskich potrzebach i korzeniach, nawiązująca do własnych, polskich doświadczeń, uodparniająca młodzież na truciznę doktryn i demagogii. Jednocześnie „Straż” była otwarta społecznie i intelektualnie, przyjmowała każdego, kto jak świadomy i pełnoprawny obywatel chciał związać swój los z państwem polskim jako dobrem wspólnym. Odraza do fanatyzmów i ciasnoty, totalitarnych fascynacji i prowincjonalnego zaślepienia, do agresywnego doktrynerstwa różnych międzynarodówek, ubranego w pseudofilozoficzny czy pseudonaukowy kostium, do doktrynerstwa zawsze gotowego poświęcić sprawę Polski rzekomo w imię wyższych, świątłych celów, weszła mi głęboko w krew.

Z mego zespołu „Straży Przedniej” z lat 1934—36 w krótkim czasie po 1939 roku wszyscy co do jednego znaleźli się w ruchu oporu, w AK i armii na Zachodzie, w więzieniach,

obozach i na zesłaniu. Przeszło połowa z nich zginęła. Ci, co przeżyli, rozproszyli się po świecie i nigdy już nie mieli okazji, aby zebrać się razem, choćby na chwilę.

Założeniem i wymogiem działania w „Straży” było prowadzenie, jak to wtedy nazywano, „pracy realizacyjnej”; polegała ona na podejmowaniu indywidualnych i zbiorowych prac pożytecznych społecznie. Każdy zespół musiał sam sobie takie zadania wyszukać i wykonać, nie otrzymywał nigdy od organizacji środków na podobne cele, miał je sam znaleźć. Przygotowując się do wyjazdu nad jezioro Narocz, na obóz, zgromadziliśmy w lwowskiej „Straży” kilkaset książek — powieści i opowiadań przeważnie z literatury polskiej i historycznej, zebranych w domach i wśród znajomych. Podzieliliśmy je na komplety i grupa, w której byłem, chodziła po polskich i białoruskich wsiach, próbując założyć wiejskie biblioteczki, a raczej ich załączki. Wsie były biedne, analfabetów, zwłaszcza wśród starszych ludzi, żyło tam wielu, natomiast życzliwość ówczesnych mieszkańców były ogromna. Mielśmy wypożyczony ze szkoły prymitywny aparat projekcyjny typu „Omak” i zestaw przeźroczy. Zacząłem, po raz pierwszy w życiu, wygłaszać pogadanki, zwykle historyczne, pokazując przeźrocza. Wsie były odcięte od świata, ze zdumieniem przekonałem się, że są tam młodzi ludzie oczekujący na pobór do wojska, by pierwszy raz w życiu pojechać koleją, nie docierało tam jeszcze radio, nie mówiąc już o kinie, projekcje ciekawiły więc moich widzów i słuchaczy. Życzliwość we wsiach białoruskich była nawet większa niż w zaściankach. Założyłem z kolegami kilka biblioteczek, znaleźliśmy na miejscu odpowiedzialnych za nie ludzi, do wybuchu wojny kontaktowałem się z nimi listownie i przez kolegów z okręgu wileńskiego „Straży”, którzy byli z nami na obozie. Od czasu do czasu wysyłałem naszym przyjaciołom znad Naroczy gazety i czasopisma, broszury i książki zebrane przez zespół we Lwowie.

Praca realizacyjna we Lwowie, którą musiałem podjąć już jako kierownik zespołu, przyniosła mi nowe, bardzo surowe doświadczenia. Pracowaliśmy w świetlicy „Strzelca” na przedmieściu Lwowa, na górnym Łyczakowie, z której korzystali głównie robotnicy z pobliskiej fabryki drożdży związani z ruchem piłsudczykowski. Były to moje pierwsze kontakty ze środowiskiem fabrycznym. Czasy były trudne, sytuacja społeczna i gospodarcza pogarszała się, wywoływała obawy o przyszłość kraju. Postanowiłem część prac zespołu poświęcić bezrobotnym i bezdomnym, mieszkającym w nieczynnych cegielniach. Na przedmieściach Lwowa było takich cegielni sporo, kryzys doprowadził większość z nich do bankructwa, gnieździł się w nich najubożsi, zwykle wielodzietne rodziny. Docierając do tych ludzi z niewielką materialną pomocą, zbieraliśmy we własnych domach i u znajomych starą odzież i wiktuały. Próbując im pomóc w różnych urzędach, które miały obowiązek opieki społecznej, zetknąłem się ze światem dotychczas znanym mi z powieści, filmu i rycin. Rzeczywistość była gorsza, nędza niszczyła tych ludzi nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie, spychała na beznadziejny margines, z którego nie mogli się sami wyrwać. Na dno, na którym się znaleźli, ściągali także swoje rodziny, przede wszystkim dorastające dzieci.

Znajomość historii społecznej, doświadczenia okupacyjne, a zwłaszcza więzienne, nauczyły mnie rozróżniać rodzaje marginesu, rozumieć mechanizmy, które go podtrzymują i nieustannie odnawiają. Wiem, że w pewnych rozmiarach margines, zwłaszcza kryminalny, jest nie do uniknięcia, powstaje w każdym, choćby najbogatszym i najlepiej zorganizowanym społeczeństwie. To jednak, czego byłem wtedy świadkiem: bezrobocie, bezdomność, nędza i poniżenie, były wynikiem złego funkcjonowania mechanizmów gospodarczych, wad ustroju społecznego, opartego w istocie na teorii społecznego darwinizmu z jego nieludzkimi konsekwencjami. W tym samym czasie kroniki filmowe, które oglądałem co parę dni w kinie, pokazywały obrazki opalania kawą parowozów w Brazylii dla utrzymania jej ceny, topienia w morzu worków pszenicy, brutalnych represji w głodujących koloniach, policyjnego uśmierzania strajków i równocześnie szalejącej spekulacji i afer finansowych, tak licznych w Europie i Stanach Zjednoczonych w latach trzydziestych. Na naszym Śląsku bezrobotni

usiłowali ratować się przed nędzą wydobywając węgiel z biedaszybów, których prymitywizm był wdzięcznym tematem dla dziennikarskich reportaży. W tym samym czasie docierały wieści o straszliwym, sztucznym głodzie, wywołanym przez władze radzieckie na Ukrainie, aby zmusić chłopów do kolektywizacji, o masowych bolszewickich represjach, procesach i rozstrzelaniach. Nigdy nie zgodziłem się z myślą i tezą, że to wszystko jest historyczna konieczność, niezbędna cena postępu, siły, lepszej przyszłości społeczeństw.

W styczniu 1935 roku biorę udział w dwutygodniowym kursie „Straży Przedniej” przeznaczonym dla kierowników zespołów. Kurs odbył się w Starym Samborze, miasteczku na południu Polski, znanym mi z historii, a także z tradycji rodzinnych, z okolic Sambora pochodziła bowiem matka mego ojca, Wanda Sądecka. Zjechało się tam kilkadziesiąt osób z okręgu lwowskiego i poleskiego, chłopcy i dziewczęta z różnych gimnazjów. Kursem kierował Łukasz Kurdybacha, historyk oświaty, wtedy asystent na Uniwersytecie Jana Kazimierza u profesora Stanisława Łempickiego. Łempicki był bliskim przyjacielem mego ojca i z tej racji nieraz się z nim spotykałem, chodziłem też do niego po materiały do moich szkolnych referatów.

Ponieważ byliśmy jako organizacja prorządowa popierani, miejscowe władze urządziły dla nas bal. W wielkiej sali grała żydowska orkiestra, ale ja nie chciałem tańczyć i ograniczyłem się do roli widza. Bal, a przede wszystkim jego koronną część, mazura, prowadził tamtejszy poseł z BBWR w parze z jaskrawo wystrojoną i, jak wówczas oceniałem, leciwą panią starościaną. Tańczyło ze czterdzieści par. Z grupą kolegów ze zdumieniem i niedowierzaniem patrzyliśmy na tę prowincjonalną zabawę, traktowaną niezwykle serio: na sali byli podobno wszyscy powiatowi notable, była to Polska sprzed 1914 roku, prowincja znana z galicyjskich powieści, ogromnie odległa od lwowskich doświadczeń.

Kurs dla kierowników zespołów prowadzili ludzie głęboko tkwiący w polityce, należący do dwóch pokoleń — starszego, konspiratorów z czasów zaborów i I Wojny Światowej, zwłaszcza POW, oraz młodego, tych, którzy przyłączyli się do obozu legionowego już po 1926 roku. Główną postacią była Maria Kornilowicz-Strońska, uczestniczka konspiracji piłsudczykowskiej jeszcze sprzed 1918 roku, ona też przedstawiła obszernie sytuację polityczną, w której powstała „Straż Przednia”. Bez przerwy wracając do problemów konspiracji, wskazując na rosnące po zamachu majowym wpływy endeckie i klerykalne, na to, iż prawica, która opanowuje szkoły średnie, żąda zwrotu w kierunku nacjonalistycznego państwa narodowego i jednowyznaniowego, widziała w zasadach „Straży Przedniej” rodzaj testamentu polskich ruchów niepodległościowych, od Konfederacji Barskiej do Piłsudskiego. Strońska traktowała konspirację polityczną w szkole średniej jako coś normalnego, oczywistego. Twierdziła, że konspiracja rozszerza się, bo silne są jej tradycje, w szkołach brak odpowiedniego nadzoru, a młodzież właśnie w tajnych organizacjach ma poczucie swobody. Dlatego też nowa organizacja powinna, jej zdaniem, być niezależna od władz szkoły.

Kurs w Starym Samborze utkwiał mi głęboko w pamięci. Od tego odległego pod każdym względem czasu zarówno w latach pokoju, jak i wojny, w różnych środowiskach i okolicznościach w życiu zbiorowym Polaków nieustannie powracała i powraca sprawa konspiracji, liberum conspiro, jak to zjawisko nazywali niektórzy historycy — problem potrzeby konspiracji, jej roli” znaczenia, siły i słabości, jej osiągnięć i szkód społecznych oraz indywidualnych, jakie powodowała- „Straż Przednia” zdaniem Strońskiej miała być antidotum na konspiracyjne ciągoty; losy historyczne sprawiły jednak, że ogromna większość jej członków za kilka zaledwie lat znajdzie się w konspiracji czasu wojny i okupacji, konspiracji przeciwko zaborcom.

W lecie 1935 roku po raz ostatni wziąłem udział w obozie „Straży”, gdyż w 1936 opuściłem

tę organizację widząc, że zmienia się ona całkowicie, odstępuje od swych zasad. Obóz był tym razem na Kaszubach, w miejscowości Borkowo koło Kartuz, położonej malowniczo pomiędzy dwoma jeziorami. Było to już po śmierci Piłsudskiego, szykowały się głębokie zmiany polityczne, w rządzie narastały siły prawicowe i pierwsze oznaki tego dały się już odczuć w „Straży”. Wyraźnie zmieniał się stosunek władz do nas, zaczęto ograniczać dyskusje, ujawniły się zamiary naśladowania faszystowskich wzorów, masowych, karnych i posłusznych wodzowi organizacji młodzieży. Propaganda usiłowała przekonać nas, że wodzem po śmierci Piłsudskiego jest jego następca, Rydz-Śmigły. W tym czasie rozpadł się Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem — BBWR, rozważano koncepcję powołania Obozu Zjednoczenia Narodowego.

W obozie w Borkowie pojawiła się grupa młodych Polaków z Nadrenii, należeli do tamtejszych organizacji polonijnych i po raz pierwszy odwiedzili kraj swych ojców. Między sobą rozmawiali po niemiecku, przywieźli hitlerowskie odznaki i nauczyli nas tekstu hymnu hitlerowskiego: Horst Wessel Lied, żywo opowiadali o przemianach w Niemczech, choć uważali się za Polaków. Nie ukrywali jednak przed nami, że w porównaniu z Nadrenią rzeczywistość polska, tak piękna w opowiadaniach rodziców, jest dla nich zaskoczeniem i rozczarowaniem, nie myśleli, że kraj jest tak biedny. Trudno było z nimi dyskutować problemy Polski, drogi dalszego rozwoju odzyskanego niedawno państwa, konflikty społeczne i etniczne, naszą rodzimą konspirację; trudno też było trzymać ich z dala od rozmów. W rezultacie przeważały po prostu zabawy i sport, były też ćwiczenia wojskowe. Wspólnie z organizacją „Strzelca”, działającą na terenie Wolnego Miasta Gdańska, urządzono nam nocne manewry na samej granicy, wydano nawet karabiny ze ślepymi nabojami. Nasi goście też dostali karabiny i strzelali z zapalnym. Nigdy się z nimi już nie spotkałem, choć mieliśmy ich nazwiska i adresy, obietnice dalszych kontaktów. Chłopcy ci byli w moim wieku i nieraz potem zastanawiałem się, ilu z nich walczyło w szeregach Wehrmachtu, może nawet w czasie najazdu na Polskę w 1939 roku.

Miejscowe władze i tym razem pomagały, urządzono nam wycieczkę do Gdyni i nie tylko pokazano port handlowy, ale uzyskano dla nas, co nie było łatwe, pozwolenie zwiedzenia portu marynarki wojennej na Oksywiu. Byłem więc na mostku kapitańskim koń trtorped owca „Wicher”, widziałem torpedy, poławiacze min, łodzie podwodne. Flota wojenna była bez wątpienia najnowocześniejszą częścią naszej armii, wydawało się, że potrafi obronić polskie wybrzeże. Ironią losu były jej dzieje. W wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku nie odegrała żadnej roli, na krótko przed wybuchem działań zgodnie z założeniami tzw. operacji „Pekin” opuściła Bałtyk i przyłączyła się do floty naszych zachodnich sprzymierzeńców, przechodząc faktycznie pod obce dowództwo. Tam też walczyła do końca wojny.

Śmierć Józefa Piłsudskiego

W maju 1935 roku wyjechałem z delegacją uczniowską i sztandarem naszego gimnazjum do Warszawy, na pogrzeb Marszałka. Stałem w ogromnym tłumie na Polach Mokotowskich, gdzie wystawiono trumnę, nasza delegacja miała obok siebie z jednej strony grupę starych działaczy PPS z czerwonym sztandarem, po drugiej stronie grupę reprezentującą prowincjonalną organizację kobiecą gospodyń z pięknie haftowaną niebieską chorągwią. Widziałem wtedy, całkiem z bliska, zagraniczne delegacje uczestniczące w pogrzebie. Francję reprezentowali dwaj ludzie, którzy wkrótce odegrają ponurą rolę w dziejach swego kraju, byli to: marszałek Philippe Petain, reprezentujący armię francuską i premier Pierre Laval, ten ostatni w charakterystycznym białym krawacie, o którym bez przerwy pisali ówcześni dziennikarze. W składzie delegacji Rzeszy Niemieckiej szedł Hermann Goering, w mundurze i orderach.

Rok później uczestniczę w pogrzebie serca Józefa Piłsudskiego w Wilnie, na Rossie,

najpiękniejszym bodaj wówczas polskim cmentarzu. Jeśli pierwszy miał wyraźnie państwowy i międzynarodowy charakter, ten drugi pogrzeb był arcy polski, romantyczny. I nie tylko dlatego, że był urzeczywistnieniem romantycznego życzenia Testamentu Juliusza Słowackiego, ulubionego poety Marszałka, lecz przede wszystkim ze względu na niezwykłą atmosferę, jaka panowała w owym czasie w Wilnie: w obrzędzie uczestniczyli już tylko swoi, wykonując ostatnią wolę człowieka, któremu wierzyli i który dał Polsce całą epokę.

Tym razem byłem z delegacją „Straży Przedniej” i zabawiłem kilka dni w Wilnie i jego okolicach. Pojechałem z kolegami do Żułowa, rodzinnego majątku i miejsca urodzin Józefa Piłsudskiego. Była tam właśnie uroczystość z udziałem wojska oraz nabożeństwo polowe. Ksiądz — kapelan wojskowy w mundurze, niemłody już i mówiący śpiewną, kresową polszczyzną — odmówił modlitwę „do Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej i Wielkiej Księżny Litewskiej”.

Zwiedziłem też w Wilnie niedawno odkryte przez studentów Uniwersytetu Stefana Batorego wielkie podziemia kościoła Dominikanów, gdzie przez stulecia chowano zmarłych. Studenci byli też przewodnikami; podziemia, słabo oświetlone i niesamowite, ostatni raz były użyte dla pogrzebów w czasie powstania w 1863 roku, następnie zamurowano je i zostały zapomniane. Odnaleziono je przypadkiem przy studenckiej, dość amatorskiej, restauracji ołtarza w kościele. Do końca podziemia doszliśmy we trójkę, w tym jedną z osób był przewodnik: reszta gmpy wycofała się, gdyż widok był rzeczywiście wstrząsający. W kolejnych pomieszczeniach leżały setki zmumifikowanych zwłok, niektóre w stosach, inne w otwartych trumnach, gdzie zachowały się dawne kostiumy, często lśniące w słabym świetle żarówek. Byli tam żołnierze napoleońscy z czasu odwrotu spod Moskwy, szlachta XVII i XVIII wieku, mężczyźni i kobiety. W ostatnich dwóch komorach zalegała przeszło dwumetrowa warstwa nagich, wysuszonych ciał, przypuszczano, że to ślady zarazy morowej z XVII wieku, jaka grasowała w Wilnie, bo według źródeł historycznych był wtedy w pobliżu szpital. Całość podziemi robiła niezwykle wrażenie. Uderzył mnie jeden szczegół: w wielu trumnach z XVII i XVIII wieku leżały świetnie zachowane książki, które szlachcice kazali sobie wkładać do grobu. Były wśród nich dzieła religijne i filozoficzne, zwłaszcza autorów starożytnych, w jednym miejscu zauważyłem nawet słownik grecko-łaciński. Pomyślałem sobie wtedy, jak bardzo odbiega to od obrazu szlachty stworzonego przez Henryka Sienkiewicza i utrwalonego w wielu potocznych opiniach.

Publicystyka szkolna

Pierwszą okazję publicznego działania przekraczającego ramy gimnazjum dała mi, rozpoczęta już w 1934 roku, współpraca z „Kuznią Młodych”, ogólnopolskim dwutygodnikiem młodzieży szkolnej, redagowanym pod hasłem „młodzi dla młodych”. „Kuznia” była wtedy pismem wojującym, ściśle związanym ze „Strażą Przednią”, bliskim ideom Adama Skwarczyńskiego, a następnie „Legionu Młodych”. W szkołach średnich całego kraju tworzone tzw. SKR-y, szkolne komitety redakcyjne „Kuzni”, które współpracowały ze sobą i z warszawską redakcją.

Będąc członkiem takiego SKR-u w X gimnazjum, nie tylko reklamowałem i kolportowałem „Kuznię” (czasopismo miało 16 stron dużego formatu i kolorową okładkę, a kosztowało 25 groszy), ale także przeprowadzałem zainicjowane przez nią akcje. Pismo miało ambicje literackie, zamieszczało próby twórczości gimnazjalistów, wiersze i opowiadania, urządzało konkursy. Między innymi w 1935 roku organizowałem „plebiscyt na dziesięć najpoczytniejszych książek polskich”. Trzeba było wybrać pięć pozycji z okresu 1863—1918 i pięć z lat 1918—1935. Pamiętam, że ze starszych pisarzy najwięcej głosów zebrali Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Stefan Żeromski, Władysław Reymont i Maria Rodziewiczówna. Z nowej wtedy literatury młodzież wyróżniła Wyrąbany chodnik Gustawa Morcinka, Żółty

Krzyż Andrzeja Struga, Zazdrość i medycynę Michała Choromańskiego. Noce i dni Marii Dąbrowskiej i Jarmark rymów Juliana Tuwima.

Ogólnopolska „Kuźnia” nie mogła, rzecz jasna, zadowolić ambicji lwowskiej „Straży” i w 1935 roku postanowiliśmy wydawać własne pismo. Jego redaktorem naczelnym został Jerzy Lerski-Sołtysik, dawny kistryniak, a następnie uczeń gimnazjum państwowego. Po długich dyskusjach w gronie założycieli postanowiliśmy nazwać pismo „Żagiew” i określić je jako miesięcznik szkół średnich Małopolski Wschodniej. Opiekunem pisma został dr Władysław Floryan, polonista, po wojnie profesor Uniwersytetu we Wrocławiu.

Lokal „Żagwi” mieścił się w budynku lwowskiej „Straży Przedniej”, przy ulicy Czarneckiego 12; aby nie było wątpliwości co do orientacji pisma, na pierwszej stronie pierwszego numeru, z marca 1935 roku, pojawił się wielki portret Józefa Piłsudskiego. W numerze tym ukazał się wywiad, jaki zrobiłem wspólnie z Franciszkiem Gilem. Rozmawialiśmy z Bolesławem Lewickim, podówczas magistrem i redaktorem czasopisma „Skaut”. Lewicki, który doktoryzował się u znakomitego polonisty Juliusza Kleintera, następnie poświęcił się naukowym badaniom filmu. Po wielu, wielu latach spotkam go znowu w Łodzi, gdzie był profesorem, a następnie rektorem Wyższej Szkoły Filmowej. Tak połączyły się nasze losy, że czas jakiś byłem prorektorem tej uczelni. Na wydawanie „Żagwi” nie dostawaliśmy od nikogo ani grosza subwencji; pieniądze zdobywaliśmy sami, zwykle przez urządzenie zabaw tanecznych w gimnazjach. Taka zabawa, po odliczeniu kosztów orkiestry i sprzętania Sali (którą dostawaliśmy za darmo), przynosiła nam z biletów wstępu ok. 150 zł dochodu. Tyle mniej więcej kosztowało wydanie jednego numeru pisma w nakładzie 500 egzemplarzy, numer kosztował 20 groszy. Urządzaliśmy także imprezy literackie, dochód z jednej pokrył koszt wydania pierwszego numeru „Żagwi”.

Zachowałem program wieczoru artystyczno-poetyckiego, zatytułowanego „Młody Lwów”, zorganizowanego przez Międzyszkolny Komitet Redakcyjny „Żagwi”, którego byłem członkiem. My sami, uczniowie różnych lwowskich gimnazjów, byliśmy i organizatorami, i wykonawcami, fragmenty swych utworów literackich czytali młodzi pisarze lub zaproszeni przez nich artyści — oczywiście nie było mowy o żadnych honorariach. Ja recytowałem wiersze mojego przyjaciela Zbigniewa Kończackiego, swe wiersze czytali Józef Nacht i Tadeusz Zaklej, śpiewał chór kadetów. W części wieczoru zatytułowanej „Poezja Młodego Lwowa” autorzy i artyści czytali utwory Aleksandra Baumgardtena, Tadeusza Hollendra, Mariana Promińskiego, Stanisława Rogowskiego.

„Żagiew” nie przetrwała długo, podzieliła losy „Straży Przedniej”, która po śmierci Piłsudskiego i zmianach w legionowym obozie rządzącym weszła w okres kryzysu i upadku.

W tym samym czasie, w 1935 roku, podejmuję próbę zorganizowania lwowskiego międzyszkolnego miesięcznika młodzieży gimnazjalnej. Projekt mój polegał na przekształceniu ukazującego się od siedmiu lat w naszym X gimnazjum czasopisma „Szara Brać” w pismo międzyszkolne. Zacząłem trudne pertraktacje z innymi szkołami, zarówno męskimi, jak i żeńskimi — tylko nieliczne z nich miały własne pisemka, a i to ukazujące się nieregularnie. „Szara Brać” była wydawana przez sejmik uczniowski, z naszych składek, wychodziła regularnie każdego 15 dnia miesiąca w nakładzie 500 egzemplarzy. Rozchodziła się zawsze także poza naszą szkołą, a kosztowała 20 groszy.

W roku szkolnym 1934/35 w skład ustępującego komitetu redakcyjnego wchodziło czterech uczniów siódmej klasy; Bronisław Kryszczukajtis, Przemysław Ogrodziński, Jerzy Wolfi Franciszek Swaton, ten ostatni był moim kolegą jeszcze od Kistryna. Redaktorem odpowiedzialnym pisma był sam dyrektor szkoły. Przekonałem go, że warto podjąć próbę przekształcenia „Szarej Braci”; wszedłem do komitetu redakcyjnego poszerzonego o

kolegów i koleżanki z innych gimnazjów, które udało się pozyskać do współpracy. W nowym Komitecie znalazły się koleżanki z gimnazjum im. Zofii Strzałkowskiej i koleżdy z III i IV gimnazjum. Zmieniliśmy format pisma na większy, daliśmy lepszy papier i kolorową okładkę, a także przyzwoitą szatę graficzną. Cena pisma pozostała nie zmieniona. Do pierwszego numeru napisałem artykuł wstępny informujący o zamierzeniach nowej redakcji i zapraszający do współpracy wszystkie gimnazja w mieście.

Artykuły dobrane do pierwszego numeru były ostre, a nawet agresywne. Już pierwszy, pióra Franciszka Gila, zatytułowany Hasłokratyzm, atakował ówczesną modę pieniącą się w prasie młodzieżowej wszystkich orientacji; tandetę publicystyczną, zalew gromkich haseł, nawoływań, pouczeń, licytowanie się w buńczucznych manifestach. Kolejne artykuły poruszały sprawy religijności młodzieży, sytuacji gospodarczej Polski, a zwłaszcza kryzysu rolnictwa, zajmowały się sportem i jego wpływem na umysłowość młodych. Była też recenzja teatralna i felieton poświęcony nowości literackiej — właśnie bowiem ukazała się powieść Jalu Kurka „Grypa szaleje w Naprawie.”

Pojawienie się „Szarej Braci” jako pisma międzyszkolnego wywołało bardzo zróżnicowane reakcje. Czytelnicy, do których się zwracaliśmy, nasi koleżdy, przyjęli pismo dobrze, dorośli, a zwłaszcza nauczyciele — znacznie gorzej. Widziano w tej inicjatywie kolejny atak młodzieży związanej z obozem legionowym na utwaloną tradycję, zarzucano pismu złośliwy, a nawet agresywny ton, niedopuszczalną śmiałość w podejmowaniu tematów drażliwych, nadmierne upolitycznienie. Polemiki prowadzone na łamach pisma poruszały nie tylko młodych autorów, lecz także ich rodziców — zaczęli oni interweniować u dyrektora Fydy, protestować przeciwko wymienianiu nazwisk, co dotyczyło ich osobiście. Kampanię przeciwko „Szarej Braci” rozpoczęli także redaktorzy innych pism szkolnych; w ich redakcjach były zwykle kilkunastoosobowe grupy aktywu, powiązane z nauczycielami najczęściej o prawicowych poglądach.

Ataki ze wszystkich stron okazały się skuteczne. Dyrektor miał dość ciągłych skarg, interwencji i protestów, na jego żądanie „Szara Brać” po kilku miesiącach powróciła do starego kształtu i roli. Zrezygnowałem z uczestnictwa w Komitecie redakcyjnym, zaś w kolejnym numerze nowa redakcja zaapelowała do uczniów klas młodszych, aby nadsyłali swe artykuły.

W artykule wstępnym, zatytułowanym Do czynu, nawiązując do moich wywodów opublikowanych niedawno w „Szarej Braci”, a dotyczących apatii młodych, mój klasowy kolega Wojciech Łukasiewicz przyznał wprawdzie, iż „obserwujemy paniczny lęk jakiś czy obawę przed życiem organizacyjnym”, zastrzegł się, że i jemu obce są frazesy, równocześnie jednak określił jednoznacznie swą pozycję, w istocie chadecką, różną od tej, którą reprezentowałem należąc do „Straży Przedniej”. Głosząc fundamentalistyczną ideę państwa jednego wyznania, napisał; „Musimy pamiętać, że tylko i jedynie Polska zbudowana na niewzruszonych fundamentach katolicyzmu stać się może wielką i potężną, że niewiara i upadek zasad chrześcijańskich jest początkiem końca naszego bytu państwowego”.

Przy najbliższej okazji, podczas dyskusji w gminie szkolnej przypomniałem, że I Rzeczpospolita załamała się w czasach saskich, kiedy to jak nigdy w Polsce kwitł fanatyzm religijny, demonstrowano dewocję, nietolerancję i uwikłaliśmy się w nieszczęsną sprawę dysydentów, która stała się pretekstem do obcej interwencji. Uważałem, że odrodzona II Rzeczpospolita, do tego w XX wieku, licząc 35 procent mniejszości odmiennej wiary, nie może w niczym przypominać czasów saskich.

Te pierwsze w życiu doświadczenia redakcyjno-publicystyczne nauczyły mnie wielu rzeczy,

zaczynając od prostego rzemiosła wydawniczego. Poznałem drukarzy i drukarnię, zobaczyłem, jak powstaje numer czasopisma (wtedy składany ręcznie), zorientowałem się w kosztach, w możliwościach szaty graficznej. Jeszcze ważniejsze były doświadczenia redakcyjne — koncepcje, planowanie numeru, dobór tematów, artykułów zasadniczych, materiałów literackich. w „Kuźni Młodych”, „Żagwi” i „Szarej Braci” zamieszczali swe utwory ludzie młodzi i wtedy mi bliscy, koledzy, często członkowie „Straży Przedniej”. Niektórzy z nich dali się później poznać jako ludzie pióra, nieraz już jednak w innym obozie i pod innymi, obcymi dla mnie sztandarami.

Spostrzegłem wtedy, jak wielki dla tych młodych pisarzy jest urok druku i jak wiele gotowi są poświęcić, aby zobaczyć swój tekst opublikowany. W następnych latach będzie to często przyczyną sporów w ówczesnym środowisku młodzieżowym i nieraz usłyszę otwarte przyznanie się: „Co chcesz, zaproponowano mi druk!” Chodziło oczywiście o współpracę z gazetami i czasopismami reprezentującymi nie tylko odmienny, lecz wręcz wrogi stosunek do tych postaw i poglądów, które wtedy wyznawałem ja i moi przyjaciele wywodzący się z tradycji obozu legionowego, niepodległościowego, idei Adama Skwarczyńskiego.

Pogrzeb Władysława Kozaka

W 1936 roku wybuchły we Lwowie poważne zajścia, które odbiły się groźnym echem w całym kraju. Traf sprawił, że stałem się naocznym świadkiem ich tragicznego początku. Byłem wtedy coraz bardziej zainteresowany problemami społecznymi i politycznymi, czytałem różnorodną prasę, dyskutowałem, ale nade wszystko chciałem widzieć życie bezpośrednio. Chodziłem więc po różnych zakątkach miasta, uczestniczyłem w spotkaniach, wiecach, przyglądałem się manifestacjom.

Tym razem była to kolejna manifestacja bezrobotnych. W pochodzie było ich niewielu, wyglądali nad wyraz biednie, jak ci bezdomni z cegielni, sami mężczyźni. Szli przez miasto z nędznym transparentem i krzyczeli: „Pracy i chleba”. Nadeszli od placu Mariackiego przez ulicę Akademicką, na placu Akademickim zagroziła im drogę policja, na czele oddziału jechali konno komisarz i jego pomocnik. Stałem od nich w odległości nie większej niż 50 metrów, w pobliżu pomnika Aleksandra Fredry, tego samego który obecnie znajduje się na Rynku wrocławskim.

Komisarz zaczął właśnie rozmawiać głośno z manifestantami, którzy stanęli widząc policję, gdy znajdujący się za nim pomocnik wy dobył rewolwer i oddał serię strzałów w kierunku bezrobotnych. Jednego zabił na miejscu, drugiego, rannego, zanieśli przy mnie do bramy pobliskiego domu. Manifestanci rozproszyli się, ale w mieście tego dnia zapanowało podniecenie. Organizacje lewicowe, związki zawodowe i robotnicze postanowiły urządzać manifestacyjny pogrzeb zmarłego, którego nazwisko brzmiało — Kozak. Było jasne, że nie naruszył on żadnego prawa, wina leżała całkowicie po stronie strzelającego policjanta.

Dwa dni później, 16 kwietnia 1936 roku, w czasie pogrzebu, który zgromadził tysiące ludzi, doszło do dramatycznych wydarzeń. Organizatorzy, naruszając umowę z władzami, zmienili w ostatniej chwili trasę konduktu, kierując pochód zamiast, jak było ustalone, najkrótszą drogą na cmentarz Łyczakowski — do centrum miasta, a następnie na odległy cmentarz Janowski. Władze, podejrzewając taki obrót sprawy, przygotowały zaporę zarówno z oddziałów policji, jak i broni maszynowej ustawionej w kilku miejscach, w tym także na dachu narożnego budynku przy ulicy Piekarskiej. Doszło do gwałtownego starcia, tłum przedarł się przez kordon policji, użyto broni, padło wielu zabitych i rannych, w całym mieście wybuchły rozruchy. Podpalono składy drewna i węgla, margines kryminalny rzucił się rabować sklepy. Do zajęć włączyły się bojówki komunistycznych organizacji, usiłując zdobyć więzienie Brygidki i uwolnić trzymany tam więźniów.

Inicjatorem zmiany trasy i motorem dalszych wydarzeń była nielegalna wówczas Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy, zdecydowanie wroga Polsce. Z wielkim trudem policja opanowała sytuację, w nocy specjalny pociąg przywiózł z Poznania silnie uzbrojone oddziały stróżów porządku. Natychmiast dokonano licznych aresztowań nie tylko wśród komunistów, ale także ludzi szerokiej lewicy, członków PPS, działaczy związków zawodowych. Poruszenie na mieście było ogromne, pojawiła się fala deklaracji, odezw, wezwań, plakatów — wzywano do spokoju i opamiętania; z klinik uniwersyteckich dowiedziałem się o prawdziwej liczbie ofiar, było ich wielokrotnie więcej, niż to przyznawały władze. Z danych lekarzy wynikało, że zabitych zostało 49 osób, ciężko rannych ponad 300. Przeżyłem pogładową lekcję polityki społecznej w Polsce i jej niebezpieczeństw: zapamiętałem ją na całe życie.

W miesiąc po tych wydarzeniach, 16 i 17 maja 1936 roku, i wyraźnie pod ich wpływem obraduje we Lwowie Kongres Pracowników Kultury, impreza polityczna będąca praktyczną realizacją zaleceń VII Kongresu Kominternu z 1935 roku na temat organizacji komunistycznych frontów ludowych. Kongres ma charakter antyfaszystowski, głosi hasła walki o pokój i obrony kultury zagrożonej przez agresywność faszystów. Do honorowego prezydium zostają wybrani Maksym Górk, Romain Rolland i Henryk Mann, udział w obradach biorą lewicowi pisarze polscy: Wanda Wasilewska, Władysław Broniewski, Leon Kruczkowski, Emil Zegadłowicz, a także działacze: Marian Naszkowski, Henryk Dembiński, Halina Górska, Bronisław Dąbrowski. Ton wypowiedzi jest ostry i polityczny, lewicowy i rewolucyjny, niektórzy zapowiadają rychłe spotkanie „w czerwonym Lwowie”. W Kongresie bierze też udział niewielka liczba lewicowych pisarzy ukraińskich związanych z radziecką Ukrainą. Po latach historycy Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy określą to wydarzenie jako wielki sukces ich polityki. Byłem wtedy pod silnym wrażeniem niedawnych wydarzeń i czytając bardzo gwałtowne wypowiedzi na Kongresie skłonny byłem traktować je jako przejaw szczególnej wrażliwości twórców, a zwłaszcza pisarzy, na każdą ludzką krzywdę. W parę lat później ci sami ludzie w tym samym Lwowie, dotkniętym masowymi, wstrząsającymi represjami radzieckiego okupanta, pokazali zupełnie inne oblicze moralne.

Kryzys organizacji młodzieżowych

Już w rok po śmierci Józefa Piłsudskiego zarysował się kryzys w ówczesnym obozie legionowym, który objął od razu także organizacje młodzieżowe, „Legion Młodych” i „Straż Przednią”. Moi starsi koledzy ze „Straży”, opuszczając gimnazjum i rozpoczynając studia wyższe, zapisywali się w większości do „Legionu”, miałem więc tam wielu przyjaciół, chodziłem nieraz na ich zebrania. Do „Legionu Młodych” nigdy jednak nie należałem, orientując się dobrze w rozdzierających go sporach i kłótniach.

Rozpad obozu rządzącego związany był z coraz to bardziej prawicową opcją Rydza-Śmigłego i jego współpracowników. Tworzony wtedy Obóz Zjednoczenia Narodowego, naśladujący wyraźnie wzory włoskiego faszystów i kontaktujący się z hałaśliwą „Falangą” narodowców, był tworem, z którym ani ja, ani moi ówczesni koledzy nie mogliśmy mieć nic wspólnego. Oburzyła nas wizyta Rydza-Śmigłego w prawicowej studenckiej korporacji „Arconia” — liczne wtedy we Lwowie i na innych uczelniach kraju korporacje wraz ze swymi obyczajami były mi głęboko obce. Widziałem w nich relikwiny innej epoki, do tego przeszczepiony z zagranicznych, niemieckich, burszowskich tradycji. Ten kierunek przemian traktowałem jako sprzeniewierzenie się najistotniejszym zasadom obozu Piłsudskiego.

Nie mogłem się też pogodzić z ewolucją moralną, zmianą postępowania ludzi, którzy wciąż jeszcze powoływali się na testament poprzednich pokoleń ruchów niepodległościowych, na Wskazania Adama Skwarczyńskiego i światopogląd „Straży Przedniej”. Było to dla mnie przeżycie szczególne i dramatyczne.

W 1936 roku dowiedziałem się, że niektórzy nasi warszawscy koledzy z „Kuźni Młodych”, „Straży Przedniej” i „Legionu Młodych”, dobrze znani w środowisku młodzieżowym, wykorzystując łatwy dostęp do ówczesnych kręgów władzy, zaczynają usilnie troszczyć się o własne interesy i kariery, szukają lukratywnych posad, dają się wręcz kupić. Takie postępowanie było nie do pogodzenia z nakazem bezinteresowności w służbie publicznej, z literą i duchem ślubowania, które wszyscy dobrowolnie składaliśmy. Wiadomości docierające ze stolicy bardzo oburzyły mnie i moich kolegów. Postanowiliśmy sprawę po męsku wyjaśnić i zwróciliśmy się do paru warszawskich kolegów, którzy pracowali już w wielkich redakcjach z „Gazetą Polską” na czele, aby przyjechali do Lwowa i przedyskutowali z nami ważne problemy. Rozmowa przebiegała bardzo spokojnie, można rzec elegancko. Zapytaliśmy naszych stołecznych gości, czy prawdą jest, że przyjęli takie a takie dodatkowe prace i bardzo dobrze płatne zobowiązania. Nasi rozmówcy, wszyscy po parę lat od nas starsi, po studiach, nie zaprzeczyli. Tak, pracują w różnych instytucjach państwowych, półpaństwowych i prywatnych firmach, jak na stosunki polskie bardzo dobrze zarabiają, wciąż też są aktywistami organizacji młodzieżowej, głoszącej zasadę bezinteresowności. Na pytanie, dlaczego tak robią — zaprezentowali nam kilka argumentów. Czasy walk niepodległościowych minęły, twierdzili, a ukształtowane wtedy wzory postępowania są w nowoczesnym państwie wręcz szkodliwe. Młodzi ludzie uprawiając politykę powinni jednocześnie robić kariery, tak jak to się dzieje w państwach zachodnich, gdzie dbałość o własne interesy majątkowe traktowana jest jako coś oczywistego.

Rozmowę tę zapamiętałem dobrze. Przypieczętowała ona moje rozstanie z organizacjami młodzieżowymi obozu legionowego, które, osłabione i zdemoralizowane, istniały aż do 1939 roku. W okresie wojny i okupacji, kiedy podejmowaliśmy wysiłki dla odzyskania utraconego państwa, każdy, kto decydował się na działanie, musiał przygotować się na wyrzeczenia, ogromna większość czynnych wtedy ludzi działała bezinteresownie. Sprawa zaangażowania politycznego z wyraźną chęcią zrobienia kariery, urzędzenia się, zdobycia korzyści materialnych, pojawi się we Lwowie w latach 1939—41 po drugiej stronie niepodległościowej barykady, wśród tych, którzy staną po stronie radzieckiego okupanta. Spotykając się w różnych okresach życia z tym samym problemem związków polityki rozumianej jako dziedzina bezinteresownej służby publicznej i polityki widzianej jako dziedzina atrakcyjnej i zyskowej kariery osobistej, wracałem zawsze pamięcią do tamtej młodzieżowej rozmowy.

Czy można, jak to twierdzili moi przedwojenni warszawscy koledzy z organizacji, uznać, iż bezinteresowna służba publiczna to wymysł czasów wyjątkowych, dowód polskiego zacofania, nieaktualne już dziedzictwo powstańczych i konspiracyjnych tradycji lub też obłudne hasła wychowawców, dobre dla młodzików, nie znających prawdziwego życia i jego głównej materii; korzyści materialnych?

Czy ludzie, którzy kiedyś w potrzebie publicznej dali dowód swej bezinteresowności, nie mają później prawa nie tylko do szacunku, lecz także do odpowiedniej materialnej rekompensaty, tego, co w czasach szlacheckiej Polski nazywano łacińskim terminem panis bene merentium — „chleb dobrze zasłużonych”? Jakie są moralnie słuszne granice takich oczekiwań i żądań? Widziałem przecież, jak mimo że od wymarszu Pierwszej Kadrowej minęło ponad dwadzieścia lat, mnożą się szeregi kombatantów Piłsudskiego, jak usilnie wielu z nich zabiega o możliwie obfite materialne korzyści ze swych dawnych, nieraz skromnych lub wręcz wątpliwych zasług. Zawsze uważałem, że składanie ideowych deklaracji o bezinteresowności i wykorzystywanie ich jako szyldu oraz odskoczni dla bardzo przyziemnych własnych interesów jest nie do przyjęcia.

W czasach kryzysu gospodarczego i później oskarżano inteligencję wywodzącą się z lewicy niepodległościowej, że uprawia „kult nędzy”, że obce jej są postawy i wartości konieczne do nowoczesnego życia ekonomicznego, że pielęgnuje ostatki szlacheckich, że

nieproduktywność i teatralne, romantyczne gesty, wypominano jej brak przedsiębiorczości, brak pazernej, egoistycznej agresywności w szukaniu finansowego sukcesu. Były to półprawdy, obraz jednostronny i przez to fałszywy.

Ekonomiczne sukcesy II Rzeczypospolitej nie były dziełem wielkich polskich kapitalistów, gdyż takich po prostu nie było. To właśnie inteligenci z obozu niepodległościowego, zwłaszcza po 1926 roku, skupieni wokół Eugeniusza Kwiatkowskiego, wykupywali Polskę z pętli zagranicznego kapitału, budowali Gdynię, Centralny Okręg Przemysłowy, nowoczesne na owe czasy zakłady przemysłowe, zmniejszyli przepaść między Polską „A” i Polską „B”. Ludzie ci wyrosli nie z romantyzmu, lecz z polskiego pozytywizmu drugiej połowy XIX wieku. Dźwięczne frazesy polityczne przykrywające egoizm i nietolerancję, cyniczne karierowiczostwo i korupcję, nie wywodziły się z życia ówczesnej inteligencji, zwłaszcza niepodległościowej, lecz były dziedzictwem tradycji, tej niedobrej, saskiej, czasu upadku Polski. Wtedy właśnie, w 1936 roku, Aleksander Świętochowski, osiemdziesięciosiedmioletni podówczas nestor pozytywizmu polskiego, wydał swą głośną książkę *Genealogia teraźniejszości*; przeczytałem ją natychmiast. Wywołała ona burzę polemik. Poświęcona Polsce XVIII wieku, była w rzeczywistości gwałtowną krytyką tego, co znowu działo się w kraju po odzyskaniu niepodległości, Świętochowski twierdził, że znowu „przeżywamy życie umarłych”.

Gdy znowu przeszliśmy do niepodległości, w swobodzie rozwinęły się bujnie głęboko zakorzenione, nietępienie, a tylko czasowo powstrzymane w rozwoju, pierwiastki rozstrojone, społecznie chorobotwórcze. A więc brak zmysłu politycznego, niezdolność organizacyjna, nieumiejętność ustawodawcza, ratująca się doraźnymi rozporządzeniami, rozstrzelenie dążeń, a nawet czynów w polityce zewnętrznej na dążenia i zabiegi jednostkowe, niezharmonizowane z innymi, wiązanie lub utożsamianie interesów i celów osobistych z publicznymi, uprzywilejowanie państwa, zdobywanie władzy dla dogodzenia osobistym ambicjom i potrzebom, nadawanie instytucjom i organom państwowym znaczenia czynników służby i narzędzi walki z przeciwnikami panującego stronnictwa, utrzymywanie bojówek zbrojnych na podobieństwo garnizonów można władczych, obsadzanie wszelkich stanowisk nie osobnikami najzdolniejszymi, lecz najposłusznymi, uniemożliwienie lub utrudnianie społeczeństwu objawiania swej woli, gwałty i bezprawia, tolerowanie i nagradzanie występku, bałwochwalstwo służalcze zamieniane na religię. *

Aleksander Świętochowski zmarł w 1938 roku, a do jego krytycznych myśli będę nieraz jeszcze w życiu powracał.

* Aleksander Świętochowski, *Genealogia teraźniejszości*. Warszawa 1936, s. 202—203.

Zdaję maturę

Rok szkolny 1936/37 był dla mnie szczególnie trudny. Gimnazjum ciążyło mi coraz bardziej, wydawało mi się, że tu już niczego nowego się nie nauczę. Ciężki szkolny mundurek i związany z nim rygor, nie czułem się już uczniem. Przebywałem wiele w towarzystwie kolegów o kilka lat starszych, studentów, w szkole nie widziałem już żadnych możliwości: nie udało mi się reforma „Szarej Braci”, wystąpiłem ze „Straży Przedniej”, niewielki był krąg szkolnych przyjaciół. Myślałem o wyborze kierunku studiów, miałem różnorodne zainteresowania i rozważałem rozmaite możliwości.

Przede wszystkim postanowiłem, że po maturze idę od razu na studia, odkładając służbę wojskową na później. Wielu moich rówieśników wybierało inną drogę, po egzaminie dojrzałości szli do szkół podchorążych rezerwy (za najlepsze uchodziły szkoła artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim i kawalerii w Grudziądzu). Służba taka trwała rok, uważano, że

formuje ostatecznie mężczyznę, wyrabia mu charakter i tężyznę fizyczną. Po odbyciu podchorążówki łatwiej było też dostać się na uczelnię. Koledzy ze szkół wojskowych pojawiali się we Lwowie na święta, pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie dobry znajomy Edward Csató, późniejszy krytyk teatralny, gdy spotkałem go w Nowy Rok, krótko ostrzyżonego, w mundurze, z ogromną szablą przy boku; ledwie go poznałem.

Teraz musiałem zdać maturę, i to możliwie dobrze, a wymagania były duże, napięcia i obawy realne. Co roku oblewano przy egzaminie dojrzałości wielu zdających, dla niektórych matura była wręcz koszmarem, pisano o niej dramatyczne powieści. Pamiętam jeden taki utwór, drukowany w odcinkach w lwowskim dzienniku „Chwila” pod tytułem Kurt Gelber zdał maturę.

Egzamin dojrzałości był wtedy wielkiej wagi patentem, przepustką do wyróżnionej grupy społecznej „ludzi z maturą”, którzy cieszyli się różnymi przywilejami, pozycją towarzyską, szansą na dobrą posadę i awans.

Był to jednak egzamin bardzo sformalizowany; należało wnieść do rady pedagogicznej podanie z wieloma załącznikami, określić wybrane przedmioty. Do egzaminu pisemnego wybrałem język polski, język niemiecki i matematykę, do egzaminu ustnego dodatkowo historię.

Znałem wtedy dość solidnie klasyczną literaturę niemiecką, przeczytałem w oryginale wybrane utwory Goethego, Schillera, Lessinga, Hebbia. Zupełnie nieoczekiwane trudności powstały natomiast z językiem polskim. W X gimnazjum, zgodnie z ówczesnymi zwyczajami, rygorystycznie traktowano znajomość ortografii — błąd, choćby jeden, dyskwalifikował każde wypracowanie. Tymczasem na kilka miesięcy przed maturą weszły w życie nowe zasady pisowni polskiej, tak zwana reforma Kazimierza Nitscha. Przyjęta po gwałtownych dyskusjach zarówno wśród filologów-polonistów, jak i szerokiego kręgu ludzi piszących, wprowadziła ona głębokie zmiany, zmieniła końcówki wyrazów wbrew ówczesnej fonetyce, kazała pisać rozłącznie to, co pisano dotychczas łącznie, wprowadziła dziesiątki wyjątków od swoich własnych reguł. Była to prawdziwa rewolucja ortograficzna, jaka zdarza się w historii języka raz na stulecie. Zwykły strach przed maturą zwiększył się znacznie, doszło do tego poczucie krzywdy. Jak to, mówiliśmy, przeszło jedenaście lat uczono nas i wymagano jednego, i teraz, gdy mamy już utrwalone nawyki, żąda się, abyśmy w bardzo krótkim czasie opanowali nowe reguły, do tego ze wszystkich stron publicznie kwestionowane? Nie było jednak rady, w pośpiechu uczyłem się nowej pisowni. Ostatecznie napisałem poprawnie wypracowanie na temat „Człowiek walczący w powieści Prusa i Żeromskiego”. Napisałem też dobrze, obszernie wypracowanie z literatury niemieckiej, z twórczości Fryderyka Schillera. Wiedziałem o nim dużo, gdyż był to ulubiony autor mego ojca, który poświęcił mu kilka swych prac naukowych. Rozwiązałem też bez trudu zadania matematyczne z trygonometrii i wraz z kolegami oczekiwałem spokojnie na egzamin ustny. Niestety dwa dni później wybuchła bomba. Tematy, które pisaliśmy, zostały przed maturą wykradzione z kuratorium i sprzedawane po kilkadziesiąt złotych. Policja schwytła sprawców — sekretarkę i grupę handlarzy, ale kuratorium natychmiast unieważniło pisemne matury w całym okręgu lwowskim i nakazało ich powtórzenie.

Ja i moi koledzy przeżyliśmy szok, nie mieliśmy kupionych tematów, nie czuliśmy się winni, ale zostaliśmy zbiorowo ukarani. Incydent przygasił wszystkich, takich zarządzeń władz nie pamiętali najstarsi nauczyciele. Znowu więc pisałem wypracowanie z polskiego, niemieckiego i matematyki, ale już w zupełnie innym nastroju. Ani ja, ani moi nauczyciele nie byli zadowoleni, wiedzieliśmy, że pierwsze prace były lepsze, mimo że oceny miałem znowu dobre. Ustny egzamin z historii miałem zdawać przed Emilią Kurdybachową, żoną naczelnika lwowskiego okręgu „Straży Przedniej”, córką wybitnego uczonego wileńskiego,

profesora Stefana Ehrenkrewtza, dyrektora Instytutu Badań Europy Wschodniej w Wilnie, nauczycielką związaną z ideami obozu Piłsudskiego, którym pozostała wierna aż do śmierci w 1989 roku. Była wtedy młoda i bardzo wymagająca, uczniowie bali się jej, ja musiałem znać jej przedmiot szczególnie dobrze, aby nie powstało podejrzenie, że na moje oceny wpływ ma organizacyjna przynależność i poglądy. Opanowałem ogromny, jak na ucznia gimnazjalnego, materiał. W dzień egzaminu byłem jednak bardzo napięty i zmobilizowany, mój nastrój udzielił się całej rodzinie. Uczniowie zdawali przed komisją parami, według alfabetu. Tego ranka zdawał ze mną mój bliski kolega, Jan Wysoki, dobry, niezawodny uczeń ze znakomitą pamięcią do liczb. On otrzymał pytanie o dzieje pierwszych dwóch kalifatów, ja natomiast o „rolę i udział Polski w międzynarodowych zagadnieniach politycznych od XVI do XVIII wieku”. Mówiłem prawie czterdzieści minut. Kurdybachową postawiła mi dodatkowe pytanie. Po kilku zdaniach przewodniczący przerwał mi i podziękował: zdałem maturę.

Wyszedłem z budynku klasztornego ojców bernardynów z ogromną ulgą. Spędziłem w nim cztery trudne lata, zupełnie odmienne od ośmiu poprzednich u Kistryna. Zdobyłem nie tylko maturę, lecz także doświadczenia życia zbiorowego, konfliktów, podziałów i sporów, jakie cechowały w Polsce lata trzydzieste. One także nauczyły mnie wielu rzeczy. Dwa lata później katastrofa wrześniowa i okupacja radziecka zniszczą także X gimnazjum państwowe im. Henryka Sienkiewicza we Lwowie. Jego dyrektor zacznie, równie gorliwie jak zawsze, wypełniać instrukcje nowych, bolszewickich władz, nauczyciele i uczniowie rozproszą się, narodowe i wyznaniowe różnice urosną do roli dramatycznych granic, nagle rozdzielią nas fronty, mury i barykady; wojna i okupacja zbiorą swe krwawe ofiary.

Z kolegami, którzy przeżyli wojnę, i z trojgiem nauczycieli spotkam się w grupie dopiero dwadzieścia lat później, w 1957 roku, na jubileuszowym spotkaniu w Krakowie. Będą tam Emilia Kurdybachową, nasz były wychowawca Bronisław Żukowski i wykładowca fizyki Hieronim Sartowski. Lwów, ze swym klaszturem ojców bernardynów będzie już poza granicami Polski.

[...]

Część druga - Na uczelni

Na Uniwersytecie Jana Kazimierza

Jesienią 1937 roku zaczynam studia uniwersyteckie. Decyduję się studiować na dwóch uczelniach naraz, na Wydziale Prawa uniwersytetu i na Akademii Handlu Zagranicznego. Było to przedsięwzięcie ze wszech miar ryzykowne; studia były płatne, czesne — zwłaszcza na prywatnej uczelni, jaką była Akademia Handlu Zagranicznego — bardzo wysokie, płaciło się także oddzielnie za każdy egzamin, a było ich mnóstwo. Materiał do opanowania, przede wszystkim pamięciowy, języki obce, wysokie wymagania egzaminatorów powodowały, że ci słuchacze, a było ich niewielu, którzy decydowali się na podwójne studia, musieli zrezygnować z wielu uroków życia i od pierwszego dnia zajęć narzucić sobie twardą dyscyplinę. Nie było ustawowego zakazu podwójnych studiów, ale uczelnie broniły się przed tym żądając przy składaniu podań oryginałów dokumentów, zwłaszcza świadectwa maturalnego, odrzucając wszystkie kopie czy nawet uwierzytelnione notarialnie odpisy. Musiałem obejść te bariery, pod jakimś pretekstem wycofać na kilka dni dokumenty z sekretariatu Wydziału Prawa i złożyć je w sekretariacie akademii, potem znowu wycofać i odnieść do znacznie surowszej administracji uniwersyteckiej. Podobnie było z obowiązkowym zaświadczeniem o badaniach lekarskich — w końcu jednak zostałem przyjęty na obie uczelnie.

W tych latach na Wydział Prawa zgłaszał się co roku nadmiar kandydatów, obowiązywał więc tzw. numerus clausus — egzamin selekcyjny z łaciny oraz historii. Otrzymałem do tłumaczenia fragment średniowiecznego tekstu łacińskiego, z którym nie bardzo wiedziałem, co robić — wynik moich kilkugodzinnych wysiłków był mizerny. Wszystko więc zależało od egzaminu ustnego z historii, w której czułem się bardzo pewnie. W tych latach egzaminatorami kandydatów na studia byli profesorowie, nieraz bardzo wybitni; uchodziło to za tradycję, nie bez znaczenia jednak był także fakt, iż otrzymywali za to część opłat egzaminacyjnych. Ja stanąłem przed Leonem Halbanem, znawcą prawa kanonicznego. Egzamin był niezwykle surowy, trwał ponad godzinę, pytania zdecydowanie przekraczały ówczesny program gimnazjalny. Po kilku dniach na ogłoszonej przez dziekanat liście osób przyjętych na studia prawnicze znalazłem swoje nazwisko.

Lwów w latach II Rzeczypospolitej był drugim po stolicy ośrodkiem uniwersyteckim w kraju; studiowało tam ponad 10 tysięcy osób. Uniwersytet Jana Kazimierza miał pięć wydziałów: prawa, teologii, lekarski, humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy — ogółem około 6 tysięcy studentów. Potencjał naukowy uniwersytetu był bardzo poważny, w wielu dyscyplinach na europejskim, a nawet światowym poziomie.

Nieco na uboczu życia uniwersyteckiego stał Wydział Teologii. Jego studentów obowiązywał strój duchowny, na wykłady przychodzili długą kolumną, chodzili zawsze parami, mieszkali osobno i praktycznie nie uczestniczyli w życiu organizacji studenckich. Profesorowie teologii mieli natomiast znaczny wpływ na sprawy uczelni. Ks. Aleksy Klawek, specjalista z dziedziny badań Biblii i języka hebrajskiego, był jednym z inspiratorów i duchowych przywódców prawicowych organizacji studenckich.

Na Wydziale Humanistycznym wykładali m.in. Kazimierz Ajdukiewicz, Roman Ingarden, Franciszek Bujak, Stanisław Lempicki, Ludwik Kolankowski, Mieczysław Gębarowicz, Jerzy Kuryłowicz, Ryszard Gansiniec, Juliusz Kleiner, Eugeniusz Kucharski, Witold Taszycki, Zygmunt Czerny, Jan Czekanowski, Bogdan Suchodolski.

Na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym: Leon Chwistek, Stefan Banach, Hugo Steinhaus, Stanisław Mazur, Stanisław Kulczyński, Włodzimierz Trzebiatowski, August

Zierhoffer. Wtedy właśnie ukształtowały się na UJK oryginalne szkoły naukowe w antropologii, matematyce, filologii i filozofii.

Wydział Lekarski chlubił się takimi sławami jak biolog Rudolf Weigl — wynalazca szczepionki przeciwko tyfusowi plamistemu, Jakub Parnas — jeden z twórców współczesnej biochemii, Franciszek Groer — pediatra, Adam Gruca — ortopeda, chirurdzy Antoni Cieszyński i Tadeusz Ostrowski.

Silny naukowo był także mój Wydział Prawa. Wystarczy przypomnieć, że wykładali na nim tej miary uczeni co Juliusz Makarewicz, najwybitniejszy przedstawiciel szkoły socjologicznej prawa karnego w Polsce, jeden z głównych twórców znakomitego kodeksu karnego z 1932 roku, Ludwik Ehrlich — znawca prawa międzynarodowego, wychowawca całego pokolenia specjalistów w tym zakresie, Stanisław Grabski — wybitny ekonomista i polityk, historycy prawa Kamil Stefko, Wacław Ossuchowski, Przemysław Dąbkowski, Karol Koranyi, znawcy prawa cywilnego — Roman Longchamps de Berier, Kazimierz Przybyłowski, Maurycy Allerhand.

Katastrofa wojenna zniszczyła bezpowrotnie ten wyjątkowy w dziejach nauki polskiej zespół. Część profesorów UJK znalazła śmierć na Wzgórzach Kadeckich, rozstrzelana przez Niemców zaraz po zajęciu przez nich w 1941 roku Lwowa.

Akademia Handlu Zagranicznego była wtedy młodą uczelnią o zupełnie innym niż uniwersytet charakterze. Właśnie od 1 października 1937 roku, po jedenastu latach starań, otrzymała pełne prawa szkół akademickich. Do tego czasu działała jako Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego, w skrócie nazywana „eksportówką”. Powstała w 1922 roku z inicjatywy Izby Handlowo-Przemysłowej we Lwowie, z zadaniem kształcenia wysoko kwalifikowanej kadry dla polskiej gospodarki, przede wszystkim specjalistów w dziedzinie obrotów z zagranicą. Jej wykładowcami byli w części profesorowie lwowskiego uniwersytetu i politechniki, w części doskonali praktycy, renomowani eksperci w różnych dziedzinach. Rektorem był wtedy profesor Henryk Korowicz, zajmujący się skarbowością, polityką bankową oraz ubezpieczeniami społecznymi.

Trzyletni program studiów obejmował: szeroki kurs ogólnej wiedzy o ekonomii, nauki handlowe, prawnicze, geografię gospodarczą i towaroznawstwo. Wielką wagę przykładano do nauki języków obcych. W akademii w tych latach studiowało około 700 osób, jedną trzecią stanowiły kobiety. Zajęcia były obowiązkowe i bardzo intensywne, w małych grupach, podczas gdy na Wydziale Prawa wykłady nie były obowiązkowe, grupy liczne, a ilość ćwiczeń, które koniecznie trzeba było zaliczyć, mała. Oczywiście tylko dzięki temu mogłem studiować od razu na dwóch uczelniach.

Chodziłem pilnie na AHZ, na Wydziale Prawa uczyłem się dopiero do rocznych egzaminów. Tak zresztą robili wszyscy. Zaczynać trzeba było nie później, niż gdy na wiosnę kwitły kasztany, taka była sprawdzona recepta. Prawo studiowało wielu ludzi dojrzałych, pracujących zawodowo, i o wszystkim decydował jeden roczny egzamin, składany przed komisją państwową. Wszystkie obowiązujące przedmioty zdawało się w jeden dzień. Ponieważ zwykle z jednego przedmiotu egzaminowało kilku profesorów, student dopiero w ostatniej chwili orientował się, kto go będzie pytał. Utrudniało to dodatkowo egzamin, gdyż profesorowie mieli różne nawyki i wymagania; inaczej, na przykład, pytał z prawa rzymskiego — ogromnego przedmiotu na pierwszym roku studiów — Wacław Ossuchowski, inaczej Lech Piniński czy Marek Chlamtacz. Przy tych egzaminach na Wydziale Prawa, zwłaszcza na pierwszym roku, przepadało zawsze wielu studentów, niekiedy aż 30 procent zdających. Oznaczało to stratę roku, ale takie egzaminy traktowano też jako konieczne sito selekcyjne. Materiał był ogromny, przede wszystkim pamięciowy. Uczyliśmy się z

wypożyczonych skryptów, które dostawaliśmy w specjalnych firmach, gdyż na zakup mało kogo było stać. Firma, z której usług wtedy korzystałem, nazywała się „Delta” i gwarantowała, że komplet przez nią dostarczony zaspokaja wymagania profesorów. W razie wprowadzenia przez wykładowcę nowości do wykładu, firma w ramach zapłaconej sumy dostarczała przed egzaminami dodatkowy skrypt. Wypożyczaliśmy je wraz z moim kolegą i przyjacielem Jerzym Karpińskim, nasi rodzice musieli podpisać gwarancję, że zwrócimy wypożyczony komplet. Na pierwszym roku zainteresowała mnie szczególnie ogólna teoria prawa, wykładana przez Kamila Stefkę; przedmiot dotyczył zarówno spraw filozofii, jak i społeczeństwa, przeczytałem dodatkowo na ten temat sporo, w tym także prace w języku francuskim i niemieckim — nauka niemiecka mimo dojścia Hitlera do władzy wywierała wciąż silny, światowy wpływ. Miałem sporo zadowolenia, otrzymując na pierwszym rocznym egzaminie notę celującą z tego przedmiotu.

Zakres wiedzy, którą musiałem opanować studiując na AHZ, był także nie tylko szeroki, ale nader zróżnicowany. Musiałem przejść kurs matematyki finansowej, towaroznawstwa, do którego opanowania niezbędne były wiadomości z zakresu chemii przemysłowej, a ta nie była nigdy moją silną stroną, geografii gospodarczej, gdzie trzeba było znać nie tylko duże ośrodki wytwarzania różnych produktów, lecz także drugo- i trzeciorzędne, nieraz położone na odległych wyspach w krajach, o których zazwyczaj bardzo mało się wie. Całe miesiące uczyliśmy się zasad i technik obrotu kredytowego, operacji giełdowych, prawa wekslowego i czekowego.

Nauka dwóch języków obcych, które wybrałem, francuskiego i angielskiego, była intensywna i bardzo praktyczna, bez przerwy pisaliśmy trudne listy handlowe i ćwiczyliśmy konwersację. Były to lata, kiedy reformy Eugeniusza Kwiatkowskiego dawały już rezultaty, rosło zapotrzebowanie na fachowców, różne wielkie firmy oferowały studentom AHZ bardzo przyzwoicie płatne praktyki, absolwenci nie mieli kłopotów ze znalezieniem pracy. Poziom szkoły pozwalał jej swobodnie konkurować ze znanymi uczelniami podobnego typu w krajach Zachodniej Europy.

Ponieważ w tych latach młodzi ludzie często studiowali za granicą, studia we Francji były nawet tańsze niż w Polsce ze względu na wartość polskiej złotówki, mieliśmy na co dzień informacje o tamtejszych programach, wykładowcach i wymaganiach. Poziom wszystkich szkół wyższych we Lwowie był tak wysoki, że ani studenci, ani profesorowie nie mieli kompleksów. Mówiąc przerośnie, światło wiedzy nie błyszczało gdzieś za górami, morzami czy granicami; pełnowartościową naukę, mierzoną ówczesnymi światowymi standardami, tworzone na miejscu, w murach naszych lwowskich uczelni.

Studenta uważano za człowieka dorosłego i odpowiedzialnego za siebie, ukończenie studiów było dla każdego sprawą wielkiego, żmudnego wysiłku, odsiew, zwłaszcza na pierwszych latach wszystkich kierunków, był bardzo duży i nikt się temu nie dziwił. Wielu studentów poprzestawało tylko na ukończeniu części kursu, i już to miało doniosłą praktyczną i społeczną wartość. Poszukiwano wtedy w wielu zawodach ludzi, którzy, jak mówiono: „liznęli uniwersytetu”. Podobnie jak w poprzednich pokoleniach, liczni działacze społeczni i polityczni rekrutowali się ze studentów, którzy rzucili studia; dotyczyło to Polaków i mniejszości narodowych. Przedstawiciele tych ostatnich było we Lwowie sporo. Ukraińskie organizacje polityczne zabiegały na próżno aż do 1939 roku o utworzenie we Lwowie oddzielnego ukraińskiego uniwersytetu.

Studentów ukraińskich było sporo na UJK i na politechnice, z nich właśnie rekrutował się aktyw wielu znanych nacjonalistycznych, wrogich Polsce organizacji. Studentem lwowskim był Stepan Bandera, organizator morderstwa ministra Pierackiego, jeden z przywódców UPA.

Bardzo liczni na uczelniach lwowskich byli studenci-Żydzi. Ten narodowościowo mieszany skład w środowisku studenckim tamtych lat był powodem wielu napięć i konfliktów, dlatego warto przytoczyć dane, jakie zachowałem w moim archiwum. Są one oparte na sprawozdaniu uczelnianym publikowanym corocznie. I tak w roku, w którym zacząłem studiować na AHZ, było nas ogółem 686 studentów, z tego Polaków 459, Żydów 115, Ukraińców 76, Rusinów 11, Niemców 18, innych narodowości 7 osób. Osobne dane dla „Rusinów” i „Ukraińców” to rezultat ówczesnej podwójnej oficjalnej terminologii, która rozróżniała te dwie praktycznie tożsame narodowości. W tym samym roku akademickim 1937/38 na UJK, gdzie* w przeciwieństwie do „eksportówki” sprawozdania nie podawały danych narodowościowych, a jedynie statystykę wyznaniową, było na ogólną liczbę 5026 studentów — 3625 rzymskokatolików, 728 grekokatolików, 523 wyznania mojżeszowego, inne grupy były bardzo nieliczne. Praktycznie podział taki odzwierciedlał liczebność studentów Polaków, Ukraińców i Żydów. Na Wydziale Prawa studiowały wtedy ogółem 2443 osoby, z tego było 1867 rzymskokatolików, 355 grekokatolików, 176 studentów wyznania mojżeszowego. Był to najliczniejszy wydział na UJK.

Takie zróżnicowanie narodowościowe, nie znane na innych polskich uczelniach poza Lwowem, łączyło się ze znacznym zróżnicowaniem organizacyjnym młodzieży. W tych latach na UJK działało kilkadziesiąt różnych związków i stowarzyszeń młodzieżowych, nie licząc organizacji konspiracyjnych. W drugiej połowie lat trzydziestych studenckie konflikty na uczelniach bardzo się zaostrzyły.

Oczywiście nie sam skład narodowościowy studentów był tego przyczyną, animozje na tym tle były i są na uczelniach całego świata. Konflikty na uczelniach były odbiciem konfliktów w kraju, a często wręcz ważną areną tych ostatnich. Prawicowe partie polityczne, znajdujące się wtedy w opozycji do rządów sanacji i będące mniejszością w Sejmie, wykorzystywały do swych celów uczelnie, gdzie miały znaczne wpływy zarówno wśród profesury, jak i studentów. Prawicowa prasa wykorzystywała zajęcia uniwersyteckie do głośnych kampanii propagandowych, przedstawiała je jako dowód braku zaufania społecznego do ówczesnego obozu rządzącego. Na konflikty uniwersyteckie w latach 1937—39 coraz silniej wpływała także zaostrzająca się sytuacja międzynarodowa, narastanie groźby wojny w Europie, wzrost sił hitlerowskich Niemiec, szerzenie się ruchów faszystowskich w sąsiadujących z nami państwach, a także ponure wydarzenia w ZSRR, masowe procesy i egzekucje, zwiększona aktywność Kominternu.

Legia Akademicka

Na tej właśnie fali wydarzeń powołano nową formację militarną. Legię Akademicką. Miała ona za zadanie szkolenie wojskowe studentów. Przyjęty program był w rzeczywistości prostym przedłużeniem programu przysposobienia wojskowego, które przeszedłem jeszcze będąc w gimnazjum. Różnica była tylko taka, że część zajęć odbywaliśmy w koszarach, w wybranych jednostkach wojskowych, do których nas przydzielono. Były to ćwiczenia całodzienne, otrzymywaliśmy wikt rekrutów i podlegaliśmy dyscyplinie wojskowej włącznie z karami stosowanymi wobec żołnierzy. Braliśmy też udział w defiladach, wyczekując godzinami na podwórzu koszar, aż nadejdzie nasza kolej. Jeszcze na wiosnę 1939 roku defilowałem tak przed ówczesnym ministrem spraw wojskowych, generałem Kasprzyckim, wizytującym lwowskie jednostki. W Legii odsłużyłem dwa lata, rok w 6 baonie pancernym i rok w 40 pułku piechoty, który mieścił się na Cytadeli. Baon pancerny dysponował małymi tankietkami polskiej produkcji, słabo uzbrojonymi w jeden karabin maszynowy, za to bardzo lekkimi. Jak nas zapewniali oficerowie, mogły one przejechać po miękkim gruncie, na którym piechur się zapadał. Ponieważ oprócz ćwiczeń w terenie mieliśmy również wykłady, było wiele okazji do rozmów z oficerami niższego szczebla, do kapitana włącznie.

Europa, a zwłaszcza państwa Osi, Niemcy i Włochy, zbroiły się wtedy gwałtownie. Prasa zagraniczna donosiła codziennie o nowych rodzajach uzbrojenia, zamieszczała zdjęcia, opisy i dane techniczne. W kronikach filmowych oglądałem fragmenty walk w Hiszpanii, Abisynii i na Dalekim Wschodzie. Walczyły tam różne uzbrojone armie; ta strona, która miała przestarzałe uzbrojenie, płaciła ogromną daninę krwi i zazwyczaj przegrywała. Szczery optymizm naszych oficerów niepokoił mnie coraz bardziej, z ich wypowiedzi wynikało jasno, że tkwią w poglądach z czasów wojny z bolszewikami w 1920 roku.

Gwałtowna reakcja obozu rządowego na artykuł Cata Mackiewicza, który zaproponował wtedy rezygnację z części kosztownej kawalerii i wyekwipowanie paru dywizji pancernych, wzmocniła jeszcze moje obawy. Do tego dołączyły się sprawy polityki prowadzonej przez wojsko, polityki związanej z koncepcjami Rydza-Śmigłego. Sterował on coraz bardziej na prawo, sięgał po środki wyjęte wręcz z historycznego lamusa. W Małopolsce Wschodniej, aby przeciwdziałać wpływowi ukraińskiemu, które na terenach wiejskich, etnicznie mieszanych, powodowały często „utratę dusz ludzkich”, jak to wtedy określano, usiłowano wskrzesić w wojsku tradycje szlacheckie. W ramach tzw. ruchu szlachty zagrodowej, któremu patronowali wojskowi, zaczęto w koszarach wieszać znaki herbowe rekrutów, próbując znowu nobilitować synów dawno schłopiałych rodzin, przeciwstawiać ich innym, nie szlacheckiego pochodzenia. Politycznie zabieg ten miał przeciwdziałać wynaradawianiu się szlachty zagrodowej, która — bardzo kiedyś na tych ziemiach liczna — zubożała i spokrewniona ze swymi ukraińskimi sąsiadami, często razem z nimi broniła interesów wsi przeciwko rządowi.

Próba sztucznej reanimacji szlachetczyzny w armii budziła we wszystkich demokratycznych środowiskach ostre sprzeciw, należałem' także do jej zdecydowanych przeciwników. Nie tylko zaostrzała ona stosunki z Ukraińcami, lecz także wywoływała gwałtowne i negatywne reakcje wsi polskiej, ruchu ludowego, który wywodził się właśnie z tych terenów. Sprzeciwiała się tej akcji młodzież ludowa „Wici”, z którą współpracowałem i dla której miałem szacunek. Byłem przekonany, że rozwiązanie problemów wsi polskiej, a zwłaszcza niezwykle przeludnionej i biednej wsi małopolskiej, nie mogło polegać na heraldycznych zabawach i wskrzeszaniu społeczeństwa stanowego. Było to sprzeczne z elementarnymi wymogami demokracji i z zasadą, ogłoszoną w zapisie Konstytucji z 1921 roku — brzmiała ona wyraźnie: „Rzeczpospolita Polska szlachectwa nie uznaje”.

Legia Akademicka była formą służby wojskowej całej młodzieży studenckiej, tymczasem pojawiały się próby wykorzystania jej w rozgrywkach politycznych. Gdy w 1938 roku po zakończeniu defilady cała grupa studentów w mundurach poszła w zwartym szyku na wiec młodzieży endeckiej, zdecydowałem się na interwencję w dowództwie okręgu korpusu we Lwowie, któremu podlegaliśmy. Następnego dnia z dwoma kolegami z demokratycznej organizacji studentów zgłosiłem się w dowództwie. Byliśmy oczywiście po cywilnemu i przedstawiliśmy się jako wysłannicy znacznego odłamu młodzieży studenckiej. Przyjął nas oficer w stopniu majora. Wysłuchał spokojnie zarzutów, a chodziło głównie o bierne zachowanie się młodszych oficerów, którzy po zakończeniu defilady dopuścili do uformowania się kolumny i marszu części oddziału na wiec polityczny. Major starał się sprawę zbagatelizować, zaczął więc wypytywać, co robi nasza organizacja studencka, i nieoczekiwanie dla mnie z miejsca zaproponował nam współpracę z wojskiem. „Chodzi nam o coś masowego — mówił — na przykład, abyście jednego dnia wyjechali do stu wsi w naszym okręgu i w każdej wygłosili patriotyczną pogadankę — damy wam środki.” Podziękowałem mu za przyjęcie i opuściłem z kolegami budynek dowództwa korpusu. Propozycja majora wzięcia udziału w propagandowej imprezie zawierała w sobie to wszystko, z czym nauczyłem się walczyć jeszcze w „Straży Przedniej”. Było to przekonanie o zbawczej sile frazesów, przemówień, kazań, chęć wykazania się przed zwierzchnikami rozmachem działania i zupełne lekceważenie tych, dla których dobra rzekomo podejmowano takie akcje. Znałem dobrze sytuację na wsi małopolskiej, zarówno polskiej. Jak i ukraińskiej,

współdziałałem na co dzień z młodzieżą ludową, znałem odczucia chłopów i ich reakcje na podobne przemówienia, wygłaszane przez przysłanych z miasta na dwie godziny, zupełnie obcych im ludzi. Nigdy już potem nie byłem w dowództwie korpusu.

Na wiosnę w 1939 roku, gdy zagrożenie ze strony Niemiec stawało się coraz wyraźniejsze, zaczęto szukać w Legii Akademickiej studentów z dobrą znajomością języka niemieckiego. Mieli oni w razie potrzeby służyć jako tłumacze. Wezwano i mnie, przeszedłem dobrze odpowiedni test, ale język niemiecki przydał mi się dopiero kilka lat później, gdy Lwów znalazł się pod hitlerowską okupacją.

Tymczasem rozpad Czechosłowacji w 1938 roku odbił się na uczelniach Lwowa w sposób nieoczekiwany i dramatyczny. Na Rusi Zakarpackiej powstało krótkotrwałe państwo ukraińskich nacjonalistów z grekokatolickim księdzem Wołoszynem na czele. Wydarzenie to wywołało prawdziwą gorączkę wśród działaczy jawnych i tajnych organizacji ukraińskich w Małopolsce Wschodniej. Wielu widziało w tym powstanie ukraińskiego Piemontu, od którego zacznie się proces jednoczenia wszystkich ziem zamieszkałych przez Ukraińców w jedno wielkie państwo. Zaistniała realna groźba ostrego, a może nawet zbrojnego starcia w południowo-wschodniej Polsce, gdzie po obu stronach ciągle żywa była pamięć wojny 1918 roku. Znad granicznych wsi zamieszkałych w większości przez Ukraińców, zwłaszcza z województwa stanisławowskiego, całe grupy młodych mężczyzn uciekały na Zakarpacie, gdzie zaczęto tworzyć załóżki zbrojnych formacji. Władze polskie zareagowały organizacją, jak to określano, dywersji na Rusi Zakarpackiej, przerzucano tam ludzi z zadaniem dokonywania sabotażu. Ochotników do takiej wyprawy werbowano, oczywiście w ścisłym sekrecie, także wśród młodych podchorążych rezerwy studiujących wraz ze mną na uniwersytecie i Akademii Handlu Zagranicznego. Wiedzieliśmy o tym i nie wszyscy moi koledzy wrócili z Rusi Zakarpackiej żywi. W 1939 roku, gdy wojska węgierskie zajęły te tereny, likwidując państwo Wołoszyna, cieszyliśmy się z tego we Lwowie. Nie przypuszczaliśmy, że wkrótce polsko-węgierska granica, której nie przewidywał Traktat Wersalski, okaże się dla nas Polaków niezwykle ważna.

Na wykładach i w kawiarni

Lata przedwojenne 1937—39, na które przypadła pierwsza część moich studiów uniwersyteckich, były bardzo niespokojne, ale równocześnie żywe, pełne dyskusji, ścierania się poglądów. Mimo że coraz wyraźniej rysowała się perspektywa ogromnej, światowej katastrofy, wciąż jeszcze optymistycznie nastawieni politycy, a zwłaszcza humaniści uniwersyteccy, usiłowali przekonać siebie i innych, że rozsądek i prawo wezmą górę nad nadciągającą falą przemocy, gwałtu i terroru połączonego z fanatyzmem. Wciąż jeszcze na katedrze prawa międzynarodowego Ludwika Ehrlicha, gdzie uczestniczyłem w obowiązkowych seminariach, zapewniano nas, że istnieją potężne i uznane hamulce, święte umowy międzynarodowe, skuteczna Liga Narodów i Trybunał w Hadze, że pomimo przykrych incydentów siła prawa akceptowanego przez cały cywilizowany świat jest niezłomna. Właśnie z niektórymi pracownikami tej katedry byłem w bliskich stosunkach, które z czasem przeszły w więzi przyjaźni. Szczególnie bliski był mi Stanisław Hubert, po wojnie profesor uniwersytetu we Wrocławiu, oraz Józef Giebułtowicz, w kilka lat później więzień Majdanka, następnie w służbie dyplomatycznej, ambasador w Norwegii.

Chodziłem wtedy nie tylko na obowiązkowe wykłady, lecz także na różne odczyty i wykłady powszechne, które odbywały się w mieście. Wykłady powszechne, bezpłatne i dostępne dla każdego, organizował corocznie uniwersytet, wśród wykładowców pojawiali się ludzie bardzo znani, czasem wręcz niezwykli; zapamiętałem znakomite wykłady Leopolda Infelda o nowoczesnej fizyce, Leona Chwistka o filozofii, Jana Czekanowskiego o koloniach. Czekanowski, który znał z własnego doświadczenia Afrykę, ostro przeciwstawiał się

wszelkim pomysłem starań o kolonie, z czym wówczas w Polsce wiązano pewne nadzieje, wskazywał, że wymagają one bardzo przedsiębiorczych ludzi i kapitałów, a więc tego, czego nam chronicznie brakuje.

Pamiętam salę wypełnioną znanymi postaciami lwowskiej inteligencji z profesorem Kazimierzem Bartlem, wielokrotnym premierem, na czele, na wykładzie przejeźdnego gościa, wileńskiego filozofa i przywódcy organizacji młodych zwanej „Eleusis”, znakomitego znawcy Platona i profesora wielu światowych uniwersytetów — Wincentego Lutosławskiego. Wyszła wtedy właśnie, w 1939 roku, jego książka Posłannictwo polskiego narodu. Lutosławski mówił ze swadą, cytował głośne, głównie anglosaskie publikacje, rozwijał swe idee o zasadniczej różnicy pomiędzy „narodem” a „plemieniem”. Niemców, w przeciwieństwie do Polaków, uznawał za plemię, będące dopiero na drodze do stawania się narodem. Utkwiła mi w pamięci definicja człowieka kulturalnego, jaką dał w czasie tego wykładu. Przychodziła mi ona w późniejszych latach często na myśl, gdy słuchałem wypowiedzi ludzi zamkniętych szczelnie w świecie uniwersyteckim i przekonanych, że jest on jedynym możliwym wzorem, a zarazem miernikiem wszystkiego, co istnieje. Człowiek kulturalny, wywodził z naciskiem Lutosławski, to człowiek bardzo wykształcony. Musi koniecznie znać język łaciński i grecki, bo są to fundamenty całej naszej cywilizacji, musi znać angielski i francuski — bo to są języki światowe naszej epoki, języki wielkiej literatury i filozofii: każde tłumaczenie zniekształca istotę, trzeba znać oryginały. No i aby naprawdę być człowiekiem kulturalnym, zakończył wileński filozof, trzeba jeszcze znać sanskryt.

Przyjeżdżali wtedy do Lwowa znani literaci, mieli odczyty zwykle w kasynie literackim. Przyjechał, w roli i aureoli młodego katolickiego pisarza, autor Ładu serca, Jerzy Andrzejewski, słuchałem wywodów Zofii Nałkowskiej o stanie polskiej literatury i Karola Irzykowskiego na temat języka polskiego. To ostatnie spotkanie przyniosło mi głębokie rozczarowanie, Karol Irzykowski jąkał się, i to bardzo, w dużej sali było to wręcz przykre, niweczyło dowcipny sens wypowiedzi.

Obok sali wykładowej drugim nie mniej ważnym miejscem kontaktów i spotkań czy dyskusji była kawiarnia. Chodziłem stale do „Romy”. Była to kawiarnia, rzecz można, humanistyczna, po lityczne-literacka. Naprzeciw znajdowała się „Szkocka”, kawiarnia, do której chodzili między innymi miłośnicy gry w karty i matematycy. Ci ostatni pisali swe równania na marmurowych stolikach i papierowych serwetkach: po pewnym czasie założyli w kawiarni księgę problemów matematycznych, weszła ona do historii dyscypliny. w „Romie” nie tylko spotykałem się z moimi kolegami i znajomymi, lecz także czytałem stale prasę krajową i zagraniczną. Kawiarnia była pod tym względem doskonale zaopatrzona, miałem do wyboru wszystkie ważniejsze dzienniki krajowe, od „Słowa Wileńskiego” do krakowskiego „Czasu”, tygodniki, prasę codzienną i tygodniową niemiecką, francuską i angielską. w „Romie” poznałem wielu ówczesnych literatów lwowskich. Mój ojciec był członkiem Związku i przyjaźnił się z długoletnim jego prezesem, Ostapem Ortwinem, barwną postacią tamtych lat, prawnikiem, majorem Wojska Polskiego, zapalczywym dyskutantem i oryginalnym krytykiem literackim. Był on jednym z uczestników słynnej sprawy przeciwko Stanisławowi Brzozowskiemu o współpracę z carską ochroną: do końca życia gorąco bronił autora Legendy Młodej Polski, przekonany o jego niewinności. Jako prezes przesiadywał często w „Romie”, opowiadał anegdoty z życia związku. Miał wiele zastrzeżeń do młodych i ich twórczości, ale pomagał im, jak mógł. Ostatni raz spotkałem go na ulicy już w czasach niemieckiej okupacji, rozmawialiśmy chwilę. Niedługo potem dowiedziałem się, że został zamordowany przez hitlerowców.

Mimo bardzo wielu zajęć i obowiązków studenckich, korepetycji, które dawałem, aby zarobić na swe wydatki, wreszcie zaangażowania politycznego — me przestawałem interesować się teatrem, kinem i literaturą. Po odejściu Horzycy z teatrów lwowskich obniżyły one wyraźnie

swój poziom, ciekawe rzeczy działy się natomiast w kinie, zwłaszcza francuskim, bardzo wtedy w Europie cenionym i gorąco dyskutowanym. Pojawiły się nowe talenty: Marcel Carne, Sacha Guitry, Jacques Prevert, Jean Renoir, oraz głośne obrazy, jak choćby *Romans szulera* czy *Ludzie za mgłą*. Pokazywano je we Lwowie kilka tygodni po światowej premierze, były rzeczywiście znakomite, ale jak je określano, „czarne”. Wkrótce, bo zaledwie po kilku latach, po upadku Francji, Pétain oskarżył te filmy i ich autorów o podrywanie morale społeczeństwa i współwinę za klęskę 1940 roku.

Oglądałem te filmy z zaciekawieniem, widziałem w nich raczej odbicie tego, co się wówczas rzeczywiście działo, czym żyła niemała część społeczeństwa francuskiego, aniżeli celową propagandę defetyzmu, cynizmu i amoralności. Nastroje i poglądy przedstawione w czarnych filmach znajdowałem także na łamach prasy francuskiej, którą regularnie czytałem, w słynnych podówczas utworach literackich, także polskich. Świat widziany oczami Celine'a z *Podróży do kresu nocy* czy *Śmierci na kredyt*, świat Zegadłowicza przedstawiany w *Zmorach* czy *Motorach*, Uniłowskiego we *Wspólnym pokoju*, nie był światem urojonym. Istniał wtedy bardziej realnie aniżeli świat Prousta, którym tak zachwycała się nasza publiczność tygodników literackich.

W pamięci utkwiała mi dyskusja w gronie uniwersyteckich kolegów i przyjaciół na temat ostatniej części *Sagi* rodu Forsythe'ów, a w szczególności wątku powieści *Kwiat na pustym* Johna Galsworthy'ego, autora niezwykle wtedy popularnego wśród polskiej inteligencji. Autor przedstawia losy Anglika, słabo związanego z religią, w której go wychowano — protestantyzmem. W dramatycznym epizodzie w afrykańskich koloniach dla uratowania swego życia przyjmuje on islam. Środowisko, do którego wraca we własnej ojczyźnie, zdaje się rozumieć jego postępowanie, nie może go jednak zaakceptować, odsuwa się od niego. „Czy wolno przyjąć islam pod groźbą rewolweru?” — do dyskusji tej wracaliśmy tygodniami, większość z nas studiowała prawo i pasjonowała się sporami na temat odpowiedzialności człowieka za swe postępowanie, w tym także w sytuacjach krańcowych. Było wtedy w Polsce kilka głośnych procesów o tzw. „zabójstwo z litości”, debatowano kwestie eutanazji, dochodziły wieści o zbrodniczych praktykach w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przerażające sprawozdania z moskiewskich procesów, zwłaszcza w 1937 roku, o nieprawdopodobnych zgola publicznych samooskarżeniach, które padały z ust działaczy znanych z rewolucyjnej przeszłości i bezkompromisowości, informacje o niezwykłych gwałtach i okrucieństwach, jakich dopuszczały się obie strony w wojnie domowej w Hiszpanii, dostarczały dla takich dyskusji aż nadto dużo materiału.

Dla rozmów o odpowiedzialności ludzi za swe czyny, o charakterze i granicach tej odpowiedzialności, obraz naszkicowany przez Galsworthy'ego miał jednak szczególną wartość. Przedstawiona przezeń sytuacja była niezwykle prosta, modelowa — dotyczyła tylko dwóch ludzi: mahometanina, członka fanatycznej sekty, i przypadkowo spotkanego na pustyni Anglika, w istocie obojętnego wobec spraw wiary. Co więcej, mahometanin nie żywi nienawiści do swej ofiary, przeciwnie, błaga, aby niewierny przyjął islam, gdyż inaczej zgodnie z regułą swej sekty będzie zmuszony go zabić.

Słuchając w następnych latach licznych zwierzeń i tłumaczeń, usprawiedliwień zmiany poglądów w warunkach realnego i strasznego zagrożenia, wracałem myślą do *Kwiatu na pustyni*. Nie doszliśmy wtedy w dyskusjach do wspólnych wniosków, nie było zgody i później. Na takim tle zrozumiałe były różnicowane oceny twórczości Celine'a czy filmów „czarnej serii”, zrozumiałe także są tak liczne po II Wojnie Światowej obrazy antybohaterów w sztuce europejskiej. Właśnie wojna i okupacja uświadomiły mi w pełni, jak trudna i równocześnie konieczna jest, przynajmniej dla człowieka uwikłanego w politykę w naszej epoce i części świata, ocena zachowań w sytuacjach krańcowych.

Wpadła mi wtedy w ręce także książka, która nieoczekiwanie okazać się miała prologiem do całego późniejszego okresu mego życia: była to Rosja w obozie koncentracyjnym Iwana Sołowiecowa wydana we Lwowie w roku 1938 przez Lwowski Sekretariat Porozumiewawczy Organizacji Społecznych. Przedmowę do niej napisał mój profesor, Stanisław Grabski. Słuchałem z zainteresowaniem jego wykładów, miał rozległą wiedzę teoretyczną i praktyczną, dystansował się od doktrynerów, których tak wielu głosiło wówczas w ekonomii swoje teorie. Sam mieszkając na przedmieściu Lwowa, przyjeżdżał na uniwersytet konno, woźny odbierał od niego lejce rumaka, tytułując profesora zawsze „ekscelemcją”, gdyż przed zamachem majowym był on członkiem rządu. Grabski prowadził również hodowlę róż, które sprzedawał, tłumacząc studentom na tym przykładzie mechanizm produkcji i zbytu na rynku. Na egzaminach wymagał nie tylko znajomości teorii, historii i doktryn ekonomicznych, lecz także orientacji w aktualnej polityce gospodarczej Polski. Oblevał studentów, którzy nie znali ceny mięsa czy jaj na rynku lub nie umieli podać aktualnych kursów najważniejszych walut.

Grabski był świadkiem rewolucji rosyjskiej, członkiem polskich organizacji w Kijowie, opisywał nieraz wypadki tych lat, a zwłaszcza głęboką demoralizację inteligencji rosyjskiej, mimo swej liczebności, wykształcenia i pozycji bierniej wobec nielicznych, ale zdyscyplinowanych, fanatycznych i bezwzględnych bolszewików. Podobne relacje słyszałem wtedy także z ust innego polityka, który czasem pojawiał się we Lwowie, Jędrzeja Moraczewskiego, byłego premiera, a w latach trzydziestych przywódcy Związku Związków Zawodowych.

Książka Iwana Sołowiecowa była pierwszą i bodaj najlepszą relacją z Gułagu, systemu obozów w Rosji radzieckiej, z jaką się zetknąłem. Dotyczyła lat trzydziestych, a więc tylko pewnej fazy w istnieniu tego państwa w państwie, ale za to pokazywała jego prawdziwe mechanizmy, rysowała byt ludzi w różny sposób wplątanych w funkcjonowanie tej instytucji. Po latach miałem się przekonać, jak dobrym obserwatorem był Sołowiecowa, jak wszechstronnie potrafił pokazać obóz i jego oblicza. Wybuch wojny i wydarzenia, jakie później nastąpiły, usunęły w cień relację Sołowiecowa, w następnych latach inni ludzie - jak Herling-Grudziński, a przede wszystkim Sołżenicyn — wprowadzili tematykę obozową w krąg literatury światowej i polskiej.

Z perspektywy czasu i na tle porównawczym wartość dzieła Sołowiecowa nie tylko zachowała się, ale, jak sądzę, wzrosła. W przedmowie do książki Stanisław Grabski pisał wtedy, co następuje; Ustrój liberalny za naczelny swój cel proklamował zapewnienie jak najpełniejszego rozwoju twórczych, indywidualnych sił człowieka. Ale już w drugiej połowie XIX w. okazało się konieczne, aby interesy jednostek były zbieżne, a nie sprzeczne, z dobrem całości narodowo-państwowej. Nie ma też już nigdzie ustroju całkowicie liberalnego. Po wojnie światowej we wszystkich cywilizowanych krajach ustalił się pewien kompromis indywidualizmu z socjalizmem. Natomiast istnieje państwo całkowitego zniszczenia wolności człowieka: jest nim Rosja Sowiecka.

Co się w tym ustroju dzieje z duszą człowieka — to najplastyczniej i zarazem najprawdopodobniej, bo najwszechstronniej, opisuje Iwan Sołowiecowa w swej książce Rosja w obozie koncentracyjnym. Czytelnik jej musi rozstrzygnąć w swym sumieniu, czy dla ułatwienia państwu gospodarki planowej, która by ewentualnie przyspieszyła wzrost materialnych sił i zasobów kraju, gotów on oddać na podeptanie i splugawienie całe swe człowieczeństwo. *

Lekturę Sołowiecowa traktowałem wtedy jako ważne źródło informacji o prawdziwym życiu za naszą ówczesną wschodnią granicą, informacji potrzebnych w czasie licznych dyskusji o wadach i zaletach ówczesnych ustrojów. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że nie tylko

ja sam, ale setki tysięcy obywateli Rzeczypospolitej dostaną się wkrótce w tryby tego samego systemu bezwzględnych, masowych represji.

* Stanisław Grabski [przedmowa] w: Iwan Sołoniewicz, Rosja w obozie koncentracyjnym, Lwów 1938, s. 5.

Brutalne lata uczelni

Gdy jesienią 1937 roku przyszedłem na Wydział Prawa UJK i rozpocząłem studia, wraz z zaostrzającą się sytuacją polityczną w kraju nastąpiła wyraźna brutalizacja życia studenckiego. Bójki i awantury, strajki i blokady, starcia zarówno z odmiennie myślącymi kolegami, jak i z policją były coraz częstsze. Prawicowa opozycja wobec ówczesnego rządu inspirowała te zajścia i wykorzystywała dla swoich, przede wszystkim propagandowych celów. Od października, początku roku akademickiego, do wiosny temat awantur na uczelniach nie schodził z pierwszych stron prasy. Tak było we wszystkich miastach uniwersyteckich w Polsce, wyróżniały się pod tym względem uczelnie Wilna i Warszawy. We Lwowie sytuacja była bardziej skomplikowana, bo do awantur coraz częściej, zwłaszcza w 1938 i 1939 roku, włączały się jawne, a przede wszystkim tajne organizacje studentów ukraińskich. Opanowanie demonstracji i awantur ulicznych utrudniał status prawny uniwersytetu. Uczelnia była eksterytorialna jak ambasada obcego państwa, policja mogła tam wejść tylko na wezwanie rektora, własna straż uniwersytecka była nieliczna i z reguły w zajściach nie interweniowała. Rektorzy wyjątkowo tylko korzystali z prawa do zwrócenia się o pomoc do władz państwowych: w senatach większość stanowili profesorowie o zdecydowanej prawicowej, endeckiej orientacji. Organizacje Bratniej Pomocy studentów i utrzymywane przez nie domy akademickie były we Lwowie na wszystkich uczelniach w ręku organizacji prawicowych, często jawnie faszystujących, pozostających pod wpływem Obozu Narodowo-Radykalnego. Tam zaczynały się akcje i demonstracje, drukowano ulotki i malowano plakaty, nie było mowy, aby w takim domu mógł mieszkać ktoś publicznie przyznający się do ideologii innej niż prawicowa. Na UJK. działało wtedy ponad pięćdziesiąt zarejestrowanych stowarzyszeń akademickich, polskich, ukraińskich i żydowskich. Były wśród nich organizacje czysto polityczne, oficjalnie nazywane „ideowo-wychowawczymi”, naukowe, religijne, sportowe, kulturalne i samopomocowe. W sytuacji, jaką zastałem, zwłaszcza po rozpadzie „Legionu Młodych”, nie miałem wraz z podobnie myślącymi kolegami innego wyjścia, jak tylko stworzyć nową, własną organizację studencką. Przepisy nie stanowiły wtedy problemu, można było bez trudu uzyskać rejestrację i działać legalnie. Główną sprawą był program, wybór drogi. Wychodzący z organizacji młodzieży obozu piłsudczyków, nie widzieliśmy swego miejsca ani wśród faszystujących endeków, ani komunizujących lewicowców. Ci ostatni zresztą, zwłaszcza wśród młodzieży polskiej, byli nieliczni, ich organizacje opierały się głównie na mniejszościach narodowych.

Przygotowując się do powołania nowej organizacji, rozpoczęliśmy od serii spotkań dyskusyjnych, których celem miało być opracowanie własnej deklaracji ideowej. W zespole, który ją przygotowywał, byli oprócz mnie:

- Zbigniew Kończacki — po kilku latach wywieziony z matką w głąb Rosji, żołnierz Andersa, po wojnie profesor uniwersytetu w Halifax w Kanadzie, ekonomista, specjalista w dziedzinie problemów gospodarczych Afryki Południowej, gdzie długo przebywał;
- Roman Rostowski — prawnik, ekonomista, syn wybitnego neurologa, profesora UJK, za kilka lat przedzie z armią na Węgry, osiedli się w Londynie, zrobi wielką karierę w brytyjskiej służbie dyplomatycznej;
- Jerzy Lerski-Sołtysik — po perypetiach wojennych, które utrwali we wspomnieniach pt. Emisariusz Jur — profesor historii w USA, działacz polonijny;
- Aleksandra Valentówna — pedagog, asystentka przy katedrze Bogdana Suchodolskiego na UJK, wywieziona w głąb Rosji, nigdy nie da znać o swoim losie;

- Jerzy Karpiński — mój kolega gimnazjalny i bliski przyjaciel, aresztowany w czasie okupacji, nigdy nie powróci.

Chcieliśmy w naszej Deklaracji możliwie wyraźnie politycznie i światopoglądowo określić się, przeprowadzić linie graniczne pomiędzy naszymi poglądami a poglądami naszych politycznych i ideowych przeciwników. Zdefiniowaliśmy się jednoznacznie jako demokratyczna organizacja młodej, pracującej inteligencji. Nawiązaliśmy do dziedzictwa ideowego ruchów niepodległościowych, do tradycyjnej polskiej demokracji. Zadeklarowaliśmy gotowość współpracy z każdym ruchem demokratycznym, stojącym na gruncie polskiej państwowości, wypowiadając równocześnie zdecydowaną walkę wszelkim ruchom faszystowskim i komunistycznym, będącym zaprzeczeniem demokracji i działającym na szkodę państwa. Zapisaliśmy, że „jesteśmy organizacją całkowicie samodzielną i nie znajdujemy odpowiednika w żadnej działającej obecnie organizacji starszego pokolenia”. Nasza Deklaracja zaczynała się od słów: „Obecny stan polityczny, gospodarczy i kulturalny Polski musi ulec zasadniczej przebudowie”. Wypowiedzieliśmy się za demokracją parlamentarną z silnym rządem i niezależnymi sądami. Zadeklarowaliśmy gotowość zwalczania każdej próby narzucenia Polsce obcego jej ustroju. Jeśli chodzi o przebudowę społeczno-gospodarczą, stwierdziliśmy, wychodząc z analizy ówczesnego stanu kraju, że: „W ramach dzisiejszego ustroju wolno-kapitalistycznego jest niemożliwe usunięcie wyzysku, realizowanie sprawiedliwości społecznej, a przede wszystkim zapewnienie każdemu dostatecznych warunków bytu”. Opowiedzieliśmy się za przebudową struktury agrarnej, parcelacją wielkich majątków i oparciem rolnictwa na niepodzielnych i stanowiących indywidualną własność gospodarstwach, za uspołecznieniem kluczowego przemysłu, utrzymaniem wolnej konkurencji i przejściem obcego kapitału z długoterminowym odszkodowaniem.

Dwa rozdziały naszej Deklaracji poświęciliśmy palącym wtedy problemom mniejszości, z których część coraz wyraźniej zdradzała tendencje separatystyczne. We Lwowie i całej Małopolsce Wschodniej łączyło się to dla nas z groźbą wielkiego konfliktu z Ukraińcami: na uniwersytecie dochodziło już wręcz do strzelaniny na korytarzach. Dlatego też zapisaliśmy w sposób niedwuznaczny, że: „Interes państwa jest nadrzędny w stosunku do interesów mniejszości narodowych. Nakazem polskiej racji stanu jest współżycie narodu polskiego z mniejszościami narodowymi”. Uznaliśmy także jasno prawa narodu ukraińskiego w Polsce do rozwoju kulturalnego i gospodarczego i przeciwstawiliśmy się próbom dyskryminacji Żydów, podejmowanym przez organizacje prawicowe. Stąd zapis; „Występując zdecydowanie przeciw metodom gwałtu i terroru, uważamy wszelkie ograniczenia prawne Żydów, obywateli polskich, za niedopuszczalne”.

W drugiej połowie lat trzydziestych z różnych względów zaostrzyły się problemy związane z bardzo liczną i zróżnicowaną wewnątrznie mniejszością żydowską w Polsce. Coraz silniej oddziaływały rasistowskie hasła hitlerowskie, które przejmowała agresywna prawica, z drugiej strony zaś nielegalne organizacje komunistyczne na Kresach Wschodnich opierały się w znacznym stopniu na aktywistach ze środowisk żydowskich. Prawica nacjonalistyczna głosiła hasła polonizacji handlu, organizowała ekonomiczny bojkot sklepów żydowskich, żądała ograniczenia liczby studentów-Żydów lub nawet zakazu ich przyjmowania na uczelnie państwowe. Sama społeczność żydowska mieszkająca w naszym kraju była w tych latach nie tylko rozwarstwiona materialnie i kulturalnie — liczny i bardzo biedny proletariát istniał obok warstwy średniej i bogatej, powiązanej ze światem burżuazji — ale też bardzo zróżnicowana w swym stosunku do Polski i jej spraw. Część tego środowiska uważała się za Polaków pochodzenia żydowskiego i wyznania mojżeszowego, inni pod wpływem bardzo aktywnych w Polsce ruchów syjonistycznych uznawali swą odrębność narodową i jeśli tylko było można, emigrowali do Palestyny, chcąc tam budować swą nową ojczyznę. Część widziała rozwiązanie swych problemów w rewolucji komunistycznej, która, jak sądzili i głosili,

będzie ostatecznym triumfem internacjonalizmu, radykalnie rozstrzygnie wszelkie problemy narodowe, uniemożliwi jakąkolwiek dyskryminację etniczną.

Stanowisko w kwestii mniejszości żydowskiej, jakie przyjęliśmy w Deklaracji, było przyczyną szczególnie ostrych ataków młodzieży prawicowej na naszą organizację i jej działania.

W 1937 roku mimo istniejącego paktu o nieagresji i wciąż jeszcze poprawnych stosunków reklamowanych jako sukces Józefa Becka uznawaliśmy hitlerowskie Niemcy za największe zagrożenie dla państwa polskiego.

Zachowanie się mniejszości niemieckiej w Polsce stawało się z dnia na dzień coraz bardziej agresywne, dążenia do rewizji granic coraz wyraźniejsze. Dlatego też w Deklaracji wypowiedzieliśmy się wyraźnie przeciwko tym dążeniom, stanowiącym zagrożenie dla całości terytorialnej Rzeczypospolitej.

Po ostatecznym ustaleniu naszej Deklaracji opracowaliśmy schemat organizacyjny, uzyskali rejestrację i pojawili na uczelniach Lwowa. Wszedłem do władz jako członek Rady Naczelnej PMSD — Polskiej Młodzieży Społeczno-Demokratycznej, bo tak ostatecznie się nazwaliśmy. Aby umknąć częstych wówczas w organizacjach młodzieżowych tarć i sporów, intryg i niesnasek na tle ambicji personalnych, na czele organizacji postawiliśmy Radę Naczelną. Statutowo była ona ciałem kolegialnym, nie miała stałego przewodniczącego, decyzje podejmowała wspólnie. Jej zadaniem było czuwanie nad ideowym stanem i należyтым składem osobowym organizacji oraz ustalenie zasadniczych wytycznych pracy i polityki. W skład Rady weszło siedem osób: oprócz mnie Zbigniew Kończacki, Jan Lech, Jerzy Lerski, Maria Szmindówna, Roman Rostowski, Aleksandra Valentówna. Zdobyliśmy szybko przyzwoity lokal w samym środku miasta, przy ulicy Kopernika 21. W tym właśnie naszym lokalu w czerwcu 1938 roku, na zjeździe delegatów Klubów Demokratycznych z całej Polski przyjęta została uchwała o powołaniu do życia Stronnictwa Demokratycznego. Przemawiałem na tym zjeździe w imieniu lwowskiej młodzieży demokratycznej.

Rozpoczęliśmy od zorganizowania kursu ideowego dla młodych członków i sympatyków. Podjąłem się opracowania programu tego kursu. Składał się on z pięciu tematów, po zagajeniu przez prelegenta odbywała się dyskusja. Dla pierwszego kursu wybrałem następujące zagadnienia:

- 1) Dzisiejsza polska rzeczywistość polityczna, społeczna i gospodarcza i na tym tle — dzisiejsza szkoła i organizacje na jej terenie.
- 2) Polska demokracja na tle ogólnych zagadnień i historii demokracji.
- 3) Konieczność przebudowy społeczno-gospodarczej Polski i jej koncepcje.
- 4) Sprawy religii w nowoczesnym państwie.
- 5) Młody człowiek i jego możliwości w Polsce.

Podzieliłiśmy między siebie tematy, zagajenia pierwszego podjął się Jerzy Lerski, trzeciego — Roman Rostowski, ja podjąłem się referowania stosunków pomiędzy sprawami religii a sprawami państwa.

Występowałem przeciwko wykorzystywaniu religii, a zwłaszcza instytucji kościelnych, w służbie doraźnych interesów partii i grup politycznych, przeciwko wszelkiemu fanatyzmowi religijnemu, zwłaszcza połączonemu z szowinizmem, za tolerancją i pełną swobodą wyznaniową. I znowu był to we Lwowie problem szczególnie ostry ze względu na silne związki kleru grekokatolickiego i metropolity Szeptyckiego z wojującymi nacjonalistami ukraińskimi. I ten konflikt odziedziczyliśmy po okresie zaborów, wygrywali go zresztą politycy austriaccy, niechętni wobec państwowych i narodowych dążeń Polaków.

Powstanie PMSD wywołało w środowisku akademickim Lwowa zróżnicowaną reakcję.

Prawicowe, endeckie organizacje znające nas z poprzedniej działalności w „Kuzni Młodych”, „Straży Przedniej” i „Legionie Młodych” zaatakowały nas frontalnie oskarżając o związki z obozem rządowym, lewicowość, komunizm oraz obronę Żydów.

Organizacje socjalistyczne, niezbyt silne i wewnętrznie zróżnicowane, przede wszystkim Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, patrzyły na nas z początku podejrzliwie, ale wyrażały radość z powodu pojawienia się na lwowskiej scenie akademickiej nowej grupy demokratycznej. Podejrzliwie patrzyli na nas też ludowcy z „Wici”, związani z Polskim Stronnictwem Ludowym. Mieli oni prawdziwy uraz, jeżeli chodzi o wszystko i wszystkich związanych kiedykolwiek z Józefem Piłsudskim, nie mogli zapomnieć ani zamachu majowego z 1926 roku, ani procesu brzeskiego. Musiałem wiele godzin spędzić u nich, przekonując o konieczności współpracy, ostatecznie udało mi się porozumieć z ich przywódcami, w tym z Franciszkiem Wilkiem i Tadeuszem Miciakiem.

Aby skutecznie działać, musieliśmy szukać zrozumienia i poparcia wśród starszego pokolenia, zarówno na uniwersytecie, jak i poza nim. Rezygnując, przynajmniej czasowo, z bliskiej współpracy z organizacjami, nie mogliśmy zrezygnować ze współpracy z ludźmi, zwłaszcza znanymi i sympatyzującymi z naszymi poglądami. Wykorzystując osobiste znajomości i kontakty (część z nas wywodziła się z rodzin profesorskich), zwróciliśmy się do lwowskich uczonych znanych ze swych demokratycznych poglądów. Zaognienie sytuacji na wyższych uczelniach pomogło. Większość zaproszonych przyszła na spotkanie w naszym lokalu.

Z ramienia organizacji zwróciłem się do nich z rodzajem referatu — wyjaśnieniem, kim jesteśmy, dlaczego się zaangażowaliśmy, na jaką pomoc liczymy. Byłem wtedy na pierwszym roku studiów, a miałem przed sobą ludzi w wieku mego ojca, o znanych, nieraz głośnych nazwiskach, poważnej pozycji naukowej i społecznej. Zebranie przebiegało lepiej, niż się spodziewaliśmy, wywiązała się dyskusja, nasze idee i zamiary zostały przyjęte, teza, że potrzebna jest organizacja demokratycznej młodzieży sprzeciwiająca się naciskom totalitarnym, z których najgroźniejszy dla Polski był ruch faszystowski, została zaakceptowana. Wkrótce okazało się, że po naszej stronie są m.in. profesorowie: Stanisław Kulczyński, Maurycy Allerhand, Stefan Banach, Kazimierz Bocheński, Franciszek Bujak, Leon Chwistek, Alicja Dorabialska, Jan Grek, Kazimierz Hartleb, Henryk Hilarowicz, Juliusz Kleiner, Seweryn Krzemieniewski, Eugeniusz Kucharski, Stanisław Loria, Tadeusz Ostrowski, Jakub Parnas, Stanisław Piłat, Eugeniusz Romer, Jakub Rothfeld, Jan Samsonowicz, Gabriel Sokolnicki, Hugo Steinhaus, Emanuel Stożek, Wincenty Styś, Julian Tokarski, August Zierhoffer. Te właśnie osoby utworzyły koło seniorów organizacji. Wkrótce również na nasz kurs ideowy zgłosiło się kilkadziesiąt osób — studentów i studentek, gotowych wstąpić w szeregi demokratów.

Tymczasem doszło do kolejnych wstrząsów na uniwersytecie lwowskim, którego rektorem był wtedy Stanisław Kulczyński. Młodzież endecka zaczęła akcję mającą na celu formalne ustanowienie na uczelni tzw. getta ławkowego, to jest zmuszenie kolegów Żydów do siedzenia na wykładach w oddzielnych, oznaczonych miejscach. Było to żądanie czysto hitlerowskie w swej treści, zaczerpnięte z praktyk, jakie wówczas miały miejsce w III Rzeszy. Nie tylko przeczyło zasadom demokracji i tradycjom polskich uniwersytetów, lecz także stało w jaskrawej sprzeczności z obowiązującą podówczas w kraju Konstytucją. Inicjatorzy getta ławkowego wiedzieli o tym doskonale, odrzucali w swych politycznych deklaracjach Konstytucję jako przygotowaną i uchwaloną przez rządzący obóz piłsudczyków i jego większość w Sejmie, prowadzili przeciwko niej ciągłą kampanię propagandową. Naruszając bezkarnie Konstytucję, sprzeciwiając się zasadzie uniwersyteckiej neutralności, wciągając do akcji faszyzującą część młodzieży, inspiratorzy takich działań, którym nadano charakter ogólnopolski, osłabiali swych politycznych przeciwników. Także we Lwowie doszło do wielu

skandalicznych incydentów, rękoczynów, bójek, blokady wejść na uczelnię pod hasłem kolejnych „dni bez Żyda”.

Rektor Kulczyński, którego pomocnikiem w sprawach młodzieży (tzw. audytorem) był wtedy mgr Adam Ostrowski, asystent na katedrze teorii prawa prof. Kamila Stefki, pragnąc uspokoić uczelnię, a jednocześnie zrobić to w sposób pozornie demokratyczny, zdecydował się na przeprowadzenie wśród studentów referendum. W tajnym głosowaniu każdy miał odpowiedzieć na pytanie: „Czy chcesz siedzieć ze studentami Żydami w jednej ławce — tak lub nie”.

Byłem zdecydowanym przeciwnikiem idei podobnego referendum. W rzeczywistości podawało ono w wątpliwość podstawowe artykuły Konstytucji państwa o równości jego obywateli, dopuszczało do praktyki dyskryminacji, co było przeniesieniem na grunt polski wzorów hitlerowskich. Co więcej, dopuszczono do sytuacji, w której podstawowe prawa obywatelskie mogły być zmieniane na podstawie woli większości studentów, którzy w trzydziesto-dwumilionowym państwie stanowili zaledwie czterdziestoośmiotysięczną grupę obywateli, z czego na UJK studiowało tylko 6 tysięcy. Z samej treści pytania wynikało, że nie wszyscy będą głosować, a przecież wśród studentów było ponad 10 procent Żydów. Referendum otwierało także drogę do anarchii, bezprawia przybranego w kostium rzekomo demokratycznego wyboru. Pomysłodawcy referendum szermowali argumentem o istnieniu, jak to określali, „zdrowego jądra” i rozsądku młodzieży. Wynik referendum, jak zakładali organizatorzy, odrzucający zdecydowanie wprowadzenie getta ławkowego, miał być sukcesem rektora i tych, którzy go popierali, miał pokazać, że faszyzująca młodzież stanowi jedynie małą, bez istotnego znaczenia część społeczności studenckiej. Ani ja, ani podobnie myślący ludzie nie mogli oczywiście wpłynąć na bieg wydarzeń; doszło do referendum.

Gmach uniwersytetu opanowały bojówki endeckie uzbrojone w grube laski trzciniowe — nosili je wtedy studenci z organizacji prawicowych; gdy pojawiłem się z grupą kolegów, poznano nas natychmiast. Z trudem uniknęliśmy pobicia po prostu uciekając, nie było mowy o oddaniu głosu. Bojówkarze kontrolowali również głosy oddawane przez tych studentów, których dopuścili do urny. Nadużycia były tak jaskrawe, że rektor unieważnił głosowanie i podał się do dymisji. Sprawa stała się głośna w całej Polsce. Natychmiast po ustąpieniu Stanisława Kulczyńskiego ówczesny prorektor, profesor Roman Longchamps, mając za sobą poparcie większości ówczesnych profesorów uniwersytetu, wprowadził getto ławkowe. Za nim poszły wkrótce władze politechniki.

W zachowanym w moim osobistym archiwum dokumencie z tych lat sprawozdaniu stowarzyszenia „Bratnia Pomoc” studentów AHZ we Lwowie, opublikowanym w 1938 roku, wydarzenia te znalazły pełne odzwierciedlenie. A oto, co pisali wtedy prawicowi studenci:

Rok 1937 zakończył się wspaniałym zwycięstwem młodzieży narodowej w walce o getto dla Żydów na wyższych uczelniach. Zwycięstwo to połączone było niestety z wielkimi ofiarami poniesionymi przez polską młodzież akademicką. Niezrozumiały upór władz, tak uczelnianych, jak i wyższych, doprowadził do zamknięcia na dłuższe okresy wielu uczelni. Młodzież narodowa usiłowała wprowadzić w życie getto na wyższych uczelniach na każdym odcinku, lecz spotykała się z ostrymi represjami: przypomnę tutaj naprawdę bohaterską postawę młodzieży wileńskiej, młodzieży narodowej blokującej Uniwersytet w Warszawie i pełne umiaru, lecz i nieugiętej stanowczości stanowisko młodzieży narodowej Lwowa. Żydzi i ich zakonspirowane organizacje, w których rolę pachołków spełniają goje wysoko postawieni w hierarchii życia społecznego, wspólnie z organizacją, tzw. folksfrontem, przeciwstawiali się utworzeniu getta z uporem straceńców. Reprezentowali oni przy tym siłę nie lada. bo nie tylko władzę administracyjną mieli po swej stronie, ale podobno i Konstytucja kwietniowa stanęła w ich obronie. Minister W.R. i O.P. oświadczył, że wydanie

zarządzenia dyskryminującego pewien odłam młodzieży akademickiej byłoby przekroczeniem umowy konstytucyjnej, i dlatego nie tylko pozwolił na nieludzkie traktowanie młodzieży narodowej w czasie likwidacji pamiętnej blokady Uniwersytetu Warszawskiego, ale nawet zawiesił działalność samopomocowych stowarzyszeń akademickich w Warszawie, rozwiązał stowarzyszenia ideowe w Wilnie i Warszawie. Wszelkimi środkami zapobiegał wprowadzeniu getta nawet w wypadku separowania się młodzieży polskiej od żydowskiej. Sądzone zapewne, że tym sposobem uda się zdławić zdrowy odruch polskiej młodzieży.

Z nowym rokiem akademickim młodzież narodowa stanowczo zażądała wprowadzenia getta na wyższych uczelniach. Wreszcie w Warszawie zarządzeniami Rektorów wprowadzono urzędowe getto w formie zarządzeń porządkowych zaakceptowanych przez ministra W.R. i O.P. We Lwowie władze uczelniane przeciwstawiły się nieco dłużej. Rektor uniwersytetu zarządził plebiscyt za gettem, a stwierdziwszy wynik nie odpowiadający jego zapatrywaniom, unieważnił go przez wydanie nowego zarządzenia idącego po myśli Żydów i nielicznych członków i sympatyków folksfrontu. Lecz ten występ tytko przyspieszył jego przymusową rezygnację.

W sprawozdaniu tym wypada wspomnieć o dniu 11 listopada 1937 roku i zaproszeniu również młodzieży AHZ do wzięcia udziału w defiladzie z okazji Święta Niepodległości. Odmowna odpowiedź Zarządu Stowarzyszenia złożona na ręce J.M. Pana Rektora spotkała się z pełnym uznaniem całej polskiej młodzieży akademickiej Lwowa, o czym świadczy jej zupełna nieobecność na uroczystości, której politycznego charakteru trudno odmówić... (Prawica bojkotowała wtedy dzień 11 listopada, Święto Niepodległości, uważając, że jest to impreza propagandowo-polityczna obozu piłsudczyków.)

Rozprawianie się z przeciwnikami politycznymi metodą pałki było w życiu studenckim owych lat praktyką dosyć częstą. Idąc na uniwersytet nigdy nie wiedziałem, czy nie zostanę napadnięty i pobity, los taki spotkał wielu moich kolegów. Doszło do napadu bojówki na nasz lokal PMSD. Tego dnia miałem inne obowiązki i wieczorem przyszedłem nieco później na zapowiadane zebranie. Zastałem lokal rozbity, przesycony ostrym, trującym zapachem, odchodząc napastnicy rzucili bowiem cuchnącą bombę — urządzenia takie fabrykowali ich zwolennicy na wydziale chemii. Kilka osób było pobitych, najciężej Jerzy Lerski: pokaleczony, miał wybite przednie zęby, krwawił. Wydarzenie to opisał szczegółowo w swoim emigracyjnym szkicu o PMSD, opublikowanym w 1979 roku w „Zeszytach Historycznych” Instytutu Literackiego w Paryżu.

Sprawiedliwość w tych sprawach działała opieszale: trudno było znaleźć świadków gotowych zeznawać, gdyż często grożono im przykrymi konsekwencjami. Sądy były dla bojówkarzy bardzo wyrozumiałe. Niektórzy z nich jednak z dumą nosili w klapach marynarek miniaturowe metalowe kratki, dowód, że przebywali już w areszcie. Zetknąłem się wtedy zarówno ze śledztwem, jak i procesem politycznym. Występowałem jako świadek w sprawie blokady gmachu uniwersytetu przez młodzież endecką, kiedy to wiele godzin przesiedziałem zamknięty w budynku, z którego wypuszczano tylko swoich. Z balkonu przez megafon nadawano na ulice miasta przemówienia antyrządowe, niezwykle agresywne. Pobito niektórych kolegów, były starcia z policją, szarże oddziałów konnych, ranni studenci i policjanci. Uniknąłem pobicia, gdyż schroniłem się w pomieszczeniach katedry psychologii, którą kierował wtedy profesor Mieczysław Kreutz, a jego asystenci, Tadeusz Tomaszewski i Adam Bardecki byli moimi znajomymi.

Na ławie oskarżonych zasiadła grupa organizatorów blokady. Zapytywani o szczegóły akcji, odpowiadali długimi wywodami politycznymi i oskarżeniami pod adresem rządu za politykę na wyższych uczelniach, a zwłaszcza tolerowanie tam mniejszości narodowych. Przedstawiali blokadę jako prawdziwie patriotyczny protest narodowej młodzieży, niektórzy,

posługując się hasłem „Falangi”, zapowiadali rychły przełom, koniec obozu rządzącego i dojście do władzy ich ruchu. Na korytarzu sądu, przed salą rozpraw, znajdowała się liczna grupa zwolenników oskarżonych i gdy się pojawiłem, kilku z nich obstało mnie grożąc zemstą.

Sytuacja na AHZ była mniej groźna, choć i tam organizacje prawicowe i faszystujące miały zdecydowaną większość. Uczelnia była mała, studentów niewielu, koszty nauki wysokie, tryb zajęć bardzo intensywny, wszyscy dobrze się znali i konflikty polityczne wyładowywały się raczej w dyskusjach aniżeli w bójkach. Tam też dochodziło do sporów zasadniczych, do konfrontacji światopoglądowej i programowej. Obok tematów takich jak stan i przyszłość państwa, społeczeństwa i narodu, stosunek do ówczesnych europejskich, a nawet światowych prądów, ideologii, systemów politycznych, społecznych i ekonomicznych, stale powracał problem metod walki politycznej, sposobów rozstrzygania konfliktów, które wtedy z roku na rok się zaogniały. Obrazy przemocy, gwałtów i brutalności tamtych czasów nie powinny u czytelnika tych wspomnień wywołać wrażenia, że były to po prostu kryminalne wybryki młodych bojówkarzy i nic więcej. Przemoc w życiu politycznym była w Europie lat dwudziestych i trzydziestych zjawiskiem powszechnym. Roilo się od organizacji paramilitarnych, od gwardii i bojówek wszelkiego rodzaju, miały je nie tylko ugrupowania ekstremistów programowo uprawiające terror, lecz także wielkie partie cieszące się szerokim poparciem społecznym, uzyskujące w wyborach miliony głosów. Przemoc była traktowana jako jeden z instrumentów niezbędnych do realizacji programów przebudowy życia zbiorowego.

Dokument programowy wydany na Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie przez organizację Młodzieży Wszechpolskiej, który zachowałem w moim archiwum, dobrze odzwierciedla sedno sporu pomiędzy ówczesną demokracją i jej przeciwnikami. Dokument ten jest adresowany do „Młodzieży Polskiej” i rozpoczyna się od następującego wezwania: *Zadaniem dzisiejszego młodego pokolenia polskiego jest dźwignąć Naród Polski z bagna społeczności międzynarodowej. Żadne partyjki, grupki, związki, czy oboziki ad hoc „sklejane” nie spełnią tego dziejowego posłannictwa. Wrogie moce rozkładają od wewnątrz Naród i Państwo Polskie, a śmiertelni wrogowie. Niemcy, kroczą na Wschód. Tylko bojowa organizacja społeczeństwa polskiego wywalczy Polsce wielkość. Tą jedyną organizacją znajdującą się Już w ogniu walki z wrogami wewnętrznymi, a przede wszystkim z „ukrainizmem”. socjal-komuną i międzynarodową demokracją jest Wszechpolski Obóz Narodowy. Głosząc prymat Narodu Polskiego w Państwie Polskim Narodowcy polscy walczą o:*

- *przebudowę duszy społeczeństwa polskiego drogą odrodzenia katolickiej i narodowej myśli politycznej;*
- *państwo narodowe: Polska dla Polaków! (...)*

Tekst kończyło ostrzeżenie;

Przestrzega się ogół Polskiej Młodzieży przed dywersyjną robotą grupek spod znaku międzynarodowej demokracji, której sympatie ku czerwonej płachcie i Żydom są dobrze znane.

Wszelkie takie nieliczne ugrupowania w rodzaju P.M.S.D. zdążają tylko do rozbicia jednolitego frontu narodowego Młodzieży Polskiej, naturalnie bezskutecznie. Drugą taką niepoważną grupką jest Z.M.P. znane ze swych pseudo narodowych haseł, którymi zakłamuje niezorientowaną jeszcze Młodzież.

Wzywa się wszystkich Polaków, by demaskowali krecią robotę tych ludzi.

Nasi polityczni przeciwnicy w imię wyznaniowego państwa narodowego występowali nie tylko przeciwko mniejszościom narodowym, tak licznym wówczas w Rzeczypospolitej, lecz także przeciwko międzynarodowej demokracji. Ogromną większość narodu polskiego stanowili wtedy chłopi, tymczasem program milczy o nich zupełnie, nie widzi polskiej wsi i jej

dramatycznych problemów: przeludnienia, biedy, cywilizacyjnego zacofania, wrogiej postawy rządu wobec politycznych postulatów chłopów. Narodowcy byli partią typowo miejską, reprezentującą interesy drobnomieszczaństwa i części inteligencji, i w tych grupach szukali poparcia. W swych koncepcjach dotyczących polityki zagranicznej, idąc za wskazaniem Romana Dmowskiego, byli antyniemieccy, wskazywali na rosnące niebezpieczeństwo ze strony III Rzeszy, niebezpieczeństwo, które rządząca sanacja długo starała się bagatelizować. Byli też przeciwni komunistycznemu ZSRR i międzynarodowej demokracji, to jest ówczesnej Anglii, Francji i Stanom Zjednoczonym. Przyjęte jako podstawa polityki zagranicznej, koncepcje takie pozostawiłyby Polskę całkowicie osamotnioną.

Niezależna Bratnia Pomoc

Bratnia Pomoc studentów AHZ, do której należałem, była opanowana przez młodzież endecką; organizacje demokratyczne i ich zwolennicy nigdy nie mieli za sobą więcej niż jedną trzecią głosów. Przy ówczesnych większościowych zasadach wyborczych nie mieliśmy szans na wprowadzenie swoich przedstawicieli do zarządu i w konsekwencji na korzystanie ze świadczeń Bratniaka; były one praktycznie zastrzeżone dla swoich. Nasze poglądy i oceny mogliśmy więc głosić jedynie na zebraniach, i to wobec niechętej lub wręcz wrogiej większości. Korzystałem jednak osobiście z tej szansy, przyzwyczailem się mówić publicznie do przeciwników politycznych, nieraz hałaśliwie demonstrujących przeciwko mnie i usiłujących mi przerwać. Była to sytuacja podobna do tej, w której nie raz znajdowałem się jeszcze w X gimnazjum, gdzie na posiedzeniach gminy szkolnej byłem w mniejszości, ale wykladałem publicznie swe racje.

Bratnia Pomoc Studentów nie zajmowała się jednak wyłącznie sprawami polityki, światopoglądu, orientacji ideowej. Dla ogromnej większości studiujących była to ważna kwestia życiowa. Chodziło o miejsca w domach akademickich, stypendia, pożyczki, skierowania na praktyki letnie. Faktyczne odcięcie młodzieży demokratycznej od takiej pomocy pogarszało znacznie jej sytuację, odstraszało także od wstępowania w Jej szeregi, o czym dobrze wiedzieli nasi przeciwnicy i ich protektorzy. Studenci AHZ rekrutowali się w ogromnej większości z rodzin dobrze sytuowanych, zamożnych; studentów pochodzących ze wsi czy środowisk robotniczych praktycznie tam nie było. Inaczej natomiast wyglądała sprawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza, studiowali tam, choć w niewielkiej liczbie (około 4 procent), synowie chłopscy, byli ludzie z warstw biednych, z ogromnym trudem przebijający się przez studia; im pomoc Bratniaka była niezbędna. Ponieważ oprócz naszej PMSD istniały na uniwersytecie bliskie nam organizacje ludowców związanych z PSL i socjalistów (ZNMS — Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej) związanych z PPS, po analizie sytuacji doszliśmy do wniosku, że należy powołać do życia nowy, drugi, niezależny Bratniak.

Wyjaśniliśmy prawną zasadę przedsięwzięcia. Musieliśmy zebrać kilkaset podpisów, przygotować statut i wnieść odpowiednie podanie do rektora. Trudności były oczywiste, zebranie aż kilkuset podpisów wydawało się wręcz mało prawdopodobne, jako że nie mieliśmy tylu zdeklarowanych sympatyków, trzeba się też było liczyć z silnym oporem organizacji kontrolujących istniejący Bratniak oraz z naciskami na rektora, którym po Stanisławie Kulczyńskim był archeolog, profesor Edmund Bulanda. Przeciwko nam przemawiała też dotychczasowa praktyka; na żadnej uczelni nie było dotąd dwóch oddzielnych Bratniaków. Samo uzyskanie rejestracji było jednak tylko pierwszym krokiem, nowy Bratniak musiał mieć fundusze na swą działalność, a było jasne, że nie otrzymamy ich od władz. Rozpoczęliśmy więc od montowania koalicji.

Rozmowy z socjalistami, Przemysławem Ogrodzińskim, moim bliskim kolegą jeszcze z X

gimnazjum, i Marią Fiderer, były łatwe, oboje byli już członkami PPS, bez trudu zgodzili się na nasz plan. Wiele czasu zajęło mi przekonywanie ludowców, choć ich członkowie w perspektywie najwięcej mogli skorzystać z nowego Bratniaka — studia synów chłopskich wymagały wtedy ogromnych wyrzeczeń. Po kilku tygodniach, dzięki zrozumieniu sprawy przez Franciszka Wilka i Tadeusza Miciaka, ludowcy dali się przekonać. U uruchomiliśmy także naszych sprzymierzeńców wśród profesorów, Stanisława Kulczyńskiego i Stanisława Grabskiego, ten ostatni miał silny wpływ na młodzież ludową. Grabski, zaniepokojony polityczną i ekonomiczną sytuacją w kraju, mimo podeszłego wieku rozwinął wtedy energiczną działalność, opublikował właśnie książkę pod tytułem Trzeba szukać drogi wyjścia na temat niezbędnych reform ekonomicznych, inspirował także poczynania młodych ludowców.

Wymaganą liczbę podpisów dzięki współpracy trzech organizacji zdobyliśmy nadspodziewanie łatwo. Jako pełnomocnik komitetu organizacyjnego z zestawem dokumentów i projektem statutu poszedłem do rektora Bulandy. Mimo iż z początku nie bardzo wierzył, że spełnimy wymogi prawne, stosunkowo szybko otrzymaliśmy rejestrację i do Niezależnej Bratniej Pomocy wstąpiło kilkuset studentów.

Żywiłem obawy, czy uda się nam spokojnie zorganizować pierwsze wolne zebranie i uniknąć napadu endeckich bojówek. Załatwiłem w rektoracie salę na to zebranie w tzw. starym budynku na ulicy Długosza, gdzie mieściły się różne instytuty, w tym także medyczne. Był to budynek rzadko uczęszczany i łatwiejszy do zabezpieczenia, na moją prośbę władze uczelni na czas zebrania wzmocniły ochronę, przysyłając dodatkowo kilku strażników, którzy mieli nam pomóc przy kontroli wchodzących. Wszystko to wydawało mi się jednak mało i dlatego umówiłem się z kolegami z ZNMS, w rezultacie czego Maria Fiderer przyprowadziła grupę młodych robotników, sympatyków PPS, którzy pilnowali spotkania na zewnątrz, na ulicy. Inauguracja przeszła spokojnie.

Teraz trzeba było dokonać kolejnego kroku, uzyskać środki materialne, a najważniejsze — zdobyć własny dom akademicki. Dzięki pomocy naszych seniorów znaleźliśmy odpowiedni budynek i wynajęliśmy go za bardzo niską cenę. Pomieściło się w nim kilkudziesięciu studentów, w większości ze wsi. Za radą naszych seniorów postanowiliśmy także zwrócić się o pomoc finansową do wielkich przedsiębiorstw, zarówno państwowych, jak i prywatnych, spółek akcyjnych, które miały swe oddziały, a nieraz i główne zarządy we Lwowie. Znałem wielu ich dyrektorów i właścicieli, przemysłowców; byli zaniepokojeni sytuacją na wyższych uczelniach i gotowi pomóc. Najważniejsze dla nich były nie pieniądze, lecz nasza wiarygodność jako grupy, sprawa zaufania. Roilo się wtedy w Polsce od ludzi usiłujących zdobyć pieniądze i wykorzystujących do tego najdzwięczniejsze hasła, zakładających efemeryczne stowarzyszenia.

Przemysłowcy chcieli spokoju i rozwoju, bali się anarchii i szowinistycznej demagogii. Akcja nasza udała się, nie bez wpływu nazwisk protektorów, którzy, jak Kazimierz Bartel czy Stanisław Grabski, cieszyli się w sferach gospodarczych dużym autorytetem; przemysłowcy, przede wszystkim z firm naftowych, jak „Gazy Ziemne” czy „Polmin”, dali nam pieniądze, za które urządziliśmy akademik.

Był to największy sukces Niezależnej Bratniej Pomocy. Przeciwnicy polityczni byli zaskoczeni, utworzenie demokratycznej koalicji studenckiej, a zwłaszcza obecność w niej ludowców, należących wtedy do zdecydowanej opozycji wobec rządu, stawiała ich w niewygodnej sytuacji. Zachowałem tekst ulotki podpisanej „Młodzież Narodowa UJK”, wydanej we wrześniu 1938 roku w odpowiedzi na utworzenie nowego Bratniaka. Można tam było odczytać, co następuje; Czym można tłumaczyć powstanie „Niezależnej Bratniej Pomocy” obok istniejącej już od kilkudziesięciu lat i mającej chlubne tradycje Bratniej

Pomocy UJK? Tym tylko, aby osiągnąć swoje jedyne i główne zadanie, to jest rozbić jednolitego/rontu polskiej młodzieży na naszej uczelni, a protektorami całej akcji są już dawno zgrani politycznie panowie G. i K. Dla tego to celu skupiły się szczątki smutnej pamięci „Legionu Młodych”, komunistów, socjalistów i. niestety, ludowców, aby pod wodzą prof. G. i K. w chwilach tak decydujących dla Polski jak dzisiejsze — wprowadzić rozdzielenie wśród młodzieży na uniwersytecie J.K. — potężnym bastionie polskość na Kresach!

Wierzmy jednak, że odpowiednia postawa całej polskiej młodzieży akademickiej, ich kompletny bojkot „ Niezależnej Bratniej Pomocy” położy kres tej krańcowo lewicowej i „sobie-pomocowej” organizacji.

Profesorowie G. i K. wymienieni w ulotce jedynie inicjałami, to Stanisław Grabski i Stanisław Kulczyński. Niezależna Bratnia Pomoc działała sprawnie do września 1939 roku. Uległa przymusowej likwidacji wraz ze wszystkimi organizacjami studenckimi, gdy Lwów znalazł się pod okupacją radziecką.

Rozłam i sprawa honorowa

Nie byłem długo członkiem PMSD, mimo że byłem jej współzałożycielem i bardzo aktywnym członkiem władz. Wkrótce jednak nastąpił między nami rozłam, którego następstwem dla mnie i grupy moich przyjaciół było wyjście z organizacji.

Przyczyny rozłamu były proste: okazało się, że niektórzy członkowie zaczęli uprawiać w ramach PMSD konspirację. Nie było to w tych latach takie wyjątkowe zjawisko. Zakładanie wewnątrz istniejących organizacji młodzieżowych konspiracji, której celem było pozastatutowe działanie i wywieranie wpływu na linię zarządu, zdarzało się często i wywoływało naturalnie konflikty. Byłem wtedy zdecydowanym przeciwnikiem takich praktyk, widziałem w nich wynaturzenie, próbę trwania przy metodach koniecznych w czasach zaborów i okupacji, ale szkodliwych w niepodległym i demokratycznym państwie.

Jedną z takich nowo powstałych tajnych organizacji działających w środowisku młodzieżowym w różnych częściach Polski był neosanacyjny „Związek 13 maja”. Jego schemat organizacyjny był wzorowany na POW, a więc militarny, na czele stał Komendant Główny i mianowani przezeń szefowie, obowiązywała ścisła dyscyplina konspiracji, od wstępujących żądano złożenia przysięgi. Zadania i metody, jakimi chciała walczyć ta grupa, szukając oparcia wśród młodzieży gimnazjalnej i uniwersyteckiej, najlepiej charakteryzuje fragment jednego z dokumentów „Związku 13 maja”, jaki przechowałem w moim archiwum:

Cel nasz — to hasła, które rzuciła Wielka Rewolucja Francuska: Liberie, Egalite, Fraternite. Walczymy i walczyć będziemy w ich imię o wolność człowieka, o wolność słowa, pracy, religii, o demokrację. Żądamy Polski potężnej, potęgą prawdziwie wolnego kraju. Żądamy — i mieć ją taką będziemy. Rzucimy oświatę na wieś, w szerokie rzesze robotnicze, a przez nią osiągniemy uświadomienie najbardziej wartościowych mas narodu polskiego. Damy prace i chleb inteligentowi, gnębionemu codzienną twardą walką o byt. zdemoralizowanemu przez bandę donosicieli i karierowiczów na nim i na jego doli żerujących. Całemu narodowi chcemy dać w rękę prawo i obowiązek decydowania o swoim losie. Podejmiemy z powrotem porzucony przez część legionowego pokolenia huragan wolności. Przyszedł czas, aby dokończył on swego dzieła i wymiół reszty śmieci zalegające nasz kraj. Będziemy walczyć nieubłaganie z anarchią, panoszącą się na ulicach naszych miast dzięki popieraniu jej przez ministra Sprawiedliwości, Witolda Grabowskiego.

Pamiętajmy, że pierwszym krokiem do celu jest wyrzucenie wszelkich brudów! Nie miejmy więc skrupułów wobec tych, którzy dziś walczą pod sztandarem ONR-u. Niech metody ich brutalne, chamskie i bandyckie nie trafiają na słowa, lecz na czyny. Trudno. Jest to smutna,

*lecz chwilowa racja stanu. To są chwasty, które wyplenić musimy z korzeniami. A jeśli przy tym trochę ziemi się naderwie — nie martwmy się tym! Ona wróci na swoje miejsce i zrodzi z siebie silny, rozłożysty dąb. Tym dębem będziemy my w prawdziwie wolnej Polsce. My, Najmłodsze Pokolenie Idziemy do Walki! Do Czynu!
Stwarzamy Polskę człowieka i obywatela!*

Ta prymitywna retoryka, zbiór frazesów, kryły w istocie zdecydowanie antydemokratyczne tendencje, pozornie zwalczając faszyzujące, totalitarne grupy, nowa konspiracja chciała je naśladować.

Zgodnie ze statutem PMSD jej Rada Naczelna, organ kolegialny, miała za zadanie czuwać nad ideowym obliczem organizacji i jej należyтым składem osobowym. Przy końcu 1938 roku w skład Rady, oprócz mnie, wchodzili jeszcze: Maria Szmindówna, Aleksandra Valentówna, Roman Rostowski, Zbigniew Kończacki i Jerzy Lerski-Sołtysik.

W połowie roku 1938 Rada usunęła z organizacji Jana Lecha, gdy okazało się, że wspólnie z innym kolegą, Witoldem Kosińskim, założyli w PMSD jacejkę „Związku 13 maja”, i że werbują do konspiracji nawet członków zarządu. Byliśmy wszyscy zgodni, że swym postępowaniem Jan Lech nie tylko naruszył elementarne obowiązki członka organizacji i kolegi, lecz także wyrządził szkody polityczne, gdyż PMSD wyraźnie odcięła się od wszelkich związków z ówczesną sanacją.

Po złożeniu, w moim przekonaniu niewystarczających, wyjaśnień przyjęto Lecha z powrotem i zwrócono mu legitymację. Wkrótce jednak okazało się, że konspiracja trwa, co więcej, pączkuje. Powstała nowa struktura, nazwą — „Związek Walki Czynnej” — nawiązująca do organizacji, którą kiedyś, w 1908 roku, utworzył Kazimierz Sosnkowski wśród młodzieży akademickiej i gimnazjalnej Lwowa. Tego było już za wiele: w czerwcu 1938 roku Rada jeszcze raz usunęła Jana Lecha z PMSD. Jego zwolennicy zaoponowali, zaczęły się kłótnie. Nie widząc innego wyjścia, we wrześniu cała Rada Naczelna, z wyjątkiem Jerzego Lerskiego, opuściła organizację. W oświadczeniu wezwaliśmy innych członków do zrobienia tego samego, nie mogliśmy się godzić na faktyczne podporządkowanie PMSD kolejnej neosanacyjnej konspiracji. Zawiadomiliśmy o wszystkim naszych seniorów, którzy byli bardzo zaniepokojeni rozłamem- Próby mediacji, podjęte przez prezesa lwowskiego Klubu Demokratycznego, adwokata Stanisława Olszewskiego, nie powiodły się jednak. Po naszym odejściu natychmiast zlikwidowano Radę Naczelną PMSD, prezesem został Jerzy Lerski, a jego zastępcą — Jan Lech. Obaj nie ukrywali, że chcą stać się przywódcami wielkiej, ogólnopolskiej organizacji, co było sprzeczne z naszymi celami: zawsze bowiem uważaliśmy, że nie mamy szans zyskać bardzo wielu członków, zależało nam natomiast, aby mieć wartościowych młodych ludzi zdolnych do działania w społeczeństwie, o wysokim poczuciu koleżeńskiej więzi i obdarzonych umiejętnością zgodnego porozumienia się. Nigdy już więcej nie należałem do żadnej „zorganizowanej młodzieży”.

Lata 1934—38, kiedy byłem aktywistą młodzieżowym w różnych organizacjach, mimo wielu niepowodzeń, konfliktów i napięć były dla mnie znakomitą szkołą polityczną. Od prорządowej, elitarniej i oryginalnej w swym pierwotnym kształcie „Straży Przedniej” do własnego chowu opozycyjnej PMSD, od gimnazjalnych redakcji do ogólnopolskiego zjazdu zakładającego nowe Stronnictwo Demokratyczne, od intelektualnych sporów w literackiej kawiarni do fizycznej przemocy, blokady, procesu politycznego, od pracy nad wspólną deklaracją ideową do rozłamu i rozejścia się z niedawnymi przyjaciółmi — przeszedłem bardzo intensywny kurs teorii i praktyki politycznej w Polsce. Zetknąłem się z bliska nie tylko z rzeczywistością, pozbawioną propagandowej szminki sytuacją społeczno-gospodarczą różnych grup obywateli, lecz także z typowymi wówczas naroślami życia politycznego. Zetknąłem się z karierowiczostwem i korupcją, pazernym wykorzystywaniem kombatanckich

zasług, nadużywaniem frazesów i demagogią, ciągotami wodzowskimi i totalitarnymi. Zetknąłem się bezpośrednio z trudnymi problemami mniejszości narodowych, stanowiących wtedy w wielu regionach, województwach, powiatach, miastach czy dzielnicach lokalną większość mieszkańców, świadomych swej odrębności i walczących o swoje prawa. Zetknąłem się wielokrotnie z konspiracją — zarówno pravicową, jak i legionową, a także komunistyczną, wrogą wobec państwa polskiego i sterowaną przez Komintern, wreszcie groźną konspiracją ukraińskich nacjonalistów. Te wszystkie doświadczenia pomogły mi w następnych jeszcze bardziej dramatycznych latach, gdy okoliczności skłoniły mnie do udziału w konspiracji niepodległościowej czasu wojny i okupacji. Nie wyzbyłem się jednak moich obaw i zastrzeżeń, jakie miałem do tej arcy-polskiej formy działania. Nawet wtedy, gdy jest ona konieczna, niesie ze sobą poważne koszty zbiorowe oraz indywidualne. Konspiracja powoduje represje, ofiary, dramaty i tragedie jej bohaterów, a także ich rodzin: cierpią i giną zazwyczaj najlepsi. Część konspiratorów z różnych względów zaczyna działać na szkodę sprawy. Konspiracja jest zawsze ulubionym terenem gry jej wrogów, różnego rodzaju służb specjalnych, które ją zazwyczaj szybko infiltrują, a czasem nawet powołują do życia, aby kontrolować i unieszkodliwiać środowiska potencjalnych przeciwników władzy. Nie uniknęła tego losu i polska konspiracja XIX i XX wieku: sprawy tego rodzaju ciężą latami nad ludźmi podziemia, powodują gwałtowne spory uczestników wydarzeń, a następnie historyków, często zaś toną w tajnych archiwach.

I wreszcie konspiracja jest zaprzeczeniem demokracji, demoralizuje psychicznie, wytwarza i utrwała nawyki mafijne, ostro dzieli świat na garstkę wtajemniczonych i resztę, której przypada rola posłusznych wykonawców anonimowych decyzji lub wprost przedmiotów manipulacji.

Wystąpienie z PMSD miało mi nieoczekiwanie przynieść jeszcze jedną sprawę konfliktową, tym razem typową dla środowiska, w którym urodziłem się i żyłem, sprawę ludzi dorosłych, sprawę honorową. Miewali je ojcowie większości moich kolegów, zwłaszcza oficerowie, miał takie sprawy mój ojciec, jedną zakończoną nawet z bronią w ręku. Wciąż jeszcze uważano, i ja podzielałem ten pogląd, że ludzi należących, jak wtedy mówiono, do towarzystwa, bez względu na to, co robią, obowiązują zasady przyzwoitości, w szczególności chroniące przed potwarzą, obelgą, publiczną obrazą. Uważałem, że demokratyczne poglądy nie oznaczają bynajmniej zgody na prostackie wyzwiska i wulgarną polemikę. Niestety, rozłamowi w organizacji towarzyszyły i takie zjawiska. Jan Lech zarzucił publicznie naszej koleżance M.S., że jest prowokatorem, i trzeba było sądu koleżeńskiego, aby sprawę wyjaśnić. Incydent ten zatrął atmosferę w naszym dotychczas bardzo bliskim, koleżeńskim gronie; po długich i przykrych wyjaśnieniach okazało się, że zarzut był całkowicie fałszywy.

Odchodząc z organizacji, członkowie Rady upoważnili mnie i Zbigniewa Kończackiego do powiadomienia o przyczynach tego kroku naszych seniorów. Podpisaliśmy list, w którym po prostu przesłaliśmy im wyciąg z protokołu ostatniego posiedzenia Rady Naczelnej, zawierający decyzję o opuszczeniu organizacji i jej motywy. Opinia była na ogół taka, że w PMSD rozszedł się „intelekt z aktywem”, i że spór dotyczy raczej poglądów ideowych aniżeli zasad funkcjonowania stowarzyszenia. Z naturalnych względów nie mogliśmy rozgłaszać, że chodzi o konspirację, mogłoby to zaszkodzić wszystkim organizacjom demokratycznym we Lwowie, które prawica wciąż pomawiała o to, że są infiltrowane przez ekstremistów z lewicy. Ustnie wyjaśniłem Stanisławowi Olszewskiemu, o co chodzi — zgodził się ze mną całkowicie.

Jerzy Lerski, który po rozłamie i ustąpieniu Rady Naczelnej pełnił funkcję prezesa organizacji, odpowiedział listem, również skierowanym do seniorów, w którym zarzucił mnie i Zbigniewowi Kończackiemu rozsyłanie „anonimowych paszkwili”, a także „podszywanie się pod władze organizacji”, co całkowicie rozmijało się z prawdą. Obaj wiedzieliśmy, że list

Lerskiego będzie krążył i zostaniemy wciągnięci w niegodne polemiki, jakich przykładem było oszczerstwo pod adresem naszej koleżanki. Nie będąc już członkami organizacji, nie mogliśmy odwołać się do sądu koleżeńskiego. Szczególnie oburzony był Zbigniew Kończacki, dawny kistryniak, kolega z lat dziecińczych Lerskiego, do tego syn wysokiego oficera, który pełnił również funkcję w oficerskim sądzie honorowym we Lwowie. Kończacki był człowiekiem bardzo spokojnym, małomównym, niezwykle delikatnym w obejściu, w przeciwieństwie do mnie nigdy nie angażował się w ostre dyskusje, mimo że w istocie był silnego charakteru, w razie potrzeby umiał zająć twarde, jednoznaczne stanowisko.

Postanowiliśmy, że należy tę sprawę szybko przeciąć: wyjście było proste, potraktowaliśmy ją jako sprawę honorową. Jerzy Lerski był podchorążym rezerwy i nie mógł uchylić się od tej procedury: posłaliśmy mu więc sekundantów, którzy w ciągu trzech dni wraz z sekundantami przeciwnej strony pokojowo rozwiązali spór. Jerzy Lerski złożył przez swoich sekundantów wyjaśnienie i odwołał obraźliwe słowa. Naszymi sekundantami byli dwaj oficerowie — porucznicy Edmund Smalewski i Gustaw Pflanzler, strony przeciwnej — docent UJK dr Stanisław Hubert i sędzia dr Władysław Mikuszewski.

Sprawa nabrała we Lwowie rozgłosu; wyszliśmy z niej wprawdzie politycznie pokonani — musieliśmy przecież opuścić organizację, której byliśmy inicjatorami i współtwórcami — nie daliśmy się jednak szkalować, wciągać w ordynarne polemiki i publicznie obrażać. Rzeczywisty inspirator rozłamu i swarów, Jan Lech przeżył wojnę i zrobił, sądząc z tego, czego dowiedziałem się po latach, karierę partyjno-administracyjną pod sztandarami nowej ideologii.

Upłynęło już ponad pół wieku od czasu tej jedynej sprawy honorowej, uregulowanej według zasad kodeksu Boziewicza, jaką miałem w życiu. Ogromna większość podobnych spraw tak właśnie się kończyła: satysfakcją moralną, honorowo dla obu stron, bo odwołanie obrazy nikogo nie poniżało. Było to ostateczne rozstrzygnięcie: naruszenie honorowej decyzji, powtórzenie obrazy niosło bowiem ze sobą dyskwalifikację w środowisku, w towarzystwie, do którego należeliśmy nie tylko my, ale nasi przyjaciele, rodziny, znajomi.

Sprawy honorowe zdarzały się jeszcze w oficerskich obozach jenieckich, w których siedzieli nasi oficerowie w czasie II Wojny Światowej. Dziś jest to wspomnienie odległej epoki, często przedmiot łatwego ironizowania czy karykatury. Także w czasach II Rzeczypospolitej nie brakło tego rodzaju krytyk, ostrych ataków na ówczesne pojęcie honoru i mechanizmy jego obrony. Patrząc z oddali, z perspektywy zupełnie innej rzeczywistości, sądzę jednak, że ówczesny kodeks, chroniący poczucie własnej godności, pełnił jeszcze jedną, teraz niewidoczną i nie znaną rolę: integrował ludzi różnych pokoleń, dawał im poczucie przynależności do — wprawdzie społecznie i towarzysko ograniczonej — wspólnoty ludzi honoru. Dziś pomysł, aby sprawę słownej obrazy, jaka podzieliła trzech studentów, załatwiali z kodeksem honorowym w ręku ludzie o pokolenie od nich starsi, oficerowie, docenci, sędziowie, wydaje się czymś zupełnie nieprawdopodobnym, wręcz groteskowym. Wtedy była to dla nas wszystkich, młodych i starych, sprawa oczywista i poważna, podlegaliśmy jednakowym zasadom, mieliśmy te same honorowe prawa i obowiązki.

W Klubie i Stronnictwie

Gdy odchodziłem z PMSD, byłem już członkiem Klubu Demokratycznego. Klub, a następnie Stronnictwo Demokratyczne, były we Lwowie nieliczne i podobnie jak poprzednie organizacje, do których należałem, grupowały prawie wyłącznie polską inteligencję, głównie przedstawicieli wolnych zawodów i środowisk naukowych. Pierwszy Klub Demokratyczny w Polsce powstał w Warszawie w październiku 1937 roku. Zorganizowanie się Klubu było wywołane pogarszającą się sytuacją polityczną i ekonomiczną kraju, rozpadem obozu

rządzącego Polską od 1926 roku, od zamachu majowego, wzrostem zagrożenia demokracji przez siły jej wrogie, zarówno te na prawicy, jak i te na lewicy. Istotną rolę w powstaniu Klubu odegrało czasopismo „Czarno na Białym” stworzone i kierowane przez Januarego Grzędzińskiego, a także Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Grzędziński pojawiał się we Lwowie i miałem okazję słuchać jego wystąpień. W swej deklaracji programowej Klub Demokratyczny w Warszawie nawiązywał do idei Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, określał się jako demokratyczna opozycja wobec ówczesnego rządu. W skład Klubów, które powstały szybko we wszystkich wielkich miastach Polski, weszli różni ludzie: była wśród nich grupa wywodząca się z lewicy legionowo-peowiackiej, byli młodzi piłsudczycy, głównie wychodźcy z „Legionu Młodych”. Obok nich znaleźli się działacze demokratycznych Związków Zawodowych oraz grupa starszych wiekiem i doświadczeniem bojowników o niepodległość — jeszcze z czasów zaborów. Nie było też żadną tajemnicą, że do Klubów Demokratycznych wstępują, zgodnie z ówczesną taktyką zdelegalizowanej partii, pojedynczy działacze związani w ten czy inny sposób z ruchem komunistycznym. Było ich mało, głośno opowiadali się nie tyle za demokracją, co przeciwko zagrożeniu faszystowskiemu.

Kilka zaledwie tygodni po powstaniu Klubu w Warszawie, już w listopadzie 1937 roku grupa działaczy lwowskich: legionista Damian Wandycz, przemysłowiec Ignacy Wygard oraz inżynier-chemik Stefan Dażwański, naczelny dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa „Polmin”, podejmują kroki dla zorganizowania Klubu Demokratycznego we Lwowie. Wszyscy ci ludzie stale wspomagali naszą organizację studencką PMSD. W lutym 1938 roku odbyło się pierwsze walne zgromadzenie Klubu we Lwowie, na którym wybrano władze organizacji oraz uchwalono rezolucję programową, gdyż powstające Kluby miały wtedy pełną autonomię. W składzie komisji rewizyjnej znalazł się mój ojciec; stronił on zazwyczaj od polityki, ale wtedy uznał, że wobec zaostrzającej się sytuacji należy wyraźnie określić swej miejsce.

W rezolucji programowej lwowski Klub Demokratyczny wypowiedział się w sposób dobrze charakteryzujący postawę i poglądy ludzi, których połączył.

A oto ów tekst wart przypomnienia:

Nie tworzymy nowego programu ideologicznego. Chcemy zjednoczyć rozproszone elementy szczerze demokratyczne, odrzucając hasła wtłaczane spoza wschodniej i zachodniej granicy przez naszych sąsiadów, świadomi zła, jakie powodują przez rozbijanie naszego społeczeństwa i przez odwracanie jego uwagi od istotnych zagadnień niezależności politycznej i gospodarczej.

Jesteśmy przeświadczeni, że tylko obywatele wolni i równi, nie skrępowani naciskiem totalistycznej biurokracji, są jedynym źródłem gwarancji naszej niezależności. Szukamy takiej platformy porozumienia z mniejszościami narodowymi, by one z pełną wiarą złączyć mogły swe dążenia do lepszej przyszłości z dążeniami Narodu Polskiego do silnej Polski Demokratycznej.

Będąc członkiem lwowskiego Klubu Demokratycznego od początku 1938 roku, obserwowałem z bliska wysiłki podjęte dla stworzenia, na bazie Klubów, Stronnictwa Demokratycznego. Podobnie jak i do Klubów, weszły do niego grupy politycznie bardzo się od siebie różniące. Zaowocowało to później rozłaniem w czasie okupacji i nowym charakterem Stronnictwa po 1944 roku, kiedy to część jego działaczy poparła lubelski PKWN i jego program. Już na ogólnopolskim zjeździe założycielskim we Lwowie wśród działaczy dostrzegłem dwie wyraźne tendencje. Część obecnych, z Eugeniuszem Czarnowskim na czele, chciała natychmiast powołać centralne władze nowego stronnictwa i rozpocząć przetargi z innymi ugrupowaniami, część chciała przede wszystkim określić tożsamość nowo powstającego ugrupowania, jego zasady ideowe i stosunek do aktualnych

problemów politycznych.

Główną postacią zarówno Klubów Demokratycznych, jak i przedwojennego Stronnictwa, był senator, profesor Mieczysław Michalowicz. Był wybitnym uczonym i całe życie działał politycznie, więziony jeszcze za czasów carskich, siedział później w obozie hitlerowskim. Osobiście nie zetknąłem się z nim bezpośrednio, słuchałem go jednak kilkakrotnie na spotkaniach i odczytach. Mówił znakomicie, ale był to raczej sposób mówienia ideowego działacza szukającego filozoficzno-moralnego wymiaru swego zaangażowania, aniżeli organizatora partii politycznej.

Miałem już wtedy dobre kontakty z warszawską centralą Klubów, a następnie Stronnictwa, moim głównym partnerem był młody działacz Rudolf Kryspin.

Zaproponował mi współpracę dla wciągnięcia do nowego ugrupowania młodych ludzi, którzy nadaliby mu więcej życia. Zgodziłem się i zaczęliśmy serię rozmów. Wybuch wojny przekreślił nasze plany i rozłączył nas.

Byłem w tym czasie częstym gościem w domu prezesa lwowskiego oddziału Stronnictwa, Stanisława Olszewskiego, omawialiśmy sprawy polityczne, zarówno miejscowe, jak i ogólne, a te szły źle. Sytuacja na początku 1939 roku zaostrzała się z każdym tygodniem, koledzy podróżujący za granicę wracali z coraz bardziej alarmującymi wieściami, szło wyraźnie ku wojnie i rodziły się wątpliwości co do wiarygodności naszych sojuszników, przede wszystkim Francji. Nie miałem osobiście nigdy żadnych wątpliwości, Jaka będzie faktyczna odpowiedź na retoryczne pytanie francuskiego dziennikarza, które zrobiło wtedy karierę: „Czy warto umierać za Gdańsk?” Wiedziałem aż nadto dobrze, jaki jest prawdziwy stosunek polityków francuskich do spraw polskich, znałem dobrze historię naszej nieodwzajemnionej miłości, od Henryka Walezego poczynając. Pamiętałem także losy mego pradziadka, Jana Żygulskiego, emigranta na paryskim bruku po wydarzeniach krakowskich w 1846 roku.

Z naszej przyjacielskiej grupy, która wciąż trzymała się razem jako członkowie lub sympatycy Klubu i Stronnictwa Demokratycznego, tylko Roman Rostowski, który miał za sobą studia we Francji, wierzył w armię francuską i jej dowódców. Aby rozproszyć dość powszechne już nastroje niewiary w sojusznika, władze zainicjowały wyświetlanie specjalnego filmu propagandowego nakręconego wówczas na zlecenie armii francuskiej. Film nosił tytuł Francja czuwa, poszedłem go obejrzeć. Był zrobiony bardzo inteligentnie. Oto rodzina przeciętnych francuskich mieszczan, wykształconych i zorientowanych w wydarzeniach politycznych, siedzi przy kolacji i komentuje ostatnie wypadki. Ton jest zdecydowanie pesymistyczny — agresorzy, zwłaszcza Hitler, są coraz silniejsi i butniejsi. Liga Narodów bezsilna, społeczeństwo francuskie utraciło bojowego ducha, nikt nie chce znowu pójść pod Verdun, armia jest widocznie słaba. Wtedy obraz na ekranie zmienia się, pojawiają się ogromne działa i bunkry linii Maginota, następnie brygady czołgów, artyleria, ćwiczenia czarnych — senegalskich pułków piechoty, potężne okręty wojenne, sztaby przy mapach, a wśród generałów owiane legendą postacie dowódców z I wojny światowej, Petaina i Weyganda. Trwa to długo i kończy się stanowczo wypowiedzianym zdaniem: „Francja czuwa”.

Rok później prawie bez oporu padnie linia Maginota, rozsypią się pułki czołgów i piechoty, flota francuska (rzeczywiście silna, bo przeznaczona do obrony terytoriów kolonialnych za morzami) nie odegra żadnej roli i ostatecznie w dramatycznej chwili zatopi się sama.

Film zrobił wtedy na mnie wrażenie, nie odpowiedział jednak na pytanie, czy cała ta potęga zostanie użyta również dla obrony sojuszniczej Polski. Równocześnie wzmożyły się moje obawy co do stanu naszej armii: wiedziałem i widziałem służąc w Legii Akademickiej, czym

naprawdę dysponujemy. W porównaniu ze sprzętem technicznym pokazanym w owym filmie wyglądaliśmy jak armia z zeszłego stulecia, tymczasem wiadomo było, iż maszyna wojenna Hitlera jest bardziej nowoczesna niż francuska.

Na wiosnę 1939 roku przez kraj przetoczyła się fala niezwykle, ponurych plotek politycznych: o sporach w kierownictwie państwa, o brakach w armii, o druzgocącej ocenie naszej gotowości bojowej danej przez zachodnich ekspertów, o nadciągającej katastrofie, której już nic nie jest w stanie zapobiec. Nasilenie plotek zaniepokoiło nawet ludzi stale parających się polityką, na ogół przywykłych do takich zjawisk. Stanisław Olszewski widział w tym dowód głębokiego kryzysu obozu rządzącego i wzmożenia frakcyjnych walk o władzę. Na poparcie swej tezy wskazywał samobójstwo pułkownika Walerego Sławka, który w maju 1939 roku niespodziewanie dla wszystkich się zastrzelił. Po śmierci Piłsudskiego on faktycznie przejął władzę i wielu legionistów w nim właśnie upatrywało następcę Marszałka. Walkę o władzę przegrał, ale wciąż cieszył się dużym autorytetem, a to ze względu na swą autentyczną rewolucyjną przeszłość, charakter i czyste ręce. To on był głównym autorem Konstytucji kwietniowej, widziano w nim także człowieka, który w trudnych czasach może być potrzebny krajowi. Samobójstwo Sławka zmartwiło także bardzo mego ojca. doszedł on do wniosku, że sytuacja kraju musi być znacznie gorsza, aniżeli można sądzić. Lato 1939 roku było gorące, lawina wypadków toczyła się coraz szybciej.

Część trzecia.

Sowiecka okupacja Lwowa

Wrzesień 1939

Pod koniec sierpnia byłem już we Lwowie, choć trwały jeszcze wakacje, a rok akademicki miał się zacząć dopiero w październiku. Pewnego dnia byłem umówiony z Aleksandrą Valentówną na rozmowę w kawiarni „Roma”, siedziałem przy stoliku na tarasie, gdyż było bardzo ciepło, i wziąłem do ręki wieczorną gazetę. Na pierwszej stronie, ogromną czcionką, wybita była najnowsza depecha: „Ribbentrop w Moskwie”.

Byłem wstrząśnięty: zrozumiałem, że zawałiła się cała polityka Becka i że wybuch wojny jest przesądzony. Siedzieliśmy do późna w kawiarni, przyszli inni nasi znajomi, nikt o niczym innym nie mógł już mówić, jak tylko o tej złowrożej wiadomości.

Następne dni sierpnia wypełniły gorączkowe przygotowania: w domu kleiłem okna paskami papieru, dostałem opatrunki, zdobyłem szybko kilka masek gazowych. Zgłosiłem się do kopania rowów przeciwlotniczych. Dostałem się do grupy, której wyznaczono miejsce na dawnym cmentarzu Stryjskim, po godzinie kopania pojawiły się kości, było wśród nich dużo dobrze zachowanych czaszek. Część młodych ochotników, widząc to, straciła ochotę do dalszej pracy. Ostatecznie jednak wykopaliśmy rowy: w tydzień później, w czasie kolejnego nalotu niemieckich samolotów w innej części miasta, będę krył się w podobnym rowie.

W dniu ogłoszenia mobilizacji zgłosiłem się w mojej komendzie Legii Akademickiej z prośbą o wcielenie mnie do wojska. Dyżurny oficer zapewnił, że wkrótce będą powołani wszyscy żołnierze Legii.

Wieczorem tego dnia spotkałem się z grupą przyjaciół w restauracji hotelu „George'a”. Sala była pełna, orkiestra grała bez przerwy modną wówczas melodię *Violetta*. Opoдал nas, przy połączonych stolikach siedziało kilkunastu wyższych oficerów, w tym dwóch generałów. Wyglądali na przyjezdnych, rozmawiali głośno i śmiali się. Co jakiś czas pojawiali się inni wojskowi, młodszy rangą, podchodzili do generalskiego stolika, coś meldowali i wychodzili z lokalu. Zналиśmy wielu obecnych, stałych bywalców „George'a”; wszyscy z uwagą przypatrywali się niezwykłym gościom, z pewnym zdziwieniem komentowano znakomity humor naszych wojskowych. Stanisław Olszewski co pół godziny biegł do telefonu — miał w domu zorganizowany nasłuch niemieckiego radia. Wreszcie wrócił z wiadomościami, że sądząc z tonu i treści audycji z Berlina, wojny nie da się już uniknąć. Zawiązała się dyskusja o przypuszczalnym przebiegu wydarzeń, przeważało zdanie, że będziemy musieli przetrzymać pierwsze uderzenie, nawet za cenę oddania sporego terenu, a następnie nasi sojusznicy rozpoczną wielką ofensywę na zachodzie i ostatecznie zwyciężymy. Jednym z ważkich argumentów była opinia, że na dłuższą wojnę Hitlerowi zabraknie ropy, a natychmiast będzie miał przeciwko sobie szczelną blokadę morską.

Nigdy już więcej nie byłem w hotelu „George'a”: gdy pod koniec września wrócę do Lwowa, hotel będzie już zajęty przez okupacyjne władze radzieckie, potem zajmą go Niemcy.

Tej nocy długo chodziłem po mieście, byłem w sąsiedztwie kilku jednostek wojskowych. W oświetlonych koszarach trwał ruch, po ulicach jeździły wyładowane wojskowe wozy zaprzężone w piękne i dobrze utrzymane konie.

Na drugi dzień w środku miasta, na ulicy Akademickiej, byłem w tłumie żegnającym

pierwsze wyruszające oddziały. Piechota z ciężkimi plecakami, ciężkie karabiny maszynowe, jakie w ostatnich latach kupowano ze składek społeczeństwa na Fundusz Obrony Narodowej, tabory konne; rzadko widać było działka przeciwpancerne polskiej produkcji, którymi słusznie chwalili się konstruktorzy. Żołnierzy żegnano bardzo serdecznie. Ogłoszenie mobilizacji przyniosło pewną ulgę w nastrojach, wiedzieliśmy z zagranicznego radia o naciskach sojuszników, aby zwlekać z mobilizacją, zaczynało to już wszystkich niepokoić. Widok tysięcy uzbrojonych, młodych i zdecydowanych bić się żołnierzy uspokajał, wszędzie wisiały jeszcze plakaty z wizerunkiem Rydza-Śmigłego i zapewnieniami, że jesteśmy „silni, zwarci, gotowi”.

Słuchałem wtedy pilnie radia i jak wszystkich, rankiem 1 września zaniepokoiły mnie dziwne komunikaty: "Uwaga, uwaga — nadchodzi!" lub: „Uwaga, uwaga — przeszedł” z podaniem jakichś liczb. Sądziłem w domu, że są to ćwiczenia, próba sprawności wojskowej. Nagle wyraźnie zdenerwowanym głosem spiker warszawskiego radia rozproszył wszelkie wątpliwości — wojna rozpoczęła. Wojska Rzeszy przekroczyły granice, lotnictwo niemieckie bombarduje miasta, Westerplatte broni się, wkrótce należy oczekiwać orędzia Prezydenta.

Byliśmy w domu wszyscy razem, moi rodzice, rodzeństwo i babka. Wiadomość, choć oczekiwana, wywołała poruszenie i przygnębienie starszego pokolenia: przeżyli już jedną wojnę światową, rosyjską okupację Lwowa, wojnę ukraińską i wojnę z bolszewikami. Wiedzieli lepiej od nas, co to oznacza. Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia ustaliliśmy pierwsze poczynania, należało zorientować się, czy będą czynne szkoły. Ojciec był wtedy dyrektorem III państwowego gimnazjum, siostra uczennicą u urszulanek. Należało zobaczyć, jak funkcjonuje miasto. Wychodząc z domu każdy miał zabrać swą maskę gazową.

Około południa wyszedłem z ojcem do miasta, w centrum na ulicach było sporo ludzi, handel działał normalnie, podobnie gastronomia, wydawało się, że nic się radykalnie nie zmieniło. Nadzwyczajne wydania gazet ukazały się dopiero po kilku godzinach. Lwów był daleko od niemieckiej granicy i wydawał się bezpieczniejszy. Byliśmy na placu Mariackim, gdy rozległy się syreny. Pomyśleliśmy z ojcem, że to znowu próbny alarm, gdy wtem pojawił się, w pełnym biegu, otwarty samochód wojskowy. Stał w nim podoficer i krzyczał głośno na przechodniów: „To nalot, to nalot — chować się!” Artyleria przeciwlotnicza zaczęła strzelać, usłyszałem charakterystyczny huk silników, a w chwilę potem silne wybuchy. To były pierwsze bomby, spadły w okolicach kościoła św. Elżbiety, w pobliżu Dworca Głównego, na ulicy Pilichowskiej. Zdumiał mnie wtedy niezwykle spokojny mego ojca, który nigdy nie służył w wojsku, ale był bardzo odważny. Dookoła nas wybuchła panika, rozpoczęła się bezładna bieżanina. Skręciliśmy w boczną uliczkę i wkrótce powróciliśmy do domu, aby opowiedzieć o pierwszym nalocie, jaki przeżyliśmy. W kilka godzin później, już sam, pojechałem obejrzeć zbombardowane miejsce, kilka domów mieszkalnych było uszkodzonych, jeden wręcz rozpruty. Leżały odłamki gruzu i szkła, na bruku widać było ślady krwi, a nawet części poszarpanych zwłok.

Powiesiłem na ścianie dużą mapę Polski i słuchając komunikatów radiowych zacząłem wbijać szpilki z dużymi główkami, zaznaczając przebieg frontu. Czekaliśmy z wielkim niepokojem na komunikat o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez naszych sojuszników, Wielką Brytanię i Francję. Przeszedł wreszcie 3 września; był to jedyny radosny dzień w tym najcięższym w latach wojny miesiącu. Zdawało mi się, i wszystkim naokoło, że los wojny jest już przesądzony, że z takimi sojusznikami sprostamy armiom Hitlera, że cała wojna będzie krótka. Jednak w ciągu następnego dnia szpilki na mojej mapie zaczęły się niebezpiecznie przesuwac — 7 września powiedziałem głośno rodzicom, że z tego, co widzę, armie niemieckie przecięły Polskę i grozi nam klęska — Hitler będzie wkrótce pod Warszawą. Matka przyjęła tę wiadomość ze łzami w oczach.

Naloty na miasto były coraz częstsze, pojawiła się już pierwsza fala uciekinierów z Krakowa. Potwierdzili informacje o pełnym odrocie armii, rozbiciu lotnictwa, okrucieństwach Wehrmachtu, rozpaczliwej obronie słabo uzbrojonych oddziałów i miażdżącej przewadze technicznej nieprzyjaciela. Lwów pęczniał w oczach, już nie tylko uciekinierzy z zachodniej części kraju, lecz także mieszkańcy okolic, zwłaszcza tych, gdzie przeważała ludność ukraińska, szukali w mieście schronienia, by uniknąć powtórzenia wydarzeń z lat 1918—20.

Radio podało wiadomość o upadku Westerplatte, informując równocześnie, że wszyscy obrońcy zginęli. Wkrótce zamilkła rozgłośnia w Raszynie i usłyszeliśmy odległy, charakterystyczny huk, rodzice wyjaśnili nam, że front się widocznie przybliży, bo słychać kanonadę artyleryjską. Pamiętali ją dobrze z poprzedniej wojny.

Młodzi ludzie, zgodnie z nawoływaniami władz, zaczęli opuszczać miasto. Sytuacja stawała się groźna, musiałem rozważyć, co robić, gdy Niemcy podejną pod Lwów lub nawet rozpoczną oblężenie. O ochotniczym zaciągu nikt już nie myślał, rozbite oddziały wycofywały się przechodząc przez miasto na wschód. Zaczęto mówić o śmiałym manewrze naszej armii, koncentracji sił w południowo-wschodnich województwach dla przygotowania kontrofensywy. Wszyscy modlili się o deszcz, gdyż w błocie miały utknąć niemieckie czołgi, niestety, pogoda była cudowna, letnia, gorąca, niebo bez obłoków.

Radio niemieckie podawało triumfalne komunikaty Wehrmachtu o zajęciu całego Śląska, Krakowa, Łodzi, Bydgoszczy. 8 września podało wiadomość o kapitulacji Westerplatte, 9 — o walkach na przedmieściach Warszawy.

Miałem dodatkowe powody do obaw. Byłem, zwłaszcza w okresie poprzedzającym wybuch wojny, zaangażowany w akcje i wystąpienia zdecydowanie antyhitlerowskie, znany byłem w środowisku uniwersyteckim z moich poglądów. Wiedziałem o ścisłej współpracy nacjonalistów ukraińskich i ich jacejek uniwersyteckich z Niemcami: można się było spodziewać najgorszego. Wiedziałem dobrze, co spotkało aktywistów demokratycznych organizacji po zajęciu przez Niemców Austrii oraz Czech.

Podobnie myślało wielu innych moich kolegów: porozumieliśmy się i 10 września, widząc, że położenie na frontach szybko się pogarsza, podjęliśmy decyzję: opuszczamy miasto i idziemy na południowy wschód, wraz z wojskiem. Na pytanie, co robić, jeśli okaże się, że wojna, a w każdym razie ta jej faza, jest przegrana, nie mieliśmy jasnej odpowiedzi, ale zarysowały się od razu dwie opcje. Część już wtedy była zdecydowana przekroczyć granicę, najchętniej węgierską lub rumuńską, i iść na emigrację. Argumenty były proste: powtarzamy polską lekcję historii, która uczy, że po upadku kraju trzeba go opuścić i walczyć dalej za granicą. Tak postępowały poprzednie pokolenia, teraz będzie prościej, bo mamy potężnych sojuszników i w nich nasza nadzieja. Na wiosnę wrócimy z ich armiami do Polski. Nie należy także niepotrzebnie zwiększać strat w ludziach, zwłaszcza wśród demokratycznej inteligencji: postępowanie hitlerowców, nawet w ich własnym kraju i w stosunku do własnych obywateli, wskazuje, co może nas czekać. Druga część, do której należałem, uważała, że nie można przedwcześnie decydować się na opuszczenie kraju, który walczy. Co więcej, nawet w najgorszej sytuacji potrzeba będzie ludzi na miejscu.

Ustaliliśmy, że cała grupa spotka się w nocy z 10 na 11 września na wschodnim przedmieściu Lwowa. W południe zawiadomiłem moją rodzinę o decyzji wyjścia z miasta, zacząłem się pakować. Ubrałem się jak na wycieczkę w góry, wziąłem plecak i najniezbędniejsze rzeczy, trochę pieniędzy. Ustaliliśmy z kolegami, że kto może, weźmie ze sobą broń. Nie miałem oczywiście żadnego pozwolenia, ale zabrałem z domu przechowywany tam rewolwer mojego wuja, Juliana Staszkiwicza, zdobyty przezeń w czasie obrony Lwowa w 1918 roku. Miałem do niego kilkanaście naboju, załadowałem go, był

wielki i ciężki. W czasie I Wojny Światowej ten typ broni służył austriackiej żandarmerii wojskowej. Teraz stanowił poważne ryzyko; w czasie wojny uzbrojony cywil bez stosownych dokumentów może od razu wpaść w groźne tarapaty. Liczyłem jednak, że będziemy w grupie i w razie czego potrafię się wytłumaczyć. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy ze stopnia rozprężenia, jakie zapanowało w kraju. W ciągu następnego tygodnia przebyłem paręset kilometrów przez wsie, miasteczka i miasta, nikt mnie nie zapytał o dokumenty, nikt nie kontrolował, nie widziałem ani jednego posterunku żandarmerii wojskowej.

Ojciec i matka zgodzili się ze mną, że powinienem wyjść ze Lwowa, ale byli bardzo przygnębieni, matka pełna niepokojów i łez.

Noc była ciemna, gorąca, trwały naloty, strzelała artyleria przeciwlotnicza, w mieście płonęły budynki, na które spadły bomby, unosiły się kłęby dymu. Z wysokości ulicy Łyczakowskiej widziałem pełen grozy obraz miasta oświetlonego łunami pożarów. W ciemnościach nie mogliśmy się znaleźć, nie wszyscy widać przyszli o tej samej porze. Część z niejasnych powodów nagle zniknęła i poszła w innym kierunku. O niektórych dowiedziałem się dopiero po latach, o niektórych słuch zaginął. Gdy trochę się rozwidniło, okazało się, że idziemy w kilkusobowej grupie.

Oprócz mnie była tam Maria Fiderer i Przemysław Ogrodziński, Józef Fell i Adam Ostrowski, mało znany mi kolega, Zygmunt Krapiec, oraz dwóch młodych ludzi, których nazwisk nawet nie znałem. Postanowiliśmy oderwać się od frontu i pójść możliwie szybko, forsownym marszem na południowy wschód. W ciągu doby przeszliśmy prawie sześćdziesiąt kilometrów. Przed wyjściem z domu w ostatniej chwili wyrwałem ze starego szkolnego atlasu mapę trzech województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, orientowaliśmy się według tej mapy. W ciągu tygodnia dotarliśmy w okolice Trembowli.

Przez pierwsze dni szliśmy pieszo drogami coraz to bardziej przepelnionymi tłumem uciekinierów. Kilka razy dziennie nalatywały na nas niemieckie samoloty, ostrzeliwując z broni maszynowej. Gdy słyszeliśmy huk motorów, rozpraszaliśmy się i szukaliśmy schronienia w rowach i na polach. Młodzi ludzie szli na południowy wschód w nadziei, że trafią nareszcie na rejon zapowiadanej koncentracji, ale razem z nami szły jedynie rozbite oddziały, w nieładzie. Cały dzień towarzyszyły nam resztki rozbitego krakowskiego pułku lotniczego — żołnierze szli pojedynczo lub parami, znużeni i milczący, bez dowódców, nie chcieli o niczym rozmawiać. W samochodach ciężarowych i osobowych, na furgonach wojskowych, bryczkach i chłopskich drabiniastych wozach uciekała rzesza mężczyzn, kobiet, dzieci i starców, z dobytkiem przypadkowo zgarniętym w chwili opuszczenia domu. Ludzie byli zdezorientowani i zagubieni.

Już wkrótce na emigracji podjęte będą próby usprawiedliwienia, a nawet zaprzeczenia wydarzeniom, jakie w tych dniach września rozegrały się na szosach południa Rzeczypospolitej. Byłem tam i przez cały tydzień widziałem ucieczkę nie tylko wysokich urzędników państwowych, lecz także oficerów z całymi rodzinami. Widziałem nawet żołnierzy służby sanitarnej, którzy w pewnych miejscach usiłowali samorzutnie stworzyć punkty kontrolne, zatrzymywać wojskowych uciekinierów. Prawdą jest, że bohatersko walczyło Westerplatte, że broniła się Warszawa i Lwów, że zmagano się pod Kutnem; prawdą jest jednak także to, że na drogach prowadzących do Rumunii i Węgier działy się rzeczy skandaliczne. Nie jest żadnym usprawiedliwieniem fakt, że w następnym roku podobne wydarzenia powtórzą się we Francji.

Zaraz drugiej nocy w pobliżu miejscowości Pomorzany natknęliśmy się na mały oddział wojska. Dowódca, kapitan, ostrzegł nas, że wokół bandy ukraińskich nacjonalistów atakują cofających się żołnierzy. Zaproponował nam, abyśmy wzięli od niego broń wojskową, pytał,

czy nie mamy jakichś map. Pokazałem mu swoją, szkolną, ucieszył się ogromnie. Wkrótce zaobserwowałem, że nasze cofające się oddziały zachodzą do szkół wiejskich i szukają map, bo nie mają ich w swoim wyposażeniu. W tydzień później przekonałem się, że wkraczające radzieckie oddziały miały mapy obejmujące tereny aż po granicę Jugosławii.

W ówczesnej panice na drogach można było napotkać niezwykle obrazki: czas jakiś szliśmy obok człowieka, który uciekał jadąc, bardzo powoli, na olbrzymim walcu drogowym. Gdy go zapytałem, dlaczego to robi, odpowiedział: „Nie rzucę przecież walca, odpowiadam za niego”. Od czasu do czasu ktoś uciekał pod prąd, w przeciwnym, północnym kierunku, powodując dodatkowe zamieszanie. Administracja publiczna tamtych terenów znikła zupełnie, nikt nawet nie usiłował utrzymać jakiegokolwiek porządku. Żywiół górował nad wszystkim.

Czwartego dnia nasza sytuacja niespodziewanie się poprawiła. Byliśmy wszyscy wyczerpani marszem, nalotami i widokiem niebywałego chaosu, jaki nas otaczał, kończyły się nam wzięte z domu zapasy jedzenia. Postanowiliśmy zejść do leżącego opodal drogi dworku ziemiańskiego, poprosić o pomoc, możliwość odpoczynku, żywność. Przyjął nas zaraz starszy już właściciel, przedstawiliśmy się, pamiętam, iż jego nazwisko zaczynało się na literę K. W dwa tygodnie później dowiedziałem się, że jako ziemianin został aresztowany przez władze radzieckie i wywieziony. Gdy wytłumaczyliśmy, kim jesteśmy i o co prosimy, pozwolił nam umyć się i zjeść, dał także wiktuały na drogę. Po godzinie wyruszyliśmy dalej i wtedy, żegnając się, nasz chwilowy gospodarz zaproponował nam parę koni i wielki wóz drabiniasty: „Weźcie, gdy będzie można, oddacie mi, jeśli nie, to sprzedajcie, ale konie oddajcie w dobre ręce”. Przyjęliśmy ten nieoczekiwany dar, choć nikt z nas nie potrafił obchodzić się ani z końmi, ani z wozem. Nie było jednak czasu na naukę, podziękowaliśmy i pojechaliśmy dalej. Na wozie umieściliśmy plecaki i odpoczywaliśmy na nim na zmianę.

Od początku wędrówki, zwłaszcza w nocy przekonałem się, że porządek panował jedynie w dość licznych wtedy na tamtym terenie polskich wsiach. Z wybuchem wojny chłopcy zorganizowali natychmiast własną straż nocną, pilnowali wejść do wsi, utrzymywali, jak mogli, spokój. Obawiali się przede wszystkim nacjonalistów ukraińskich, gdy orientowali się, że jesteśmy Polakami, i to z miasta, przepuszczali nas i wskazywali drogę.

W piątym dniu drogi przybyliśmy do miejscowości Podhajce, pamiętnej z czasów Jana Sobieskiego, gdy miasto było zagrożone przez armię tatarsko-kozacką. Okazało się, że mieszka tam bliska rodzina jednego z naszych towarzyszy, Józefa Fella: udzielono nam bardzo serdecznej gościny, poinformowano o sytuacji. Wyglądała strasznie — Warszawa i Lwów były oblężone, armia poznańska Kutrzeby — rozbita, Niemcy przeszli już na tereny na wschód od Wisły i Bugu. Żadnej pomocy od sojuszników nie widać. Postanowiliśmy ruszyć naszym wozem dalej, w kierunku na Trembowłę.

Po południu 17 września znaleźliśmy się znowu w gościnie w dworze ziemiańskim najbliższym naszej drogi. Majątek był wielki, zaproponowano nam posiłek w ogromnej kuchni. Od służby dowiedzieliśmy się, że już dwa dni siedzi tu grupa wysokich urzędników z jakiegoś ministerstwa w Warszawie i że na podwórzu palą bez przerwy przywiezione dokumenty.

Nieoczekiwanie zanim skończyliśmy nasz posiłek, usłyszeliśmy niedalekie strzały i huk motorów, leciały samoloty. Huk ten wydawał mi się jakiś inny, jakby nie niemieckich maszyn, do dźwięku których już się przyzwyczyłem. Zdecydowaliśmy się natychmiast opuścić dwór i ustawiliśmy wóz na drodze, która nagle zaczęła pustoszeć. Z przejeżdżającego szybko samochodu ktoś nam krzyknął, że droga jest zablokowana przez sowieckie czołgi, które strzelają do ludzi. Ruszyliśmy więc w przeciwną stronę, na północ, poganiając ile się da

konie, i po kilku minutach byliśmy sami na zupełnie pustej szosie. Jeszcze kilkaset metrów i natknęliśmy się na grupę kilku osób uciekających w naszym kierunku. Z beładnych krzyków wynikało, że i w tym kierunku drogę blokują obce czołgi, strzelając do wszystkiego, co się rusza.

Zeskoczyłem z wozu i kazałem powożącemu Zygmuntowi Krapcowi skierować go prosto w pole, było to pastwisko przechodzące w podmokłą łąkę. Dołączył do nas nie znany młody chłopak, miał przestreloną z tyłu marynarkę, cudem ocalał, uciekał z ostrzelanego samochodu. Wóz po chwili utknął w bagnie, zostawiliśmy go i wyprzęgając konie pobiegliśmy od szosy w kierunku najbliższych zabudowań. Odległość nie była większa niż kilometr.

Wieś okazała się ukraińską: kanonada zaniepokoiła chłopów, kilka grupek obserwowało nas podejrzliwie. Zacząłem rozmawiać z ludźmi, oświadczyłem, że musimy tu zanoć, gdyż nasz wóz utknął w bagnie. Rano wyciągniemy go i pojedziemy dalej. Na propozycję, byśmy się rozdzielili i nocowali każdy w innej chałupie, odpowiedziałem twardo, że zajmujemy wszyscy jedną chałupę na skraju wsi. Mieliśmy ze sobą zaledwie dwa rewolwery i niewielką ilość naboju, zajęliśmy wybrany dom i postanowiliśmy całą noc pełnić warty. W pobliżu trwała strzelanina, błyskały światła — widocznie przechodziły oddziały wojska — i sądziliśmy, że Ukraińcy nie zaryzykują napadu.

Gdy stałem w nocy na warcie, dwóch młodych towarzyszy, którzy szli z nami ze Lwowa (jeden z nich był synem znajomego profesora uniwersytetu) podeszło do mnie po cichu. Postanowili wyruszyć natychmiast w kierunku granicy rumuńskiej, bo jutro może być za późno. Nie zatrzymywałem ich, nie wiedziałem sam, co przyniesie następny dzień i co właściwie się wokoło dzieje.

O świcie bardzo ostrożnie, kryjąc się w polu kukurydzy, podszedłem do szosy. Po chwili zobaczyłem przejeżdżający niewielki oddział kawalerii, nie więcej niż pięćdziesięciu jeźdźców. Poznałem ich sylwetki, mundury, inny niż polski sposób trzymania się w siodle: nie było wątpliwości, to była radziecka kawaleria. W pół godziny później przejechał niewielki oddział pancerny, na czele jechał samochód pancerny, widziałem, jak się obraca lufa, od czasu do czasu padał strzał, choć nie widać było żadnego celu.

Postanowiliśmy odczekać parę godzin i ruszyć w stronę powrotną, na Podhajce. Nie mogliśmy ryzykować dalszego pobytu we wsi, której mieszkańcy patrzyli na nas coraz bardziej wrogo. Po południu wydobyliśmy z błota nasz wóz i ruszyliśmy.

Wciąż jeszcze nie było dla nas w pełni jasne, co się właściwie stało. Już kilka dni nie mieliśmy wiadomości ani z radia, ani z gazet, rozważaliśmy więc różne warianty sytuacji, która mogła doprowadzić do pojawienia się armii bolszewickiej na naszych terenach. Można było przypuścić, że Armia Czerwona wkroczyła zaniepokojona przybliżaniem się wojsk niemieckich do jej granic i że jest to jakaś — oczywiście pod każdym względem bardzo kosztowna — forma pomocy Polsce. W nieudanych rokowaniach z zachodnimi sojusznikami Moskwa stale wysuwała sprawę ewentualnego przemarszu przez Polskę, ale Beck stanowczo odrzucił takie projekty. Może teraz rozwój sytuacji na frontach zmusił go do ich przyjęcia? Przy takim wkroczeniu incydenty, strzelanina byłyby nieuniknione i stanowiłyby dodatkową cenę pomocy.

Druga możliwość była gorsza. Widząc naszą klęskę militarną Rosja, biorąc odwet za 1920 rok, zajmuje wschodnie tereny Polski. Wydawało mi się, że to drugie przypuszczenie jest bardziej prawdopodobne, już wtedy uświadomiłem sobie, że zaszły wydarzenia ogromnej wagi nie tylko dla Polski, być może nawet ważniejsze niż nasz konflikt zbrojny z Niemcami.

Rewolucja bolszewicka wyszła ze swych granic, ustanowionych w latach dwudziestych głównie dzięki zwycięstwu Polski w wojnie, przełamała kordon sanitarny, który dyplomacja zachodnia zbudowała po Wersalu. Jeśli tak, to znowu odżyło hasło Lenina i Trockiego z 1920 roku: „Po trupie Polski do światowej rewolucji”, i Polska jest pierwszą ofiarą.

Większość moich towarzyszy przychyliła się jednak do pierwszej wersji i bardziej optymistycznie niż ja patrzyła na wydarzenia ostatniej doby. Nikt z nas nie przypuszczał, że mamy do czynienia z nowym, wcześniej ukartowanym rozbiorem Polski. Dopiero za parę dni dostanę do ręki numer gazety „Izwestia” z 18 września 1939 roku, z wydrukowaną mapą. Linia demarkacyjna między Niemcami a Rosją leży na tej mapie wzdłuż Narwi, Wisły i Sanu, zostawia po radzieckiej stronie nie tylko Lwów i Wilno, lecz także Białystok i Lublin, Zamość i Pragę — prawobrzeżną część Warszawy. Linia ta nie miała nic wspólnego ani z ówczesną mapą etnograficzną, ani z tzw. linią Curzona, na którą nieraz propaganda wroga Polsce usiłowała się powoływać. Wkrótce dojechaliśmy do pobliskiej wsi Złotniki. Na placu w środku wsi było tłumnie, nie ujrzałem jednak żołnierzy; postanowiliśmy zatrzymać się i kupić coś do jedzenia, a także dowiedzieć się czegoś o sytuacji. Nasze pojawienie się wywołało w tłumie widoczne poruszenie, jacyś młodzi ludzie podeszli do koni, zaczęli je oglądać i poklepywać, inni wyraźnie nas otaczali. Zorientowałem się, że jesteśmy we wsi ukraińskiej, wojska czerwone przeszły tędy, żadnych władz ani oddziałów polskich już tutaj nie ma. Wtem jakaś starsza kobieta podeszła z boku do naszego wozu i powiedziała cicho; „Uciekajcie, bo was zaraz zabiją”. Nie było chwili do stracenia: wyjęliśmy broń i zacięli konie, tłum rozstał się, poleciały za nami kamienie i obelgi. W kilka godzin później we wsi był pogrom, jego ofiarami padli miejscowi Polacy i Żydzi. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko jechać szosą do większego miasteczka, a jeśli można, wprost do Podhajec. Parę kilometrów za wsią zobaczyłem z bliska pierwszego krasnoarmiejca: kołysał się na koniu i nie zwracał na nas żadnej uwagi. Wkrótce minęliśmy oddział kawalerii liczący około stu ludzi. Przejechaliśmy obok nich niby spokojnie, ale po kilku minutach

zorientowałem się, że dogania nas z tuzin jeźdźców, którymi dowodzi ktoś wyższy rangą. Otoczyli nasz wóz, kilku zeskoczyło z koni, zobaczyliśmy wymierzone w nas lufy i usłyszeliśmy rozkaz: „Oddać broń!” Opór nie miał sensu, oddaliśmy nasze dwa rewolwery, kawalerzyści zrewidowali nasze plecaki, zabierając turystyczne noże. Teraz padło pytanie: „Kim jesteście, skąd macie konie?”

Dopiero później zrozumiałem, skąd to zainteresowanie końmi: od czasów kolektywizacji w Rosji i na Ukrainie nikt nie mógł mieć własnych koni, posiadacz konia był dla tych ludzi od razu kimś podejrzanym. Żołnierze mówili łamanym rosyjsko-ukraińskim językiem, który wtedy już nieźle rozumiałem, przyzwyczajony od dziecka do ukraińskiego. Zacząłem tłumaczyć, że jesteśmy studentami, uciekinierami, uciekamy przed frontem, przed hitlerowskimi Niemcami, teraz chcemy wracać do domu, do Lwowa. Konie otrzymaliśmy od znajomych na drogę.

Nieoczekiwanie dla mnie Maria Fiderer i Przemysław Ogrodziński wyciągnęli z plecaków swe legitymacje partyjne, byli członkami PPS, i pokazali je na dowód, że są, jak to określili, antyfaszystami. Nie na wiele to się przydało, dowódca patrolu odsunął legitymacje i powiedział dobitnie: „PPS to partia burżuazyjno-nacjonalistyczna”. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że Armia Czerwona działa w sojuszu z Hitlerem i że przedstawianie się jako „antyfaszysta polski” nie było najlepszą rekomendacją.

Nagle ton dowódcy, dotychczas raczej spokojny, gwałtownie się zmienił, żołnierz pełnym nienawiści głosem krzyknął: „Zejsz z wozu, ręce do góry, ustawić się nad rowem, obrócić się!”

Stałem pierwszy w szeregu nad rowem przydrożnym, przed sobą miałem szerokie, jasne pole, za plecami — krasnoarmiejców z karabinami i ich dowódcę z naganem w dłoni. Wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin były tak nieoczekiwane i koszmarnie, tak przytępiły moje reakcje, że wydawało mi się wręcz oczywiste, że właśnie tu przyjdzie mi zakończyć życie. Przemknęła mi przez głowę myśl, że zapewne moja rodzina nigdy się nie dowie, co się ze mną stało.

Oficer, lejtnant, wytrzymał nas dłuższą chwilę, następnie kazał nam się obrócić i podszedł do mnie. Oparł mi nagan na brzuchu, stałem nadal z podniesionymi rękami, a on zaczął... przemówienie propagandowe! „Żyliście tu bardzo źle, my o tym wiemy. Było tu bardzo ciężko, głód i ucisk, rządzili wami kapitaliści, bankierzy i obszarnicy. Nie było żadnej wolności. Przyszliśmy was wyzwolić, pańskiej Polski już nie ma i nigdy nie będzie, będzie tu władza radziecka, radziecka Ukraina, ale i wam, Polakom, będzie dobrze. Musicie tylko uczciwie pracować, a zobaczycie, jak sprawiedliwy jest radziecki ustrój.”

Słyszałem potem setki propagandowych przemówień, ale to jedno, pierwsze, z ust bolszewickiego lejtnanta wciskającego mi nagan pod żebra, zapamiętałem dokładnie na całe życie. Było w nim coś z upiornej groteski: patrząc mu z bliska w twarz widziałem, że nie tylko przeszedł niedawno stosowne przeszkolenie, lecz że rzeczywiście wierzył w to, co mówił.

Na razie zakończył swój wykład, cofnął się o krok i kazał nam opuścić ręce. Teraz oznajmił, że mamy rozkaz przenocować w najbliższej chałupie, nigdzie się stamtąd nie ruszać, a nazajutrz pojedziemy z jego oddziałem. Trzech żołnierzy na koniach odprowadziło nas wraz z wozem do najbliższej zagrody. Mieszkał tam miejscowy działacz polskiego związku włościańskiego. Stał na podwórzu i widział, co się z nami stało, przyjął nas spokojnie, nakarmił, przygotował nocleg na sianie. Rozmawiałem z nim długo. Nie dopuszczał myśli o klęsce, a zwłaszcza utracie tych ziem, sytuację traktował jako chwilową, był przekonany, że trzeba przetrwać i wszystko się zmieni. „To jest Podole, to jest Polska, jesteśmy tu od pokoleń, mogą nas wypędzić, ale i tak tu wrócimy, to nasza ziemia” — powtarzał spokojnie.

Rano przyjechali po nas krasnoarmiejcy i wskazali nam miejsce w taborze oddziału, między ich dwoma wozami. Ruszyliśmy, wyglądało, że traktują nas jak jeńców. Z rozmów i zachowania żołnierzy wynikało, że obawiają się niespodziewanego ataku czy też podstępu.

Okolo południa wydarzył się tragiczny incydent. Przejeżdżaliśmy właśnie koło wiejskiej zagrody, gdy usłyszeliśmy z jej wnętrza krzyk kobiety i jak gdyby dźwięk rozbitego naczynia. Bez żadnego rozkazu żołnierze znajdujący się obok nas zaczęli strzelać w kierunku chałupy, towarzyszący nam z tyłu oddział kawalerii rozwinął się w szyk i z dobytymi szablami ruszył przez pole, kierując się na dom. Wozy zatrzymały się, wydarzenia rozegrały się w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów od nas. Z chałupy wybiegły dwie wiejskie baby i stary mężczyzna, padli na kolana i żegnając się szerokim gestem, z krzykiem wzywali łaski Bożej; po chwili wszyscy leżeli na trawie podziurawieni kulami. Grupa żołnierzy przeszukała dom, po kwadransie ruszyliśmy dalej. Po jakiejś godzinie zagadnąłem po ukraińsku jadącego obok mnie krasnoarmiejca; „Co tam znaleźliście w tym domu?” Odpowiedział spokojnie: „A nic”.

Pod wieczór znaleźliśmy się w Podhajcach. Tu, na ulicach zatłoczonego miasteczka, pełno było samochodów i oddziałów radzieckich, szyk został rozerwany, tabory, z którymi jechaliśmy, gdzieś się odłączyły, skręciliśmy wozem w bok i czekaliśmy. Nikt nas nie wzywał, nie zmuszał do dalszej jazdy.

Wkrótce byliśmy znowu w domu rodziny Fellów, gdzie znaleźliśmy gościnę i pomoc. Wiadomości o sytuacji w kraju i na świecie były ponure. Bronił się wprawdzie jeszcze Lwów,

bronila Warszawa, ale rząd i wódz naczelny opuścili kraj i schronili się w Rumunii. Na żadną pomoc sojuszników liczyć nie możemy. Niemcy hitlerowskie i Rosja bolszewicka są w sojuszu, polski ambasador musiał opuścić Moskwę, ziemie, na których jesteśmy, mają być przyłączone, jako Zachodnia Ukraina, do Ukrainy radzieckiej.

Dopiero w Podhajcach, we względnie bezpiecznym miejscu, mogłem przyjść do siebie i ocenić sytuację. W mieście był już radziecki komendant, znalazł też pomocników wśród miejscowych, niektórzy z nich nałożyli na rękawy czerwone opaski. Zaprowadzono szybko względny porządek, ale łączność kolejowa była przerywana. W magazynach kolejowych było wciąż sporo towarów i pewnego ranka wdarła się do nich, zabijając strażnika, grupa okolicznych ukraińskich chłopów. Przejeżdżający przypadkowo oddział radziecki otworzył do nich ogień z samochodu ciężarowego, na którym umieszczony był karabin maszynowy, używany wówczas do zwalczania nisko lecących samolotów. Całą następną dobę słychać było krzyki rozpaczliwych kobiet, które przyszły ze wsi zabrać zabitych i rannych w tej masakrze.

W domu Fellów znalazł także schronienie ziemianin z okolicy, dr Aleksander Raczyński, prawnik, po 1918 roku długoletni prezes Krajowego Urzędu Odbudowy, w gabinecie Kazimierza Bartla minister rolnictwa, znawca prawa pracy, pracownik naukowy UJK. Był to starszy, elegancki pan, zbiegł ze swego majątku jedynie z małą podróżną walizką i żółtą maseczką na czarnej wstążce, którą stale nosił na rękę. Wyjaśnił mi, że w sierpniu zamówił w prywatnej firmie we Lwowie maskę gazową i tylko taką mu przysłali. Przesiadywałem długo w jego pokoju, rozmawialiśmy o sytuacji, widział ją w' bardzo ciemnych barwach, także osobiście. Miał ze sobą klucz do sejfów w Banku Hipotecznym we Lwowie. Majątek ziemski, który prowadził, był już rozgrabiony przez chłopów, doniesiono mu o szczegółach: martwiło go zwłaszcza, że wyrżnięto całkowicie rasowe kury, które sprowadził dla swej fermy z Danii; „Za sto lat nie będą tu mieć takich kur” — powtarzał mi codziennie.

Okno pokoju, w którym mieszkał, wychodziło na miejscowy areszt, przejęty już przez NKWD. Co dzień widział, jak przywożą jego sąsiadów-ziemian i sam z godziny na godzinę oczekiwał podobnego losu. Posłużyłem mu raz za tłumacza, gdy weszła kolejna kontrola, dwóch krasnoarmiejców; zapytany, czym się zajmuje, Raczyński podniósł się z krzesła i z godnością oświadczył, iż jest ziemianinem. Na szczęście wytłumaczyłem żołnierzom, że stary człowiek pracuje jeszcze na ziemi, ale zachorował i przyjechał leczyć się w miasteczku.

Po kilku dniach przeżyłem znowu wstrząs: przez miasto pędzono dużą grupę jeńców, byli to wzięci do niewoli polscy żołnierze, w tym wielu oficerów w mundurach różnych formacji. Szli długą kolumną, prawie bez rzeczy osobistych, nawet bez czapek, wydali mi się jacyś bierni, posłuszni. Konwojowała ich zaledwie garstka krasnoarmiejców z karabinami w rękach, ucieczka, zwłaszcza w miasteczku, była w tych warunkach bardzo łatwa. Skorzystał z niej tylko jeden człowiek, chorąży w średnim wieku, który wykorzystując chwilę nieuwagi konwoju, na moich oczach skrył się za zabudowaniami w pobliżu domu Fellów. Zaprosiłem go do środka, szybko zrzucił mundur, przebrał się w stare ubranie parobka i zniknął. Mundur zniszczyliśmy.

Ogromna większość z tych pędzonych wówczas po ulicach Podhajec oficerów szła drogą, która prowadziła do Katynia. Zastanawiałem się nieraz, wracając myślą do tego widoku, dlaczego byli tacy bierni, jakby w stanie głębokiego szoku. Sądzę, że były po temu różne powody: pogodzenie się z losem wziętego do niewoli żołnierza, wiara w status jeńca, ale także wewnętrzne, psychiczne załamanie, moment głębokiego zwątpienia, utraty wiary w naszą zdolność do istnienia jako samodzielnego państwa, w sens jego obrony. Gdy 17 września klęska militarna zamieniła się w katastrofę, uczucia takie przeżywało wielu ludzi, nie tylko żołnierze. Gorycz tej chwili była niezmierna, paraliżująca każde działanie,

wypowiadano wtedy, zwłaszcza wśród inteligencji, sądy nihilistyczne, powtarzano opinie głoszone kiedyś przez francuskiego filozofa Pierre'a Proudhona, że Polska zginęła zgodnie z prawem historii. Otrzeźwienie przyszło szybko, już w październiku w kraju i za granicą zaczynamy odzyskiwać równowagę psychiczną i zbiorową wolę, wchodzimy w tak dobrze historycznie wyćwiczone role, role emigracji i konspiracji, walki o niepodległość. Chwila szoku jednak była i porażała ludzi.

Pod koniec września sprawy zaczęły się przejaśniać: Lwów obronił się wprawdzie przed atakiem Niemców, ale poddał się Armii Czerwonej, Warszawa kapitulowała, kraj przecięła nowa granica dwu zaborów, działania wojenne dobiegały końca. Mogliśmy opuścić Podhajce i gościnny dom rodziny Fellów, którym tyle zawdzięczaliśmy. Znaleźliśmy samochód ciężarowy, którego kierowca zgodził się odwieźć nas do Lwowa, sprzedaliśmy wóz i konie, za te pieniądze wróciliśmy bez przeszkód. W Podhajcach krążyły budzące grozę opowieści o zniszczeniach, pożarach i bombardowaniach Lwowa; sam słuchałem godzinnego opowiadania naocznego świadka spalenia budynku Teatru Wielkiego. Na szczęście okazało się, że straty są stosunkowo niewielkie, a budynek teatru nie uszkodzony.

Tak oto wróciłem z dramatycznej, wrześniowej wędrówki do mego drogiego miasta, bliskich mi ludzi, mieszkania i książek. Rodzina, a zwłaszcza matka, witała mnie jak powracającego z tamtego świata.

Był to jednak już zupełnie inny Lwów.

Dzień po klęsce

Lwów zastałem przepelniony ludźmi i ogłuszony wydarzeniami. Wkrótce po powrocie odbyłem dłuższą rozmowę z prezesem Stronnictwa Demokratycznego, Stanisławem Olszewskim. Uważał, że wobec klęski, jaką ponieśliśmy, najważniejsze jest przetrwanie, zorganizowanie powszedniego, codziennego życia. Na ogólne perspektywy patrzył optymistycznie. Jest już przecież rząd na emigracji, tworzy się nowa armia we Francji, sojusznicy są z nami, na wiosnę rusza ogromna ofensywa aliantów i wszystko się zmieni. Granice nie były jeszcze szczelne, stosunkowo łatwo można było przejść na drugą stronę, do utworzonej przez Niemców Generalnej Guberni, skąd przenikały wiadomości o ostatnich wydarzeniach. Przez okazję dotarł list z Warszawy od mojej ciotki, Wandy Pogonowskiej: przeżyła z całą rodziną wrzesień, ale w czasie bombardowania zginęli członkowie dalszej rodziny, w tym kuzyn i serdeczny przyjaciel mego ojca, prawnik, Feliks Flechner.

Wielu uciekinierów z zachodniej części kraju opuściło Lwów wracając do siebie, zaczęto też organizować szlak emigracyjny przez Karpaty Wschodnie na Węgry, szli przede wszystkim młodzi ludzie z nadzieją zaciągnięcia się do armii we Francji. Byli wśród nich moi koledzy, miałem propozycje przyłączenia się do nich. Zdecydowałem się pozostać w kraju, we Lwowie, gdyż los emigranta nie pociągał mnie, sądziłem, że przynajmniej część aktywnych ludzi powinna pozostać na miejscu.

Tymczasem okazało się, że będą pracować wyższe uczelnie, przede wszystkim uniwersytet, i że będę mógł kontynuować studia na trzecim roku prawa.

Wtedy to, w październiku 1939 roku, uczestniczyłem w poufnym spotkaniu, jakie odbyło się na uniwersytecie, na katedrze prawa międzynarodowego. Uczestniczyło w nim kilkanaście osób, w większości starszych ode mnie, asystentów i docentów, ludzi związanych lub bliskich demokratom. Zebranie prowadził docent Zenon Wachlowski — współpracownik profesora Ludwika Ehrhcha.

Krótko wyłożył swój pogląd na sytuację i wypływające z niej wnioski. Ponieśliśmy klęskę, mówił, ale za jakiś czas wszystko się odwróci, zachodni sojusznicy są potężni i zarówno Niemcy, jak i Związek Sowiecki muszą przegrać wojnę. Katastrofa wrześniowa oznacza także koniec rządów pomajowych, zaczną się walki polityczne na emigracji, zacznie się konspiracja niepodległościowa w kraju. Jest ona konieczna ze względów patriotycznych, ale także, co trzeba powiedzieć otwarcie, z niej właśnie wyjdzie kolejna grupa rządząca Polską, która obejmie władzę po wojnie. Wniosek jest prosty — zacznijmy konspirację.

Kilka osób poparło Wachlowskiego, gdy głos zabrał Przemysław Ogrodziński; oświadczył, że dla niego i kolegów, których reprezentuje, propozycja jakiegokolwiek konspiracji przeciwko Związkowi Radzieckiemu jest nie do przyjęcia. Ogrodziński reprezentował lewicę PPS zasiloną we Lwowie licznymi uciekinierami z innych części Polski (później zostanie wraz z ojcem uwięziony za fałszowanie dokumentów paszportowych; obaj nieoczekiwanie dość szybko wyjdą z więzienia). Dowiedziałem się wkrótce, że w środowisku tym trwają ożywione dyskusje, że część ludzi uznaje klęskę wrześniową za ostateczny koniec niepodległego państwa i odrzuca możliwość podjęcia walki o jego odbudowę. Już wtedy zatem zarysowała się głęboka, zasadnicza linia podziału lewicy. Linia ta — w pierwszym okresie okupacji niemieckiej jeszcze ukryta — w kilka lat później ujawni się w pełni w Lublinie: najostrzej przebiegała ona właśnie w środowisku inteligencji. Zenon Wachlowski nie mylił się w swych przewidywaniach. Rzeczywiście wkrótce powstała bardzo rozległa konspiracja niepodległościowa dążąca do odbudowy państwa polskiego przez walkę z okupantami. Jednocześnie w miarę zbliżania się końca wojny rozpoczęła się coraz ostrzejsza, zaciekle walczyła o przyszły kształt polityczno-ustrojowy i przede wszystkim o władzę w przyszłej Polsce. Po paru miesiącach, w okresie masowych aresztowań przeprowadzanych przez NKWD, zabrano także Zenona Wachlowskiego. Jego żona poruszała niebo i ziemię, aby uzyskać zwolnienie męża, trafiła między innymi do Wandy Wasilewskiej, niczego jednak nie uzyskała. Zaraz po powrocie do Lwowa dowiedziałem się też, że wśród pierwszych aresztowanych był mój profesor, Stanisław Grabski.

Uniwersytet lwowski zaczął działać, co więcej, był wykorzystywany jako miejsce różnych spotkań i dyskusji politycznych o zupełnie nienaukowych celach. Przeżywaliśmy wtedy prawdziwy najazd znanych w ZSRR osób, każda z nich chciała się pojawić we Lwowie, jak się później okazało, w bardzo różnych zamiarach.

Zwoływane na uniwersytecie spotkania obliczone były na pozyskanie miejscowej inteligencji. Byłem na jednym z pierwszych takich zebrań w Col-legium Maximum, mówcą był pisarz z Kijowa, scenarzysta filmowy i dramaturg, wkrótce mąż Wandy Wasilewskiej, Ołeksandr Kornijczuk. Ubrany w wojskową bluzę, z rewolwerem u pasa, rysował obraz przyszłości Lwowa w tych samych mniej więcej słowach, jakich na szosie podolskiej używał pierwszy spotkany przeze mnie w życiu lejtnant Armii Czerwonej. Dodał tylko jedno wyrażenie, miało ono widocznie podkreślić, że mamy do czynienia z intelektualistą. Mówiąc o przyszłości Lwowa i metodach, jakie będą stosowane dla przyspieszenia przemian, dodał: "I pamiętajcie, że my nie jesteśmy wegetarianie". Zapamiętałem to zdanie, dobrze oddawało istotę rzeczy.

Na tym i podobnych zebraniach pojawiali się także miejscowi mówcy —jednym z pierwszych, którego słyszałem, był prawnik, dr Stefan Rozmaryn. Kaleczył niemilosiernie język, starając się mówić po ukraińsku, chociaż tolerowano wtedy, zwłaszcza na trybunie, także język polski. Publicznie gorąco dziękował władzy radzieckiej za, jak to określił, „wyzwolenie Lwowa" i oświadczył, że czuje się szczęśliwy, bo „ma nową ojczyznę, w której jest wolny".

Bywały jednak jeszcze wtedy, w pierwszych miesiącach działania uniwersytetu, przypadki

publicznej dyskusji i sprzeciwu. Jeden z nich pamiętam szczególnie dobrze, dotyczył bowiem sprawy kapitalnej, nie tylko dla prawników. Było to spotkanie na Wydziale Prawa, uczestniczyli profesorowie radzieccy z Moskwy i Kijowa oraz niektórzy nasi z UJK, o bardzo znanych nazwiskach, wśród nich profesor Juliusz Makarewicz, którego wykładów prawa karnego wtedy właśnie słuchałem. Przemawiając charakterystyczną piękną, logiczną i zwięzłą polszczyzną podjął on polemikę z zasadami radzieckiego prawa karnego, które przybyli z Moskwy uczeni przedstawili jako wzór i wyraz postępu. Chodziło o podstawy wymiaru sprawiedliwości, przede wszystkim kwestię odpowiedzialności jednostki: czy proces karny ma być ściśle związany z pojęciem winy i kary, czy też z pojęciem zagrożenia społecznego ze strony jednostki i obowiązkiem prawa zapobiegania temu zagrożeniu. Makarewicz w publicznej dyskusji, w obecności zarówno studentów i wykładowców UJK, jak i prawników radzieckich, nie tylko zdecydowanie bronił zasady, że nie może być odpowiedzialności karnej bez udowodnionej przed sądem winy jednostki, ale także wskazywał na skutki, jakie powoduje porzucenie tej zasady. Otwiera to, mówił, drogę do zaocznych sądów karnych, do arbitralnego ustalania kryteriów zagrożenia społecznego, do odpowiedzialności zbiorowej, gdyż łatwo przyjąć możliwość, że za „zagrożenie społeczne” uznana zostanie cała grupa ludzi. Goście mieli swoje argumenty i nawet częściowo przyznawali rację Makarewiczowi, dyskusja była prowadzona według reguł naukowych, przybysze mówili po rosyjsku, ale słuchali uważnie wystąpień po polsku, chwilami tylko korzystając z pomocy tłumaczy. Twierdzili, że radzieckie prawo karne jest prawem rewolucyjnym, cechą charakterystyczną każdej rewolucji jest zaś to, że odrzuca stare, pozornie wieczne, uświęcone zasady. Za taką właśnie starą zasadę uznawali oparcie kodeksu i praktyki karnej na koncepcji winy i kary, jako kapitalną zaś dla prawa radzieckiego, określali sformułowaną przez Stalina w 1937 roku tezę o zaostrzeniu się walki w miarę postępów rewolucji — wrogiem, mówili, są nie tylko jednostki, lecz całe grupy, klasy, jeśli tylko stwarzają zagrożenie dla ustroju rewolucyjnego; prawo karne musi z tym zagrożeniem walczyć na drodze represji. Jeden z mówców radzieckich powoływał się na przykłady z dziejów Rewolucji Francuskiej i Komuny Paryskiej, drugi podkreślił, że część obowiązującego kodeksu karnego ZSRR dotycząca przestępstw politycznych, kontrrewolucyjnych, jest osobistym dziełem Lenina.

Dyskusji tej słuchałem bardzo uważnie. Później, w latach przebywania za drutami obozu karnego dla więźniów politycznych, w tysiącach rozmów z towarzyszami mego losu często powracał ten sam motyw — winy i kary, Wielu więźniów przez całe lata nie mogło się pogodzić z wyrokiem, uparcie twierdząc, że są niewinni, że to tylko jakieś nieporozumienie, tragiczna pomyłka spowodowały ich aresztowanie, nieludzkie śledztwo i wreszcie nieludzki wyrok. Tylko mała część więźniów, zwykle pracowników aparatu politycznego, rozumiała, o co chodzi. "Wpadłem w orbitę czystki, bo przyszły nowe dyrektywy", „Zmieniła się sytuacja w kraju i wszyscy tacy jak ja byli — odpowiadali, tłumacząc, dlaczego znaleźli się za drutami.

Kilka miesięcy później profesora Makarewicza odsunięto od pracy na uniwersytecie.

W tym czasie zmienił się, przynajmniej oficjalnie, nasz status prawny, 1 listopada 1939 roku Rada Najwyższa ZSRR wydała dekret, na mocy którego okupowane od 17 września tereny Polski zostały włączone do ZSRR. Na mocy kolejnego dekretu, z 29 listopada 1939 roku, wszystkich stałych mieszkańców Lwowa mimo naszej woli, prawa międzynarodowego, a nawet jawnych protestów uznano za obywateli radzieckich. Miało to ogromne konsekwencje praktyczne; ludziom młodym, w moim wieku, groził natychmiastowy pobór do Armii Czerwonej.

Zostaliśmy też wszyscy w pełni poddani obowiązującym wtedy w ZSRR prawom — przede wszystkim przepisom karnym. Szybko okazało się, co to oznacza. W jawnym celu zastraszenia ludności Lwowa okupacyjne władze organizują już w listopadzie 1939 roku

pierwsze pokazowe procesy przed Trybunałem Wojskowym. Sądzeni są właściciele przedsiębiorstw i sklepów, którzy usiłują ukryć choćby część swego mienia podlegającego teraz przymusowemu upaństwowieniu. Większość oskarżonych to Żydzi, wyroki zapadają natychmiast i są surowe — przed Trybunałem Wojskowym działającym na podstawie nie znanych przepisów możliwości jakiegokolwiek prawnej obrony są równe zeru.

Pierwsza wojenna zima

Pierwsza wojenna zima 1939—40 była we Lwowie niezwykle ciężka. Do wielu klęsk, jakie nas dotknęły, dołączyła niezwykle surowa zima. Nie mogliśmy zdobyć opału, w domu było coraz zimniej, aby ogrzać pokoje, zaczęliśmy palić w piecach papiery, stare roczniki czasopism, niektóre jeszcze z czasów austriackich. Aby zdobyć niewielką ilość drewna, trzeba było stać godzinami w kolejce. Wyczerpywały się domowe zapasy żywności, sklepy świeciły pustkami, wszyscy w rodzinie wychudli. Przeżycia wojenne i troska o los bliskich pozostawionych w Warszawie, gdzie moja babka zwykle spędzała połowę roku u córki, a także ogólne pogorszenie się warunków życia — to wszystko poderwało jej zdrowie. Babka, człowiek szczególnie mi bliski, na początku 1940 roku odeszła od nas na zawsze.

Docierające nieregularnie wieści z Warszawy były złe; mój brat cioteczny Iwo Pogonowski dostał się do więzienia, schwytyany przy próbie przekraczania granicy, spędzi całą wojnę w obozach koncentracyjnych. Po wyzwoleniu przez armię amerykańską uda się na emigrację, zrobi karierę inżyniera i działacza polonijnego w USA. Przyszła też wiadomość o aresztowaniu i wywiezieniu do obozu koncentracyjnego mego wuja, Juliana Staszkiwicza. W czasie nieoczekiwanej rewizji znaleziono przy nim kilka podziemnych gazetek. Nie wróci już z obozu w Gross-Rosen, władze niemieckie przysłały zawiadomienie o jego śmierci. We Lwowie sowietyzacja nabiera siły. Wprowadza się radzieckie instytucje i stopniowo likwiduje polskie, znika szybko z obiegu złoty, wprowadzony zostaje rubel, coraz ciężiej o pieniądze na życie. Zmieni się nawet czas, i to podwójnie — na zegarze i w kalendarzu. Wprowadzony zostaje czas moskiewski, który głęboko dezorganizuje życie codzienne, bo kłóci się z czasem astronomicznym, trzeba zaczynać dzień pracy dwie godziny wcześniej, gdy we Lwowie jest jeszcze całkiem ciemno. Wprowadza się nowy podział czasu kalendarzowego, który w tym okresie obowiązywał w ZSRR. Wolny jest co szósty dzień, różny jednak w różnych zakładach pracy, tradycyjne niedziele i święta stają się dniami pracy, za to pojawiają się nieliczne dni świąt radzieckich, rewolucyjnych. Ta zupełnie nieoczekiwana zmiana rozbija ustalony rytm życia, uniemożliwia kontynuowanie utrwalonych od pokoleń obyczajów, codziennych kontaktów ludzkich, rodzinnych, przyjacielskich, towarzyskich.

Pojawiają się pierwsze towary z głębi ZSRR. Artykuły przemysłowe, zwłaszcza tekstylne, zdumiewają swoją niską jakością, produkty spożywcze nie odpowiadają naszym przyzwyczajeniom, jak na przykład suszone ryby, w pęczkach, na sznurku — wobyły z Wołgi. Przybysze uganiają się za towarami, których na ich rynku od dawna brak, zwłaszcza za zegarkami. Władze radzieckie wciąż jeszcze utrzymują dla ruchu osobowego starą granicę polsko-radziecką, do Lwowa docierają tylko spekulanci lub ludzie na delegacjach służbowych, ale i tego wystarcza, aby rozwinął się czarny rynek. Z Donbasu powracają rozczarowani i wynędzniali lwowscy bezrobotni. Z dużym nakładem propagandowym zorganizowano dla nich zbiorowe wyjazdy do pracy w tamtejszym ośrodku przemysłowym, ci, którzy dali się na to namówić, opowiadają teraz, że nie mogli wytrzymać warunków pracy ani życia. Kursuje nawet po mieście wulgarna piosenka o takich powrotach.

Mieszkania zostają poddane nowym przepisom, powstaje kwaterunek, dotychczasowi właściciele i lokatorzy tracą swoje uprawnienia, zaczyna się przymusowe dokwaterowywanie nowych przybyszów, zagęszczanie mieszkańców. Lwów jest jeszcze przepelniony, ale zaczyna działać radziecko-niemiecka komisja do spraw powrotu

uciekierów i wielu ludzi, także stałych mieszkańców Lwowa, zgłasza się na wyjazd. Niemcy nie robią trudności w wyjazdach do Generalnej Guberni.

Powoli, lecz nieubłaganie wzmagają się represje, po pierwszych falach aresztowań przychodzą następne. Każdy musi mieć paszport, ich przydzielanie jest połączone z surową kontrolą mieszkańców. Kto z jakichś powodów nie otrzymuje paszportu lub tylko paszport ze specjalną klauzulą, musi opuścić miasto i udać się do wskazanych, odległych przynajmniej o sto kilometrów miejsc pobytu. Kto usiłuje przebywać we Lwowie bez paszportu — ryzykuje więzieniem.

Szok wywołany klęską wrześniową zaczyna powoli przechodzić i Polacy we Lwowie zaczynają znowu się organizować. Lwów nie jest już jednak tym samym miastem, jakim był przed wrześniem, zarysowane głębokie rysy w społeczeństwie miasta będą się teraz dramatycznie pogłębiać. Przybyła ze wschodu liczna grupa ludzi radzieckich tworzy warstwę zupełnie nową i obcą; to władze wojskowe i milicja, administracja cywilna i gospodarcza najwyższych pięt, sądy, aparat propagandowy i częściowo naukowy. Włączenie Lwowa do radzieckiej Ukrainy, wprowadzenie języka ukraińskiego jako urzędowego radykalnie zmienia sytuację miejscowej ludności ukraińskiej, do 1939 roku stanowiącej niewielki procent ludności miasta. Nastroje w tej grupie są mieszane, ale przeważa satysfakcja z klęski państwa polskiego i gotowość współpracy z okupantem, traktowanej zwykle jako konieczność przejściowa. Stosunek tej grupy do Polaków jest zdecydowanie negatywny. Większość ludności żydowskiej we Lwowie (zwłaszcza warstwy biedne) także z zadowoleniem wita przyjście Armii Czerwonej, demonstruje wielkie nadzieje na lepsze życie w ramach ZSRR. Na początku listopada z okazji święta Rewolucji Październikowej ludność żydowska bierze masowy udział w demonstracji, pierwszej tego rodzaju we Lwowie, urządzonej według wzorów radzieckich. Ze zdumieniem widzę tysiące ogromnych portretów, przede wszystkim Stalina i Lenina, hasła, transparenty i tłumy ludzi, wyrażających swą radość i poparcie dla okupanta. W przemówieniach, w radiu, prasie i na transparentach trwa nieustanne szkalowanie Rzeczypospolitej, „pańskiej Polski”.

Już w pierwszych tygodniach po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną ujawni się w pełni polityka okupanta wobec Polaków i spraw polskich. Przede wszystkim więc zlikwidowane zostały polskie organizacje polityczne, społeczne i kulturalne, wprowadzono zasady ustroju radzieckiego nie tylko w sferze ekonomicznej, lecz w całości życia zbiorowego. Nowe władze widziały wroga we wszystkim, co w jakikolwiek sposób było związane z niepodległym państwem polskim. Aresztowania, deportacje, procesy uderzają w oficerów wojska i funkcjonariuszy policji, kombatanów walk niepodległościowych, sędziów i prokuratorów, urzędników państwowych. Prześladowany jest kierowniczy aktyw wszystkich polskich partii i stronnictw politycznych czynnych we Lwowie w 1939 roku, w tym również przywódcy lwowskich socjalistów. Prześladowuje się inteligencję, uczonych, ludzi kultury. Doktryna bolszewicka widzi wroga klasowego w każdym polskim ziemianinie, przedsiębiorcy, właścicielu sklepu czy nieruchomości. Nie może być więc mowy o zachowaniu i rozwoju polskiego sektora gospodarczego, co było możliwe w zaborze rosyjskim nawet po klęsce 1863 roku. Na wsi przeprowadza się forsowną kolektywizację. Ogranicza się do minimum możliwości życia religijnego, represje dotyczą polski kler, próbuje się zaszczerpić doktrynę i praktykę bolszewickiego bezbożnictwa.

Czy program polityczny, jaki podówczas realizowano — a w ZSRR polityka obejmowała wszystko — był tylko katalogiem represji, czy było w nim coś pozytywnego, coś, co mogłoby służyć jako usprawiedliwienie dla tych, którzy nazajutrz po klęsce, zanim jeszcze opadł dym tragicznych walk wrześniowych, poszli na współpracę z okupantem? Oczywiście oferowano i reklamowano i taki program, adresowany głównie do inteligencji polskiej, w której, podobnie jak Niemcy, również Rosjanie widzieli główną siłę zainteresowaną w utrzymaniu

niepodległego państwa. W programie tym hasła i praktyki caratu łączyły się z tymi, jakie niosła Armia Czerwona maszerując w 1920 roku na Warszawę. Polakom — jako uznanej grupie etnicznej — obiecywano miejsce w wielonarodowym imperium bolszewickim, państwie rządonym z Moskwy. Przyznawano im prawo do pielęgnowania języka i pewnej części kulturalnej tradycji, dozwolonej i nadzorowanej przez moskiewskich cenzorów. W zamian oczekiwano od Polaków pełnej akceptacji państwa radzieckiego jako ich nowej ojczyzny, przyjęcia — jako jedyne światopoglądu — ideologii marksistowsko-leninowskiej, całkowitej lojalności obywatelskiej i wypełniania wynikających z niej obowiązków, w tym przede wszystkim służby w Armii Czerwonej, wreszcie aktywnego udziału w kultach politycznych z nieustającą liturgią ku czci Stalina. Polacy mieli obowiązek głośno i publicznie potępiać swe niepodległe państwo, przede wszystkim II Rzeczpospolitą, choć od inteligencji oczekiwano także potępienia I Rzeczypospolitej, a więc uznania zaborów. ,

W takiej służbie odkrywały się przed Polakami drogi radzieckiej kariery: wskazywano przykłady życiorysów uczestników rewolucji 1917 roku, między innymi Feliksa Dzierżyńskiego, lub kariery wysokich oficerów Armii Czerwonej polskiego pochodzenia, rzadziej — ludzi nauki czy kultury. Podejrzliwość Moskwy wobec polskich komunistów, w latach trzydziestych w ZSRR masowo represjonowanych, powodowała, że kariery polityczne oparte na przynależności do rozwiązanej w 1938 roku Komunistycznej Partii Polski były utrudnione. Jednak w rezultacie działań wojennych już jesienią 1939 roku pojawiła się we Lwowie grupa polskich komunistów z przeszłości więzienną w II Rzeczypospolitej. W ogromnej większości ludzie ci włączyli się aktywnie do polityki okupanta, podjęli pracę w aparacie propagandy, stali się nadzorcami życia polskiego w okupowanym mieście. Byli i inni, o przeszłości wcale nie komunistycznej, którzy deklarowali chęć służenia państwu radzieckiemu. We Lwowie zaczyna wychodzić codzienna gazeta „w języku polskim — „Czerwony Sztandar” (początkowo gazeta Zarządu Politycznego Frontu Ukraińskiego) — na łamach której ci ludzie prezentują swoje poglądy. Drugim takim ośrodkiem staje się specjalnie powołane wydawnictwo mniejszości narodowych, które zaczyna publikować bolszewicką literaturę propagandową w języku polskim — jego współorganizatorem' jest Adam Bromberg.

Zgodnie z linią polityczną zainicjowaną w latach trzydziestych przez Stalina szczególna rola przypadła związkom twórczym łączącym ludzi kultury, przede wszystkim Związkowi Literatów. To właśnie pisarze polscy, którzy zdecydowali się na polityczną współpracę z okupantem, mieli do odegrania szczególną rolę. Jako „inżynierowie dusz ludzkich” mieli pozyskać Polaków, przede wszystkim bardzo liczną we Lwowie inteligencję, do współpracy z nowym systemem. W sumie w ciągu dwudziestu dwu miesięcy radzieckiej okupacji Lwowa po raz pierwszy na ziemiach polskich wprowadzono zbiór reguł postępowania, który później, zwłaszcza w sferze kultury, nazwany został stalinizmem. W 1944 roku przenieśli go — w zmienionych historycznie okolicznościach — do Lublina i Warszawy ci sami ludzie, którzy na moich oczach tworzyli ten system w okupowanym Lwowie w latach 1939—41.

Ze zdumiewającą szybkością rozwija się wtedy szczególnie odrażająca twórczość, pełna nienawiści do niepodległej Polski i równocześnie niewolniczego zachwyty, wiernopoddańczego wychwalania nowej radzieckiej ojczyzny i jej wielkiego wodza — Stalina. Już 5 grudnia 1939 roku, w dzień Stalinowskiej Konstytucji ZSRR, czytam w „Czerwonym Sztandarze” — po raz pierwszy w życiu — wiersz ku czci Stalina: jego autorem jest Stanisław Jerzy Lec. Będzie i później publikował podobne utwory, opiewał współzawodnictwo socjalistyczne i Armię Czerwoną, wyśmiewał polski rząd na emigracji.

Wiele trosk i obaw budził jesienią 1939 roku w polskim Lwowie los Warszawy. Dochodziły stamtąd wieści o zniszczeniach, ofiarach, represjach niemieckich okupantów. Swoistą reakcją na powszechne nastroje miał być wiersz Elżbiety Szemplińskiej wydrukowany 13

grudnia 1939 roku.

W wyborach do Rady Najwyższej ZSRR, które odbyły się w lutym 1940 roku. Komitet Organizacyjny Pisarzy Miasta Lwowa wysunął kandydaturę Wandy Wasilewskiej jako tej, która występowała „w obronie ujarzmionego ludu ukraińskiego, spętanego obrozą polskiej okupacji” i „podnosiła swój płomienny głos protestu przeciwko gwałtom i bezprawiu panów polskich, a dziś, na wyzwolonej ziemi ukraińskiej reprezentuje najlepszą część inteligencji pracującej, oddanej dziełu zbudowania życia i kultury socjalistycznej na wyzwolonych terenach”. Kandydaturę Wasilewskiej przedstawili między innymi Jerzy Borejsza i Jerzy Putrament.

Czytałem codziennie „Czerwony Sztandar”. W jednym z zachowanych przeze mnie numerów znaleźć można nawet nazwisko Władysława Gomułki, był on wtedy we Lwowie, pracował jako naczelnik cechu zeszytowego w fabryce wyrobów z papieru i pisał o sukcesach we współzawodnictwie socjalistycznym. Ludzie wiążący się z okupantem, opluwający Polskę przedwrześniową i wychwalający swoją nową ojczyznę radziecką byli w społeczeństwie lwowskim potępiani i izolowani, ogromna większość z nich uciekła z cofającą się w 1941 roku Armią Czerwoną, pojawili się znowu w 1944 roku w Lublinie, już w nowych rolach polskich patriotów.

Tymczasem na przełomie roku tworzą się pierwsze załężki polskiej konspiracji niepodległościowej i padają pierwsze ofiary. Najwcześniej usiłują zorganizować się kadeci, ich tajna organizacja zostaje szybko rozbita przez NKWD. Śledztwo jest okrutne, niektórych oskarżonych dostarczają do sądu na noszach. Wciąż przeprowadzane są aresztowania i tajne procesy, zapadają wyroki śmierci. Inni więźniowie znikają z miasta, są wywożeni w głąb ZSRR. Uczymy się wszyscy form pomocy więźniom: szukania tych, którzy zostali aresztowani na ulicach czy w pracy, wystawiania od świtu z paczką pod więzieniami. Jeśli gdzieś paczkę przyjmą, to dowód, że człowiek jest we Lwowie i żyje, więzień ma prawo pokwitować swoim podpisem odbiór paczki. Okazuje się, że nie ma żadnych szans na pomoc prawną, w procesach o kontrewolucję, a tak się oskarża Polaków wmieszanych w działalność konspiracyjną lub po prostu znanych z uprzedniej działalności politycznej czy społecznej, nie są obecni adwokaci.

Rozbiciu ulega pierwsza drobna, koleżeńska grupa konspiracyjna moich uniwersyteckich i gimnazjalnych przyjaciół, do której należałem. Zdażyliśmy tylko zabezpieczyć i przekazać we właściwe ręce małą radiostację wojskową, pozostałą jeszcze z działań wrześniowych, i trochę broni palnej. Grupę naszą rozbijają masowe deportacje, które na początku 1940 roku obejmują już tysiące lwowiaków. Polski Lwów przeżywa dramat. W nocy, według list ułożonych wcześniej przy pomocy ludzi miejscowych, zabierane są całe rodziny wraz z małymi dziećmi i starcami. Mają prawo zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, ładowani do wagonów, wywożeni są w głąb ZSRR, zwykle do Kazachstanu. Wkrótce nadejdą stamtąd tragiczne wiadomości. Przy układaniu list załatwiane są stare porachunki, niszczy się przy tym całe grupy zawodowe i społeczne. Do akcji wysiedleń oprócz milicji mobilizowany jest także aparat partyjny i Komsomołu, w tym także z uniwersytetu, z Wydziału Prawa. Ludzie ci osobiście uczestniczyli w operacji wyciągania polskich rodzin z mieszkań.

Miałem podstawy do obaw, że będę wraz z rodziną wywieziony. Przygotowaliśmy się wszyscy na to, o ile to było możliwe. Napisałem nawet i zabezpieczyłem dwa listy pożegnalne do moich przyjaciół, których uważałem za najmniej zagrożonych. Obu wywieziono jednej nocy. Godzinami patrzyłem w te straszne noce przez okno, czekając na przyjazd ciężarówek. W ciągu kilku godzin trzykrotnie zatrzymywały się one przed domem, w którym mieszkałem, przy ulicy Na Skalce I, wywieziono wtedy trzy rodziny moich sąsiadów. Skutki tych deportacji widziałem codziennie na sali wykładowej — było na niej

coraz mniej Polaków. Wkrótce na studiach pozostał już tylko jeden mój dawny kolega, jeszcze z X gimnazjum — Lesław Pauli, po wojnie profesor prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Mimo tych strasznych wydarzeń na początku 1940 roku nadzieje na szybką zmianę sytuacji były jeszcze duże; byliśmy przekonani, że na wiosnę alianci rozgromią Niemców. Wprawdzie już kampania zimowa, bezkarna napaść ZSRR na Finlandię i jej osamotniona walka napawały obawami, ale sądziliśmy, że wszystko rozstrzygnie klęska Niemiec na zachodzie Europy. Nieoczekiwane załamanie się Francji w kampanii 1940 roku, a z nim dramatyczny zwrot w sytuacji naszego rządu i armii na uchodźstwie był dla nas kolejnym ciosem. Przez chwilę wydawało się nawet, że grozi nie dająca się wręcz pomyśleć w skutkach katastrofa, wycofanie się aliantów z wojny i pełny sukces zarówno Hitlera, jak i Stalina. Prasa sowiecka, w tym także „Czerwony Sztandar”, niezmiennie sprzyjała wtedy Niemcom, prowadziła nieustanne propagandowe ataki na „angielsko-francuskich imperialistów”, których winiła za wybuch wojny, przedrukowywała z pełną aprobatą artykuły z prasy hitlerowskiej opisujące stosunki w Generalnej Guberni, represyjne zarządzenia władz niemieckich dotyczące ludności polskiej i żydowskiej. Przedrukowywane były nawet polityczne artykuły z hitlerowskich gazet, w tym z Goebbelsowskiego tygodnika „Das Reich”. Aż do wybuchu wojny z Niemcami w czerwcu 1941 roku nie ukazała się w „Czerwonym Sztandarze” ani jedna informacja o niemieckim terrorze w okupowanej Polsce, o prześladowaniach, obozach, gehennie ludności żydowskiej zamkniętej w gettach. Bez przerwy natomiast podkreślano znaczenie ścisłej współpracy ZSRR z III Rzeszą.

Dla mnie doraźną szansą przetrwania były studia, które dawały nie tylko formalną podstawę do uzyskania pełnowartościowego paszportu, lecz także chroniły przed natychmiastowym poborem do Armii Czerwonej. Pobór taki już rozpoczęto i zabrano wielu moich szkolnych kolegów, byłem właśnie w stosownym wieku, miałem dwadzieścia jeden lat. Jako student dostałem odroczenie na dwa lata. Doszedłem także do wniosku, że studia, nawet radykalnie zmienione, mają swoją wartość i że dokładne poznanie obcego nam i wrogiego, ale istniejącego na ogromnym obszarze świata systemu prawnego jest potrzebne. Sądziłem zawsze, że nie wolno izolować się, ignorować, lekceważyć naszych zaborców, ale trzeba ich dobrze poznać, bo musimy umieć skutecznie im się przeciwstawiać. Twierdziłem wtedy uparcie, że musimy orientować się w mechanizmach systemów hitlerowskich Niemiec i stalinowskiej Rosji, które nas otaczały i okupowały, nie możemy trwać na pozycjach wyniosłej pogardy, w poczuciu wyższości cywilizacyjnej lub moralnej, nie możemy trzymać się przestarzałych, naiwnych schematów i stereotypów. Przecież jeszcze w lipcu i sierpniu czytałem w prasie uznawanej za poważną, słyszałem od ludzi mających wpływy i stanowiska opinie o Rosji Radzieckiej jako „kolosie na glinianych nogach”, o szansach polityki wschodniej Polski opartej na idei jagiellońskiej, o gospodarce Niemiec, która jest na progu załamania z powodu braku surowców, zwłaszcza nafty, o potędze demokratycznego ruchu antyhitlerowskiego, o czołgach niemieckich, które utkną na polskich drogach, i opowieści o Hitlerze, który jako Austriak miał być zupełnie inny, bardziej ludzki aniżeli Prusacy z Berlina.

Po zajęciu przez Rosję Radziecką części Rumunii zlikwidowano Wydział Prawa na uniwersytecie w Czerniowcach, a jego studentów przeniesiono do Lwowa. Pojawiła się nagle grupa zupełnie obcych ludzi różnych narodowości i odmiennych nawyków kulturalnych, wielu było wśród nich poliglotów. Ponieważ część nie znała w ogóle ukraińskiego, rosyjskiego czy polskiego, tymczasem utworzono dla nich seminarium w języku francuskim. Z Czerniowiec przyszła też niewielka grupa studentów ukraińskich, od razu okazało się, że są to komunistyczni aktywiści, wstąpili gremialnie do uczelnianego Komsomołu.

Na moim roku szczególną aktywność polityczną przejawiał uciekinier z Warszawy, wkrótce sekretarz Komsomołu, Jan Krasicki. Tropił zawzięcie nieprawomyślność swych kolegów, brał udział w przeprowadzaniu deportacji. Pamiętam go dobrze z zebrzań, w czasie których przesłuchiowano studentów przed przyjęciem do organizacji związkowej, tzw. profspiłki — przynależność do niej była obowiązkowa. Zebrania takie, w istocie wykorzystywane do układania list osób przeznaczonych do wywózki, odbywały się całymi tygodniami, trwały zwykle do późnej nocy przy jaskrawym świetle elektrycznym. Siedzieliśmy w płaszczach, podobnie jak na wykładach i seminariach, gdyż pomieszczenia uniwersytetu z braku opału były zimne. Pytania stawiali niemal wyłącznie aktywiści komsomolscy, przybyli z głębi ZSRR lub miejscowi, reszta sali milczała, przysłuchując się jedynie uważnie.

Pamiętam powtarzające się trzy wątki takich przesłuchań. Pierwszy to poszukiwanie dzieci wrogów klasowych: ziemian, fabrykantów, kupców czy kamieniczników, oficerów, wyższych urzędników państwowych „pańskiej Polski”. Drugi wątek stanowiły porachunki pomiędzy członkami nielegalnych komunistycznych organizacji, działających w przedwrześniowej Polsce. Wyciągano publicznie sprawy wcześniejszej przynależności partyjnej, zerwania więzów, wyroków, współpracy z policją; delikwent musiał tłumaczyć się, powoływać na różne okoliczności, świadectwa i ludzi. Nie wszystko z tego oczywiście rozumiałem; były to sprawy różnych frakcji, różnych działaczy; stalinowców, trockistowców, rewizjonistów, kontaktów kominternowskich.

Był wreszcie trzeci wątek, szczególny, dotyczący licznej wtedy grupy studentów-Żydów. Ich środowisko było przed wojną również rozbite i obecnie rzucano z lewa na prawo podejrzenia i oskarżenia. „Jaki jest wasz stosunek do syjonizmu?” — padało od razu stereotypowe pytanie; nicowano każdą odpowiedź, oceniano na miejscu jej ideologiczną słuszność, a przede wszystkim — wiarygodność. Pierwszy raz zetknąłem się wtedy bezpośrednio z tak charakterystyczną dla komunistów praktyką przeprowadzania publicznych krytyk i samokrytyk, ujawniania odchyłeń i naruszeń obowiązującej linii, demaskowania frakcji i rewizjonistów, syjonistów i oportunistów, powoływania się na różne nie znane mi uchwały i dyrektywy, wtedy głównie Kominternu, czy wreszcie cytowania dzieł klasyków i wodzów, przede wszystkim Stalina.

Szybko zorientowałem się, że jednym z celów tych ponurych przedstawień jest dokonanie wstępnej selekcji; do partii i Komsomołu chciało się wtedy dostać wielu młodych, powołując się na swoją przeszłość, liczyli na szybki awans. Przybysze ze wschodu, kierujący teraz organizacjami politycznymi na uniwersytecie, nikomu nie ufali, bali się podstępów, infiltracji, przeniknięcia do ich szeregów wrogów klasowych. Publiczne przesłuchania, denuncjacje i wzajemne oskarżenia dawały im cenne materiały. Przyszłość pokazała, że infiltracji nie uniknęli, ale wyłowili wielu studentów na odpowiedzialne polityczne funkcje uczelniane, a także aktywistów miejscowego komitetu Komsomołu. Awansował do niego właśnie Jan Krasicki, w legendzie i literaturze powojennej Polski zwykle zwany Jankiem.

Pierwsze takie zebrania robiły na mnie wrażenie czegoś bardzo sztucznego, groteskowego teatru; nie mogłem wręcz zrozumieć, że ludzie siedzący obok mnie mogą odgrywać takie role. Wkrótce jednak przekonałem się, że to nie tylko teatr, ale część bezwzględного mechanizmu władzy, represji i kariery. Zdemaskowani na zebraniach profspiłki koledzy znikali, aktywiści szybko awansowali, język zebrzań upowszechniał się. Rozbrzmiewał w prasie i w radiu, zaczęli nim mówić i polscy literaci, zgrupowani wokół Wandy Wasilewskiej i redakcji lwowskiego „Czerwonego Sztandaru”.

Tymczasem minął pierwszy rok okupacji. Rocznicę najazdu Armii Czerwonej na Polskę uczczono 17 września 1940 roku we Lwowie całą serią działań propagandowych w prasie, radiu, w instytucjach artystycznych. Główne miejsce w tych imprezach znowu przypadło

wiernopoddańczym literatom. Od 17 do 19 września w czasie kilkudniowej sesji Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy z udziałem Ołeksandra Kornijczuka przyjmowano uroczyste do Związku zasłużonych dla Kraju Rad pisarzy polskich, ukraińskich i żydowskich. Znaleźli się wśród nich: Wanda Wasilewska, Jerzy Putrament, Jerzy Borejsza, Tadeusz Boy-Żeleński, Stanisław Jerzy Lec, Leon Pasternak, Adam Ważyk, Elżbieta Szemplińska. Wasilewska, Boy-Żeleński, Pasternak i Szemplińska weszli do zarządu lwowskiego oddziału Związku.

Studia prawa karnego

W czasie dwuletnich studiów na zsovietyzowanym w ciągu kilku miesięcy lwowskim uniwersytecie (teraz im. Iwana Franki) szczególnie interesowało mnie prawo karne, które zresztą znajdowało pokaźne miejsce w programach.

Po usunięciu z katedry Juliusza Makarewicza na jego miejsce przyszedł radziecki specjalista. Tatar z pochodzenia — nazywał się Pasze-Ozierski. To on zaznajomił nas z literą i wykładnią radzieckiego prawa karnego, które po triumfalnym przyłączeniu ziem polskich do Ukrainy radzieckiej zaczęło obowiązywać na całym terenie okupowanej Małopolski Wschodniej.

Okazało się wkrótce, że oprócz kodeksu karnego obowiązuje znaczna ilość dekretów przewidujących ostre sankcje za różne przestępstwa, w tym i za takie, które były przewidziane w kodeksie. Otwierało się więc szerokie pole do rozmaitych interpretacji, czemu zapobiec miały z kolei różne instrukcje i orzeczenia, przede wszystkim Sądu Najwyższego ZSRR. Sprawy były prawniczo niezwykle zagmatwane i wymagały przedzierania się przez cały gąszcz aktów prawnych różnego rzędu, utrudniało to oczywiście studia.

W owym czasie ogromne znaczenie w radzieckim prawie karnym przywiązywano do dekretu z 7 sierpnia 1932 roku, który nie precyzując szczegółów mówił o zamachu na własność socjalistyczną i przewidywał w zasadzie jeden tylko wymiar kary — rozstrzelanie. W wyjątkowych wypadkach sąd mógł wymierzyć oskarżonemu karę dziesięciu lat więzienia. Stosując dosłownie ten dekret, można było skazać na rozstrzelanie za kradzież garści gwoździ w fabryce państwowej; nadużycia były tak wielkie, że Sąd Najwyższy określił w instrukcji dolną granicę straty mienia państwowego: dekret stosowano, gdy wartość szkody z powodu kradzieży lub malwersacji przekraczała 100 000 rubli.

Ozierski miał za sobą solidne studia prawnicze jeszcze w czasach carskich, znał doskonale łacińską terminologię prawną i stale się nią posługiwał, znał także europejskie systemy prawa. Poczesne miejsce w jego wykładach zajmowały przestępstwa polityczne, kontrrewolucyjne. Opowiadał nam szczegółowo o kolejnych, od 1917 roku, fazach walki rewolucyjnej sprawiedliwości z kontrrewolucją, omawiał charakterystyczne dla każdej epoki przestępstwa, przedstawiał słynne procesy polityczne aż do 1938 roku — do, jak to określał, procesu „prawo-trockistowskiego bloku” Bucharina, Rykowa i towarzyszy: wskazywał na prawną kwalifikację oskarżenia i kwalifikacje zarzucanych im czynów. Na takim tle Ozierski wiele uwagi poświęcał charakterystyce przestępstw przewidzianych w artykule 54 ukraińskiego kodeksu karnego: terroryzmowi i sabotażowi.

Zdrada ojczyzny, przewidziana w tym samym artykule, była zdaniem mego wykładowcy przestępstwem, jakie może popełnić jedynie obywatel ZSRR; to twierdzenie przydało mi się później, gdy sam zostałem oskarżony. Okolicznością bardzo obciążającą było popełnienie przestępstwa w grupie: wystarczyło do tego choćby jeden współnik, dodawano wtedy jeszcze jeden paragraf i zwiększano karę.

Niezwykłe wręcz były paragrafy uznające za kontrrewolucyjne przestępstwo każdą pomoc udzielaną międzynarodowej burżuazji wrogiej komunizmowi, pomoc tym grupom społecznym i organizacjom, które są pod wpływem międzynarodowej burżuazji, a także jakiegokolwiek działanie na szkodę klasy robotniczej i ruchu robotniczego. Ozierski podkreślał, że paragrafy te są związane z perspektywą rozszerzania się rewolucji proletariackiej na inne kraje i stwarzają prawne podstawy do karania ludzi zajmujących kierownicze stanowiska w państwach rządzonych przez burżuazję, a także ścigania sądowego członków aparatu represji, zwłaszcza tajnych agentów, którzy walczą tam z ruchem robotniczym, przede wszystkim komunistycznym. Wreszcie w opinii radzieckiego profesora paragrafy te miały na celu zastraszenie burżuazji we wszystkich krajach. Przewidywały one odpowiedzialność wszystkich, kogo dosięgnie radziecka sprawiedliwość; oba paragrafy określały kary do kary śmierci włącznie. Była to konstrukcja bez precedensu w ówczesnym europejskim prawie karnym, forma prawnej agresji. W kilka lat później, już na Północy, spotkam więźniów, w tym także Polaków, sądzonych z tych właśnie artykułów w kodeksie.

W wykazie kar, jakie przewidywał radziecki kodeks karny, kodeksy wszystkich republik miały jednakową część, dotyczącą ogólnych zasad i przestępstw kontrrewolucyjnych. Najcięższą przewidzianą karą było „wygnanie za granicę ZSRR na wieki”. Ozierski wyjaśniał, że zastosowano ją kiedyś wobec Trockiego, obecnie już się jej nie stosuje, tymczasowo natomiast, dla obrony rewolucji, wymierza się karę śmierci przez rozstrzelanie. Fala przestępczości nieletnich spowodowała także, jak twierdził, że trzeba było czasowo obniżyć wiek, od którego można było stosować karę śmierci, do dwunastu lat.

Przez dwa lata studiów zapoznałem się dokładnie także z innymi elementami wiedzy o prawie karnym, bardziej praktycznymi. Przeszedłem kurs kryminalistyki, nauczyłem się zabezpieczać ślady, a nawet opanowałem technikę badań daktyloskopijnych, odbyłem rozszerzony kurs medycyny sądowej oraz psychiatrii. Wszystkie te zajęcia prowadzili specjaliści radzieccy z nowo utworzonego aparatu sądowo-śledczego we Lwowie. Musiałem przejść przez zajęcia w prosektorium, asystując i protokolując wiele sądowych sekcji. A było ich co niemiara, w kostnicy Zakładu Medycyny Sądowej zaczęły pojawiać się ofiary zbrodni kryminalnych dokonywanych wtedy we Lwowie, nieraz całe wymordowane rodziny. Ponieważ z gazet zniknęła kronika kryminalna, miałem pewną orientację co do warunków bezpieczeństwa w mieście.

Kurs psychiatrii sądowej, prowadzony w słynnym we Lwowie zakładzie dla umysłowo chorych na Kulparkowie, był dla mnie okazją nie tylko do zapoznania się z różnymi przypadkami ciężkich chorób psychicznych, lecz także z psychopatami, narkomanami, chorymi podejrzanymi o symulację. Na kursie wykładali głównie polscy psychiatry, lekarze tego zakładu, stał on na naukowo wysokim poziomie.

Niezwykły obraz rozmiarów i charakteru przestępczości w latach trzydziestych w ZSRR wyłaniał się z opowieści ludzi, prowadzących dla nas ćwiczenia z procedury karnej i kryminalistyki. Aby zainteresować i zaimponować studentom, opowiadali chętnie o niecodziennych sprawach, z którymi mieli do czynienia w swojej śledczej praktyce. Zapamiętałem jedną sprawę kryminalną, którą udało się rozwiązać dzięki zeznaniom małego dziecka. Miał to być przykład, jak ważne mogą być w śledztwie szczegóły, w rzeczywistości zdarzenie wzbudzało grozę swoim szerszym kontekstem. Wszystko zaczęło się od tego, że dziecko znalazło swoją lalkę. Treść opowiadania była następująca: dziesięcioletnia dziewczynka w czasie pogrzebu swej babki wkłada jej do trumny swoją ulubioną lalkę. Po kilku tygodniach, odwiedzając z rodzicami grób babki, znajduje opodal lalkę, porzuconą w krzakach: uparcie twierdzi, że to ta sama, którą włożyła do trumny. Zaniepokojeni rodzice informują milicję, ekshumacja wykazuje, że w trumnie znajdują się tylko kości, czyste, wygotowane kości młodego mężczyzny. Śledztwo szybko daje rezultaty: na cmentarzu

działa banda, złożona z personelu odpowiedzialnego za pogrzeby i grupy osób prowadzących opodal małą hodowlę nierogaczyny. Wieprzowina osiąga wtedy bardzo wysokie ceny na czarnym rynku, świnie karmione są więc mięsem nieboszczyków, a kości wkładane z powrotem do grobowców. Wszyscy schwytani w tej sprawie zostali osądzeni i rozstrzelani. Nasz wykładowca posługując się tym makabrycznym przypadkiem wskazywał, że nieraz w śledztwie trzeba ustalić, czy w grę nie wchodzi ludzkie mięso, tzw. po rosyjsku czelowieczyna. Zwłaszcza w czasach i rejonach złego zaopatrzenia pojawiała się ono na bazarach i sam Oziński przyznawał, że wielokrotnie ścigał bandyckie grupy, które w tym celu mordowały ludzi.

Przypomniałem sobie to opowiadanie w parę lat później, już w czasach hitlerowskiej okupacji. We Lwowie Niemcy powiesili publicznie grupę ludzi, którym udowodniono mordowanie młodych osób i przerabianie ich ciał na wędliny. Także gdy w 1945 roku znalazłem się na dalekiej Północy, w obozie karnym Gulagu, przekonałem się, że w straszliwych warunkach, jakie tam panowały, zdarzają się przypadki ludożerstwa.

Oddzielną grupę zajęć stanowiły przedmioty ideologiczne, filozofia marksistowska i leninizm. Wykładali je wyłącznie sprowadzeni ze wschodu specjaliści, i to głównie po rosyjsku, choć oficjalnie obowiązywał na uniwersytecie język ukraiński, w jego kijowskim dialekcie. Co więcej, wykładowcy wyraźnie podkreślali rolę języka rosyjskiego w nauce swych przedmiotów. Zaraz na początku roku akademickiego miałem nawet na tym tle charakterystyczną rozmowę. Gdy na ćwiczeniach wykładowca zapowiedział, że będę musiał przeczytać pewne dzieła Marksa, odpowiedziałem mu, że nie będę miał z tym trudności, gdyż znam dostatecznie język niemiecki. Otrzymałem na to krótką odpowiedź; „Marksa trzeba czytać po rosyjsku”. Zorientowałem się wkrótce, że mimo swego oficjalnego charakteru, ukraiński jest w rzeczywistości językiem drugorzędnym, pomocniczym. W wielu ważnych instytucjach życia codziennego, zaczynając od kolei, banków, większych zakładów przemysłowych, mówiono wyłącznie po rosyjsku. W tym języku ukazywały się ważne organy prasowe, wychodziły podręczniki naukowe. Wysnułem z tego wniosek, że muszę opanować ten język możliwie szybko i dobrze.

W 1940 roku zacząłem brać prywatne lekcje, gdyż lektorat uniwersytecki nie był wystarczający: uczyła mnie pani o nazwisku Bentkowska, w średnim wieku, Polka, która do rewolucji mieszkała w Rosji, studiowała tam w dobrych szkołach, a w 1933 roku repatriowała się do kraju. Język jej był bardzo poprawny, literacki, nieco staromodny, dzięki tym lekcjom mogłem szybko swobodnie rozmawiać i czytać; żargon sowiecki, zwłaszcza gazetowy, nie był trudny do opanowania. Wysiłek włożony w dobre poznanie języka okazał się później bardzo rozsądną inwestycją, ułatwił mi przetrwanie w nowych, trudnych warunkach.

Niezwykła praktyka sądowa

Na wiosnę 1941 roku stanęły przede mną poważne problemy osobiste. Studia dobiegały końca i groził mi pobór na kilka lat do Armii Czerwonej. Nie wiedziałem, czy i Jak uda mi się tego uniknąć. Trudno było przewidzieć, jak dalej potoczą się wypadki. Na razie, na mocy decyzji Wydziału Prawa, który rozsyłał nas przed otrzymaniem dyplomu na praktyki w radzieckim sądzie, zostałem skierowany do sądu I instancji Krasnoarmiejskiego rejonu Lwowa; mieścił się on w samym środku miasta, w pobliżu placu Bernardyńskiego, przy ulicy noszącej do 1939 roku miano Józefa Piłsudskiego. Na czym miała polegać taka praktyka, nie było ściśle określone. Siedziałem więc z konieczności cały dzień w sądzie, bo uważano mnie za dodatkowego bezpłatnego pracownika, zarówno w kancelarii, jak i na sali rozpraw, gdzie musiałem protokołować przebieg posiedzeń, oczywiście w języku ukraińskim. Sześć spędzonych tam tygodni dało mi jednak niezwykle doświadczenia.

Sąd I instancji rozpatrywał zarówno sprawy cywilne, głównie o alimenty, jak i karne, od drobnych kradzieży do zabójstw. Nie było natomiast żadnych spraw politycznych, te były zastrzeżone dla sądu II instancji. Sądem kierował jednoosobowo sędzia, młody, trzydziestoletni mężczyzna, przysłany do Lwowa z okolic Charkowa. Pochodził ze wsi, był początkowo kowalem, ukończył szkołę zawodową, wstąpił do partii i pracował w aparacie rejonowego komitetu partyjnego. Po sześciotygodniowym kursie prawniczym zrobiono go sędzią. Miał dobrą opinię i dlatego wysłano go do Lwowa, co było wtedy w Kijowie traktowane jako szczególne wyróżnienie pracownika. Mówił po ukraińsku, ale był to język silnie nasycony rusycyzmami, miejscowy, lwowski dialekt ukraiński drażnił go i oburzał. Na rozprawach miał zwykle do pomocy dwóch ławników ludowych, pochodzących z wyboru. Byli to ludzie miejscowi, często pracownicy lwowskich fabryk. Przychodzili niechętnie, na rozprawach milczeli, nie znali zupełnie przepisów prawa, w tym i własnych uprawnień, nie otrzymywali tekstu ustaw karnych do ręki. W księgarniach lwowskich egzemplarze kodeksów radzieckich nigdy nie sprzedawano, dostawaliśmy je tylko jako studenci prawa na uniwersytecie. Przed rozpoczęciem rozprawy sędzia czytał ławnikom treść artykułu, z którego był oskarżany podsądny, i wskazywał przewidzianą karę — zwykle najwyższą, jaką kodeks karny i jego liczne uzupełnienia przewidywały za określone przestępstwo. Gdy mieli wątpliwości, wspaniałomyślnie proponował nieco mniejszy wymiar kary, podkreślając, że jest to jedynie nadzwyczajna łaskawość sądu. Przepisami procedury karnej sędzia nie przejmował się, twierdził, podobnie zresztą jak profesorowie na Wydziale Prawa, że są przestarzałe i że praktyka poszła dalej. Najważniejsze były dla niego instrukcje, wytyczne i tzw. cenniki przysyłane z Komisariatu Sprawiedliwości. Określały one, jakie przestępstwa i jakie kategorie ludzi należy szczególnie ostro karać, oraz podawały szczegółowo, jakie należy ferować wyroki. Sędziowie, którzy byli zbyt łagodni, otrzymywali nagany lub byli usuwani ze stanowisk „za miękkość”.

W poważniejszych sprawach pojawiali się prokuratorzy i adwokaci. Pierwsi rekrutowali się wyłącznie z ludzi przysłanych ze wschodu, wśród adwokatów byli miejscowi.

Sytuacja obrońców była nie do pozazdroszczenia. Pamiętam poszłakowy proces o włamanie do państwowego magazynu. Oskarżonym był niemłody już pracownik przedsiębiorstwa. Bronił adwokat Landau, przed 1939 rokiem wybitna postać lwowskiej palestry. W swej mowie wykazał kruchość dowodów zebranych przeciw oskarżonemu i wniósł o jego uniewinnienie. Gdy sędzia z ławnikami poszedł na naradę, Landau powiedział mi w rozmowie; „Proszę pana, wszystko, eo powiedziałem, nic oskarżonemu nie pomoże, ja wiem, że sędzia ma w szufladzie instrukcję postępowania w takich sprawach. Nie mogę dyskutować z tą instrukcją, bo nie jest ona jawna. Teraz oni starają się zwalczać przestępstwa gospodarcze i każdego oskarżonego bez względu na charakter dowodów skazują”. Oskarżony otrzymał pięć lat więzienia.

W 1941 roku sądy we Lwowie były zawałone sprawami o przestępstwa gospodarcze, od drobnych kradzieży i malwersacji do ogromnych, milionowych afer. Nacjonalizacja, jaką przeprowadzano od jesieni 1939 roku zarówno w handlu, jak i przedsiębiorstwach przemysłowych Lwowa, stworzyła dla różnego rodzaju aferzystów radzieckich zupełnie wyjątkowe pole działania. Miasto, które obroniło się przed Niemcami i kapitulowało przed Armią Czerwoną, było tylko w niewielkim stopniu zniszczone przez działania wojenne, i to głównie na przedmieściach, gdzie skutecznie broniły się oddziały polskie. We Lwowie były ogromne zapasy wszelkiego rodzaju towarów, zwłaszcza rynkowych, codziennego użytku, w tym żywności, artykułów tekstylnych, butów, mebli i zegarków. W ZSRR tych właśnie towarów poszukiwano, były złej jakości lub w ogóle przez całe lata brakowało ich w sklepach. Lwów był pierwszym większym miastem europejskim, który zajęła Armia Czerwona od czasów Traktatu Ryskiego, to jest od lat dwudziestych; Wilno na razie odstąpiono Litwie. Nastęczała się więc okazja do niezwykłych zysków. Korzystne interesy i przestępstwa robili pracownicy różnych instancji aparatu partyjnego i państwowego,

zwłaszcza gospodarczego, spekulowali wszyscy.

Wkrótce po powrocie do Lwowa dowiedziałem się, że do miasta przyjechał Aleksy Tołstoj, wybitny pisarz radziecki, bliski centralnym władzom Moskwy. Ten rosyjski arystokrata, potomek słynnej rodziny, przez lata całe na emigracji walczył z bolszewizmem, aby wreszcie się z nim pogodzić. Mieszkał w hotelu „George'a” i miał oficjalne zadanie nawiązać pierwsze kontakty z miejscowymi literatami, w tym także z grupą pisarzy polskich, którzy w rezultacie wojny znaleźli się we Lwowie. Wkrótce otrzymałem informację, że słynny autor Drogi przez mękę większość czasu poświęca na skupowanie maszyn do pisania, które w Moskwie były wręcz nieosiągalne. Wywożono je więc ze Lwowa i przerabiano na czcionki rosyjskie, towar taki osiągał bardzo wysokie ceny.

Prawdziwie wielkie interesy robiono jednak przy przejmowaniu lwowskich magazynów handlowych, hurtowni, magazynów fabrycznych. Część towarów rozkradano na miejscu, część inwentaryzowano w oszukańczy sposób, stosując wycenę według radzieckich cenników. W ten sposób garnitur męski czy jesionkę ze znakomitej bielskiej wełny zapisywano jako zwykłą radziecką odzież męską, wyceniano jako własną produkcję i natychmiast wykupywano. Rzeczywista wartość tych rzeczy była zwykle kilkakrotnie wyższa, wywożono je szybko do Moskwy i Kijowa.

Gdy zaczęto handlować radzieckimi towarami, rozpoczęły się typowe dla tej gospodarki nadużycia, oszustwa na jakości, asortymencie i wadze, zawyżanie cen, sprzedaż nielegalnie produkowanych towarów, sprzedaż spod lady za łapówki. Zaczęły się także procesy, niekiedy zbiorowe i pokazowe, przeciwko winnym tych przestępstw.

Pierwszy taki proces całej dykcji wielkiego domu handlowego przeprowadzono publicznie w wielkiej sali hotelu „Krakowskiego”. Na ławie oskarżonych zasiedli obok siebie dyrektorzy przysłani z Kijowa i ich miejscowi zastępcy, księgowi i magazynierzy. Byłem na kilku posiedzeniach tego procesu: miejscowi zeznawali po polsku i tłumaczyli, jak i dlaczego dali się wciągnąć w machinacje. Pamiętam zeznania księgowego, który uległ namowom i presji przysłanego z Kijowa dyrektora — jak zeznawał, zwierzchnik powiedział mu wprost: „Kto u nas w handlu nie kradnie, nie wyżyje”. W niektórych przedsiębiorstwach lwowskich w ciągu dwudziestu dwu miesięcy okupacji zarząd lub znaczna jego część dwukrotnie stawała przed sądem za różnorodne przestępstwa gospodarcze; wyroki były surowe, główni oskarżeni otrzymywali zwykle po dziesięć lat więzienia.

W sądzie, w którym byłem praktykantem, rozpatrywano także sprawy obywateli radzieckich, którzy z różnych względów znaleźli się wtedy we Lwowie. Z akt, które otrzymywałem przed rozprawą do przejrzenia, wyzierały nie znane mi realia. Często przysyłano też dokumenty z terenów ZSRR, zdumiało mnie przede wszystkim to, że były pisane na odwrotnej stronie akt z czasów carskich; taki był wówczas brak papieru, że wykorzystywano do oficjalnej korespondencji sądowej stare archiwa. Uderzyła mnie także niezwykła ruchliwość ludzi, wielu oskarżonych zmieniał co dwa—trzy lata miejsce pobytu, przenosząc się od Murmańska na Zakaukazie, od Homla do Władywostoku. Wszędzie trochę pracowali, a następnie Jechali dalej. Dopiero po pewnym czasie z rozmów z sędzią dowiedziałem się, że jest to szeroko praktykowany sposób uchylania się od odpowiedzialności karnej, zwłaszcza za drobne przewinienia. Cały aparat, sprytnie pomyślany i bardzo rozbudowany, dzień i noc pracował, aby jednak takich ludzi wyłapać. Służyły do tego ciągle kontrole dokumentów, zasady wydawania paszportów, wymaganych bezwzględnie przy każdej okazji dowodów osobistych, podział kraju na okręgi o różnym statusie osiedleńczym, a także konieczność składania życiorysów, zwłaszcza w miejscu pracy, przy przyjmowaniu do każdej organizacji, przy każdym podaniu do władz. Wszechobecni specjaliści od życiorysów cierpliwie sprawdzali szczegóły, obojętne, czy dotyczyły one pobytu człowieka na Krymie, czy na

Kamczatce. Jeśli coś wydało się im podejrzane albo stwierdzili fałsz, uruchamiano po cichu śledztwo, szukano winnego. Prowadzono też ogromne rejestry skazanych, zbierano charakterystyki ludzi i donosy.

Czytając akta jednej ze spraw, spotkałem się po raz pierwszy w życiu z systemem funkcjonowania donosów. Oskarżenie dotyczyło malwersacji Finansowych dokonanych przez pracownika przedsiębiorstwa obrotu żywnością, przysłanego do Lwowa z kijowskiej centrali. Podejrzany bronił się nie tylko zaprzeczając, jakoby dopuścił się gospodarczego przestępstwa, lecz także wskazując na swoje pochodzenie z wiejskiego proletariatu oraz na swe niedawne zasługi. Ze złożonych przez niego w śledztwie wyjaśnień wynikało, że w latach 1937—38, a były to w ZSRR lata masowych, krwawych procesów politycznych, pracował jako korespondent wiejski kilku kijowskich gazet. W tym charakterze, jak zeznawał, ujawnił wielu wrogów ludu, których wkrótce aresztowano, sądzono i rozstrzelano. Przypatrywałem mu się w czasie rozprawy: bronił się energicznie mimo jawnych dowodów złodziejstwa, wciąż podkreślał swe proletariackie pochodzenie i bezgraniczne oddanie władzy radzieckiej. Otrzymał trzy lata więzienia, bardzo łagodny wymiar kary, wyrok przyjął spokojnie. Gdy po rozprawie czekał na odprowadzenie do więzienia, powiedział głośno do siedzącego obok strażnika: "Za rok będę w domu". Byłem przekonany, że się nie mylił, takich jak on zwalniano szybko.

Wraz z coraz to nowymi przybyszami ze wschodu przyływała do sądu, w którym praktykowałem, fala spraw o alimenty. Byłem zdumiony rozmiarem tego zjawiska. Ogromna łatwość otrzymania rozwodu oraz obowiązująca szczególna zasada alimentacji, która nakazywała oddawanie niekiedy do 75 procent zarobków, powodowały, że uchylanie się od płacenia było bardzo częstym zjawiskiem. Nieraz wręcz żądała tego kolejna towarzyszka życia. W przeciągu sześciu tygodni mojej praktyki przewinęły się dziesiątki takich spraw. Niektórzy z pozwanych wręcz oświadczali, że płacić nie będą, a jeśli zostaną zasądzeni, pojedą dalej i znowu się będą uchylać.

Najbardziej dramatyczne chwile przeżywałem, gdy przed sądem stawali ludzie wyraźnie upośledzeni psychicznie. Sędzię tacy podsądni irytowali, tłumaczył ławnikom, że są to symulanci, których należy przykładowo ukarać. Dwukrotnie udało mi się jednak w przerwie rozprawy przekonać ławników, że mają prawo zażądać ekspertyzy lekarskiej. Rozprawę odroczone, a następnie zeznawali lekarze. Niestety radziecki kodeks karny nie znał — w przeciwieństwie do znakomitego polskiego kodeksu z 1932 roku — stanu ograniczonej odpowiedzialności człowieka, który byłby podstawą do złagodzenia kary. Moje interwencje nie na wiele więc się zdały.

Z wielką ulgą zakończyłem swą praktykę i otrzymałem potrzebne zaświadczenie. Sędzia napisał w nim, że pracowałem dobrze i że wykazałem się znajomością prawa.

Wiosna 1941 roku

Na początku 1941 roku sytuacja zaczęła się zmieniać. Trwały wciąż sukcesy wojenne Hitlera, który zajął właśnie Jugosławię, i coraz częściej Lwów obiegała plotka, że wkrótce armia niemiecka skieruje swe czołgi na wschód. Granica, teraz już pilnie strzeżona, była bardzo blisko i wiedzieliśmy, że Armia Czerwona robi przygotowania. W samym Lwowie skoncentrowano wtedy znaczne ilości broni pancerniej, oficjalnie jednak trwała przyjaźń pomiędzy III Rzeszą i ZSRR, relacje prasy z wojny na zachodzie były wciąż życzliwe dla Niemców.

Nową oznaką zmian były próby władz radzieckich pozyskania pewnej części polskiej inteligencji we Lwowie, oczywiście poza tą grupą, która już przeszła na stronę

bolszewickiego okupanta. Podjęto wtedy dyskretne rozmowy z niektórymi osobami, cieszącymi się autorytetem w środowisku uniwersyteckim. Między innymi dowiedziałem się o takich rozmowach przeprowadzanych z prof. Kazimierzem Bartlem, byłym premierem Polski przedwrześniowej. Wkrótce dostałem wiadomość, że Bartel odmówił współpracy.

Tymczasem ukazał się we Lwowie pierwszy numer czasopisma „Nowe Widnokreęgi”. Drukowane było w Moskwie i redagowane w języku polskim. Kierowano je wyraźnie do polskiej inteligencji, chciano dać do zrozumienia, że jest doceniana i że będzie miała pewną możliwość działania, przede wszystkim druku. Nietrudno było jednak domyślić się, że pismo jest odpowiedzią na nową sytuację, w której sprawa Polski znowu pojawi się jako problem dla polityki Kremla.

Inteligencja lwowska w obliczu strat, jakie już poniosła i ponosiła codziennie — wobec deportacji, aresztowań i wyroków, biedy i przygnębienia, codziennego propagandowego kłamstwa i zohydzenia Polski — żyła zamknięta we własnym kręgu rodzinno-towarzyskim. Wśród ludzi godnych zaufania, w domach prywatnych trwały dyskusje zarówno o źródłach i przyczynach naszych klęsk, jak i o perspektywach sytuacji politycznej. Pojawienie się „Nowych Widnokreęgów” oceniano jednoznacznie: w Moskwie chcą rozszerzyć krąg ludzi, którzy będą mogli być w przyszłości wykorzystani do różnych wariantów polityki bolszewickiej. W nieoficjalnych rozmowach można przecież było od wtajemniczonych, bliskich redakcji „Czerwonego Sztandaru”, usłyszeć, że kto wie, może jednak powstanie nowa, siedemnasta republika sowiecka — Polska, oczywiście na zachód od radzieckiej Ukrainy i Białorusi, to jest na zachód od linii granicznej z III Rzeszą.

Pierwszy numer „Nowych Widnokreęgów” ukazał się na początku 1941 roku. Redakcja, przedstawiając cel i charakter pisma w programowym słowie wstępnym, nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do swej postawy i zamiarów. Czytelnik polski we Lwowie dowiedział się więc, że „ZSRR jest naszym krajem” oraz że: „Kulturze polskiej, jako części kultury radzieckiej, jej zachowaniu i rozwojowi ma służyć nasze pismo”. Pierwszym artykułem zamieszczonym w pierwszym numerze był tekst Józefa Stalina z okazji leninowskiej rocznicy. Czytałem regularnie i dokładnie „Nowe Widnokreęgi”, wśród autorów pisma byli: Jerzy Putrament, Mieczysław Jastrun, Adolf Rudnicki, Julian Przyboś, Adam Ważyk, Tadeusz Boy-Żeleński, Stefan Jędrzychowski, Stanisław Jerzy Lec,

Polityka stalinowska, o czym się dziś często zapomina, polegała nie tylko na represjach, aresztowaniach, deportacjach i okrutnych mordach, lecz także na kreowaniu fałszywych elit artystycznych i naukowych, promowaniu fałszywych autorytetów moralnych, hojnym ich wyposażaniu i wykorzystywaniu w propagandzie, w tym i zagranicznej. Na takiej właśnie zasadzie rozwinęła się kariera bardzo miernego pisarza, jakim był Ołeksandr Kornijczuk, czy kariera naukowa Trofima Łysenki, autora szeroko reklamowanych pseudonaukowych teorii genetycznych. Takimi miernymi pisarzami byli zarówno Wanda Wasilewska, jak i Jerzy Putrament. Taką właśnie politykę, której stałym elementem było szczególne materialne uprzywilejowanie pseudoelit, zastosowały władze radzieckie we Lwowie pozyskując do współpracy przede wszystkim ludzi małego i średniego talentu, któremu zwykły towarzyszyć wielkie ambicje i nie znająca hamulców gotowość zrobienia kariery. Byli jednak w takich środowiskach, zarówno w samym Związku Radzieckim, jak i w okupowanej Polsce, ludzie naprawdę wybitni, o wielkim talencie, jak choćby wspomniani już Maksym Górk, Aleksy Tołstoj czy wreszcie Tadeusz Boy-Żeleński. Często wtedy i w latach późniejszych zastanawiałem się nad zespołem przyczyn, które skłaniały tych właśnie ludzi do przyjęcia haniebnego roli, przeczącej ich głośno i latami wypowiedzanym poglądom. Talent, nawet wielki, nie zawsze kojarzy się z wielkim charakterem. Można więc było obserwować także zwykły oportunizm, wygodnictwo i pragnienie korzyści materialnych tak trudno dostępnych w systemie komunistycznym, przerost ambicji i chęć bliskich kontaktów z despotyczną władzą,

nawet fascynację tą władzą, żądzą wielkiego sukcesu, zorganizowanego poklasku, nagród i odznaczeń. Była jeszcze jedna okoliczność, charakterystyczna zwłaszcza dla postaw części literatów, którzy w tych fałszywych elitach odgrywali istotną rolę. Chodziło o pewien rodzaj psychologicznego bezpiecznika, dającego wewnętrzne samouspokojenie. Było nim przekonanie — a zetknąłem się z nim wielokrotnie w rozmowach z ludźmi tamtych czasów i środowisk — o szczególnej, samooczyszczającej sile tekstu literackiego. Wystarczy przecież, mówili, napisać jeszcze jedno „wyznania”, jeszcze jedną „spowiedź” (tu powoływali się na historyczne przykłady, zaczynając od św. Augustyna), aby nie tylko w pełni usprawiedliwić swe postępowanie, ale poprzez ekshibicyjny przyznanie się zdobyć kolejne laury.

Postawy uległości umacniała wieloletnia i wypróbowana taktyka bolszewickiego kierownictwa wobec wybitnych twórców, którzy, jak Maksym Górk, mieli za sobą ostre, antykomunistyczne wypowiedzi, oskarżycielskie apele i manifesty pod adresem Kremla. Czyniąc z tych ludzi posłusznych dworaków, władze pozwalały im niekiedy na teksty jak gdyby dwuznaczne wobec systemu, na pozorne sprzeczności, pseudoliberalne gesty, aluzyjne krytyki — zwłaszcza ubrane w kostium historyczny. Było to tym łatwiejsze, że oficjalna, zakłamana retoryka pełna była frazesów o wolności i prawdzie, wyzwoleniu i sumieniu ludzkości, sprzeciwie wobec każdego zła, współczuciu dla każdego cierpiącego. Rzekomo krytyczne teksty stanowiły część stałej gry prowadzonej przez te środowiska z władzami, gry pełnej grymasów, patetycznych gestów, kokieterii i ciągłych targów o kolejne przywileje. Stykając się latami za drutami obozu z ludźmi z tego środowiska, ofiarami kolejnych fal represji, słyszałem setki opowiadań o tych mechanizmach, które moi rozmówcy traktowali zwykle jako całkowicie naturalne.

Platformą polityczną służącą owym działaniom wobec inteligencji był Związek Pisarzy Radzieckich, do którego należeli współpracownicy „Nowych Widnokręgów” z redaktorem naczelnym Wandą Wasilewską na czele. Była ona już wtedy we Lwowie główną postacią wśród współpracujących z okupantem, cieszyła się dużymi wpływami u miejscowych władz radzieckich i w Kijowie, jej życie osobiste, a zwłaszcza dziwna śmierć ówczesnego męża, były przedmiotem plotek i domysłów. Pamiętam dobrze, jak jej dawni znajomi i towarzysze z PPS zwracali się do niej o pomoc w obronie aresztowanych, nieraz bardzo zasłużonych działaczy socjalistycznych. Nie znam ani jednego przypadku, aby komuś pomogła. Słyszałem bezpośrednio relacje z kilku takich rozmów; odpowiedzi Wasilewskiej były ostre i bezwzględne, powtarzała slogany propagandowe o „pańskiej Polsce” i o „PPS-owskich agentach burżuazyjno-nacjonalistycznych”, których ani myśli bronić. Ludzie, którzy wtedy weszli do „Nowych Widnokręgów”, a zwłaszcza ci, którzy, jak Boy-Żeleński, publikowali także w „Czerwonym Sztandarze”, latami walczyli w II Rzeczypospolitej o prawa człowieka i demokratyczne swobody, podkreślali swój humanizm, teraz zaś wiedzieli dobrze, co się wokół nich dzieje we Lwowie. W prasie radzieckiej obok własnych artykułów czytali codziennie teksty nie tylko przesyczone nienawiścią do państwa polskiego, którego byli obywatelami, lecz także pełne prymitywnych i cynicznych kłamstw fałszujących historię narodu i dzieje kultury polskiej. Widział dobrze Boy-Żeleński, który przyjął katedrę na zsovietyzowanym uniwersytecie we Lwowie, mimo że wielokrotnie odmawiał jej przyjęcia od władz polskich przed wrześniem 1939 roku, jak znikają dziesiątki jego własnych studentów i kolegów, deportowanych w mroźne noce wywózek ze Lwowa.

Żaden z tych ludzi tak chętnie pozujących na autorytety moralne, tak chętnie wystawiających cenzurki poprzednim pokoleniom, nie zająknął się nawet w tym czasie publicznie w obronie ofiar stalinowskich represji. Co więcej, ludzie ci brali aktywny udział w uzasadnianiu i chwaleniu polityki radzieckiego okupanta Lwowa.

Po latach będą podjęte próby usprawiedliwienia tych, którzy w dniach klęski i okupacji odegrali ponurą rolę piewców narzuconego przemocą systemu. Wskazywać się będzie na ich inteligencką fascynację Heglem, uznanie konieczności wpływających jakoby z praw historycznego rozwoju. Zwycięstwo ZSRR i nowy układ sił na świecie i w Europie odczytywany miał być jako wyraz takiej właśnie prawidłowości, którą należało przyjąć i zaakceptować. Zwolennicy takiego rozumowania mylą daty — w latach 1939—41 losy wojny nie były jeszcze przesądzone, ZSRR był sojusznikiem Hitlera i ludzie, którzy się wtedy za nim opowiedzieli, popierali w istocie przymierze dwu totalitarnych systemów zbudowane na nowym rozbiórce Polski. Dopiero w czerwcu 1941 roku ZSRR występuje jako bojownik o wyzwolenie Europy z hitlerowskiego jarzma. W okupowanym Lwowie niemal do ostatniego dnia odczuwaliśmy ten radziecko-hitlerowski sojusz wymierzony przeciwko Polsce.

Wskazuje się także na to, że ludzie, którzy wtedy poszli na współpracę z okupantem, mogli przecież pisać po polsku, publikować, grać sztuki teatralne, a więc w pewien sposób wzbogacać kulturę polską. W rzeczywistości sprawy wyglądały odmiennie, przykładem może być działalność Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Nikt w polskim Lwowie nie robił mu zarzutów z tego powodu, że wykładał na uniwersytecie literaturę francuską. W tej samej uczelni działało wtedy wielu polskich uczonych, wykorzystując możliwości pracy nawet w surowych warunkach wojny i okupacji. Boy-Żeleński jednak, wykorzystując swój pisarski autorytet, podjął się wtedy innej zgoła roli — aktywisty politycznego pomagającego w realizacji celów okupanta. Występował w prasie i na zebraniach, przyjmował różne funkcje w zespołach redakcyjnych i zarządach związków głoszących nienawiść do niepodległej Polski, przekonujących Polaków, że ich jedyną drogą ma być wierna służba radzieckiej ojczyźnie. W tamtych, wojennych warunkach agitacja w kampanii wyborczej, publiczne potępienie wyborów w II Rzeczypospolitej i wychwalanie ponurej farsy stalinowskich wyborów miało dla naszego Lwowa jednoznaczny wydźwięk.

Prawdą jest, że w tym czasie polski teatr dramatyczny wystawiał *Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej i że nazajutrz po przedstawieniu ukazywały się wzmianki, recenzje. Prawdą jest jednak także, iż w ten sam wieczór wywożono ze Lwowa tysiące polskich rodzin wyciągając je przemocą z mieszkań, ładując do bydłowych wagonów, odprawiając w okrutnych warunkach w stepy Kazachstanu. Tego współpracujący z okupantem ludzie wiedzieć nie chcieli, o tym milczeli, tak jak i milczała o tym ówczesna prasa.

Część czwarta - Hitlerowska okupacja Lwowa

W Generalnej Guberni

Pogłoski o rychłym ataku Hitlera na ZSRR nasiliły się od początku czerwca, ale władze radzieckie we Lwowie dementowały je. Do ostatniego dnia nasi kolejarze informowali o transportach radzieckiej ropy naftowej, jakie przez Lwów i Przemyśl szły do Niemiec.

Rankiem 22 czerwca usłyszałem znajomy huk motorów: na Lwów leciały niemieckie bombowce. Zaczęła się wojna na wschodzie. Dawno przepowiadana i oczekiwana, została przyjęta przez polski Lwów z wielką nadzieją; powszechne było przekonanie, że zbrojny konflikt między zaborcami będzie korzystny dla Polski i przyspieszy odzyskanie niepodległości.

Wypadki rozwijały się nadszpiewanie szybko. Już w kilka dni po rozpoczęciu działań wojennych okazało się, że Armia Czerwona cofa się, a hitlerowska nadciąga. Wtedy to — przekonane, że zajęcie miasta jest kwestią godzin — tajne ukraińskie organizacje nacjonalistyczne usiłowały zbrojnie opanować Lwów, rozpoczynając w wielu punktach strzelaninę do cofających się oddziałów radzieckich. Rachuby okazały się mylne. Kilkugodzinne walki były bardzo krwawe i zakończyły się masakrą Ukraińców, od razu rozpoczęły się masowe, nieraz przypadkowe aresztowania. Zginęło wtedy także wielu Polaków. Ja też tylko przypadkiem uniknąłem śmierci; pocisk z radzieckiego czołgu stojącego na ulicy Zielonej eksplodował w moim pokoju, do którego właśnie zamierzałem wejść. Wybuch rozwalił całkowicie okno, zniszczył meble i rzeczy, odłamki poszarpały część książek, roztrzaskane były wszystkie obrazy na ścianach. Jeden tylko pozostał nietknięty — kolorowy szkic zatytułowany „Drwal i sasanka”, dzieło schizofrenika, zrobione na odwrocie karty ze szpitalnym jadłospisem. Otrzymałem go w podarunku od ordynatora szpitala na Kulparkowie w czasie kursu sądowej psychiatrii, gdy dowiedział się, że interesują mnie związki zdrowia psychicznego i twórczości. Musieliśmy natychmiast całą rodziną zejść do piwnicy i przesiedzieć tam ten gorący czas. Ponieważ Ukraińcy strzelali do żołnierzy radzieckich z dachów i okien, patrole wojskowe dokonywały rewizji mieszkań. Przy najmniejszym podejrzeniu można było zginąć na miejscu.

W następane dni polski Lwów wyległ na ulice, aby oglądać odwrót Armii Czerwonej. Przez miasto przechodziły dość spokojnie większe oddziały pancerne, widocznie starając się uniknąć okrażenia, zaczęły się też szybko ewakuować urzędy i grupy ludzi napływowych z rodzinami, dawano im ciężarówki, ale ewakuacja nabierała już cech paniki.

Dowiedziałem się, że w dniu wybuchu wojny wiele osób zatrudnionych na uniwersytecie, w tym także pracowników naukowych, zabrano przymusowo z gmachu uczelni na lotnisko na Skniłowie, gdzie miały zasypywać dziury po niemieckich bombach. W tym czasie nastąpił nowy nalot i były ofiary w ludziach. W dniu ukraińskich zamieszek na korytarzu uniwersytetu doszło do strzelaniny; zabito kilku aktywistów młodzieżowych i wykładowców ze wschodu, w tym profesora Dżeniuka, specjalistę od kolektywizacji rolnictwa. Wkrótce dowiedziałem się, że w organizacji komsomolskiej uniwersytetu działała tajna nacjonalistyczna grupa ukraińska i że to ona właśnie zorganizowała zamach.

Rozeszła się także pogłoska, że z Armią Czerwoną odeszła na wschód grupa polskich literatów, którzy — z Jerzym Putramentem na czele — współpracowali z bolszewickim okupantem. I ta wiadomość szybko się potwierdziła. Największe obawy budził los więźniów, trzymany w lwowskich więzieniach. Były ich tysiące, po walkach z Ukraińcami cele wypełniły się nowymi więźniami, schwytanymi na oślep na ulicach. Wkrótce potwierdziło się najgorsze przypuszczenie: przed wycofaniem się z miasta bolszewicy wymordowali

wszystkich więźniów we wszystkich więzieniach. Cele były pełne trupów.

Nazajutrz po wejściu armii niemieckiej dowiedziałem się, że otwarto szczególnie ciężkie więzienie przy ulicy Łąckiego, i że ludzie idą tam rozpoznać zwłoki bliskich. Zdecydowałem się tam pójść, na Łąckiego siedziało wielu moich kolegów i przyjaciół. Węzienie otoczone było kordonem niemieckich żołnierzy, ale zobaczyłem, że niektórzy ludzie wchodzą do środka. Podszedłem bliżej, gdy nieoczekiwanie jeden z żołnierzy odezwał się do mnie czystą polszczyzną: „Masz tam kogoś, to cię puszczę”. Poznałem twarz pod hełmem: był to znajomy Ukrainiec, student prawa UJK, który w roku akademickim 1937—38 siedział zwykle koło mnie na ćwiczeniach. Kiwnąłem mu głową i szybko przeszedłem przez kordon. Znalazłem się na obszernym, otoczonym murem podwórzu więzienia. Obraz, jaki ujrzałem, był koszmarny — pod murem, na pagórku ze świeżo usypanej ziemi siedziała grupa Żydów. Byli to sami mężczyźni, w różnym wieku, sądząc z powierzchowności — ortodoksi, wszyscy silnie pobici, pokrwawieni i posiniaczeni, ręce mieli zabrudzone, też pokrwawione. Siedzieli bez ruchu jak skazańcy, pilnowało ich kilku Niemców w mundurach, z pistoletami maszynowymi w rękach. Na podwórzu, wydobyte z ziemi, niektóre już ze śladami rozkładu, leżały trupy pomordowanych przez NKWD więźniów, pochowanych na miejscu, w obrębie więzienia. Było ich kilkaset, część z nich miała wyraźne ślady tortur, rozległych oparzeń, złamań kości, ran. Widać, że byli to ludzie aresztowani w ostatnim okresie przed ewakuacją NKWD. Niemcy zmusili Żydów schwytanych w łapance w starej dzielnicy miasta do wykopania zwłok gołymi rękami. Teraz ludzie chodzili między trupami i rozpoznawali ciała swoich bliskich. Był początek lata, gorąco, i duszny zapach unosił się nad tym potwornym miejscem. Byłem już dość odporny na różne wojenne widoki, miałem za sobą miesiące prosektorium i asystowania przy sekcjach, to jednak, co zobaczyłem, przekraczało granice wytrzymałości, szybko wyszedłem. Nie przypuszczałem wtedy, że wrócę na to miejsce jako więzień.

Zajęcie Lwowa przez Niemców i wejście z nimi oddziałów ukraińskich, choć w niemieckich mundurach, pierwsze aresztowania, a zwłaszcza afisze rozklejane przez nacjonalistów ukraińskich, zapowiadające utworzenie własnego państwa, napawały mnie, tak jak i wszystkich Polaków we Lwowie, ogromną obawą. Niemcy nie myśleli jednak o stworzeniu ukraińskiej państwowości we Lwowie ani nawet w Kijowie. Afisze wkrótce zniknęły, rozeszły się pogłoski o aresztowaniach wśród przywódców ukraińskich. Długo niepokoiliśmy się o los aresztowanych przez Niemców polskich uczonych, profesorów LUK. Sądziliśmy, że — jak w 1939 roku w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim — wywieziono ich do obozu koncentracyjnego. Niestety, we Lwowie nowy okupant postępował z inteligencją polską jeszcze bardziej okrutnie: więźniów rozstrzelano. Był to ogromny cios dla naszego Lwowa i całej polskiej nauki. Deportacje, aresztowania i mordy dokonane w ciągu miesięcy pobytu bolszewików we Lwowie, nie zmieniły charakteru miasta. Było ono przede wszystkim polskie mimo tradycyjnej obecności mniejszości, zwłaszcza żydowskiej. Wraz z Armią Czerwoną odeszła przytłaczająca większość ludzi, przysłanych ze wschodu po wrześniu 1939 roku, razem z nimi i ci, którzy ściśle związali się z okupantem.

Tymczasem 1 sierpnia 1941 roku ogłoszono przyłączenie Galicji — bo wrócono do tej nazwy Małopolski z czasów zaborów — do Generalnej Guberni. Wydana z tej okazji odezwa generalnego gubernatora Hansa Franka do ludności rozpoczynała się od potępienia rządów Polski przedwrześniowej i wspominała o ofiarach okupacji bolszewickiej. Obiecywała Galicji powrót do wspólnoty kulturalnej Europy, przywrócenie własności prywatnej i prawa wykonywania praktyk religijnych, wolność ludowo-kulturalnego życia, kończyła się pobożnie zwrotem: „Niechaj Bóg pobłogosławi dzieło, które wspólnie rozpoczynamy”.

W propagandzie niemieckiej skierowanej do Polaków wątek walki z bolszewizmem i budowy nowej Europy pod protektoratem Rzeszy będzie się powtarzał przez cały czas hitlerowskiej

okupacji. Dla nas najważniejsze było wtedy scalenie wschodnich ziem polskich z dotychczasowym obszarem Generalnej Guberni, z Krakowem, Warszawą. W ten sposób bowiem miliony Polaków rozdzielonych sztuczną granicą były znów na jednym administracyjnie terytorium, do tego wciąż noszącym oficjalne piętno polskości. Przyłączenie oznaczało także powrót złotówki, wprowadzie okupacyjnej, ale odrębnej od rubla czy marki, powrót wielu starych polskich norm prawnych i form życia, które zostały przez bolszewików zupełnie rozbite. Powrót do gospodarki prywatnej, rynkowej, miał ogromne znaczenie nie tylko dla utrzymania poziomu życia ludzi, lecz także dla każdej działalności konspiracyjnej, niezwykle utrudnionej w warunkach gospodarki radzieckiej. Okupacja niemiecka silniej też cementowała społeczeństwo polskie, rasistowsko-szowinistyczna ideologia hitleryzmu nie znajdowała w nim żadnego politycznego oddźwięku ani na lewicy, ani na tradycyjnie antyniemieckiej prawicy. Natomiast od pierwszych dni pobytu Niemców w samym Lwowie i całej przyłączonej do Generalnej Guberni Małopolsce Wschodniej zarysowały się dramatyczne, a następnie tragiczne problemy społeczności żydowskiej. Od pierwszych chwil mniejszość żydowska stała się ofiarą prześladowań, uzasadnianych obok zwykłych rasistowskich argumentów dodatkowo sympatiami i współpracą tej mniejszości z bolszewickim okupantem.

W 1941 roku, bezpośrednio po wkroczeniu Niemców, represje były jeszcze stosunkowo ograniczone. Wkrótce powstanie w mieście samorząd żydowski, „Judenrat”, tymczasem nałożono na społeczność żydowską wielką pieniężną kontrybucję. Pierwszą Żydzi wnieśli w terminie, wkrótce potem zaczęły się coraz to okrutniejsze represje.

Od pierwszego dnia groźnie zaczęła się kształtować sytuacja w środowiskach ludności ukraińskiej: zdominowały ją grupy nacjonalistyczne, często skłócone ze sobą, lecz zawsze zgodne w swej nienawiści do Polaków. Niemcy wygrywali te nastroje, obok odtwarzanej polskiej granatowej policji pojawiła się we Lwowie policja ukraińska, bezwzględna i okrutna. Brała ona także często udział w prześladowaniach ludności żydowskiej. W miejscowościach, gdzie Polacy stanowili wyraźną mniejszość, zaczęły się mnożyć coraz gwałtowniejsze incydenty. Przybiorą one z czasem charakter bratobójczy, podejmowane będą próby fizycznej eksterminacji polskich sąsiadów.

Odsunięcie się frontu od Lwowa, zmiana ogólnie na lepsze sytuacji gospodarczej, możliwość odwiedzania Krakowa i Warszawy, gdzie miałem rodzinę, nie mogły przesłonić faktu, że jako młody człowiek znów byłem zagrożony, tym razem wysłaniem na przymusowe roboty do Niemiec. Zaczął już działać urząd pracy; „Arbeitsamt”, na ulicach sprawdzano dokumenty, zatrzymywano ludzi bez określonego i akceptowanego przez władze zajęcia, potwierdzonego odpowiednią niemiecką legitymacją. Znowu, jak w październiku 1939 roku, zostałem wraz z rodziną bez dochodów, bez zatrudnienia, bez dokumentów.

Uniwersytet od razu został zamknięty. Ojciec musiał szukać pracy w sekretariacie firmy handlowej, która zaczęła prowadzić korespondencję ze swymi partnerami w języku niemieckim i potrzebowała tłumaczy. Dość nieoczekiwanie otworzyła się znowu możliwość nauki — Niemcy zgodzili się na uruchomienie we Lwowie polskiej jednorocznej szkoły handlowej wyższego stopnia. Decyzję tę uzasadniano koniecznością kształcenia kadry dla odbudowy gospodarki prywatno-rynkowej. Ponieważ miałem ukończony rok AHZ, zapisałem się bez trudu do tej szkoły i otrzymałem pierwszą w miarę dobrą legitymację, mogłem swobodnie poruszać się po mieście bez obawy o przypadkową kontrolę i wysyłkę na przymusowe roboty.

W szkole wykładali wyłącznie Polacy, pomagano sobie wzajemnie. Ukończyłem ją i otrzymałem dwujęzyczne, polsko-niemieckie świadectwo.

Gdy tylko odwołano ograniczenia w podróżowaniu koleją, Niemcy szybko z powrotem przestawili tory kolejowe na szerokość europejską, i w kwietniu 1942 roku pojechałem do Krakowa i Warszawy. Wrażenia moje, zwłaszcza z Krakowa, były niezwykle. Gdy po bardzo uciążliwej, okrężnej podróży przez Sambor, Zagórze, Krosno i Jasło dotarłem do celu i wyszedłem z dworca kolejowego do miasta, nie wierzyłem własnym oczom. Wydawało mi się w pierwszej chwili, że wojny tu w ogóle nie było i nie ma, że to tylko we Lwowie spadły na nas wszystkie możliwe nieszczęścia.

Wszedłem do małej kawiarenki. Od 1939 roku nie widziałem takich ciastek i tortów, jakie stały na ladzie. Na ścianie lokalu wisiał spokojnie duży portret Piłsudskiego. Oczywiście od razu dowiedziałem się od krewnych o aresztowaniach i prześladowaniach, o losach oficerów rezerwy i więzieniu na Montelupich, o rządach gubernatora na Wawelu. Wszystko to była prawda, niemniej jednak pierwsze wrażenie nie zniknęło. W naturalny sposób porównywałem sytuację krakowską z lwowską: ze strasznymi skutkami dwóch lat okupacji bolszewickiej, masowymi aresztowaniami i deportacjami do Kazachstanu, prześladowaniami każdego przejawu przynależności Lwowa do Polski, wreszcie widokiem masowego grobu w więzieniu na Łąckiego.

Podróż z Krakowa do Warszawy odbyłem wygodnie pośpiesznym pociągiem. Zatrzymałem się u mojej ciotki, malarki, Wandy Pogonowskiej. Mieszkała w środku miasta przy ulicy Piusa XI, tak nazywała się wtedy ulica Piękna. Jej mąż, mój wuj Jerzy Pogonowski, zmienił się fizycznie do tego stopnia, że z trudem go poznałem. Aresztowany, zachorował ciężko w więzieniu, gdyby nie pomoc polskiego lekarza, nie przeżyłby. Wyszedł, ale przed wojną otyły mężczyzna, stracił w więzieniu trzydzieści kilogramów. Był jednak wesół i aktywny, wciąż prowadził kancelarię adwokacką. Mój brat cioteczny Iwo siedział wciąż w obozie koncentracyjnym, po raz pierwszy widziałem wtedy listy z obozu pisane na specjalnych blankietach. Jego młodszy brat Krzysztof pomagał matce w domowej produkcji lodów, ale był już w konspiracji, w 1944 roku zginie wraz z całym oddziałem w Powstaniu.

Ciotka moja była bardzo towarzyska, a ja byłem wtedy w Warszawie atrakcją, mało mieli jeszcze bezpośrednich wiadomości o Lwowie i naszych perypetiach. Chodziłem więc na wizyty do różnych krewnych i znajomych, dziwiąc się skrycie, jak mato, przynajmniej zewnątrz, różni się ich życie towarzyskie od przedwojennego. Musiałem się nawet przyodziać inaczej, dostałem ubranie nieobecnego brata, gdyż mój lwowski strój nie pasował do towarzyskich wymogów stolicy.

Szybko przekonałem się, że warszawskie środowisko inteligencji, a to był krąg towarzyski mego wujostwa, sytuację ogólną ocenia optymistycznie. Niemcy, jak sądzono, tego lata uderzą ogromną siłą i rozbiją doszczętnie Armię Czerwoną, wykrwawią się jednak tak silnie, że nie sprostają ofensywie aliantów, coraz bardziej ważyć będzie potencjał wojenny Ameryki. Niemcy zostaną zmuszone do kapitulacji, a my odzyskamy niepodległość. Należy przetrwać, przede wszystkim ekonomicznie, i organizować się. Dowiedziałem się o rozmiarach konspiracji wojskowej i cywilnej. Całą noc czytałem plik warszawskiej prasy podziemnej, który przyniosła mi specjalnie ciotka, abym się przekonał, jak jest różnorodna.

Stwierdziłem też, że w stolicy ludzie słabo przedstawiają sobie, jak wielkim niebezpieczeństwem dla całych Kresów Południowo-Wschodnich jest nacjonalizm ukraiński i jego zbrojne organizacje. W Warszawie był tylko jeden wróg — Niemcy. O Rosji Radzieckiej mówiono z lekceważeniem i pogardą, opierając się na doświadczeniach wojny z 1920 roku. Ludzie starszego pokolenia, którzy zwykle mieli za sobą studia w carskich szkołach, wypowiadali o bolszewizmie sądy stanowcze, ale w świetle moich doświadczeń anachroniczne i naiwne: oczywiście trudno mi było ich przekonać. Sprawy ukraińskie w Warszawie wydawały się odległe i wręcz błahe, część moich rozmówców była przekonana,

że uda się dojść do porozumienia z Ukrainą, jak to kiedyś zrobił Piłsudski układając się z Petlurą. Moje relacje z września 1939 roku i z okresu okupacji radzieckiej traktowano życzliwie, ale czułem, że nie zawsze dawano mi wiarę. Nie było to zresztą dla mnie zaskoczeniem, już w Krakowie, gdzie znajomość sytuacji we wschodniej części Małopolski powinna być większa, obserwowałem podobne reakcje. Zobaczyłem też, ku mojemu zdumieniu, że publicznie i aktywnie działają tam biura i ośrodki nacjonalistów ukraińskich, a miejscowi nie orientują się nawet, jaki to ma związek z sytuacją we Lwowie i na Kresach Wschodnich.

W Warszawie najbardziej mnie uderzył doskonale w porównaniu ze Lwowem zaopatrzonego rynek żywnościowy, mimo obowiązkowych dostaw narzuconych przez Niemców rolnictwu. Po przymusowej kolektywizacji, zniszczeniu polskich majątków ziemskich i gospodarstw chłopskich braki żywnościowe we Lwowie były trwałe i kilka miesięcy nie potrafiło ich wyrównać.

Zupełnym zaskoczeniem była dla mnie także działalność całej sieci lokali rozrywkowych, kawiarni z programem artystycznym, teatrzyków, sal koncertowych. Wszystkie te przybytki grające i śpiewające po polsku, w większości dla Niemców zakazane, były pełne publiczności. Na afiszach i w programach zobaczyłem wiele nazwisk znanych sprzed 1939 roku, a przysłuchując się rozmowom, przekonałem się, że wprawdzie opinia publiczna jest w tych sprawach podzielona, ale nie wpływa to na frekwencję. Znaczna część aktorów bojkotowała teatry nadzorowane bezpośrednio przez Niemców i Urząd Miasta, ale kawiarnie, rewie i teatrzyki prywatne były w pełni akceptowane. Ponieważ to wszystko było dla mnie i nowością, i zaskoczeniem, postanowiłem przyjrzeć się temu z bliska. Było to także moje zobowiązanie: we Lwowie zaczęliśmy wielką konspirację, zaczynała wychodzić różnorodna podziemna prasa, było duże zapotrzebowanie na materiały i wieści ze stolicy, obiecałem więc moim przyjaciołom przywieźć ile się tylko da nowości.

Poszedłem więc do eleganckiego wtedy hotelu Europejskiego na koncert. Śpiewała Ewa Bandrowska-Turska, na sali siedzieli obok nas, zachowując się nader spokojnie, oficerowie niemieccy w mundurach, lokal był dozwolony i dla nich, i dla Polaków.

Poszedłem na Polną 30 do słynnej wówczas kawiarni Lardellego, gdzie dawano koncerty. Sala była przepelniona, okazało się, że śpiewa tam arie mój dawny kolega, jeszcze od Kistryna, Lesław Finze. Poznał mnie, rozmawialiśmy chwilę, pytał, co się dzieje we Lwowie. Jego matka miała kiedyś w centrum miasta luksusowy sklep modniarski. Zachowałem w swoim archiwum tygodniowy program artystyczny u Lardellego z kwietnia 1942 roku. Orkiestrą dyrygował Adam Dolżycki, grano Beethovena, Brahmsa, Liszta, Chopina i Szymanowskiego. Arie operetkowe śpiewała Halina Latoszewska, na fortepianie grał Jerzy Żurawlew.

Byłem w Teatrze Komedia na ulicy Kredytowej. Trafiłem na wesołą komedię węgierską Jana Bokay'a „Kocham cztery kobiety”, w głównych rolach występowali Maria Malicka, Ina Benita, Kazimierz Junosza-Stępowski, reżyserowała Stanisława Perzanowska. W pięknie wydrukowanym programie, który też zachowałem, znalazłem m.in. reklamę cukierni Bliklego i biura przewozowego Węgielka, a także informacje, że toalety Marii Malickiej wykonano w studio mody „Falbanka” w Alejach Jerozolimskich 17. Meble na scenie były z firmy J. Wrzecion, ulica Hoża 16. Sala Teatru Komedia była wypełniona po brzegi, wiele było śmiechu i owacji, oklasków dla Malickiej przy otwartej kurtynie.

Tego dnia w nocy w budynku, w którym mieszkałem, usłyszałem jakieś hałasy na schodach i krzyki. Rano ciotka powiedziała mi, że to Niemcy aresztowali jednego z jej sąsiadów. Na ulicach stolicy widziałem codziennie przejeżdżające na sygnale samochody niemieckie,

siedzieli w nich esesmani z pistoletami maszynowymi w rękach. Ludność żydowska Warszawy była wtedy przez okupanta oddzielona fizycznie od reszty mieszkańców, powstało odrębne miasto w mieście. Widziałem je wtedy po raz pierwszy. Getto było już zamknięte, obszedłem je dokładnie, bo posterunków nie było dużo. Mur otaczał je szczelnie, ale widziałem, jak w pewnym miejscu, na wąskiej uliczce, ze zwykłego wozu przerzucano do środka bochenki chleba. Na skrzyżowaniach można było zobaczyć wnętrze getta, zdumiała mnie ogromna liczba ludzi na ulicach i szeregi rikszy na jezdniach. Wyglądało to jak znane sprzed wojny obrazki filmowe z miast chińskich. Dowiedziałem się, że w getcie jest straszliwe przeludnienie i dlatego ludzie przebywają na ulicach. Widziałem też policjantów żydowskich regulujących ruch, w getcie był samorząd i własne więzienie. Dużo słyszałem o gospodarczej działalności w getcie, było tam tysiące fachowców i niezwykle tania siła robocza, działały fabryczki, warsztaty, wytwórnie, handlowano walutą i brylantami, wiele przedsiębiorstw pracowało dla Niemców, część jednak towarów różnymi drogami przerzucano za mur, • aby zakupić na zewnątrz potrzebne rzeczy, głównie żywność i lekarstwa. Rozwarstwienie ludności pod względem materialnym było ogromne i sytuacja biedoty tragiczna. Najstraszliwsze wrażenie zrobiły na mnie głodujące dzieci, niemal zielone, wykradające się kanałami z getta i leżące w niektórych miejscach obok muru. Szacowano, że w getcie przebywało wtedy kilkaset tysięcy ludzi.

Do Lwowa docierały nieraz towary, o których wiadomo było, że są wyprodukowane w getcie. Jeden ze znajomych lwowskich kupców prosił mnie, abym dowiedział się o losach jego przedwojennego partnera handlowego.

Duża, solidna firma nazywała się „Samet” i istniała w dalszym ciągu. Okazało się nawet, że mogę bez wielkiego ryzyka spotkać się z jej przedstawicielem. Było to możliwe w sądzie na Lesznie, gdyż mieszkańcy getta mogli tam chodzić w sprawach sądowych, tak samo można było wejść do gmachu z drugiej, polskiej strony. Wuj, który prowadził kancelarię adwokacką, wystawił mi przepustkę w języku polskim i niemieckim, było to wezwanie świadka do sądu, zaznaczył na nim datę, salę i numer sprawy, którą właśnie prowadził. Było to 18 kwietnia 1942 roku. Przedstawiciel firmy „Samet” zjawił się punktualnie, był to mężczyzna w średnim wieku, elegancko ubrany, z kolorowym, jedwabnym szalikiem na szyi, miał piękny pierścień brylantowy na palcu. I on miał przepustkę jako świadek. W czasie naszej rozmowy pokazał ją na żądanie funkcjonariusza sądu. Gdy mu powiedziałem, że jestem ze Lwowa, i przekazałem pozdrowienia od tamtejszego kupca, bardzo się ucieszył, potwierdził, że jego firma działa, i wyraził nadzieję, że wkrótce doczekamy lepszych czasów. Miałem mało czasu na rozmowę, widziałem człowieka po raz pierwszy i ostatni w życiu. Zapytałem go jednak, czy nie ryzykuje, pozostając w getcie, wiedziałem, że ma bardzo rozległe stosunki po obu stronach muru i duże środki materialne. Zanim zamknięto getto lub nawet później, mógł zapewne opuścić je i schronić się, wyjechać ze stolicy. Właśnie w dniach mego pobytu w Warszawie dowiedziałem się o bardzo groźnym zdarzeniu. Władze niemieckie zażądały od „Judenratu” wydania pewnej liczby osób, które miały być natychmiast stracone. Podobno żądanie było spełnione, a ofiarami padła biedota. Nie mogłem oczywiście wtedy sprawdzić, na ile informacje te są prawdziwe, ale na zakończenie rozmowy zapytałem, czy nie boi się, że Niemcy przygotowują wymordowanie getta? Wspomniałem też, że doszły mnie słuchy o ostatnich egzekucjach, powiedziałem, że przed paroma miesiącami widziałem we Lwowie wymordowane całe więzienie. Mój rozmówca nie zdziwił się i odpowiedział filozoficznie: „Ofiary być muszą, ale nikt nie zarzyna kury, która niesie złote jajka”. Na tym się rozstaliśmy. Nigdy go już nie zobaczyłem. Gdy przyjechałem do Warszawy po roku, też na wiosnę, powstanie w getcie dogorywało. Na ogromnych ruinach budynków widać było niemieckich żołnierzy i słyszeć strzały. Pozostała mi z tego spotkania przepustka do sądu, mały kawałek papieru i pamięć o człowieku interesu, który myśląc pozornie logicznie, nie był w stanie zrozumieć, że hitlerowcy wymordują getto, z którego czerpali ogromne korzyści. Opowiadano mi, że firmy niemieckie, które miały warsztaty w getcie, były obłożone specjalnym wysokim podatkiem, gdyż ze względu na niemal darmową robociznę były dla

innych przedsiębiorstw niemieckich zbyt konkurencyjne.

Po kilkunastu dniach pobytu w Warszawie wróciłem do Lwowa. Zarówno rodzinie, jak i przyjaciółom relacjonowałem to, co widziałem. Opowiadałem o niezwykłych kontrastach, które obserwowałem na każdym kroku, o straszliwej nędzy obok bogactwa, o represjach i terrorze okupanta i o rozmiarach ruchu oporu. Mówiłem o wstrząsającym obrazie getta, za murami którego kontrasty były jeszcze ostrzejsze, bardziej dramatyczne. Przedstawiałem poglądy i nastroje warszawskiej inteligencji, z którą się zetknąłem. Mówiłem, że życie gospodarcze toczy się pozornie wręcz normalnie w porównaniu ze zrujnowanym pod każdym względem Lwowem, co więcej, kwitnie handel, funkcjonują banki, sklepy, lokale, mimo zakazów obraca się obcą walutą. Niektórzy ludzie szybko dorabiają się fortun, bawią się, mimo wezwań władz podziemnych kina są pełne, a dochody z nich idą na potrzeby Niemców. W środku Warszawy, w dawnym klubie oficerskim jest kasyno, zawsze pełne i tylko dla Polaków. Bilet wstępu jest honorowaną przepustką nocną. Wszystko to we Lwowie w tym samym 1942 roku brzmiało jak niesamowita opowieść. Nigdy zresztą ani w literaturze, ani w filmach podejmujących tematykę okupacyjną nie znalazłem odtworzonego klimatu tamtego czasu, tej wielowymiarowej rzeczywistości zastępowanej w twórczości uproszczeniami, koncentracją na niektórych tylko wątkach, wycinkach, zwłaszcza dramatycznych i patriotycznych, tamtego życia.

Podziemne państwo polskie we Lwowie

Tymczasem we Lwowie zaczęła rozwijać się wielka konspiracja. Gdy tylko pojawiła się możliwość względnie łatwej komunikacji z Warszawą, zaczęła się budowa instytucji podziemnego państwa według tego samego schematu, jaki rozwinięto w stolicy i innych ośrodkach w Generalnej Guberni. Szybko rozwinęły się we Lwowie trzy piony działań konspiracyjnych: wojskowy, polityczny i cywilno-administracyjny. Pierwsze kontakty nawiązano już w jesieni 1941 roku. Kadra dla tej działalności była wciąż na miejscu mimo strat, jakie przyniosła okupacja radziecka w latach 1939—41. Trzon pionu wojskowego tworzyła Armia Krajowa, oficerowie miejscowi i przysyłani z zewnątrz, głównie z Warszawy, a to ze względu na bezpieczeństwo konspiracji. Zaczęły się też organizować lwowskie środowiska polityczne, dostarczając ludzi do pracy podziemnej i tworząc ciała kolegialne przy powołanej w porozumieniu z Warszawą Delegaturze Rządu na okręg lwowski. Pion polityczny powstał przede wszystkim z tych partii, które stworzyły podstawę rządu na wychodźstwie i władz w kraju. Było to tzw. czwórporozumienie: Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy. Wkrótce zaczęły się tworzyć w podziemiu lwowskim inne partie i organizacje polityczne poza wielką czwórką; były to z reguły odgałęzienia podobnych ugrupowań powstających w Warszawie.

Zasadniczą strukturę państwa podziemnego tworzył, obok pionu wojskowego, ściśle z nim współpracujący pion cywilno-administracyjny podporządkowany warszawskiej Delegaturze na Kraj. Pionem tym kierowała okręgowa Delegatura i stojący na jej czele Delegat. Zgodnie z dyrektywami rządu w Londynie do zadań Delegatury okręgowej należało wykonywanie instrukcji centralnych i rozwiązywanie problemów lokalnych; te ostatnie były we Lwowie szczególnie ostre. Odpowiednio do struktury Delegatury na Kraj, która posiadała departamenty: Informacji i Prasy, Oświaty i Kultury, Pracy i Opieki Społecznej, Przemysłu i Handlu, Rolnictwa oraz Sprawiedliwości, powstały we Lwowie analogiczne komórki podejmujące, w ścisłym kontakcie ze stolicą, podobne zadania: zbioru informacji, rozdziału pieniędzy, interwencji, pomocy ludziom oraz instytucjom. Ważną agendą Delegatury było Kierownictwo Walki Cywilnej organizujące obywatelski opór społeczeństwa wobec okupanta. Fundusze na działalność okręgowych władz pochodziły z Londynu i Warszawy: otrzymywaliśmy zarówno dolary ze zrzutów, jak i złotówki. Delegatura we Lwowie

przekazywała regularnie do Warszawy informacje o sytuacji na ziemiach południowo-wschodnich: o stanie gospodarki, postawach i nastrojach społecznych, sprawach mniejszości narodowych, o zachowaniu się okupanta, a zwłaszcza podejmowanych przez niego represjach. Ze względu na skład etniczny ludności szczególnie dużo troski budziły problemy mniejszości: sprawy ukraińskie oraz sytuacja ludności żydowskiej. Dramat tej ostatniej spowodował, że przy Delegaturze utworzona została specjalna organizacja pomocy Żydom, kryptonim „Żegota”. Szczególną rolę odgrywało tzw. Biuro Legalizacji, komórka przygotowująca fałszywe dokumenty dla tych, którzy musieli ukrywać się przed represjami okupanta. Coraz większe sumy i wysiłki organizacyjne potrzebne były dla ratowania ofiar terroru ukraińskich nacjonalistów, terroru, który nasilał się, im bliżej było końca wojny. Niestety i tu rozpiętość pomiędzy potrzebami a możliwościami Delegatury była ogromna.

Wielu działaczy podziemia wywodziło się z uniwersytetu. Ze względu na moje uprzednie kontakty z kręgiem uniwersyteckim i politycznym nie tylko dobrze orientowałem się w postępkach pracy organizacyjnej, lecz także szybko zacząłem w niej uczestniczyć, wciągnięty w różne działania, dyskusje i kontakty. Kontaktowałem się więc regularnie z Mirosławem Żuławskim i Zygmuntem Łanowskim, Józefem Giebułtowiczem i Stanisławem Hubertem, z Adamem Ostrowskim i Władysławem Grzędzielskim, z Marią Fiderer i Przemysławem Ogrodzińskim. Od 1942 roku zaczynam brać udział w pracach Delegatury, w jej pionie cywilnym, przy czym wykorzystuję moją znajomość języka niemieckiego.

Niemcy byli we Lwowie przez trzy lata. Obserwowałem ich od pierwszego dnia, gdy wchodziły do miasta zwycięskie oddziały austriackich strzelców alpejskich. Była to formacja „Szarotka” — „Edelweiss” złożona z młodych, uśmiechniętych chłopców, przekonanych o swym rychłym zwycięstwie nad szybko cofającą się Armią Czerwoną. Ostatnie — w lecie 1944 roku — opuszczały Lwów zaciekle broniące się oddziały pancerne, w czołgach siedzieli także młodzi ludzie, cofali się powoli, bez paniki. Obserwowałem administrację, urzędy, kolej — Ostbahn (nosiłem w kieszeni legitymację robotnika zatrudnionego na tej kolei), obserwowałem niemieckie, przeważnie wiedeńskie firmy handlowe, które mimo wojny podejmowały we Lwowie swą działalność, patrzyłem na Niemców na ulicach i w lokalach. Uważałem, i ten mój pogląd był we lwowskiej Delegaturze powszechnie podzielany, że nie możemy ograniczać się do zbrojnej i cywilnej walki, do obrony polskiego społeczeństwa i podtrzymywania naszego wewnętrznego życia, w tym kulturalnego. Sądziłem, że właśnie w Delegaturze musimy nieustannie obserwować okupantów, widzieć i znać ich zasady, metody działania, zrozumieć ich szczególne cechy i formy. Wziąłem na siebie, w Delegaturze, pewną część takiej obserwacji, czytałem regularnie niemiecką prasę, śledziłem publikacje, a także politykę kulturalną, plastykę, repertuar kin i teatrów. Sygnalizowałem ważniejsze wydarzenia i problemy.

Należało przecież założyć jako pewnik, że po zwycięskiej dla nas wojnie zniknie wprawdzie Hitler i narodowy socjalizm, pozostaną wszakże Niemcy, od tysiąca lat nasz potężny sąsiad. Bronilem wtedy tezy, że narodowy socjalizm nie jest bynajmniej jakimś chwilowym, masowym zboczeniem psychicznym, zbiorową zbrodniczą histerią, lecz tkwi mocno korzeniami w historii tego narodu, ma bardzo szerokie poparcie społeczne. Poparcie to widziałem zresztą sam, przytłaczająca większość Niemców, którą przez te lata spotkałem, mimo niepowodzeń na froncie wierzyła święcie w Hitlera i popierała go aż do samej ostatecznej i druzgocącej klęski III Rzeszy. Byłem też zawsze przeciwny ujmowaniu spraw niemieckich w prosty, a raczej prostacki schemat: pogardzanych Szwabów, posłusznych żołdaków i zbrodniczych esesmanów. Oczywiście z nimi przede wszystkim mieliśmy do czynienia na terenach okupowanych, walczyliśmy z nimi i ta walka była naszym świętym obowiązkiem. Kiedy jednak w berlińskiej prasie codziennej czytałem nekrologi wybitnych uczonych, nieraz o światowym imieniu, oraz członków zapisanych w historii Europy arystokratycznych rodów, którzy w oddziałach SS padli na froncie wschodnim, szukałem odpowiedzi, dlaczego tak się dzieje. Przecież nie byli to ludzie z poboru, zmuszeni przez

szalonego feldfebla do podporządkowania się pruskiej dyscyplinie; w tych formacjach służyli wyłącznie przekonani ochotnicy.

Musiałem przyjąć, iż byli to ludzie w pełni świadomi tego, co robią, mieli szerokie wykształcenie, nawyki kulturalne. Co więcej, mówili często o sobie, publikowali swe wypowiedzi, uwagi, poglądy. Były to teksty bardzo odległe od tego, co w latach 1939—41 czytałem w publikacjach stalinowskich, i właśnie dlatego uważałem je za ciekawsze i groźniejsze. Usiływały one bowiem przekonywać nie do światowej rewolucji proletariackiej prowadzonej przez genialnego koryfeusza, lecz do Europy nawiązującej do swego dziedzictwa i organizującej się wokół Niemiec — przeciwko bolszewizmowi i amerykańsko-angielskiej plutokracji. Czytałem więc lokalną prasę Lwowa, gazetę „Lemberger Zeitung”, i prasę przychodzącą z Berlina, a zwłaszcza czołowy tygodnik niemiecki — redagowany przez Josepha Goebbelsa „Das Reich”. Goebbels zamieszczał w nim regularnie artykuły wstępne informujące o oficjalnym stanowisku hitlerowskiego rządu wobec aktualnej sytuacji zarówno militarnej, jak i politycznej. Wkrótce zorientowałem się, że prawdziwą kopalnią wiadomości o tym, co się naprawdę dzieje wewnątrz Niemiec, jest tygodnik wydawany przez kierownictwo SS pod tytułem „Das Schwarze Korps”. Jego treść była niesamowitą mieszaniną rozważań natury filozoficznej, nawiązujących do wielkiego, klasycznego dorobku myśli niemieckiej, z informacjami o brutalnych, eksterminacyjnych praktykach policji i oddziałów SS, okrutnej przemocy stosowanej w imię interesów narodu i wyższej rasy wobec wszystkich „społecznie szkodliwych i rasowo obcych elementów”. W istocie Niemcy stosowali tę samą zasadę, którą głosili i praktykowali bolszewicy; odrzucając indywidualizujące pojęcie winy i kary wprowadzali pojęcie zagrożenia dla rasy i narodu, tak jak tamci widzieli zagrożenie dla rewolucji proletariackiej. Służyło to do usprawiedliwienia zbiorowej odpowiedzialności i ostatecznie każdej akcji eksterminacyjnej.

Przypatrywałem się repertuarowi kin. Składał się z aktualnej kroniki filmowej i filmu fabularnego. Kronika przedstawiała przede wszystkim wydarzenia wojenne, bombardowania, walki na lądzie, morzu i w powietrzu na wszystkich frontach i oczywiście niemieckie sukcesy, które, jak niezmiennie podkreślał komentarz, miały służyć „przyszłości Europy”. Gdy sukcesów zabrakło, propaganda Goebbelsa wykorzystując łatwość, z jaką w języku niemieckim tworzy się rzeczowniki, nowe byty, puściła w obieg termin Abwehrerfolg — „sukces obronny”. Do połowy 1944 roku, to jest do kiedy mogłem śledzić niemiecką prasę i propagandę, wciąż przedstawiały one „sukcesy obronne”.

Filmy fabularne należały głównie do gatunku lekkiej rozrywki, osadzonej w realiach codziennego bytu i pozbawionej zupełnie elementów ideologicznej dydaktyki czy też tematów wojennych. Wyraźnie chodziło o to, aby dać niemieckim widzom chwilę odprężenia. W filmach występowali znani przedwojenni aktorzy dramatyczni jak Zarah Leander, w komediach popularni komicy jak Hans Moser czy Theo Linggen. Z okazji przypadającej w tamtych latach okrągłej rocznicy istnienia słynnej niemieckiej wytwórni filmowej „Ufa” nakręcono kolorowy film Baron Muenchausen z ciekawym scenariuszem i dobrą ekipą aktorską.

Na terenach polskich od 1943 roku każdy film rozpoczynał się od pokazu zdjęć z Katynia, ekshumacji zwłok wymordowanych polskich oficerów i pracy międzynarodowej komisji lekarskiej. Zdjęcia były wstrząsające.

Do Lwowa przyjeżdżały od czasu do czasu berlińskie teatry, parę razy wybrałem się na ich występy, siedziałem wśród czysto niemieckiej publiczności, obserwując zarówno scenę, jak i widownię. Komедie sprawiały mi trudności językowe, używano w nich nieraz gwary, zwłaszcza stołecznej, której nie znałem, nie miałem takich przeszkód oglądając klasykę. Widziałem wtedy występ berlińskiego Deutsche Theater wystawiającego znaną mi

uprzednio jedynie z tekstu literackiego sztukę Henryka Ibsena Jan Gabriel Borkmann. Główną rolę grał Paul Wegener, przed wojną słynny aktor teatralny i filmowy. Publiczność, w większości w mundurach, zachowywała się i w czasie przedstawienia, i w antraktach bardzo spokojnie. Przy wejściu do teatru nie było żadnych kontroli, żadnych napisów „Nur für Deutsche”; wystarczał zwykły bilet kupiony w kasie, no i oczywiście język niemiecki.

Czytając „Das Schwarze Korps” wiedziałem, jaka żelazna dyscyplina panuje w niemieckim społeczeństwie i jakimi drakońskimi środkami jest ona utrzymywana. Od 1943 roku Niemcy były coraz silniej bombardowane przez aliantów i każdy dzień przynosił ofiary, zwłaszcza wśród ludności cywilnej, tysiące ludzi pozostawało bez dachu nad głową. Propaganda stale określała te naloty jako „terrorystyczne”. Ciężar likwidacji szkód bombardowań spadał w Niemczech głównie na kobiety i ludzi starych, młodzi byli na froncie. Ogłoszono obowiązek pomocy każdemu, kto ucierpiał przy bombardowaniu, i karano bezwzględnie tych, którzy usiłowali wykorzystać nieszczęście innych. Zapamiętałem z lektury „Das Schwarze Korps” opis procesu przed tzw. sądem ludowym w Hamburgu. Oskarżony był człowiek, który w czasie nalotu angielskich bombowców ukradł w rozbitym mieszkaniu sześć łyżeczek do kawy zrobionych ze zwykłego metalu. Rozstrzelano go, a w opublikowanej sentencji wyroku podkreślone było, że w trudnej, wojennej sytuacji rzeczy najprostsze, przedmioty gospodarstwa domowego, nabierają ogromnej wagi, ochrona osobistej własności obywateli musi być zapewniona wszelkimi środkami.

Zupełnie niezwykłym wątkiem w tygodniku SS były artykuły poświęcone zwalczaniu zakorzenionych przesądów, które, jak z tego wynikało, były wciąż bardzo silne, szczególnie na prowincji. Chodziło zwłaszcza o wiarę w czarownice i ich złośliwe praktyki. Z artykułów dowiedziałem się, że organy SS i bezpieczeństwa otrzymują od społeczeństwa wiele sygnałów (jak można się było domyślać — donosów) o czarownicach: żądano policyjnej interwencji. „Gdyby nie my, znowu zapłonęłyby stosy” — stwierdził w jednej z takich korespondencji z terenu przy końcu 1943 roku wysoki oficer SS i dodał: „Nieustannie walczyć musimy z przesądami”. Te i podobne artykuły świadczyły także o niezwykle rozplenionym donosicielstwie, posłusznym i dobrowolnym informowaniu władz policyjnych o każdym podejrzanym ruchu sąsiada.

Jako polskiego obserwatora uderzyło mnie utrzymujące się — mimo niekorzystnej sytuacji militarnej Rzeszy i zarysowującej się ogromnej klęski — globalne spojrzenie na sprawy ówczesnego świata, charakterystyczne zwłaszcza dla tygodnika „Das Reich”. Mimo okrażenia Niemiec w każdym numerze specjaliści zamieszczali fachowe artykuły o problemach obu Ameryk, Afryki, Azji, Bliskiego Wschodu. Od 1943 roku rozważano także na zimno, oczywiście jako hipotezę, możliwość zwycięstwa zachodnich aliantów, a zwłaszcza ewentualne konsekwencje dla świata ich sojuszu z ZSRR. Adresatem tych rozważań były zwykle kraje pozaeuropejskie i neutralne, ostrzegano je przed perspektywą komunistycznego zagrożenia.

Wiele uwagi poświęcano w prasie problemom i perspektywom nauki, dość powiedzieć, iż w tygodniku „Das Reich” pisał na te tematy m.in. Max Planck, jeden z najwybitniejszych współczesnych fizyków, twórca teorii kwantów. W dziedzinie kultury podkreślano wciąż rolę europejskiego dziedzictwa od czasów Grecji i Rzymu poprzez gotyk i barok. Potępiano sztukę nowoczesnej awangardy jako obcą duchowi Europy, jako zagrożenie płynące z innych rasowo, niższych, prymitywnych kultur. Rysowano obraz zjednoczonej Europy, kontynuującej swe posłannictwo, z Niemcami jako przywódcą kontynentu.

W 1943 roku nabyłem świeżo wtedy wydane w Lipsku dzieło pt „Europa”, przedmowę doń napisał Joachim von Ribbentrop, sądzony później w Norymberdze minister spraw zagranicznych III Rzeszy, którego podpis figurował pod układem z ZSRR o podziale Polski w

1939 roku. W publikacji tej znalazłem oprócz wypowiedzi Niemców, artykuły napisane przez znanych podówczas polityków, profesorów i działaczy kultury z Włoch, Francji, Hiszpanii, Węgier, Rumunii i Bułgarii. Treść wypowiedzi dotyczyła wspólnego dziedzictwa europejskiego i wspólnych poczynań: omówione były m.in. sukcesy europejskiego filmu na festiwalu w Wenecji w 1941 roku, wymieniano nazwiska artystów takich jak np. Vittorio de Sica. W obrazie zjednoczonej Europy i jej kultury znalazło się miejsce dla trzydziestu państw, od Albanii do Watykanu, wymienione były nawet kraje walczące z III Rzeszą, jak Wielka Brytania, lub okupowane, jak Francja, Norwegia czy Niderlandy, była Słowacja i Chorwacja, nie było natomiast Polski.

Wszystkie niemieckie publikacje tego czasu ze szczególną nienawiścią odnosiły się właśnie do Polski, zawsze przedstawiały naszą historię, czasy II Rzeczypospolitej i społeczeństwo polskie we wrogim, karykaturalnym świetle. Samo istnienie państwa polskiego uważano za niedopuszczalne zagrożenie dla interesów Niemiec, charakterystyki narodu były przepełnione pogardą. „Polaka charakteryzuje nierówne, nieuporządkowane i nielogiczne myślenie” — taki ogólny sąd zawierała oficjalna publikacja *Sieg in Polen* — „Zwycięstwo w Polsce”, wydana przez naczelne dowództwo armii niemieckiej w 1939 roku, zaraz po klęsce wrześniowej; przedmowę doń napisał marszałek Keitel, w kilka lat później skazany w Norymberdze. Kupiłem tę publikację w czasie okupacji, była to szczegółowa relacja z przebiegu działań na froncie, zakończona mapą podziału Polski i zdjęciami bratających się oddziałów Armii Czerwonej i armii niemieckiej. Była sprzedawana w sklepach lwowskich, mimo że trwała już wojna niemiecko-radziecka, nie wycofano jej; przechowuję ją do dziś w swej bibliotece.

Od ujawnienia zbrodni katyńskiej i śmierci Władysława Sikorskiego w Gibraltarze centralna prasa niemiecka często zajmowała się sprawami polskimi, w tym także — stale podkreślając, że to tylko myślenie hipotetyczne, bo zwycięstwo Niemiec jest pewne — sytuacją Polski w przypadku zwycięstwa aliantów. Rysowano perspektywę opanowania Polski przez Stalina i jej sowietyzacji, przedstawiano z imienia i biografii ludzi, z Wandą Wasilewską na czele, którzy mogliby być instrumentem Kremla. Opisywano polityczne osamotnienie i bezsilność rządu polskiego na emigracji, wrócono mu dyplomatyczną klęskę w jego zabiegach o pomoc zachodnich sojuszników. Czytałem te wywody z mieszanymi uczuciami. Była to oczywiście wroga propaganda naszego śmiertelnego przeciwnika, z którym toczyliśmy walkę. Rząd polski w Londynie traktowany był przecież przez zachodnich partnerów jako sojusznik, armie polskie biły się wraz z aliantami, do kraju płynęła pomoc. Przekazywano krzepiące wieści, które miały umocnić polski ruch oporu i podziemne państwo. Im bardziej jednak zbliżał się rok 1944, tym większe ogarniały mnie niepokoje.

Gdy front niemiecki na wschodzie po nieudanej ofensywie pod Kurskiem zaczął powoli, lecz ciągle cofać się w kierunku naszych granic, gdy po zajęciu Afryki Północnej i upadku rządów Mussoliniego, wkroczeniu aliantów do Włoch, los wojny był widocznie przesądzony, z każdym dniem większym problemem politycznym dla Polski stawał się Związek Radziecki, a nie upadająca III Rzesza. Odczuwaliśmy to przede wszystkim we Lwowie. Od połowy 1943 roku rozszerzyłem zakres interesujących mnie czasopism, aż do czerwca 1944 czytałem emigracyjną prasę rosyjską wydawaną w Berlinie przez grupy białych emigrantów, którzy opuścili Rosję jeszcze w czasach rewolucji lub w latach dwudziestych, a następnie politycznie związali się z Niemcami, w ich pochodzie na wschód widząc szansę dla siebie. Dołączyli do nich ludzie, którzy z obozów jenieckich lub terenów zajętych przez Wehrmacht zdołali znaleźć się w Berlinie. Prasa ta interesowała mnie z kilku względów.

Po pierwsze w drugiej fazie wojny na wschodzie coraz więcej było ludzi, którzy z Armii Czerwonej przeszli do różnych formacji niemieckich — do legionów narodowościowych, a nawet SS. Niektóre z tych oddziałów, zwłaszcza generała Własowa, były postrachem

ludności, w okrutny sposób pomagały w czasie niemieckich pacyfikacji. Ludzie ci stacjonowali we Lwowie, mieliśmy bezpośrednie informacje o nich i ich zachowaniu.

Po drugie zauważyłem, że w berlińskiej prasie rosyjskiej, a zwłaszcza w tygodniku „Nowoje Słowo”, zaczynają zamieszczać artykuły ludzkie z bolszewicką, marksistowsko-leninowską szkołą myślenia, -posługujący się językiem odmiennym od języka starej emigracji. Nauczyłem się szybko rozpoznawać takie teksty, często propagandowe, w których autorzy wykreślając w starym schemacie jedne słowa, po prostu wstawiają nowe: zamiast o „rewolucji proletariackiej” piszą o „nowym porządku w Europie”, termin „komunizm” zastępują przez „narodowy socjalizm”. Zwróciłem także uwagę na wyraźną niechęć rosyjskiej emigracji do Polski i spraw polskich, jej sposób myślenia kategoriami zaborców. W każdym numerze czasopisma można było znaleźć ironiczne uwagi, pogardliwe wzmianki i satyryczne teksty o polskich problemach i stosunkach. Okupowaną przez Niemców Warszawę docierający tam korespondenci przedstawiali w czarnych barwach jako rojowisko spekulantów, oszustów, ulicznych handlarzy i zaciętrzewionych spiskowców, którzy niczego się nie nauczyli, nie rozumieją historii i jej praw, marzą o tym, co nie udało im się przez cały wiek XIX, o samodzielnym państwie, które Europie jest i będzie zupełnie niepotrzebne. To właśnie, w moim przekonaniu, trzeba było wiedzieć i zapamiętać.

Tragiczny los sąsiada

Od pierwszych ofiar, jakie padły zaraz po wkroczeniu Niemców w lipcu 1941 roku, aż do ludobójczej likwidacji społeczności żydowskiej we Lwowie w ramach hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”, rozegrał się cały cykl wydarzeń, które dane mi było bezpośrednio oglądać, a nawet, w tej czy innej mierze, samemu w nich uczestniczyć. Żydzi mieszkali we Lwowie od średniowiecza, była to społeczność nie tylko liczna, ale także — o czym już pisałem — bardzo zróżnicowana majątkowo, obyczajowo, kulturalnie i, w pewnym sensie, narodowo. Te ostatnie podziały przebiegały nieraz w jednej rodzinie. Część Żydów przybyła do Polski z Rosji dopiero w latach dwudziestych uciekając przed bolszewikami i ukraińskimi nacjonalistami. Po dłuższych dyskusjach i sporach rząd polski przyznał im wszystkim obywatelstwo.

Była we Lwowie, jak i we wszystkich miastach polskich z większymi gminami żydowskimi, stara dzielnica, w większości zamieszkała przez Żydów, mieściły się tam także bożnice i domy modlitwy, liczne organizacje społeczne i kulturalne. Żydzi mieszkali jednak wszędzie, w zależności od zawodu, środków materialnych i upodobania, mieszkań było wtedy sporo, a decydowały o tym wyłącznie pieniądze. Moim sąsiadem piętro niżej w domu przy ulicy Na Skalce I był Benon Chaskelson, pochodzący z kijowskiej Ukrainy, który w Polsce dorobił się prowadząc interesy handlowe. Poznaliśmy się bliżej od wybuchu wojny, kiedy to wszyscy lokatorzy musieli na zmianę pełnić funkcje strażnicze, pomagać sobie w piwnicznym schronie, informować o sytuacji.

Każdy z kolejnych etapów niemieckiej polityki wobec Żydów we Lwowie stawał ich wobec dramatycznych wyborów, zanim okazało się, że wszystkim okupant przygotowuje jednakowy los. Ponieważ miałem od dzieciństwa wielu znajomych, kolegów i przyjaciół Żydów, wciągnięty w mechanizm wydarzeń, nieraz stawałem się świadkiem takich właśnie dramatów.

W 1941 i 1942 roku nikt nie wyobrażał sobie, że Niemcy dopuszczą się potwornego ludobójstwa. Liczono się najwyżej z szykanami, represjami i zakazami, grabieżą majątku czy przymusową izolacją nawiązującą do średniowiecza. Przecież już przed wojną do takiej właśnie izolacji Żydów w getcie nawoływała propaganda hitlerowska, znajdująca niekiedy oddźwięk także w ekstremistycznych ruchach prawicowych, które w drugiej połowie lat

trzydziestych pojawiły się między innymi w Polsce.

Ów powrót do średniowiecza był w dwudziestowiecznej Europie czymś potwornym, zaprzeczeniem całego rozwoju kultury europejskiej od czasów Oświecenia, ale z początku nie dopuszczano myśli, że jest to tylko etap na drodze do całkowitej eksterminacji. Stworzenie przez Niemców, wkrótce po ich wkroczeniu, samorządu żydowskiego i Rady Żydowskiej, tzw. „Judenratu”, zdawało się potwierdzać, że hitlerowcy chcą wskrzesić średniowieczne struktury miejskie i w ten sposób podzielić ludność miasta.

Potwierdzeniem takiego przypuszczenia był fakt, że utworzono także, z najpiękniejszej części miasta, dzielnicę przeznaczoną dla Niemców i zaczęto z niej wysiedlać Polaków. Wydawało się więc początkowo, że Lwów stanie się miastem trzech dzielnic, z których każda będzie miała inny status prawny, a najbardziej dyskryminowana będzie dzielnica żydowska zamieniona w getto. Wkrótce okazało się, że Niemcy w cyniczny i okrutny sposób podporządkowują sobie ludność żydowską, wygrywając jedne jej grupy przeciwko drugim, dając niektórym złudne i chwilowe przywileje, aby potem bezwzględnie się z nimi rozprawić. W pierwszej fazie polityka niemiecka dążyła do uzyskania możliwie największych korzyści materialnych, przypadają one nie tylko władzom, ale i osobiście urzędnikom różnych szczebli, a zwłaszcza przedstawicielom policji i SS. Była to nieustanna, coraz bardziej krwawa grabież ludności żydowskiej, chwilami przybierająca wręcz groteskowe formy. W styczniu 1942 roku, gdy armia niemiecka utknęła na froncie wschodnim bez zimowego umundurowania, widziałem kilkakrotnie na ulicach Lwowa grupy żołnierzy niemieckich w naciągniętych na mundury damskich futrach odebranych Żydom. Nieraz podobne ^ akcje były przez władze niemieckie zlecane lwowskiej Radzie Żydowskiej; zatrudniała ona tysiące ludzi, miała swój bezwzględny aparat wykonawczy. Historyk zagłady Żydów we Lwowie, Filip Friedman napisze wkrótce po tych wydarzeniach, bo w 1945 roku, charakteryzując lwowski „Judenrat”: „Było to państwo żydowskie w miniaturze, z ogromnymi kompetencjami w stosunku do swych obywateli, z władzą życia i śmierci nad nimi”.* (* Filip Friedman, Zagłada Żydów lwowskich. Łódź 1945, s. 15.)

Pierwszym zarządzeniem, które zostało wydane przez władze niemieckie i które dotyczyło każdego Żyda we Lwowie, był nakaz noszenia na lewym ramieniu białej opaski z niebieską gwiazdą Dawida. Uchylającym się od tego nakazu groziły surowe kary. Tak się zdarzyło, że byłem uczestnikiem rodzinnej rozmowy w domu prawnika i działacza lewicy Józefa Fella, z którym we wrześniu 1939 roku wyszedłem z płonącego Lwowa i którego rodzina w Podhajcach okazała całej naszej grupie uciekinierów tak ogromną pomoc. Rozmowa dotyczyła niemieckiego zarządzenia. Za niepodporządkowanie mu się groziły surowe kary, a bezwzględność Niemców była już dobrze znana. Podporządkowanie oznaczało jednak oddzielenie się od społeczeństwa, którego częścią Józef Fell się czuł. Istniała realna możliwość denuncjacji i represji znacznie groźniejszych niż opaska z gwiazdą Dawida na ramieniu. Józef Fell czuł się Polakiem, ale gmina żydowska we Lwowie uważała go także za swojego członka, dobiegał trzydziestki, był zdolnym prawnikiem, kawalerem. Na wiosnę 1939 roku ze śmiechem opowiadał nam, że odwiedził go szadchen, swat wysłany przez gminę, z całą listą kandydatek. Jeśli teraz znaczna większość członków gminy włoży opaski, to czy on ma prawo tego nie zrobić?

Jak zachowają się inni członkowie rodziny? Dyskusja jeszcze trwała, gdy się pożegnałem, zbliżała się godzina policyjna. Trudno było cokolwiek radzić, cokolwiek przewidywać, można natomiast było w razie potrzeby — pomóc. Józef Fell otrzymał z rąk swoich licznych polskich przyjaciół odpowiednie dokumenty, opuścił Lwów, gdzie był bardzo znany, ukrył się w okolicach Warszawy. Dopiero po latach dowiedziałem się, że mój przyjaciel nie przeżył wojny.

Kolejne niemieckie zarządzenie nakazało wszystkim Żydom we Lwowie zamieszkać w obrębie wyznaczonego przez władze getta. Była to stara, biedna dzielnica i zarządzenie doprowadziło do straszliwego przeludnienia mieszkań, a następnie masowych chorób zakaźnych, w tym i tyfusu plamistego. Czas jakiś getto było jeszcze otwarte, chociaż na przejściach stały posterunki ukraińskiej policji. Chodziłem tam wielokrotnie nosząc lekarstwa, szczepionki przeciw tyfusowi, które dostawałem w instytucie profesora Weigla, fałszywe dokumenty umożliwiające opuszczenie getta, wreszcie wiadomości od tych, którzy do getta nie poszli, ukrywali się, ale mieli za murami rodziny.

Pewnego razu byłem w małym mieszkaniu w getcie, u nie znanych mi bliżej ludzi, miałem im przekazać list i lekarstwo na serce dla starszej kobiety. W pokoiku przeludowanym meblami było bardzo cicho, rozmawiałem szeptem z gospodarzami, parą niemłodych już ludzi, gdy w pewnej chwili ktoś zapukał do drzwi. Gospodarze dali mi znak, abym szybko ukrył się w sąsiednim pokoju. Wszedłem tam i nagle zobaczyłem, że jest on pełen dzieci, kilkoro chłopców i dziewczynek, żadne nie miało więcej aniżeli 10 lat, bawiło się w zupełnym milczeniu, strojąc do siebie miny i przerzucając kłębek nici. Popatrzyli na mnie, przerwali zabawę, ale nikt słowem się nie odezwał, po chwili poproszono mnie, abym wyszedł, pukał sąsiad, człowiek zaufany.

Po zamknięciu lwowskiego getta widywałem Żydów idących przez miasto grupami do pracy. Czas jakiś łudzono ich, że pracując w przedsiębiorstwach niemieckich ocalą życie. Za dużą łapówkę można było dostać taką pracę, nędznie wynagradzaną i ciężką. We Lwowie były dwa rodzaje przedsiębiorstw zatrudniających Żydów, jedno zbierały surowce wtórne dla niemieckich fabryk, dawały one dużą odznakę, rodzaj legitymacji z literą R — „Rohstoff”. Drugi rodzaj przedsiębiorstw pracował bezpośrednio dla wojska i dawał podobne odznaki z literą W — „Wehrmacht”. Praca dla Wehrmachtu uchodziła za lepszą, dającą większe szansę przeżycia — żądano też za nią wyższych łapówek.

Sprzedajne były także władze samorządowe w getcie, szczególnie policja żydowska. Za duże sumy, zwykle w złotych dolarach, można było z nimi pertraktować o zwolnienie kogoś z ich więzienia. Z ramienia Delegatury prowadziłem raz takie pertraktacje. Na umówione spotkanie w wybranym przez nas prywatnym mieszkaniu stawiał się jeden z komendantów tej policji we Lwowie. Był to mężczyzna średniego wzrostu, tęgi, w skórzanym gestapowskim płaszczu, bez żadnej opaski, miał stałą przepustkę na wyjście z getta i swobodne poruszanie się po mieście. Ze wstępnych informacji, jakie o nim zebraliśmy, wynikało, że ma na sumieniu życie przynajmniej kilku tysięcy swych współobywateli i że zebrał ogromną fortunę w dolarach i biżuterii. Liczył na to, że Niemcy pozwolą mu wyjechać do Portugalii, docierały do nas wiadomości, iż w taki właśnie sposób wynagradzali podobnych ludzi. Komendant przyznał, że w więzieniu w getcie jest człowiek, o którego pytałem, i zażądał za jego wypuszczenie wysokiego okupu. Odpowiedziałem, że suma jest znaczna, jej zebranie wymaga czasu i że spotkamy się za tydzień, w innym miejscu. Nie doszło do drugiej rozmowy, gdyż nadeszła do nas pewna wiadomość o śmierci człowieka, o którego zwolnienie się starałem. Komendant chciał jeszcze zarobić na trupie: gdy rozmawiał ze mną, ów człowiek już nie żył.

W ostatniej niemal chwili udało mi się zaopatrzyć żonę i kilkunastoletniego syna mego sąsiada Chaskelsona w dokumenty, bilety i pieniądze. Odwoziłem ich na dworzec i oddałem pod opiekę kolejarza, który za dużą sumę obiecał przewieźć ich do Warszawy. Dotarli szczęśliwie do celu podróży, w stolicy mieli poza gettem wielu krewnych i znajomych. Sam Chaskelson, schwytany na ulicy, dostał się do obozu pracy dla Żydów w majątku rolnym, udało mu się zbiec i ukryć we Lwowie. I jego zaopatrzyłem w komplet dokumentów i pieniądze, miał rozległe znajomości w całej Małopolsce Wschodniej i zdecydował się szukać schronienia poza Lwowem.

W mieście, na ulicy Janowskiej, w dawnych zakładach przemysłowych, Niemcy zorganizowali ogromny obóz, który wkrótce stał się miejscem koszmarnych, wręcz sadystycznych zbrodni i eksterminacji Żydów z całej Małopolski Wschodniej. W obozie tym zginęło tysiące ludzi.

Ostatni raz widziałem lwowskie getto w dniach jego agonii, masowych deportacji do obozów zagłady. Cała dzielnica była już szczelnie otoczona przez ukraińską policję. Chcieliśmy jednak mieć w Delegaturze bezpośrednią informację o wydarzeniach, które wydawały się wręcz niewyobrażalne. Udało mi się przeniknąć poprzez stare podwórka i bramy w pobliże jednego z miejsc tragedii. Z okna klatki schodowej domu znajdującego się w pobliżu muru getta obserwowałem akcję niemieckich oddziałów. Żołnierze szli od domu do domu, wyciągali z mieszkań dzieci i ładowali je na platformy tramwajowe; niektóre były już tak przepełnione, że dzieci leżały na głowach niżej stojących. Ulica była zupełnie pusta, dzień jasny, w domach panowała śmiertelna cisza, słychać było tylko stuk żołnierskich butów i krótkie, chrapliwe niemieckie rozkazy. Dzieci na platformach były jak zahipnotyzowane, stały ściśnięte, nieruchome i milczące. Jeszcze w tym samym tygodniu przekazaliśmy do Warszawy szczegółową relację o tym, co dzieje się w lwowskim getcie, w nadziei, że Delegatura w stolicy przekaze ją natychmiast do Londynu. W połowie 1943 roku getto zostało ostatecznie zlikwidowane, społeczność żydowska we Lwowie przestała istnieć. Według szacunków, jakie mieliśmy w Delegaturze, w chwili wkroczenia Niemców, w lipcu 1941 roku ludność żydowska we Lwowie liczyła około 150 tysięcy osób. W sierpniu 1944, przed moim aresztowaniem, dowiedziałem się, że w mieście zachowało się przy życiu kilkuset Żydów; widziałem ich pochód. Szli jakby ogłuszeni, przeważnie mężczyźni, nieśli transparenty głoszące wdzięczność armii radzieckiej za wyzwolenie.

Bez togi

Na początku 1943 roku zostałem sędzią podziemnego cywilnego Sądu Specjalnego utworzonego wtedy we Lwowie. Podobne sądy działały w stolicy i innych większych miastach, niezależnie od odrębnych i wcześniej zorganizowanych sądów wojskowych. Ich wyroki były ogłaszane w prasie podziemnej. W skład sądu we Lwowie weszły oprócz mnie jeszcze dwie osoby, w tym jeden sędzia zawodowy. Nie znałem ich nazwisk i nie starałem się ich poznać, działalność Sądu Specjalnego wymagała przestrzegania szczególnie ostrych zasad konspiracji. Z oczywistych względów Gestapo starało się dotrzeć do tej właśnie instytucji podziemnego państwa i rozbić ją; wiedziałem, co mnie czeka w przypadku aresztowania.

Prokuratorem sądu był Czesław Niezabitowski, z wykształcenia prawnik, ziemianin i zarazem działacz ludowy, członek Stronnictwa Ludowego, co było w czasach II Rzeczypospolitej zjawiskiem rzadkim, człowiek aktywny i bardzo odważny, chwilami aż do granic konspiracyjnych reguł. Znałem go już wcześniej z działalności w Delegaturze i stąd znałem jego prawdziwe nazwisko, był to zresztą kolega mego ojca jeszcze z uniwersytetu.

Cywilny Sąd Specjalny działał na podstawie aktu prawnego, tzw. Statutu Cywilnych Sądów Specjalnych przyjętego przez najwyższe władze Rzeczypospolitej w Londynie; stosowaliśmy też odpowiednie przepisy polskiego kodeksu karnego z 1932 roku. Z natury rzeczy w warunkach okupacji proces musiał być zaoczny, a możliwość przeprowadzenia dowodu winy i obrony oskarżonego — ograniczona. Mimo tego istniała powszechna zgoda sił decydujących o polityce rządu na emigracji i Delegatury w Warszawie, iż taki sąd jest niezbędny. Dzięki jego istnieniu podziemne państwo polskie mogło nie tylko bronić się przed ludźmi, którzy działali na korzyść wroga, lecz także sądzić i skazywać w majestacie prawa, na podstawie swoich kodeksów, które przecież wciąż obowiązywały wszystkich obywateli. Właśnie ten prawny, legalny wymiar podziemnej sprawiedliwości był najważniejszy, zarówno

doraźnie, jak i na przyszłość. Statut głosił, że cywilne Sądy Specjalne powołane są do orzekania w sprawach o ciężkie przestępstwa przeciwko interesom państwa, narodu i obywateli, które w interesie ogólnym wymagają natychmiastowego ukarania. Sąd wymierzał karę śmierci i utraty praw publicznych: statut przewidywał także, iż jeśli sąd uzna, że kara śmierci jest niewskazana, postępowanie ulega zawieszeniu do czasu zakończenia wojny i okupacji.

Przed wyrażeniem ostatecznej zgody na objęcie funkcji sędziego Sądu Specjalnego zastanawiałem się kilka dni nad różnymi aspektami takiej decyzji. Z praktyki Warszawy wiedzieliśmy, że działalność sądu nie tylko jest skuteczna, ale ma też szerokie poparcie społeczeństwa, podtrzymuje w nim przekonanie o trwałości, ciągłości i sile państwa polskiego, które dzięki swym podziemnym instytucjom pomimo klęski wrześniowej i okupacji nie przestało istnieć. Z drugiej strony zdawałem sobie także sprawę z odpowiedzialności: na podstawie dowodów, o których z góry można było rzec, że zwykle nie będą doskonałe, będę musiał podpisywać wyroki na nie znanych, nieobecnych przed sądem ludzi. A w razie uznania winy kara mogła być tylko jedna — śmierć, takie było prawo wojny.

W założeniu dokumentacja spraw rozpatrywanych przed Sądem Specjalnym miała być przechowywana, choć samo to zwiększało ryzyko dekonspiracji, a po zakończeniu wojny i okupacji ujawniona. Mieliśmy się wtedy ujawnić i my, sędziowie Sądu Specjalnego. Nie trzeba było mieć dużo wyobraźni, aby przewidzieć, na jak wiele pytań będziemy wtedy musieli publicznie odpowiedzieć. Zdecydowałem się jednak zostać sędzią, przekonany, że w warunkach totalnej wojny przeciwko Polsce i jej państwu Sąd Specjalny jest potrzebny i że podołam tej roli. Wkrótce złożyłem wymaganą przez prawo uroczystą przysięgę sędziowską.

Sąd Specjalny we Lwowie rozpoczął swe działanie z wielotygodniowym opóźnieniem. Mimo że prokurator przygotował już wiele spraw, przewodniczący, zawodowy sędzia, nie chciał przeprowadzić pierwszej, dopóki nie dostanie do ręki całości odpowiednich przepisów — a te nadeszły dopiero z Londynu.

Mechanizm działania sądu określony przez statut był prosty. Co pewien czas komplet sędziowski zbierał się w konspiracyjnym lokalu, za każdym razem w innym. Przewodniczył zawsze nasz kolega będący sędzią zawodowym, ustalano wokandę, prokurator przedstawiał kolejną sprawę, odbywała się dyskusja, następnie — już bez obecności prokuratora — narada i sąd ogłaszał wyrok.

Od razu okazało się, że wszyscy trzej sędziowie mają identyczne stanowisko zasadnicze: skazywać możemy tylko wtedy, gdy każdy z nas jest w pełni przekonany o winie oskarżonego. W przypadku wątpliwości choćby jednego sędziego sprawę przekazujemy do rozpatrzenia w okresie powojennym. Już wtedy było bowiem jasne, że po zwycięstwie konieczne będzie w Polsce wymierzenie sprawiedliwości tym wszystkim, których od września 1939 roku obciążąły różnorodne winy. W praktyce okazało się, że ponad połowa spraw wnoszonych przez prokuratora do Sądu Specjalnego nie dawała w naszym zgodnym — jako sędziów — przekonaniu podstaw do wydania wyroku skazującego i miała być rozpatrywana dopiero po wojnie. Prowadziło to do częstych scysji z prokuratorem, człowiekiem gorącego temperamentu, byliśmy jednak nieustępliwi. Na początku 1944 roku działało w okupowanej Polsce trzynaście takich sądów. Mimo że nie znaleźmy naszych kolegów, nigdy też nie ustalaliśmy wspólnych zasad naszego praktycznego działania, okazało się ono wszędzie bardzo podobne. Cywilne Sądy Specjalne mimo różnych nacisków były powściągliwe w ferowaniu wyroków. Po latach historyk tego sądownictwa, Leszek Gondek, w opublikowanej w 1988 roku monografii Polska karząca wskaże, iż mimo zmian, jakie nastąpiły w kraju, żaden z wyroków nie został po wojnie zakwestionowany.

Kiedyś, jeszcze jako student prawa, zastanawiałem się nieraz, co przeżywa sędzia podpisując wyrok śmierci. Gdy po dłuższej naradzie, w obliczu przekonujących dowodów winy Sąd Specjalny po raz pierwszy orzekł karę śmierci dla oskarżonego i zgodnie z konspiracyjną procedurą od razu został sporządzony formalny dokument, podpisałem go bez wahania swoim pseudonimem. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to właśnie ten szczególnie moment w życiu sędziego, który sobie kiedyś wyobrażałem. Okazał się on znacznie mniej dramatyczny, niż sądziłem, dramatyczny natomiast był przebieg rozprawy, gdy z różnych danych, ustaleń, faktów i meldunków zebranych przez prokuratora zaczął się wyłaniać obraz człowieka, którego zaocznie sądziłem, i jego winy.

Był to właściciel małej restauracji. Dobrze mu się wiodło, miał mieszaną klientelę, do jego lokalu przychodzili żołnierze niemieccy i gestapowcy. Był podejrzany o to, że proponuje rodzinom aresztowanych zwolnienie ich bliskich z więzienia za dużą łapówkę, a po otrzymaniu sumy denuncjuje osoby, które dały pieniądze. Pewnego dnia kilku więźniom, Polakom przewożonym na śledztwo, udało się uciec, schronili się w okolicy tej restauracji. Oskarżony wezwał Gestapo, osobiście wziął udział w schwytaniu zbiegów i, według niezależnych zeznań kilku sąsiadów, bil aresztowanych razem z gestapowcami. Sprawa wywołała duże poruszenie w całej dzielnicy.

Nazajutrz po rozprawie poszedłem zobaczyć tego człowieka, którego znałem wyłącznie z opisu prokuratora- Stał na chodniku przed restauracją w towarzystwie dwóch Niemców w mundurach. Był to wysoki mężczyzna w wieku ponad trzydziestu lat, silnie zbudowany, o ponurym spojrzeniu. Przeszedłem obok niego i spojrzenia nasze na chwilę się spotkały.

Wyrok wykonał młody akowiec, z zawodu fryzjer, był niezwykle odważny i umiał się dobrze charakteryzować. Niemcy nie schwytali go, natomiast w 1945 roku znalazł się wraz ze mną na ławie oskarżonych przed radzieckim Trybunałem Wojskowym. Wtedy właśnie opowiadał mi szczegóły swych akcji. Otrzymał wyrok 15 lat obozu. Nazwiska tego śmiałka nie znałem, nie wiem nawet, czy to, pod którym go sądzono, było prawdziwe, niektórym udawało się w śledztwie ukryć swoje personalia. Przed aresztowaniem i procesem nigdy go nie widziałem, nie znam też jego dalszych losów. Opowiadał mi, że gdy wykonywał wyrok, miał przyklejone wąsy, płaszcz, który można było założyć na odwrotną stronę innego koloru, na głowie kaszkiet, który po oderwaniu daszku wyglądał jak берет. Na długie wojskowe buty nałożył spodnie i kamaszki. Wszedł do restauracji w godzinach rannych, gości było mało, podszedł do lady i strzelił skazanemu z rewolweru prosto między oczy. W zamieszaniu wybiegł z lokalu, w najbliższej bramie zmienił wygląd, wyszedł inaczej ubrany, bez wąsów, i spokojnie wrócił do domu.

Ze spraw Sądu Specjalnego utkwily mi w pamięci jeszcze dwie, każda innego rodzaju.

W pierwszej chodziło o znakomitego fachowca, inżyniera—wynałazcę. Opracował on model nowego celownika, przydatnego przy produkcji uzbrojenia, i zaproponował go Niemcom. Sygnał przyszedł z zakładów przemysłowych, gdzie specjaliści niemieccy zapoznali się z jego propozycją: pracowali tam Polacy, robotnicy i technicy, byli wśród nich ludzie z konspiracji. Zostało przeprowadzone bardzo szczegółowe jak na warunki okupacji śledztwo. Ustalono cały życiorys podejrzanego: był rzeczywiście wyjątkowo zdolnym fachowcem, niestety okazał się człowiekiem bez charakteru. Fascynowała go technika i wynalazki, przy czym nie miał żadnych skrupułów oferując swe pomysły Niemcom. Wszystkie materiały zebrane przez prokuratora mówiły o wysokim stopniu jego świadomości. Był człowiekiem nietuzinkowym, nie działał pod żadnym przymusem, nie było właściwie niczego na jego obronę. Gdy w miarę przedstawiania dowodów coraz bardziej byłem przekonany o jego winie i odpowiedzialności, ogarnęło mnie równocześnie uczucie żalu: przecież straty, jakie ponieśliśmy, zwłaszcza wśród inteligencji prześladowanej przez obu zaborców, były i tak

ogromne, a każdy dzień je zwiększał. Brak jednak było okoliczności łagodzących, które pozwoliłyby odłożyć sprawę do końca wojny. Przeciwnie, można się było spodziewać, że Niemcy wciągną oskarżonego do stałej współpracy, zabiorą go do fabryki odległej od Lwowa, gdzie będzie nie znany, zapewnią mu ochronę i bezkarność. Nie można było do tego dopuścić. Z żalem, ale z pełnym poczuciem słuszności oskarżenia podpisałem wyrok na inżyniera — wynalazcę.

Druga sprawa miała odcień niezwykły z racji prostego przypadku. Na towarzyskim spotkaniu u dalszych znajomych, podczas imienin gospodarza, pojawiła się nie znana mi osoba. Młoda dziewczyna, ładna i ożywiona, może nawet zanadto, była atrakcją wieczoru. Pan domu poinformował, że to nowa koleżanka jego żony, która pracowała w wielkich zakładach przemysłowych produkujących dla potrzeb niemieckich, w tym także dla potrzeb frontu, artykuły sanitarne.

Pracowały przy tym setki Polaków, w tym także ludzie z konspiracji, Gestapo usiłowało od dawna spenetrować to środowisko, wprowadzić tam swego informatora. Wykorzystano osobę zatrzymaną przy kolportażu prasy podziemnej; po ciężkim śledztwie groziło jej zesłanie do Oświęcimia czy Majdanka. Zgodziła się na współpracę, aby uratować życie. Gdy ją wypuszczono, miała jeszcze szansę rehabilitacji: powszechnie znane były sposoby uczciwego wyjścia z takiej sytuacji — można było skontaktować się z władzami podziemnymi, które ułatwiały wtedy zmianę papierów, wyjazd, ukrycie się, co dawało szansę, lecz nie gwarantowało oczywiście przetrwania.

Sygnaly z zakładów były liczne i niepokojące, zachowanie nowej pracownicy wzbudzało podejrzenia. Interesowała się sprawami, które nie wiązały się z jej obowiązkami, usiłowała nawiązywać znajomości. Prokurator na podstawie informacji dochodzących z więzienia ustalił, że inne osoby aresztowane razem z podejrzaną zostały wywiezione do obozu, a ona mimo schwywania z całą torbą podziemnej literatury wyszła z więzienia. Wreszcie ustalono, że dziewczyna w dalszym ciągu kontaktuje się z Niemcami, mimo że w rozmowach z koleżankami twierdziła, że nie ma wśród nich żadnych znajomych. W tym czasie Gestapo nieoczekiwanie przeprowadziło aresztowania w zakładach.

Skrywane przed otoczeniem kontakty dziewczyny z wrogiem nie ulegały wątpliwości. Odroczyć sprawę i czekać na dalsze dowody — to mogło skończyć się tragicznie dla całej polskiej siatki w zakładach, która dostarczała cennych informacji. Prokurator nalegał na wyrok, jego argumenty i dowody były mocne. Zaraz na początku jego wywodów nasunęło mi się podejrzenie, że chodzi właśnie o spotkaną u znajomych roześmianą dziewczynę. Nie myliłem się, choć widziałem ją zaledwie raz. Wszyscy sędziowie uznali ją za winną.

Łatwo było, zarówno w tamtych czasach, jak i później, snuć wokół spraw rozpatrywanych przez Sąd Specjalny różne domysły, układać z nich melodramatyczne literackie czy filmowe wątki. Sam charakter przewodu, który wtedy nie mógł być inny, skłania do podobnych rozważań — nie mogliśmy przecież wysłuchać oskarżonych ludzi. Nie wolno jednak mierzyć tamtych czasów śmiertelnego zagrożenia naszego zbiorowego bytu miarą czasów pokoju i innej epoki. Tuż obok nas, i to po obu stronach frontu, działały wówczas sądy polowe, które wydawały tysiące wyroków śmierci mając znacznie mniej dowodów winy oskarżonego, niż ich dostarczał podziemny prokurator, a także nie wdając się w długie dyskusje i nie odraczając połowy spraw na okres powojenny.

I jeszcze jedno: rozmiary donosicielstwa, nieraz wręcz bezinteresownej denuncjacji, były wtedy bardzo duże. Jednym i drugim okupantom udało się pozyskać rzeszę konfidentów, spenetrować różne komórki konspiracji; wiedzieli o nas znacznie więcej, niż się na ogół przypuszcza, a zwłaszcza niż się publicznie i w heroicznej legendzie przyznaje. Nie miałem

pod tym względem złudzeń, znałem historię podobnych przypadków sięgającą od XIX wieku do lat II Rzeczypospolitej; konspiracja, walka podziemna są terenem, na którym bohaterstwo i zdrada są stale obecne i ściśle ze sobą splecione.

Rok krytyczny

Rok 1943 był rokiem krytycznym: zmieniała się w sposób zasadniczy sytuacja wojskowa na najbardziej nas dotyczącym froncie — niemiecko-radzieckim, zmieniała się też — na niekorzyść sprawy polskiej — międzynarodowa sytuacja polityczna, odczuliśmy to we Lwowie szczególnie ostro pomni naszych niedawnych doświadczeń. Do tego czasu nasi znawcy wojskowi, a za nimi polityczni, byli przekonani, że Niemcy tak silnie wykrwawiają Armię Czerwoną, że nie będzie ona w stanie przeprowadzić wielkiej ofensywy na zachód. Przewidywano długotrwałą, wyniszczającą wojnę w głębi Rosji i rychłe otwarcie drugiego frontu przez aliantów, co miało zadecydować nie tylko o militarnej klęsce Hitlera, lecz także o wyzwoleniu Polski i powrocie armii wraz z rządem z emigracji.

Tymczasem wydarzenia, które obserwowałem z rosnącym niepokojem, potoczyły się inaczej. Armia niemiecka nie tylko poniosła ogromną, w tym i prestiżową klęskę pod Stalingradem, lecz także nie potrafiła już przejąć inicjatywy strategicznej na froncie wschodnim. Na wiosnę i w lecie 1943 roku szły przez Lwów na wschód ogromne niemieckie transporty wojskowe i jak w poprzednich latach znawcy byli przekonani, że Armia Czerwona będzie zmuszona do wycofania się i obrony.

Miałem wtedy jeszcze dodatkowe, ważne źródło informacji o sytuacji na frontach, otrzymywałem je pośrednio od Włochów. We Lwowie znajdowało się dowództwo włoskich oddziałów walczących na wschodzie wraz z Niemcami, Włosi nie tylko wojowali — i to raczej niechętnie, bo front wschodni ich przerażał — lecz także handlowali, i to z dużą chęcią. Nawet w lufach armat potrafili przywozić swe towary, głównie tekstylne, nawiązali szybko kontakty z naszymi przedsiębiorcami. Opowiadali o tym, co się dzieje u nich w kraju i na froncie. Po upadku Mussoliniego w drugiej połowie 1943 roku Niemcy uwięzili we Lwowie całą grupę włoskich oficerów. Według informacji, jakie mieliśmy w Delegaturze, trzymali ich w koszarach, na Cytadeli.

Tygodniami przyglądałem się Niemcom jadącym na wschód z ogromną ilością techniki wojskowej, nowymi typami uzbrojenia, wyposażeniem żołnierzy dostosowanym do klimatu rosyjskiego. Potem zaczęły nadchodzić transporty rannych, szpitale wojskowe były przepełnione, zatrudnione tam polskie pielęgniarki przekazywały wiadomości, że lekarze mają rozkaz uśmiercania kalek.

Powstał wtedy w podziemiu zamysł atakowania szpitali dla poderwania ducha bojowego Niemców, proponowano, by rzucać granaty do sal z chorymi. Technicznie sprawa nie była trudna, w dyskusji w Delegaturze sprzeciwiałem się jednak stanowczo takim planom. Nie tylko można było oczekiwać gwałtownego odwetu Niemców, co oznaczało nowe niewinne ofiary polskie, lecz sprawa miała także inny, donioślejszy aspekt: prowadziliśmy przecież wojnę jako państwo wprowadzając podziemne, lecz szanujące normy i zasady międzynarodowego prawa, zwłaszcza w stosunku do szpitali.

Załamaniem się wielkiej ofensywy pod Kurskiem uświadomiło mi, że na froncie wschodnim nastąpił zasadniczy zwrot. Lądowanie aliantów we Włoszech było zaś dowodem, że nie spieszą się oni do otwarcia drugiego frontu w zachodniej Europie, gdzie miała być złamana potęga wojskowa Hitlera. Jeszcze poważniejsze były dla nas we Lwowie wydarzenia polityczne: zerwanie przez Moskwę stosunków z rządem Sikorskiego zabrzmiało jako groźny sygnał.

Ujawnienie na wiosnę 1943 roku przez Niemców zbrodni w Katyniu, ogromna niemiecka akcja propagandowa wykorzystująca tę tragedię, w tym także skierowana do społeczeństwa polskiego, postawiła nas w Delegaturze w trudnej sytuacji. Ani ja, ani nikt inny nie miał żadnych wątpliwości co do autorów zbrodni czy jej motywów, musieliśmy jednak wyciszyć sprawę w prasie podziemnej ze względu na nadrzędne racje polityczne, opinię naszych zachodnich aliantów oraz rolę ZSRR i Armii Czerwonej w koalicji antyhitlerowskiej. Dyskutowaliśmy długo wszystkie te sprawy oraz ich możliwe następstwa; zerwanie przez Moskwę stosunków dyplomatycznych z rządem londyńskim, którego reprezentantami byliśmy we Lwowie, rzuciło groźny cień na przyszłość, gdyby mimo rachub naszych wojskowych Rosjanie wkroczyli do miasta. Na razie jednak front był daleko od Lwowa, armia niemiecka widziana z bliska wydawała się niezwykle silna i spokojna, a większość ludzi w podziemiu zachowywała optymizm.

Gospodarka w Generalnej Guberni przeżywała swoistą wojenną koniunkturę. Zaczęła oddziaływać na nas, zwłaszcza we Lwowie, ogromny rynek wschodni. Do Kijowa, na tzw. Wielką Ukrainę wysyłano z Polski różne towary, zawierano wielkie transakcje. Obserwowałem z zacięciem zachowanie setek ludzi radzieckich, którzy z różnych względów nie odeszli w 1941 roku na wschód. Część z nich okazała znaczne zdolności przystosowawcze, byli przyzwyczajeni do trudności i energicznego działania, okazało się, że mogą także robić interesy, zakładać sklepy i warsztaty, handlować. Na naszych oczach zmieniał się też skład etniczny ludzi w niemieckich mundurach, coraz więcej było we Lwowie formacji złożonych z dawnych jeńców radzieckich, teraz w różnych legionach, dywizjach i armiach u boku Hitlera. Śledziłem to z wielkim niepokojem, wszystkie te formacje były faszystowskie, nacjonalistyczne, wszystkie wrogie i groźne dla ludności polskiej, a także dla polskiej racji stanu.

Rozwijał się także w Generalnej Guberni ułomny, karłowaty, ale drapieżny polski kapitalizm, żerujący na wojennym przymusie i biedzie, na pewnej pustce, jaką spowodowała izolacja ludności żydowskiej w gettach, a następnie jej tragiczna zagłada. Na oczach tworzy się warstwa spekulantów i przedsiębiorców, powiązanych zazwyczaj z władzami niemieckimi i niemieckimi firmami, powstają szybko wielkie fortuny. Nowo upieczeni kapitaliści są głównymi nabywcami cennych dóbr, w których lokują swe zyski. Kupują dolary, zwłaszcza w złotych monetach, sztabki bankowego złota, biżuterię, a nawet dzieła sztuki. Kupują nieruchomości. Ponieważ podziemie utrzymywało się głównie z dolarów pochodzących ze zrzutów, musieliśmy je upłynniać na czarnym rynku. W lwowskiej Delegaturze działał doskonały referat gospodarczy, w sposób ciągły badający rynek, ceny, płace, kursy i zmiany własności. Obraz, Jaki wyłaniał się z tych analiz, był bardzo wyraźny: hitlerowcy mimo wojny stopniowo realizowali dalekosiężne plany, których celem była zmiana Generalnej Guberni w rodzaj protektoratu gospodarczego czy kolonii Rzeszy Niemieckiej. Tworzą więc wiele przedsiębiorstw, firmy prywatne, niekiedy z polskimi współnikami, budują całą sieć przemysłowo-handlową, zamieniają przedwojenne przedsiębiorstwa państwowe we własne spółki akcyjne.

We Lwowie otworzyły swe filie znane banki niemieckie, pojawiły się oddziały wiedeńskich domów towarowych. Niestety, mogliśmy się tylko temu przyglądać, nie mieliśmy żadnych sił do prowadzenia aktywnej walki na polu gospodarczym, zwłaszcza że firmy te zatrudniały na niższych szczeblach wielu Polaków, a nawet w pewnej mierze chroniły ich. Ja sam miałem schronienie w niewielkiej firmie budowlanej i transportowej. Była to własność zniemczonego Ślązaka, doktora inżyniera Karla Niesporka; poza sporadycznymi wyjazdami w teren, w charakterze konwojenta, faktycznie niczego w tej firmie nie robiłem, a także nie brałem żadnych pieniędzy. Dostawałem natomiast wszystkie potrzebne zaświadczenia, legitymacje, świadectwa urlopowe, delegacje; ułatwiało mi to ogromnie działania w konspiracji. Byłem w dobrych stosunkach z biurem administracyjnym firmy, gdzie pracowali sami Polacy, przynosiłem im regularnie stosowną ilość alkoholu, a za to otrzymywałem bez zbędnych

formalności niezbędne papierki. Dotrwałem tam aż do odejścia Niemców ze Lwowa.

Zajmując się sprawami cywilnymi, byłem daleki od prowadzonych w tym czasie ze zmiennym szczęściem akcji zbrojnych, choć miałem o nich stale informacje. Pewnego dnia na ulicy Jabłonowskich, z dość dużej odległości dostrzegłem z tyłu znajomą sylwetkę młodego człowieka; poznałem go od razu i przyspieszyłem kroku. Zaczepiony przeze mnie, przez chwilę usiłował przekonać mnie, że to jakieś nieporozumienie. Nie można jednak ukryć się przed kolegą szkolnym, z którym przez lata siedziło się w jednej klasie. Rozstałem się z nim szybko, gdyż pojąłem, że jest w wojskowej konspiracji. Był to Jacek Przetocki, bliski kolega z X gimnazjum, wtedy podporucznik AK. Jak się dowiedziałem później od innego kolegi, Andrzeja Kórnickiego, we wrześniu 1939 roku Przetocki przeszedł granicę, dostał się z wojskiem do Wielkiej Brytanii, tam przeszedł kurs dywersji i w 1943 roku jako cichociemny został zrzucony do Polski; skierowany do obszaru Lwowa objął stanowisko szefa Kedywu w Drohobyczu. Już go drugi raz nie zobaczyłem, zginął w maju 1944 roku w akcji na stację kolejową w Rychcicach koło Drohobycza.

Lwowska cywilna i polityczna konspiracja była, jak to trafnie przewidywał jeszcze w 1939 roku Zenon Wachlowski, silnie związana z uniwersytetem. Po profesorze Stanisławie Kulczyńskim i profesorze Akademii Handlu Zagranicznego Julianie Czyżewskim, Delegatem Rządu został Adam Ostrowski, dawny audytor Uniwersytetu Jana Kazimierza z czasów przedwojennego plebiscytu w sprawie getta ławkowego, asystent profesora Kamila Stefki. Również wiele innych funkcji w Delegaturze i jej otoczeniu pełnili pracownicy naukowcy. Prowadziło to, zwłaszcza w 1943 roku, do częstych dyskusji, zarówno politycznych, jak i światopoglądowych, wszyscy zdawali sobie bowiem sprawę, że wojna weszła w nową fazę, dla Polski niepewną, a dla Lwowa wręcz groźną. Jednym z głównych, wciąż powracających tematów rozmów była oczywiście sprawa naszego stosunku do wielkich sąsiadów i zarazem zaborców, do ich kultury i ustroju, siły organizacyjno-technicznej i politycznej, a zwłaszcza perspektyw powojennych. Jeśli na początku roku dominował jeszcze temat niemiecki — rozważaliśmy wariant wewnętrznego przewrotu w Niemczech, zwłaszcza po bitwie stalingradzkiej, obalenia Hitlera przez siły umiarkowane i zawarcia pokoju w granicach podobnych do granic Traktatu Brzeskiego z 1918 roku — to im bliżej końca roku, tym bardziej w dyskusjach na plan pierwszy wybijał się temat przyszłości ZSRR. Kluczowe pytanie brzmiało: czy i na ile wojna i sojusz z aliantami spowodowały lub spowodują takie zmiany w systemie i polityce radzieckiej, które umożliwią nam, Polakom, znalezienie platformy porozumienia ze wschodnim sąsiadem, przewyciężenia tego, co przyniósł 17 września 1939 i okres terroru i deportacji, a także tego, co stało się w Katyniu.

Część naszych naukowców-konspiratorów, zwłaszcza znających trochę Zachód, broniła tezy, że uzależnienie wojskowe i ekonomiczne ZSRR niezbędne dla prowadzenia i wygrania wojny, a tym bardziej dla powojennej odbudowy, bolesne doświadczenia lat trzydziestych oraz przenikliwość polityki zagranicznej mocarstw zachodnich, zwłaszcza Wielkiej Brytanii, muszą doprowadzić do głębokich, korzystnych dla nas zmian w ZSRR. Ja byłem w tych dyskusjach bardziej sceptyczny. Zerwanie Moskwy z rządem Sikorskiego osłabiło nieco argumenty optymistów, ale dyskusje trwały dalej, podsycane informacjami i zapewnieniami, których nie szczędzono nam z Londynu.

Śmierć generała Sikorskiego w lipcu 1943 roku, o którą Niemcy natychmiast oskarżyli służby specjalne perfidnego Albionu, oraz wyraźne osłabienie rządu na emigracji zaogniły znowu nasze spory, tym bardziej że z Moskwy nadchodziły wiadomości o montowaniu komunistycznej ekipy dla przyszłej, powojennej Polski.

Wyjeżdżałem jeszcze kilkakrotnie do Warszawy. I tam widać było zmiany, toczyły się podobne jak we Lwowie dyskusje, wzrastał niepokój w kręgach politycznych, a

równocześnie w środowiskach związanych z gospodarką można było zaobserwować chęć wykorzystania koniunktury, trwała pogoń za finansowym sukcesem, jaki rysowała efemeryczna stabilizacja. Wtedy to z ust młodego, obiecującego polskiego przedsiębiorcy, który właśnie zarobił pierwsze miliony, po raz pierwszy usłyszałem zdanie wypowiedziane w polskim towarzystwie jako coś naturalnego: „U nas w Generalnej Guberni są przecież szansę dla młodych”.

Przywiozłem sobie ze stolicy wydaną w podziemiu pod pseudonimem Aleksander Kraushar broszurkę, dobrze odzwierciedlającą w tytule i treści życie i nastrój stolicy w 1943 roku. Nazywała się ona: Warszawa i warszawka w okresie przedpowstaniowym. Autor, a był nim Aleksander Maliszewski, dostrzegał nie tylko terror niemiecki, wyraźnie widział także odrażający obraz wojennego kapitalizmu, jaki zdołał rozplenić się na zbiorowym nieszczęściu. Oto fragment tego opisu, który utkwiał mi głęboko w pamięci.

Handluje Warszawa, handluje warszawka.

Warszawa handluje, aby przetrwać i pomóc do przetrwania innym. Warszawka pęcznieje bogactwami niejednokrotnie zdobytymi krzywdą pracowników polskich. Istnieją przedsiębiorstwa jawne i nielegalne, których głównym celem jest pomoc jednostkom, cennym dla przyszłego polskiego życia państwowego. Cały zysk z obrotów handlowych idzie na te cele. Tego rodzaju pomoc rozciąga się na wszystkie dziedziny życia, ratując przed zagładą cenniejsze jednostki społeczeństwa polskiego. Obok tego typu przedsiębiorstw istnieją inne, gdzie pięknie deklamuje się o polskości firmy, o aryjskości, o reducie polskiego handlu, o pionierstwie, o odskoczni na przyszłość, a jednocześnie płaci się pracownikom głodowe pensje 200—300 złotych miesięcznie, zgarniając setki tysięcy do własnych kieszeni. Firma taka zawsze stosuje do pracowników niemieckie przepisy o pracy, dzięki którym z pracownika można wycisnąć maksimum energii za minimum płacy. Właściciele nie wiedzą już, co mają robić z pieniędzmi, skupują place, domy, klejnoty, złoto, porcelanę, żyją tak jak nigdy przedtem nie żyli. Dla nich oby wojna toczyła się jak najdłużej. Taki pan czy pani zapłaci w knajpie rachunek kilka tysięcy złotych — ach, drobnostka! — ale szatniarzowi, którym jest jakiś były aktor czy inżynier, za przechowanie palta w szatni da złotówkę, jeśli nie 50 groszy (...)

Bywa jeszcze inaczej. Burżuazyjne rodziny żydowskie zaopatrzone w murowane aryjskie papiery utrzymują stosunki towarzyskie, ba, przyjacielskie, z okupantem niemieckim.

*Nie można powiedzieć, aby były to stosunki z kulturalniejszymi sferami niemieckimi, nie mającymi rasowych uprzedzeń. Nie. łączą ich wspólne mętne interesy, kombinacje spod ciemnej gwiazdy, opijane w luksusowo urządzonych willach podmiejskich, podczas gdy proletariat i inteligencja żydowska ginie od kul i w komorach gazowych. **

* Aleksander Kraushar [Aleksander Maliszewski], Warszawa i warszawka w okresie przedpowstaniowym, wyd. KOPR — Komisja Propagandy BIP, październik 1943, s. 6, 13.

Patyna z brązu, położona — zwłaszcza przez film polski — na okresie okupacji, przykrywa całkowicie tę część ówczesnego życia, która była równie realna jak łapanki, aresztowania i publiczne egzekucje, konspiracja i bohaterские akcje zbrojne.

Na roboty do Niemiec

W 1943 roku nasiliły się akcje wywożenia Polaków na roboty do Reichu. Niemcy potrzebowali wciąż nowych tysięcy robotników do swego ogromnego przemysłu; przymusowo, bo ochotników było mało, zabierano z Generalnej Guberni ludzi zdolnych do pracy, aby zwolnić własnych do służby wojskowej. Akcję tę organizował Urząd Pracy, „Arbeitsamt”, przy współdziałaniu policji.

Początkowo sądziłem, że i tę przeszkodę uda mi się obejść bez większych trudności, ale rzecz okazała się znacznie poważniejsza, a to za sprawą byłego kolegi. Firma niemiecka, skąd miałem wtedy zaświadczenie pracy, prowadziła roboty budowlane dla kolei wschodniej — Ostbahu, i mogła reklamować swych pracowników, gdy chciano ich wysłać do Rzeszy. Miałem tam wciąż dobre stosunki, byłem na liście pracowników fizycznych, przy różnych kontrolach Niemcy uznawali moje zaświadczenie. Tym razem zarząd firmy dał mi nowy papier, który miałem przedłożyć komisji kierującej do pracy w Rzeszy. Zupełnie spokojnie stawiłem się w oznaczonym na wezwaniu z „Arbeitsamtu” dniu przed komisją, przeświadczony, że bez trudu otrzymam zwolnienie. Gdy jednak podszedłem do stołu komisji i zobaczyłem jej skład, zrozumiałem, że sprawy nie załatwię.

Za stołem obok Niemców siedział przedstawiciel ukraińskiej policji w mundurze oficerskim: poznałem go od razu. Co gorsza, i on mnie poznał, wyciągnął rękę po moje papiery i zaczął je czytać. Było tam napisane, że pracuję w firmie jako cieśla.

Komisarzem ukraińskiej policji był mój kolega ze studiów, Ukrainiec, który pojawił się na lwowskim uniwersytecie w 1940 roku z grupą studentów przeniesionych z Czerniowiec. Pamiętałem go dobrze jako aktywnego komsomolca, występującego często z agitacyjnymi przemówieniami na zebraniach i spotkaniach, aż do czerwca 1941 roku członka władz uczelnianej organizacji komunistycznej. Nie odszedł na wschód z wycofującą się Armią Czerwoną, ale pozostał we Lwowie, co więcej, okazał się równie aktywnym nacionalistą ukraińskim w służbie Hitlera. Wiedziałem o tej jego karierze, nie przypuszczałem jednak, że sam będzie chciał uczestniczyć w komisji. Teraz powiedział parę słów przewodniczącemu Niemcowi i ten od razu zawyrokował; zwolnienia nie będzie, wezwany Kazimierz Żygulski zostaje skierowany do pracy w Rzeszy. Po chwili wręczono mi decyzję z poleceniem stawienia się w lwowskim obozie zbiorczym — tzw. „Sammellager”, z którego odeślą mnie do Reichu.

Decyzje komisji były ostateczne i nie miało sensu zaczynać żadnego sporu, wróciłem do domu i zacząłem zastanawiać się, jak wyjść z sytuacji. Miałem kilka sposobów uniknięcia deportacji. Po pierwsze, mogłem od razu opuścić Lwów, wyjechać do Krakowa lub Warszawy i tam próbować jakoś się urządzić. Miałem w obu miastach krewnych i przyjaciół. Mogłem też pozostać we Lwowie, ale ukrywać się, zmienić mieszkanie i papiery, zaopatrzyć się w fałszywe dokumenty; wiele ich przechodziło przez moje ręce, doskonale zorganizowaną komórką Delegatury zajmującą się takimi sprawami kierował mój bliski przyjaciel Marian Pokryszko. Nie miałem zamiaru opuszczać Lwowa, nie chciałem też ukrywać się. Narażałoby to moją rodzinę, a także utrudniałoby działanie, również w konspiracji. Zacząłem dowiadywać się, co można zrobić w takich przypadkach. Szybko wskazano mi pośrednika, podobno znakomitego. Była to niemłoda już pani, posiadająca rozgałęzione i dobre kontakty, w tym także w administracji niemieckiej; mówiono mi, że pomogła już wielu ludziom. Wysłuchała mnie życzliwie, uznała całą sprawę za możliwą do załatwienia, ale przedstawiła mi jeden zaskakujący warunek, bez spełnienia którego nie podejmie się niczego. Oświadczyła, że przyjmuje sprawy jedynie wtedy, gdy jej astrolog orzeknie, że rokuje sukces. Jeśli gwiazdy mówią inaczej, nie zrobi ani kroku. Cóż było robić, wybrałem się do astrologa.

Mistrz przyjął mnie uprzejmie, zapytał o dokładną datę, a nawet godzinę moich urodzin, zaczął analizować stertę swoich ksiąg. Po półgodzinie horoskop był gotów, do tego zdumiewająco klarowny i kategoryczny. „Gwiazdy są teraz przeciwko panu — powiedział mistrz — jeśli w najbliższym czasie nie opuści pan miasta, czeka pana śmierć!” Podziękowałem uprzejmie (honorarium było umiarkowane) i pożegnałem się. Musiałem zrezygnować z usług pośredniczki. O mojej wizycie u astrologa i jej wynikach nie powiedziałem nikomu.

Po kilku dniach znalazłem nowe wyjście, wskazał mi je polecony przez znajomych adwokat. Już w samym obozie zbiorczym, bezpośrednio przed transportem do Rzeszy, jest jeszcze jedna komisja, złożona z samych Niemców, w tym także lekarzy, którzy za łapówkę zwalniają ludzi. Na miejscu działa też godny zaufania człowiek, Polak, on kieruje całą operacją. Władze w obozie są niezależne od władz miejscowych, a wydane przez nie zaświadczenie jest najlepsze, gdyż nikt go we Lwowie nie może kwestionować.

Ryzyko było oczywiste, znajomy, u którego chwilowo ukrywałem się na przedmieściu Lwowa, namawiał mnie usilnie, abym sam, dobrowolnie nie pchał się w ręce Niemców i za druty obozu. Rozważyłem jednak spokojnie raz jeszcze wszystkie za i przeciw, aby ostatecznie dojść do wniosku, że jednak muszę spróbować.

Zawiadomiłem mecenasa-pośrednika, wniosłem żadaną sumę w złotych, był to ekwiwalent jakichś 30 złotych dolarów (miałem je odłożone na wszelki wypadek) i zgodnie z instrukcją w Wielki Piątek 23 kwietnia 1943 roku wcześniej rano zameldowałem się na warcie obozu. Przeszedłem posterunki, składające się z uzbrojonych w karabiny i umundurowanych Ukraińców, zgłosiłem się w kancelarii. Zabrano mi skierowanie i nakazano czekać na podwórzu. Komisja miała rozpocząć pracę o ósmej rano. Przed drzwiami budynku czekała nas spora grupa, przeważnie mężczyźni (ale były także kobiety), z wyglądu w większości pochodzący ze wsi, sądząc z języka zarówno Polacy, jak i Ukraińcy.

Tymczasem minęła ósma, pół do dziewiątej: zdziwiłem się, znając niemiecką punktualność. Wtem pojawił się obok mnie młody, szczupły, wysoki, widocznie zaaferowany mężczyzna odpowiadający opisowi podanemu przez mecenasa. Szeptem podał hasło i nie czekając na moją odpowiedź powiedział bardzo szybko: „Dziś komisji nie będzie, bo Niemcy świętują, będę jutro rano, niech pan postara się jakoś do jutra utrzymać”. Nie dał mi dojść do słowa i pobiegł w kierunku wyjścia z obozu.

Nie byłem na taki obrót sprawy przygotowany. Zawierzyłem mecenasowi, który mimo moich obaw, że tego dnia urząd nie będzie pracował, zapewniał mnie, że wszystko jest w szczegółach przewidziane, na obiad będę w domu z zaświadczeniem w kieszeni. Teraz dopiero zacząłem rozglądać się po obozie: składał się z budynku administracji, baraku ochrony i kilku dużych budynków mieszkalnych. Z kancelarii wyszedł Niemiec i krzyknął, że dziś komisji nie będzie. Grupa zaczęła się rozchodzić, poszedłem więc z ludźmi, którzy scali obok. Znaleźliśmy się w pobliżu jednego z baraków, gdy kilkanaście metrów przede mną wybuchła jakaś kłótnia, rozległy się krzyki i padł strzał. Ludzie rozstąpili się i zobaczyłem zabitego młodego człowieka, a nad nim pochylonego strażnika z karabinem w rękę. Trup leżał na ziemi z przestrzeloną głową w kałuży krwi. Otaczający mnie ludzie szli dalej, omijając jedynie miejsce wypadku. Mężczyzna w średnim wieku, Polak bywały już w obozach, zaprowadził mnie do najbliższego polskiego baraku i poradził, abym sobie wyszukał miejsce, bo lepiej nie kręcić się po obozie.

Barak był pełen ludzi, leżeli i siedzieli na piętowych pryczach, chodzili, rozmawiali i nawoływali się, mieli obok siebie różne pakunki, rzeczy, rozłożone jedzenie. Zaczęto mnie wypytywać, skąd jestem i dlaczego nic ze sobą nie mam: okazało się, że do czasu przejścia przez komisję trzeba być na własnym wikcie. Wyszukałem sobie miejsce możliwie dalej od wejścia. Mój sąsiad oświadczył zaraz, że podzieli się ze mną jedzeniem, ma dużo, i to dobrych rzeczy, bo przecież to okres świąteczny, Wielkanoc. Głośnie rozmowy naokoło dotyczyły głównie pracy w Rzeszy, ci, którzy już tam byli, informowali szczegółowo nowych, opisywali warunki, niebezpieczeństwa oraz sposoby dobrego urzędzenia się. Niektórzy pracowali na wsi u bogatych chłopów, bauerów, inni w przemyśle, nieraz daleko w zachodnich Niemczech. Opowiadali o nalotach alianckich bombowców, chowaniu się w schronach, o ludziach różnych narodowości, z którymi byli zatrudnieni. Nie wychodziłem z

baraku bojąc się niespodziewanej kontroli, mój wygląd, mimo że ubrałem się skromnie, odbiegał od wyglądu większości moich towarzyszy, a ukraińscy strażnicy mieli dużą wprawę w rozpoznawaniu i określaniu ludzi.

Po południu w baraku była wizyta. Zauważyłem już wcześniej, że opodal wejścia jest urządzony rodzaj małego ołtarzyka z kwiatami, figurką Matki Boskiej i obrazami świętych. Teraz pod barak podjechał konny wózek, z którego wysiadł ksiądz w asyście kilku młodych ludzi, wynieśli jakieś paczki i zgromadzili się wokół ołtarzyka. Otoczyła ich grupka mieszkańców baraku, głównie kobiety. Ksiądz rozdał kilkanaście paczek z prowiantem, porozmawiał z wiernymi i zaintonował pieśń religijną, którą zgromadzeni podjęli. Po wyjeździe księdza kilkanaście kobiet całą noc modliło się przed ołtarzykiem na kolanach. Tymczasem w pozostałej części baraku trwały głośne rozmowy, śmiechy, ugaszczano się wzajemnie. Okazało się, że do Niemiec jadą grupy ziomków z jednej miejscowości, nikt się nikim nie krępował, pary zabawiały się swobodnie na pryzkach, dopiero nad ranem wszystko ucichło.

Po północy w sąsiednim baraku zaczął się jakiś hałas i ruch, ktoś poinformował mnie, że to Niemcy wywożą cały barak bez komisji, bo mają przygotowane wagony.

Przed ósmą po nie przespanej nocy wyszedłem na podwórze: za ogrodzeniem stało wiele osób, usiłujących jeszcze porozumieć się z odjeżdżającymi, strażnicy nie przeszkadzali w rozmowach i przekazywaniu drobiazgów, zwłaszcza że większość odwiedzających to byli Ukraińcy. Podeszedłem bliżej i nieoczekiwanie zobaczyłem stojącą u siatki znajomą dziewczynę, Marię Kuczyńską, córkę profesora Politechniki Lwowskiej. Wiedziała, że nie wróciłem w zapowiadany czas, przekazała mi paczkę z jedzeniem, rozmawialiśmy chwilę. Zrozumiałem, że moi przyjaciele potraktowali wyprawę do obozu po zaświadczenie jako coś więcej niż lekkomyślność.

W tym dniu komisja zaczęła się punktualnie. Wszedłem z pierwszą grupą do środka. Kazano nam się rozebrać, lekarze i ich pomocnicy w białych fartuchach, pod którymi niektórzy mieli mundury SS, szybko przekazywali sobie badanych z rąk do rąk, kto się opóźniał, dostawał pięścią po głowie. Oglądano nas, tak jak kiedyś niewolników na targu; mięśnie, oczy, zęby, mierzono, ważono, stawiano przed nowoczesnymi, jak zauważyłem, aparatami rentgenowskimi. Następnie każda zbadana grupa stawała przed główną komisją, tam leżały już wypełnione formularze badania. Tu niespodziewanie, jak spod ziemi, wyrósł mój człowiek. Podeszedł do jednego z niemieckich lekarzy i kiwnął głową w moim kierunku. Lekarz podpisał formularz, pchnął mnie w bok, a papier położył na bocznym stoliku. Chwilę potem jeden z podoficerów w fartuchu zabrał ten papier, skinął na mnie i odprowadził do innego pomieszczenia. Tam przy stoliku wypełniono druczek, ale zanim go otrzymałem, podoficer przybił mi bezpośrednio na skórze, na piersi, wielką pieczęć z niemieckim tekstem. Okazało się, że z obozu może wyjść jako zwolniony tylko ten, kto ma taką pieczęć, sam papier nie wystarcza.

Z całego przygotowanego kilkusetosobowego transportu było nas tylko trzech takich z pieczęciami na ciele. Nie rozmawiałem z nikim i po półgodzinie jechałem już tramwajem do domu. Zarówno rodzina, jak i moi przyjaciele w dalszym ciągu twierdzili, że była to wielka lekkomyślność, ale w rzeczywistości nie znali lepszego wyjścia. Moje cenne zaświadczenie służyło mi do końca okupacji niemieckiej, zachowałem je w swoim archiwum.

Podziękowałem mecenasowi, który tłumaczył, że zmiana terminu komisji była zupełnie nieoczekiwana; nie spotkałem też więcej człowieka, który czuwał nade mną w obozie. Pieczęć, którą przybito mi na piersi, była wynalazkiem niezwykłym: farba okazała się odporna na rozpuszczalniki i męczyłem się z nią przeszło tydzień.

Front przybliża się

Na wiosnę 1944 roku stanęła przed nami, lwowską Delegaturą, realna perspektywa podejścia Armii Czerwonej pod miasto, walk ulicznych, oblężenia, wreszcie wycofania się armii hitlerowskiej na zachód i powrotu radzieckich okupantów. Była to perspektywa ze wszech miar groźna. Rząd, który reprezentowaliśmy, nie miał stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim, utworzony w Moskwie Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele oznaczał zamiar Stalina sowietyzacji Polski czy nawet próbę uczynienia z niej kolejnej, siedemnastej republiki na wzór tego, co spotkało kraje bałtyckie w roku 1940. Berlińska prasa informowała szeroko o tych planach, traktując je zresztą głównie jako przestrożę dla ówczesnych krajów neutralnych, Szwecji, Hiszpanii, Szwajcarii; prasa ta ignorowała oczywiście polskiego czytelnika, ale trudno mi było zbić jej argumenty za pomocą hasła, jakim niektórzy usiłovali szermować w dyskusjach politycznych; „Nie wolno słuchać wroga!” Czytając latami prasę wroga miałem już okazję przekonać się, że najpoważniejsza jej część uprawia coś więcej aniżeli tylko kłamstwa propagandowe. Mieliśmy zresztą tego dowody i na naszym terenie. Od marca 1944 roku propaganda niemiecka we Lwowie nasiliła swe działania, wykorzystując wszystkie kanały, jakimi starała się dotrzeć do społeczeństwa polskiego: radio, prasę polskojęzyczną, szeptane plotki. Zachęcała ona ludność do wyjazdów na zachód, „do Europy”, do ucieczki przed nadciągającymi bolszewikami.

W miarę zbliżania się frontu wzrastał się terror ukraiński, odnosiło się wręcz wrażenie, iż jego organizatorzy z Ukraińskiej Powstańczej Armii czy też twórcy ukraińskiej dywizji SS-Hałyczyny-Galizien spieszą się, by przed nadejściem Armii Czerwonej usunąć żywioł polski z terenów całej Małopolski Wschodniej. Informacje, jakie mieliśmy z tych wrogich nam ośrodków, wskazywały, że biorą one pod uwagę możliwości organizowania po wojnie plebiscytów pod nadzorem międzynarodowym, podobnie jak to działo się po I Wojnie Światowej przy ustalaniu zachodnich i północnych granic Polski. Zarówno plebiscyt na Śląsku, jak i na Mazurach, przeprowadzane w wyjątkowo niekorzystnej dla Polski sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej, nie przyniosły Polsce sukcesów, zostały poza jej granicami znaczną liczbę polskiej ludności. Teraz Ukraińcy wychodzili z założenia, że im mniej będzie ludności polskiej na wschód od Sanu, tym bardziej wzrosną ich szanse, nawet jeśli dojdzie do plebiscytu.

Obawa przed okrutną śmiercią, wciąż nowe ofiary, zwłaszcza na wsi, powodowały, że Lwów był pełen uciekinierów, którym należało pomóc. Środków było mało, możliwości legalnie istniejącego Polskiego Komitetu Opieki znikome. Pomoc ze strony podziemnych instytucji natrafiała na przeszkody, trwały wciąż niemieckie aresztowania i wysyłka do obozów koncentracyjnych.

W marcu 1944 armia radziecka posunęła się znowu na zachód, w kierunku Lwowa. Przygotowania Niemców, o których informował wywiad AK, wskazywały, że mogą się oni zdecydować na dłuższą obronę miasta. Należało porozumieć się z Delegatem na Kraj w Warszawie i ustalić, jakie ma być nasze postępowanie zarówno w czasie ewentualnego oblężenia, jak i na wypadek zajęcia Lwowa przez wojska radzieckie. Przewidywaliśmy utworzenie nowego, awaryjnego kanału łączności radiowej z Warszawą i Londynem, zwłaszcza gdyby doszło do oblężenia. Do celów tej łączności miał być użyty specjalny szyfr.

Zapadła decyzja, że dla wyjaśnienia spraw politycznych, przede wszystkim taktyki władz Delegatury we Lwowie po wkroczeniu Armii Czerwonej, jak i w celu załatwienia spraw łączności radiowej, mam osobiście pojechać do Warszawy i uzyskać odpowiednie decyzje. Miałem także zostać szyfrantem Delegatury i w tym celu przejść w Warszawie coś w rodzaju krótkiego, intensywnego kursu. Dotychczas Delegatura korzystała z łączności radiowej

organizowanej przez lwowski okręg AK.

Z wielkim trudem udało mi się dostać do pociągu. Sytuacja na kolei była dla podróżujących Polaków bardzo niekorzystna, bez przerwy szły transporty wojskowe, Niemcy w pośpiechu przerzucali posiłki, aby wzmocnić front na Podolu, kontrole podróżnych cywilów były i częste, i niezwykle surowe. Przypadek mógł się skończyć aresztowaniem. Papiery: kenkartę, zaświadczenie z pracy w niemieckiej firmie i delegację służbową do Warszawy miałem wprawdzie w porządku, ale to nie wystarczyło, aby dostać się do pociągu. Ostatecznie zdecydowały pieniądze: za sową zapłatą kolejarz zaprowadził mnie do ciemnego wagonu stojącego samotnie na uboczu. Zapewniał, że w ostatniej chwili ten właśnie wagon będzie przyłączony do składu pociągu w kierunku Warszawy — trasa biegła przez Rejowiec i Lublin.

Miałem bilet drugiej klasy. Praktyka uczyła, że zwiększał on szansę bezpiecznego przejazdu. Kontrole niemieckie były zawsze surowsze w wagonach trzeciej klasy, którymi jeździła ogromna większość Polaków, zwłaszcza tych, którzy trudnili się handlem. Pociąg ruszył dość punktualnie przed północą, koło mnie siedzieli nie znani mi milczący ludzie, ich również przyprowadził w mroku kolejarz, który sprzedał mi miejsce. Jak się tylko rozwidniło, zostaliśmy po raz pierwszy ostrzelani z broni maszynowej, seria pocisków rozbiła szyby w przedziale. Jeden z pasażerów był pokaleczony, pomagaliśmy mu opatrzyć zranienia. Wyszliśmy z życiem, gdyż wszyscy siedzieliśmy nieruchomo w fotelach, nikt nie patrzył przez okno. Siedzący na dachu Bahnschutze odpowiedzieli natychmiast ogniem z broni maszynowej. Strzelano z małego lasku opodal torów. Jeszcze dwukrotnie byliśmy celem nie znanych partyzantów, ale nasz wagon już nie ucierpiał. Nad ranem w wielu miejscach widać było pożary, płonęły samotne zabudowania, w innych miejscach całe wsie. Uspokoilo się dopiero, gdy minęliśmy Lublin.

Warszawę znalazłem zmienioną i nerwową. Miasto widocznie zubożało, choć działały jeszcze drogie restauracje z Fukierem na czele, liczne kawiarnie i teatryki rozrywkowe. Część miasta, gdzie w poprzednim roku rozegrał się dramat powstania w getcie, wyglądała jak morze ruin, oczyszczone były jedynie trasy tramwajowe. Dowiedziałem się, że ekipa niemiecka kręci tam film o obronie Stalingradu. W Warszawie także wyczuwało się zbliżanie się frontu i rosnącą niepewność polityczną. W mieście było wielu uciekinierów ze wschodu, różnych narodowości. Czynny był nawet teatryk rosyjski, w którym starzy porewolucyjni emigranci grali pospołu z byłymi bolszewikami. Na ścianach domów dominowały nowe napisy, nie widziałem ich w 1943 roku — powtarzało się w nich hasło: „Nie damy wschodu Polski!” W ramach politycznych instytucji państwa podziemnego działała Rada Ziem Południowo- -Wschodnich. Groźba nowego zaboru była tematem wielu artykułów w prasie podziemnej. Był to też główny temat rozmów zarówno z rodziną, u której się zatrzymałem, jak i ze znajomymi, którzy chcieli dowiedzieć się ode mnie nowości ze Lwowa. Wprawdzie utrzymywano jeszcze powszechnie, że możemy mieć zaufanie do naszych zachodnich sojuszników, zwłaszcza Wielkiej Brytanii, z którą łączą nas nie tylko podpisane układy, ale i przelana krew, lecz coraz częściej podkreślano, że dotyczy to raczej ostatecznego uregulowania sytuacji w Europie po zbliżającej się, jak sądzono, kapitulacji III Rzeszy, aniżeli aktualnej sytuacji na wschodnich terenach Polski. Warszawę obiegały pogłoski o niezadowoleniu w armii niemieckiej, o organizowaniu się opozycji politycznej. Liczono na efekt otwarcia drugiego frontu na zachodzie Europy po wylądowaniu wielkiej armii amerykańsko-angielskiej. Pojawienie się tego drugiego frontu miało w dość powszechnej opinii szybko, radykalnie i ostatecznie zmienić naszą sytuację, w tym także jeśli chodzi o zagrożenie ze strony ZSRR. Po cichu obawiano się jednak bardzo o los Polaków w Małopolsce Wschodniej na wypadek wejścia Armii Czerwonej. W rezultacie kilka znajomych warszawskich rodzin, które nie wiedziały o charakterze mego zaangażowania w sprawy Delegatury, zaproponowało, bym pozostał w stolicy, gdzie, jak mi tłumaczono, znajdę pomoc i będę bezpieczny.

Skontaktowałem się szybko z właściwą komórką Delegatury i zacząłem się uczyć pracy szyfranta. Nie mogłem robić żadnych notatek, wszystkiego musiałem nauczyć się na pamięć. Po zdaniu czegoś w rodzaju końcowego egzaminu powiedziano mi, że szyfr może być użyty tylko do przekazania wyjątkowo ważnej informacji i że jedynym upoważnionym do jego wykorzystania będzie osobiście Delegat, stojący na czele lwowskiej Delegatury Rządu.

Po kilku dniach dostałem także najważniejszy kontakt: do „Wieży”, tj. ówczesnego odpowiednika Ministra Spraw Wewnętrznych w Delegaturze na Kraj. O oznaczonej godzinie stawiłem się w oficynie dużej czynszowej kamienicy. Gdy powoli do niej podchodziłem, zobaczyłem, jak z domu wychodzi kilka osób, w których nawet początkujący agent łatwo rozpoznałby konspiratorów. Pomyślałem sobie, że w warunkach okupacji radzieckiej taki punkt byłby rozbity w ciągu dwóch dni, a wszyscy mieszkańcy wokół aresztowani. Miałem już gorzkie doświadczenie z początkami konspiracji we Lwowie, w latach 1939—40, gdy jedna za drugą grupy młodych i niedoświadczonych zapaleńców wpadały w ręce NKWD. Z pewną obawą zapukałem do drzwi, otworzył mi młody człowiek. Byłem zaskoczony zarówno wielkością lokalu, jak i liczbą znajdujących się tam ludzi. Było to prawdziwe biuro rozbudowanej administracji. W kilkupokojowym mieszkaniu rozstawione były biurka, maszyny do pisania, leżały sterty papieru, kręcili się różni ludzie. Młodzieniec poprosił mnie do środka i zniknął. Po chwili wrócił, oznajmiając, że właściwa osoba oczekuje mnie w bocznym pokoju. Był to mężczyzna średniego wzrostu, krępej budowy, w wieku około pięćdziesięciu lat. Głos miał stanowczy, wyglądał na przygnębionego. Miał na stole zwykłą niewielką walizkę podróżną, jakie wtedy były w użyciu, sprzedawano je w wielu sklepach. Walizka miała podwójne dno, przy mnie otworzył ją i wyjął potrzebne papiery.

Zgodnie z instrukcją zreferowałem sytuację we Lwowie i w całej Małopolsce Wschodniej, zarówno w dziedzinie politycznej, jak i gospodarczej, w tym także przygotowania Niemców do odwrotu. Mieliśmy informacje o przygotowywanym przez nich masowym poborze do wojska względnie robót w Reichu, groziło to znacznym osłabieniem naszych szeregów. Mówiłem o propagandzie okupanta, wzywającej do wycofania się razem z Niemcami, o trwających aresztowaniach i deportacjach do obozów koncentracyjnych. Opowiadałem też o nasilającym się terrorze nacjonalistów ukraińskich i jego konsekwencjach, o fali uchodźców oraz likwidacji całych skupisk polskich pomiędzy Zbruczem a Sanem. Wskazywałem, że według naszych informacji jest to część długofalowych planów politycznych, związanych z przyszłymi rokowaniami pokojowymi. Chodzi w istocie o głęboką zmianę mapy demograficznej naszych terenów na wschodzie, o stworzenie trudnych do odwrócenia faktów, realizację starego hasła ukraińskich nacjonalistów: „Lachy za San”.

Głównym jednak punktem naszej rozmowy była kwestia, jak ma się zachować Delegatura Rządu we Lwowie, gdyby wojska radzieckie weszły do miasta. Wiedzieliśmy już, że Moskwa uważa te ziemie za swoje, przyłączone na mocy paktu z hitlerowską III Rzeszą i zbrojnego najazdu we wrześniu 1939 roku. Pamiętaliśmy dobrze cenę, jaką zapłaciliśmy za poprzednią okupację radziecką w latach 1939—41. Próba kontynuowania w 1944 roku walki zarówno zbrojnej, jak i cywilnej, tym razem przeciwko państwu, które jest sojusznikiem naszych aliantów, postawiłaby nas w szczególnie trudnej sytuacji. Moskwa oskarżyłaby nas natychmiast, że jesteśmy sprzymierzeńcami Hitlera. Zejście do podziemia byłoby też trudne i zapewne bardzo kosztowne, za wojskiem radzieckim szli bowiem ludzie dobrze nam znani, którzy związali się z okupantem już po klęsce wrześniowej i służyli mu wiernie, uczestnicząc zarówno w sowietyzacji Lwowa, jak i organizacji represji. Można było sądzić, że dla polskiego podziemia związanego z rządem w Londynie, byłiby znacznie groźniejsi niż Niemcy. Z kolei zaprzestanie działalności było nie do pomyślenia, poderwałoby pozycję rządu w Londynie i morale ludności polskiej, która we Lwowie wciąż stanowiła ogromną większość. Miałoby też fatalny wpływ na cały walczący kraj. Nikt zresztą, zwłaszcza oddziały AK, złożone z młodych, pełnych wiary w zwycięstwo chłopców, podobnie jak ich ojcowie gotowych bronić swej ziemi przed każdym najeźdźcą, nie posłuchałby takich rozkazów. Nie

uniknęlibyśmy strat ludzkich, a nawet mogłyby być one znacznie większe, gdyż rozpoczęłoby się chaotyczne działanie na własną rękę.

Był jeszcze wariant politycznie najstuszniejszy, przynajmniej z pozoru. Należało ujawnić się przed wkraczającymi wojskami radzieckimi; a nawet pomóc im w walce przeciwko Niemcom, uznać Armię Czerwoną za sojusznika we wspólnej antyhitlerowskiej koalicji. Ujawnienie takie zakładano już w 1943 roku w ówczesnym wariantcie planu „Burza”. W lutym 1944 podobną decyzję podjął rząd w Londynie: opracowano tam nawet i przesłano do kraju formułę oficjalnego ujawnienia się, jaką powinni wyrecytować przedstawiciele Polski Podziemnej wobec wkraczających na tereny objęte granicami Traktatu Ryskiego władz radzieckich. Przed moim wyjazdem do Warszawy wielokrotnie rozpatrywaliśmy ten wariant we lwowskiej Delegaturze, zdania były podzielone, a i ryzyko ogromne. Zapytałem mego rozmówcę, co sądzi na ten temat rząd w Londynie i czy na wypadek ujawnienia się możemy liczyć na polityczną pomoc zachodnich aliantów. Chodziło o wywarcie nacisku na Moskwę w kwestii traktowania ludności polskiej w Małopolsce Wschodniej, co nie przesądzało oczywiście kwestii powojennych uregulowań, w tym także granic. Uważaliśmy jednak taką interwencję za minimum tego, czego mamy prawo domagać się od sojuszników, z którymi razem, kosztem ogromnych ofiar, prowadzimy wojnę z Hitlerem. Przypomniałem memu rozmówcy zarówno Katyń, jak i to wszystko, czego sam byłem bezpośrednim świadkiem od 17 września 1939 do widoku zmasakrowanych ciał więźniów na ulicy Łackiego w lipcu 1941.

Musiałem jeszcze odpowiadać na wiele pytań szczegółowych, mój partner zapisywał sobie dane, które mu podawałem z pamięci, gdyż ze względów bezpieczeństwa nie przyniosłem niczego na piśmie. Gdy jednak przyszło do spraw zasadniczych, zrozumiałem, że potwierdzają się moje oceny, które od ubiegłego roku formułowałem wielokrotnie na spotkaniach w Delegaturze. Usłyszałem więc, że według wiadomości z Londynu nasi zachodni sojusznicy są całym sercem z nami, podziwiają nasze wysiłki, współczują nam w cierpieniach, muszą jednak liczyć się ze Stalinem, gdyż to właśnie on niesie główny ciężar wojny. ZSRR jest aliantom szczególnie potrzebny teraz, gdy chcą w Europie otworzyć drugi front i obawiają się ogromnych strat. Nie mogą robić żadnego kroku, który rzuciłby cień na ich stosunki z Moskwą. Rząd polski w Londynie działa bez przerwy, w niedługim czasie planowana jest wizyta premiera Mikołajczyka w Moskwie, trzeba mieć nadzieję, że wszystko się przejaśni i ułoży. Jeśli chodzi o sytuację ludności polskiej w Małopolsce Wschodniej, to Delegatura otrzymała ostatnio zapewnienia prezydenta Roosevelta, przywiózł je kurier z Londynu. Ludność polska w Małopolsce Wschodniej niezależnie od ostatecznych rozstrzygnięć nie powinna obawiać się niczego złego ze strony ZSRR, nie może też wierzyć w ani jedno słowo niemieckiej propagandy.

Rząd w Londynie nie chce narzucać Delegaturze i AK, jak się konkretnie mają zachować, Delegatura na Kraj w Warszawie uważa, że ostateczną decyzję musimy podjąć sami we Lwowie, bo my pierwsi za nią zapłacimy. Odpowiedziałem memu rozmówcy, że we Lwowie przeważa ostatnio opinia o konieczności ujawnienia się i potwierdzenia w ten sposób naszej obecności i praw do ziem wschodnich. Uznajemy, że taki właśnie wariant jest najlepszy politycznie i jak się wydaje, będzie mógł być natychmiast wykorzystany przez rząd w Londynie jako argument zarówno wobec zachodnich sojuszników, jak i w przewidywanych pertraktacjach w Moskwie. Ustaliliśmy także, że ewentualne ujawnienie się Delegatury we Lwowie musi być dokonane w taki sposób, aby na wypadek represji możliwie najlepiej zabezpieczyć zarówno dokumenty, jak i ludzi. Trzeba było, krótko mówiąc, przewidzieć także najgorsze. W żadnym wypadku nie wolno ujawniać naszych struktur łączności, wywiadu i wymiaru sprawiedliwości oraz szyfrów i związanych z nimi pseudonimów, w tym także pseudonimów członków Sądu Specjalnego. Na tym pożegnaliśmy się, bezpiecznie opuściłem „Wieżę”.

Analizując wieczorem w szczegółach tę rozmowę, dla której przyjechałem do stolicy, doszedłem do wniosku, że nikt i nic nie pomoże nam w podjęciu ostatecznej decyzji, możemy liczyć tylko na siebie. Jednocześnie było dla mnie jasne, że o naszym losie zdecydują pertraktacje w Moskwie, a one w znacznej mierze zależą od postaw zachodnich aliantów; obietnic mamy sporo. Miałem trudności ze zdobyciem biletu powrotnego do Lwowa i musiałem pozostać w stolicy dłużej, niż przypuszczałem. Aby nie marnować czasu, poszukałem kontaktu z komórką pełniącą funkcję Ministerstwa Skarbu. Poprosiłem, powołując się na przywiezione informacje, o przyznanie dla Lwowa dodatkowych pieniędzy, potrzebnych dla ofiar terroru ukraińskiego i fali uchodźców gromadzących się w mieście. Okazało się, że moje relacje podziały na Radę Ziem Południowo-Wschodnich, która podjęła uchwałę wzywającą do większej niż dotychczas pomocy Polakom na Kresach. Przed wyjazdem otrzymałem potwierdzenie przyznania dodatkowych sum na ten cel, ale pieniądze nie zdołały już dotrzeć do Lwowa. Łączność z Warszawą była coraz bardziej utrudniona. Z wielkim trudem udało mi się wyjechać ze stolicy, wielu bliskich i znajomych widziałem wtedy po raz ostatni.

Już za kilka miesięcy zginie w Powstaniu mój cioteczny brat Krzysztof Pogonowski, jego rodzice opuszczą rozbity dom i miasto. Przyjaciele, którzy ofiarowali mi pomoc i gościnę i namawiali, abym nie wracał do Lwowa, także zginą lub rozproszą się po całym świecie.

W sierpniu wydarzenia na froncie i wybuch Powstania w Warszawie przesądzą ostatecznie także o losie lwowskiej Delegatury Rządu.

Po męczącej podróży i wielu kontrolach dokumentów dotarłem do Lwowa i przedstawiłem w Delegaturze wyniki moich rozmów. Fakt, iż nam samym pozostawiono ciężar ostatecznej decyzji, był przez wszystkich przyjęty jako dowód powagi sytuacji zarówno w kraju, jak i na emigracji, zwłaszcza w stosunkach z ZSRR, w których rząd londyński musiał korzystać z pośrednictwa aliantów. Zarówno Delegat Adam Ostrowski, jak i jego najbliższy współpracownik, a od lat mój serdeczny przyjaciel Zygmunt Łanowski, liczyli na amerykańskie zapewnienia Roosevelta. Przypominali rolę Ameryki w sprawach polskich przy końcu I Wojny Światowej, działalność prezydenta Wilsona.

Jednym z praktycznych następstw takiej oceny naszego położenia było wzmożenie akcji propagandowej w polskiej prasie podziemnej wydawanej we Lwowie. W całej serii artykułów staraliśmy się uspokoić coraz bardziej zaniepokojone społeczeństwo, podkreślając, że mamy gwarancje potężnych aliantów i że nadejście Armii Czerwonej, naszej sojuszniczki w koalicji antyhitlerowskiej, nie jest, wbrew twierdzeniom Niemców, żadnym zagrożeniem dla Polaków.

Tymczasem terror ukraiński nasilał się i wszelkie próby hamowania go za pomocą pertraktacji — w tym także z Cerkwią grekokatolicką i jej głową, metropolitą Andrzejem Szeptyckim — nie dawały żadnych rezultatów. Odezwa wydana w tej sprawie przez episkopat grekokatolicki główną przyczynę tragicznych wydarzeń widziała w nadmiernym pijaństwie na wsi. Akcje odwetowe podejmowane przez AK. podsycaly nienawiść, z rąk coraz liczniejszych oddziałów ukraińskich nacjonalistów padały nowe ofiary. Meldunki, jakie przychodziły z terenów wiejskich, były tak przerażające, że wydawały się wyjęte z kart siedemnastowiecznych kronik z czasów Chmielnickiego i Jaremy Wiśniowieckiego.

Pozostał mi z tych czasów niezwykle dokument literacki, opublikowany w 1944 roku w formie oddzielnej ulotki przez podziemne pismo „Kobieta w Walce”, którego egzemplarze są dziś rzadkością. Lament na mordy ukraińskie, przypominający bardzo starą i znaną w Polsce formę pieśni ludowej, pieśni o męczennikach, został napisany, jak informował miesięcznik, przez dziewiętnastoletniego ułomnego pastucha ze wsi koło Lwowa. W czterdziestu sześciu

czterowerszowych zwrotkach utwór ten rozwija obraz rzezi, dokonanej na siedemdziesięciu mieszkańcach polskiej wioski, kobietach i mężczyznach, dzieciach i starcach:

Proszę posłuchajcie o smutnej nowinie
Co się stało wieczór w dziewiątej godzinie.
Był pamiętny wieczór trzeciego lutego,
Gdy zamordowali nie tylko jednego (...)

A najbliższy sąsiad nie wie, co go czeka,
Zabrał dziatki ze snu, na pole ucieka,
Trafiła go kula, jak przez pole leci,
Upada na ziemię, kończy swoje życie.

Nie no upadł ojciec, ale i syn jego,
Którego zabili całkiem maleńkiego:
Trafiła go kula przez małe serduszko,
Leży na murawie jak we własnym łóżku (...)

Zaś matka nieboszczka na lawie siedziała,
Do naga pod piecem spalona została,
Nic jej nie zostało po tej strasznej śmierci,
Tylko ten medalik, co miała na piersi (...)

Tam jeden mężczyzna w domu chory leżał,
Jak ten krzyk usłyszał, do sieni pobiegał.
Lecz jak drzwi otworzył, to oni już byli
I zaraz go w sieniach za drzwiami ubili (...)

A jeden mężczyzna na to wszystko patrzył,
Gdy w domu rodzinnym już pożar zobaczył,
To leciał ratować swoje dziatki mile,
Żeby mu się tylko w ogniu nie spaliły.

Jeszcze nie doleciał, już na ziemię pada,
I już jego serce z wszystkich sił opada,
Leciał on ratować rodzinnego domu,
Jego poratować teraz nie ma komu (...)

Złóżmy na mogiły najwieczniejsze wieńce,
Bo zginęły panny i dzielne młodzieńce.
Więc zanieśmy wspólnie te żałobne pienie,
Daj im Jezu Drogi wieczne odpocznienie.

Zastanawiałem się, co taki wzrost terroru może oznaczać dla przyszłości, a zwłaszcza przyszłego wymiaru sprawiedliwości. Ziemie, na których rozgrywała się ponownie tragedia, były częścią państwa polskiego od czasów Kazimierza Wielkiego, wchodziły w skład zaboru austriackiego i od 1868 roku cieszyły się szeroką parlamentarną autonomią, we Lwowie istniał Sejm Galicyjski. W wyniku zwycięskiej wojny i międzynarodowych traktatów Małopolska Wschodnia weszła w skład ziem II Rzeczypospolitej. Wszyscy jej mieszkańcy byli w 1939 obywatelami polskimi i tak też traktowaliśmy siebie w czasach okupacji. W 1941 roku Niemcy przyłączyli te tereny, z wyjątkiem Wołynia, do Generalnej Guberni. Po ostatecznym zwycięstwie, w które wierzyliśmy, miała na te ziemie wrócić polska administracja państwowa, a z nią polski wymiar sprawiedliwości.

Tymczasem dokonane zbrodnie miały często charakter czynów zbiorowych. Cała lub prawie cała ludność ukraińska przy biciu dzwonów cerkiewnych rzucała się na swych odwiecznych sąsiadów w tej samej wsi, nieraz zebranych w swoim kościele, i dokonywała masowej okrutnej rzezi, nikogo nie oszczędzając. Zastanawiałem się, w jaki sposób w spokojnych już czasach można będzie wymierzyć sprawiedliwość winnym, jak ustalić stopień winy indywidualnej, jak uniknąć stosowania zasady zbiorowej odpowiedzialności karnej.

Nadrzędnym zadaniem Delegatury stało się zachowanie Lwowa jako wielkiego, względnie bezpiecznego skupiska Polaków. Przy polskiej większości wśród mieszkańców miasta, posiadając zorganizowane siły cywilne i wojskowe oddziały AK, można było mimo okupacji skutecznie ograniczać ukraińskie zamachy. Polskość Lwowa, którą chcieliśmy zademonstrować przy wejściu Armii Czerwonej, miała być ważnym atutem w ewentualnych rokowaniach o przyszłości tych terenów oraz ułatwić obronę naszych obywateli.

Byłem współautorem odezwy Delegatury, wzywającej polską ludność Lwowa do pozostania na miejscu, nieulegania panice i propagandzie niemieckiej. Odezwa zapewniała, że władze podziemnego państwa i rząd na emigracji zrobią wszystko dla ochrony ludności przed niebezpieczeństwami, zwłaszcza na wypadek wkroczenia Armii Czerwonej.

Nie miałem złudzeń co do tego, że nasza propaganda przekona wszystkich. Wystarczyło przejść przez miasto i zobaczyć setki wyjeżdżających rodzin. Wystarczyło posłuchać rozmów na ulicach czy też zobaczyć znajomych. Wszyscy mówili o wyjazdach. Odżywały wspomnienia z lat 1939—41, zmieniał się nawet stosunek do Niemców, którzy teraz już nie tylko nawoływali do wyjazdu na zachód, lecz nawet, mimo potrzeb wojskowych, ułatwiali go, dawali transport, werbowali do pracy w niemieckim przemyśle w głębi Rzeszy.

W maju 1944 roku we wspomnianym już podziemnym czasopiśmie „Kobieta w Walce” ukazał się wstępny artykuł pod tytułem Dezercja. Krótki fragment tego tekstu najlepiej przypomina, o co wtedy chodziło i jak staraliśmy się przekonać polskie społeczeństwo, że nie wolno opuszczać Lwowa:

„Patrzmy od tygodni na zatrważające zjawisko: tysiące uciekają ze Lwowa, głównie inteligencja. Uciekają na łeb i szyję, wyprzedają zapasy, meble, mieszkania. Decydują się na życie, być może jeszcze dość długo, w obcym środowisku, gdzie skurczył się z natury rzeczy rynek pracy, gdzie uciekiniera czeka mniejsza lub większa poniewierka, litościwa zapomoga lub łaska krewnych. Ale to nie najważniejsze w tej sprawie, inteligencja, której zadaniem przodowanie przykładem, stwarza panikę, panikę sugerującą myśl nie o walce, lecz o kłęsce. Zanalizujmy argumenty generalnej ucieczki; są nimi:

- 1) strach przed bombami,
- 2) strach przed przymusową ewakuacją,
- 3) strach przed głodem i bolszewikami,
- 4) strach przed wywózką bolszewicką,
- 5) strach przed nożem ukraińskim,
- 6) strach przed odcięciem od Europy.

Autor artykułu tłumaczy następnie czytelnikom, że te strachy nie są uzasadnione. Bombardowania w Niemczech są i będą silniejsze niż te, które przeżywa Lwów. Nie ma dotychczas przykładów przymusowej ewakuacji przy cofaniu się armii niemieckiej, a obawa przed głodem nie jest usprawiedliwiona, bo — czytamy — „pod okupację bolszewicką łatwiej trafią misje amerykańskie i paczki zagraniczne, niż pod okupację niemiecką”; „wywózki bolszewickie są w tej chwili, z racji alianckiej komitywy, mniej prawdopodobne niż wywózki na roboty do Niemiec”, I wreszcie argument koronny, który usłyszałem w Warszawie i który sprawił taką radość w lwowskiej Delegaturze: „Obawa przed odcięciem od Europy jest

objawem małej wiary w Polskę, w Jej przyszłość, w naszych aliantów. Kto po polsku myśli i czuje, nie ośmieli się bać odcięcia od bram Zachodu, to sprawa zasadniczej linii polityki Polski i Aliantów".

Wyjechał wtedy ze Lwowa mój ówczesny sąsiad i przyjaciel — Stanisław Hubert, znawca prawa międzynarodowego, po wojnie wieloletni profesor uniwersytetu we Wrocławiu. Przeżyliśmy razem ciężkie lata 1939—41 i cały okres okupacji niemieckiej: trudy wojny mimo słabego zdrowia znosił pogodnie. Zaoferował mi wspólny wyjazd do Krakowa, mieliśmy długą rozmowę przed rozstaniem. Starszy ode mnie o pokolenie, uczeń profesora Ludwika Ehrlicha, miał za sobą również studia zagraniczne, orientował się dobrze w politycznych mechanizmach krajów anglosaskich. Nie wierzył, abyśmy otrzymali realną pomoc, przewidywał nową falę represji bolszewickich, zwłaszcza przeciwko polskiej inteligencji. Swoją wyjazd uzasadniał twierdząc, że państwo polskie wydało przed wojną krocie na jego wykształcenie i że będzie potrzebny po wojnie, a do czynów zbrojnych i bohaterskich ze swej natury się nie nadaje. Namawiał mnie bardzo, abym nie ryzykował i nie zostawał w mieście, które już wkrótce czeka ponury los. Nie zatrzymywałem go, znałem lepiej niż on realia naszej lwowskiej sytuacji i rozumiałem, na jak kruchych podstawach budujemy nasze nadzieje. Nie mogłem jednak postąpić inaczej. Był to w istocie ten sam problem, wobec którego stanąłem we wrześniu 1939 roku, gdy część moich przyjaciół zdecydowała się przebić do granicy i pójść na emigrację; wyboru dokonałem już wtedy.

Patrząc z perspektywy, sądzę, że w tak ekstremalnych sytuacjach odmiennosc Wyboru drogi jest naturalna. Czy jednak można wybrać bezkarnie każdą drogę? — gdy myślałem wtedy o tych sprawach, przypominałem sobie zawsze Kwiat na pustym Johna Galsworthy'ego i bohatera, który pod lufą rewolweru przyjął islam.

W czerwcu, gdy front znów zaczął przybliżać się do Lwowa, władze niemieckie zarządziły pobór młodych mężczyzn do wojska. Miasto zostało ogłoszone strefą przyfrontową, kontrole dokumentów stawały się coraz częstsze, chciałem uniknąć przypadkowego zatrzymania i zdecydowałem się znowu stanąć przed komisją. Liczyłem zarówno na papiery, w jakie zaopatrzyłem się dzięki różnym kontaktom, jak i na dobrą znajomość języka. Miałem zaświadczenie lekarskie z urzędowymi niemieckimi pieczęciami, stwierdzające, że cierpię na gruźlicę. Komisja składała się wyłącznie z Niemców, cała procedura toczyła się w trybie przyspieszonym, badania lekarskie na miejscu przeprowadzano tylko wtedy, kiedy ktoś skarżył się na zły stan zdrowia. Stałem przed niemieckim lekarzem wojskowym w mundurze majora. Obejrzał moje papiery, spojrzał na mnie, wyjaśniłem spokojnie, że choruję na płuca od dawna, a obecnie mam ostry nawrót choroby. Użyłem fachowych niemieckich wyrażeń. Wyglądałem wtedy rzeczywiście nie najlepiej, wysiłki ostatnich miesięcy, pobyt w Warszawie, coraz to ciemniejsze perspektywy, jakie stały przed całym miastem, odbiły się na zdrowiu. Lekarz bez słowa dał mi odroczenie na trzy miesiące, do 1 października 1944. Przy następnym stoliku na dokumencie, jaki otrzymałem, wbito mi pieczętkę i postawiono datę. Był 26 czerwca 1944 roku. Wtedy to po raz ostatni miałem do czynienia z hitlerowskimi władzami.

Nieco wcześniej przeżyłem dzień radości, tak rzadki w owych czasach. Był to od dawna wyczekiwany dzień otwarcia drugiego frontu, z którym wiązaliśmy tyle nadziei. Miałem przygotowaną małą buteleczkę koniaku, wypiliśmy ją wspólnie we troje w mieszkaniu Mirosława Żuławskiego, wtedy redaktora lwowskiego czasopisma podziemnego „Biuletyn Ziemi Czerwieńskiej”. Byłem z nim i jego żoną Czesławą w serdecznych stosunkach. Wydawało się nam nie tylko, że los wojny jest przesądzony, lecz że wydarzenia potoczą się teraz szybko i nasza lwowska sytuacja radykalnie się zmieni. Najbliższe tygodnie pokazały jednak, że armia niemiecka nie straciła jeszcze swej zdolności oporu, a wydarzenia na zachodzie rozwijały się powoli.

Lato 1944

Lato było znowu upalne, walki o Lwów zacięte — w ostatnich dniach lipca toczyły się już na ulicach miasta- Niemcy bronili się uparcie, w pewnej chwili dom, w którym mieszkałem przy ulicy Na Skalce, znalazł się na samej linii frontu. Nacierają radzieckie czołgi, cofały się niemieckie, nie można było wyjść ze schronu w piwnicy. Po dwóch dniach front przesunął się do zachodnich przedmieść, pozostały spalone czołgi, porozrzucane trupy, postrzelane domy, ulice z zerwanymi brukami i przewodami, przecięte wykopanymi naprędce rowami. 26 lipca miasto znalazło się w rękach radzieckich.

Za linią frontu szła ogromna, regularna armia. Nasze oddziały AK wzięły udział w walkach, nawiązały kontakt z nacierającymi jednostkami Armii Czerwonej. Gdy tylko Niemcy się wycofali, ulice udekorowano polskimi sztandarami, na murach pojawiła się odezwa Komendanta obszaru południowo--wschodniego, na ulicy Kochanowskiego zainstalowało się dowództwo obszaru. Byłem tam świadkiem przyjacielskich powitań przybyłego na rozmowy radzieckiego generała.

Ujawnił się też Delegat, odbyły się posiedzenia przedstawicieli stronnictw i Rady Polskiej Ziemi Południowo-Wschodnich RP, zaakceptowano propozycję radziecką wyjazdu dowództwa AK do Żytomierza w celu nawiązania kontaktu z generałem Żymierskim. Wyjechał wtedy mój przyjaciel Zygmunt Łanowski, bliski współpracownik Delegata. W dniach walk o Lwów założył mundur, był oficerem rezerwy, mówił, że mundur wojskowy lepiej chroni niż ubranie cywilne. Nie uniknął internowania, powrócił po latach ze zrujnowanym zdrowiem, dalsze życie zawdzięczał szwedzkiemu chirurgom, którzy przeprowadzili mu niezwykle operacje serca i płuc. Po wojnie został tłumaczem literatury skandynawskiej.

Na żądanie radzieckie 28 lipca rozwiązano oddziały AK; wieczorem 31 lipca zebranych pod pozorem odprawy oficerów aresztowano i wywieziono, w nocy aresztowano także Delegata. Szybko usunięto z ulic polskie flagi i zdarto odezwy. 2 sierpnia, gdy z nasłuchu radiowego dotarła do mnie wiadomość o wybuchu Powstania w Warszawie, sytuacja we Lwowie była już wyjaśniona. Władze radzieckie nie chciały tolerować żadnych polskich sił zbrojnych. Lwów i Małopolskę Wschodnią uznawały za część swojej Ukrainy, mimo ujawnienia się i pomocy w walce z Niemcami dowódcy wojskowi i przywódcy polskiego podziemia zostali aresztowani. Pozostawała jedynie nadzieja na akcję polityczną ze strony rządu w Londynie i przede wszystkim zachodnich aliantów związanych z nami traktatami sojuszniczymi. Chodziło o zapewnienie minimum: ochronę polskiej ludności Lwowa przed represjami, uznanie naszych organizacji cywilnych, zanim dalsze rokowania określą przyszłą wschodnią granicę państwa.

Wybuch Powstania w stolicy zdawał się sugerować, że wkrótce zapadną w sprawach polskich istotne, międzynarodowe decyzje, radio londyńskie powtarzało wiadomość o oczekiwanej wizycie premiera Mikołajczyka w Moskwie.

Tymczasem okazało się, że władze radzieckie starannie przygotowały się do przejęcia Lwowa pod swą administrację. Mimo wojny znaleziono ludzi przysłanych do miasta w latach 1939—41 — pojawili się znowu i znając teren zaczęli szybko uruchamiać urzędy, transport, instytucje gospodarcze, zaczęły też ukazywać się gazety. Pojawiły się informacje o przygotowywanym masowym poborze do wojska. Nie miałem już osobiście złudzeń co do pomocy aliantów dla Polski. Płonęła Warszawa, trwały aresztowania we Lwowie, a my słuchając dzień i noc radia czekaliśmy na wyniki pertraktacji w Londynie i Moskwie; łudzono nas nimi na falach eteru.

Znowu zaczęły się kontrole dokumentów, znowu wprowadzono do obiegu ruble — znalazłem się bez pieniędzy, musiałem szukać pracy, choćby chwilowej, aby nie zostać przypadkiem zabrany. Podjąłem pracę księgowego w tworzącej się we Lwowie filii wielkiego ukraińskiego przedsiębiorstwa z Kijowa, nosiło nazwę — dziwoląg językowy — „Ukrğławsnabzbytstroj materiałów”, czyli: „ukraińska centrala zaopatrzenia i zbytu materiałów budowlanych”. Oddział firmy organizował młody inwalida wojenny, ekonomista z fachu. Nie spieszył się, dla niego wojna już się skończyła, nie było zresztą żadnych towarów, ale gromadził wokół siebie personel. Dostałem papiery, zaświadczenie i legitymację, załatwiałem na mieście sprawy biura, lokalu, telefonów, kartki żywnościowe: wszędzie był bałagan, ale znany mi z lat 1939—41 mechanizm rozkręcał się.

GORZEJ było z podziemiem. Chociaż przed wejściem wojsk radzieckich do Lwowa wielokrotnie rozważaliśmy w Delegaturze najgorszy wariant masowych represji i wiedzieliśmy, co należy przedsięwziąć, większość ludzi miała jednak nadzieję na pomyślny obrót sprawy. Byliśmy do pewnego stopnia sami za to odpowiedzialni, przedstawiając w prasie podziemnej naszą międzynarodową sytuację i perspektywę ułożenia stosunków z ZSRR w zbyt różowym świetle. Przez pierwsze trzy dni po odejściu Niemców ujawnienie się AK i jej współdziałanie z Armią Czerwoną, flagi polskie w mieście, tysiące młodych ludzi z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu wzbudziły prawdziwą euforię — załamanie przyszło jednak szybko i gwałtownie, wstrząs był głęboki. Wytrzymałość wielu ludzi została przekroczona, część organizacji podziemia, zanim jeszcze spustoszyły je represje, po prostu się rozsyłała.

Tak jak się umówiliśmy, starałem się utrzymać kontakt z niektórymi ludźmi z Delegatury, wielu jednak zniknęło, nie wiadomo było, gdzie ich szukać. Chodziłem codziennie do mieszkania Delegata przy ulicy Supińskiego, kontaktowałem się z jego rodziną, przypadł mi też w udziale trudny obowiązek zawiadomienia matki Delegata o jego aresztowaniu; jej młodszy syn był jeszcze w 1941 roku wzięty do Armii Czerwonej i nie miała o nim żadnych wiadomości. Spotykałem się tam nawet z oficerami radzieckimi, zapewniali, że zatrzymanie Delegata jest chwilowe i że „sprawy Lwowa są rozpatrywane w Moskwie”. Rodzinie pozwolono codziennie dostarczać mu do więzienia posiłki. Niektórzy będący jeszcze na wolności członkowie Delegatury widzieli w tym dobrą oznakę. Takie niezwykle traktowanie więźnia miało ich zdaniem oznaczać, że nasze sprawy rozwijają się pomyślnie i że wkrótce w Londynie i w Moskwie zapadną ważne i pomyślne dla Lwowa decyzje. Działała jeszcze jedna z naszych radiostacji, przekazywaliśmy do Londynu wiadomości o wydarzeniach we Lwowie.

Gdzieś w połowie miesiąca dotarła do mnie wiadomość, że w hotelu „George'a” znajduje się grupa amerykańskich lotników. Ich bombowiec lecący z Włoch został uszkodzony i wylądował na terenach zajętych przez armię radziecką, potraktowano ich jako sojuszników i mieli być wkrótce odesłani na zachód. Nadarzała się wyjątkowa szansa kontaktu z aliantami. Ustaliliśmy, że spróbuję do nich dotrzeć i skłonić do przekazania informacji o sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, ich dowództwu. Udało mi się dotrzeć do Amerykanów i nawiązać z nimi rozmowę. Byli to młodzi, sympatyczni i uśmiechnięci chłopcy, szczęśliwi, że udało im się wyjść cało z opresji. O sprawach politycznych mieli mętne pojęcie, nie bardzo wiedzieli nawet, gdzie są, wszystkich ludzi radzieckich traktowali jako przyjaciół. Znalazł się jednak wśród nich oficer, kapitan polskiego pochodzenia o nazwisku Zawadzki, znał nawet parę słów po polsku. Wy tłumaczyłem mu, jak mogłem, po angielsku, co się stało we Lwowie, i prosiłem, aby natychmiast po powrocie na zachód zameldował o tym swoim zwierzchnikom i, jeśli to tylko możliwe, polskim władzom na emigracji; obiecał to zrobić. W kilka godzin później Amerykanie zniknęli ze Lwowa.

Wkrótce potem po raz pierwszy zobaczyłem na ulicy trzech żołnierzy z armii Berlinga w

mundurach polowych, najstarszy rangą był podoficerem. Przechodnie obstąpili ich, pytali, zwłaszcza dlaczego nie ma ich oddziałów we Lwowie; żołnierze odpowiadali półsłówkami i po chwili odjechali.

W tym czasie dostałem za pośrednictwem znajomych, przede wszystkim Józefa Giebułtowicza, propozycję natychmiastowego wyjazdu do Lublina, tworzył się właśnie aparat PKWN-u, zbierała część lewicy, w tym i lwowskiej. Odmówiłem wyjazdu, nie widząc tam swego miejsca. Z czasów pierwszej radzieckiej okupacji Lwowa dobrze znałem ludzi, którzy teraz pojawili się w Lublinie, krąg Wandy Wasilewskiej: już wtedy pokazali, kim są i czego można się po nich spodziewać.

Trwało Powstanie w Warszawie, trwały represje we Lwowie, wciąż czekaliśmy na pomoc polityczną z Londynu, ale ta nie nadchodziła: znowu zostaliśmy, jak we wrześniu 1939 roku, sam na sam z klęską.

Zdecydowałem się pójść do okręgowego radzieckiego prokuratora, aby dowiedzieć się, co się dzieje z aresztowanymi członkami Delegatury, a zwłaszcza z samym Delegatem, dlaczego są więzieni, mimo że się ujawnili, jakie stawia im się zarzuty. Prokurator przyjął mnie i wysłuchał grzecznie, odpowiedział, że sprawa jest rozpatrywana i że wkrótce dowiem się, o co chodzi.

Wiadomości radiowe nie dawały podstaw do jakichkolwiek złudzeń; powstańcy w Warszawie walczyli samotnie, sprawa Lwowa znalazła się w cieniu większych, ważniejszych wydarzeń, w Lublinie formowano rząd dla komunistycznej Polski. Wciąż jeszcze lwowiacy bronili się przed przyjęciem tej smutnej prawdy, wciąż byli, choć już mniej liczni, tacy, którzy przychodzili na konspiracyjne spotkania, wydawali biuletyny, z ogromnym trudem i ryzykiem odbudowywali rozbite podziemie. Trzeba było tak robić, we Lwowie wciąż przecież mieszkali setki tysięcy Polaków, zasiedziały tu od pokoleń, przeświadczonych, że są u siebie i u siebie pozostaną, ł znowu trzeba było wypełniać dzień prostymi, zwykłymi zajęciami, troszczyć się o rzeczy podstawowe, zdobywać środki do życia, zaświadczenia i legitymacje, pomagać rodzinom aresztowanych, pocieszać i nawet korzystać z godzin pięknego, letniego słońca. Wiedzieliśmy wszyscy, że nadchodzi dla nas jeszcze jedna trudna i smutna wojenna zima.

Część piąta - Wspomnienia więźnia

Ostatni dzień wolności

Była to środa, 30 sierpnia 1944 roku. Dzień letni, bezchmurny, upalny. Zapamiętałem go w drobnych nawet szczegółach, rozdzielił bowiem moje życie jak żaden inny.

Po południu miałem otrzymać nowe informacje o losie naszych aresztowanych, przede wszystkim Delegata. Nie chodziłem już do pracy i rano postanowiłem pójść na kąpielisko „Zielone Oko”, które bardzo lubiłem: było pięknie położone wśród wzgórz i zieleni, a co najważniejsze, mało uczęszczane. Poszedłem tam sam, gdyż wiedząc, że jestem śledzony, starałem się ograniczać kontakty. Wziąłem ze sobą jedynie książkę, kupioną w czasie okupacji niemieckiej u znajomego księgarza Jana Fojtka, na znanej lwowskiej ulicy księgarzy, Batorego. Kupiłem wtedy od razu kilkanaście dobrych utworów literatury angielskiej, którą w latach dwudziestych w Lipsku publikowała w oryginałach znana firma wydawnicza B. Tauchnitz. Tom, który wziąłem nad wodę, zawierał trzy opowiesci Josepha Conrada: Młodość, Jądro ciemności i U kresu sił. Przez kilka porannych godzin zdążyłem przeczytać tylko pierwszą część; opowieść o młodym oficerze marynarki, który płynie w swój pierwszy daleki rejs na wschód, do Bangkoku, i pomimo wysiłków nie jest w stanie dowieść do celu ładunku, 600 ton węgla — jego statek zapalił się bowiem na pełnym oceanie.

Była to moja ostatnia lektura przed aresztowaniem, wzięta z półki przypadkowo: pozostała mi na zawsze w pamięci. Po niej nastąpiła długa przerwa, prawie dwuletnia, w czasie której nie miałem w rękę żadnej książki: nigdy przedtem nie wyobrażałem sobie, że coś takiego może mi się przydarzyć. Gdy w 1947 roku, już w obozie na Północy, również przypadkowo i w dramatycznych okolicznościach zacząłem czytać książkę, będzie to znów utwór angielski, wcześniejszy od Conrada, powieść Willie Collinsa Kobieta w bieli, wydana w oryginale przez wydawnictwo radzieckie w serii klasyki europejskiej.

Po południu wyszedłem z domu, aby udać się na ulicę Supińskiego, do mieszkania Delegata, i zasięgnąć wiadomości. Było wciąż upalnie i dlatego założyłem tylko lekki jasny garnitur, w kieszeniach prócz zwykłych drobiazgów miałem jedynie dwie chusteczki. Szedłem po prawej stronie ulicy Zyblikiewicza w kierunku placu Prusa, gdy ktoś mnie zatrzymał stając nagle przede mną i pytając: „Pan Żygulski?”

Po akcencie poznałem, że to przybysz ze wschodu, po wyglądzie — że nie jest to pytanie przypadkowe. Stałem na chodniku pomiędzy ulicami Św. Marka i Jakuba Strzemię, obok, po prawej, było wysokie żelazne ogrodzenie. Obejrzałem się naokoło i zobaczyłem, że otoczyło mnie pięciu ludzi, wszyscy po cywilnemu, blokując drogę ewentualnej ucieczki. Przy krawężniku stał niski samochód osobowy, wiśniowy, popularnej przed wojną marki „Aero”, przy nim stał jeden z piątki. Zapytałem dość ostrym tonem: „O co chodzi?”, usłyszałem odpowiedź: „Sprawdzamy dokumenty”; gdy jednak sięgnąłem do kieszeni, człowiek, który mnie zatrzymał, dodał: „Ale nie tu, pojedziemy do nas”.

Nie zdziwiłem się i nie próbowałem ucieczki, nie miałem w tej sytuacji żadnych szans. Samo zatrzymanie nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem. Liczba ludzi i rodzaj samochodu zdawały się wskazywać na starannie przygotowaną akcję. Na razie nie rozumiałem jej celu, jako że nie ukrywałem się i NKWD mogło mnie zabrać, jak to często robiło, po prostu nocą z domu: towarzyszyła temu zawsze staranna rewizja. Zauważyłem jeszcze, że kilku przechodniów stanęło i obserwowało całą scenę. Po latach dopiero dowiem się, że byli wśród nich znajomi i że oni pierwsi przekazali mojej rodzinie wiadomość o aresztowaniu mnie na ulicy.

Wsiadłem do samochodu za mężczyzną, który mnie zatrzymał, obok kierowcy usiadł jeszcze jeden z piątki i ruszyliśmy w kierunku ulicy Pełczyńskiej i centrali NKWD, z której zaledwie kilka tygodni temu ewakuowało się Gestapo,

Popatrzyłem odruchowo na zegarek, była 5.30 naszego czasu. Pomyślałem sobie, że kończy się cały okres mego życia i przesunąłem zegarek o dwie godziny naprzód, na czas moskiewski. Dotychczas tego nie zrobiłem, mimo że czas moskiewski znowu obowiązywał od czasu wejścia armii radzieckiej do Lwowa.

Po kilku minutach dojechaliśmy i człowiek, który kierował akcją, wprowadził mnie na piętro do gabinetu, gdzie przy stole siedział major NKWD w mundurze. Wskazał mi ręką krzesło naprzeciwko siebie, a kiedy usiadłem, z uśmiechem pochylił się do mnie i powiedział tylko jedno słowo, ale, z wyraźnym zadowoleniem. Był to mój pseudonim jako członka Sądu Specjalnego.

W okamgnieniu zrozumiałem sytuację; krąg ludzi, którzy znali mój konspiracyjny pseudonim, był niezwykle ograniczony, wiedziałem że dotychczas tylko jeden z nich jest w więzieniu, a mianowicie Delegat. Pewność, z jaką major podał, i to od razu, mój pseudonim, mogła oznaczać tylko jedno: Delegat wbrew wszystkim ustaleniom ujawnia pseudonimy, a jeśli tak, to zapewne nie tylko to. Dlatego też nie zaprzeczyłem i jak gdyby kontynuując taktykę ujawniania się, odpowiedziałem spokojnie: „Tak, to ja”.

Major, uśmiechając się w dalszym ciągu, kontynuował: „Bo widzicie, my o was wszystko wiemy, was tu już charakteryzowali, wiemy, jacy jesteście, co robiliście, a nawet dokąd dzisiaj szliście, prawda, jak zręcznie nasi ludzie was zatrzymali?” Odpowiedziałem, że się nie ukrywałem, że nikt z naszych z Delegatury Rządu nie ukrywał się, gdyż postanowiliśmy zaraz po wejściu Armii Czerwonej ujawnić się. Co więcej, powiedziałem, już po aresztowaniu Delegata chodziłem osobiście do lwowskiego prokuratora, aby wyjaśnić przyczyny jego zatrzymania. Tu major zmieniając ton przeszedł na tematy polityczne. Spojrzał na moje ubranie z bielskiego materiału, białą koszulę i czarny, jedwabny krawat — taka była wtedy moda — i powiedział: „Wy chodzicie tutaj elegancko ubrani, nazywacie się Delegaturą polskiego burżuazyjnego rządu w Londynie, a nas uważacie za «gołodrańców». Tymczasem to my wygramy tę wojnę, tu, we Lwowie jest i będzie sowiecka Ukraina, a Polska będzie takim państwem jak Mongolia. Niektórzy z waszych już to zrozumieli”.

Na tym rozmowa zakończyła się. Major wezwał strażnika — wewnątrz gmachu NKWD byli nimi niemal wyłącznie Azjaci, słabo mówiący po rosyjsku. Ten zaprowadził mnie do innego gabinetu i wskazał ręką krzesło w kącie.

Gabinet był duży, stały w nim dwa biurka i siedziało trzech ludzi, na razie nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Zrozumiałem, że mam kilka minut czasu i gorączkowo oceniłem swą sytuację. Założyłem najgorsze: Delegat nie wytrzymał śledztwa i ujawnił to, czego w żadnym wypadku nie wolno mu było ujawniać. Wiedziałem, że żyje, gdyż przyjmowano dla niego paczki żywnościowe od rodziny, które kwitował swoim podpisem. W ostatnich tygodniach przed wkroczeniem Armii Czerwonej, jak wielu ludzi podziemia, zaopatrzył się w truciznę, nosił stale przy sobie, w szklanej fiolce, cyjanek potasu. Robili tak na ogół ludzie, którzy mieli wątpliwości, czy potrafią wytrzymać śledztwo, jeśli jej nie użyli, trzeba było założyć, że szybko się załamią. Ci, którzy ich przesłuchiwali, zarówno w Gestapo, jak i NKWD, wiedzieli dobrze, że nie wykorzystana trucizna zdradza psychiczną słabość człowieka.

Założyłem więc, że Delegat powiedział o mnie czekistom wszystko, co mógł, i że wobec tego muszę chronić wszystkich innych, zwłaszcza przebywających na wolności. Nie mogłem jednak zrozumieć, dlaczego major ujawnił mój pseudonim i wyraźnie dał mi do zrozumienia,

że zna moją osobistą charakterystykę. Jako absolwent prawa, dobrze znający radziecki system śledczy, widziałem w tym błąd w sztuce tak wielki, że aż nieprawdopodobny. Przecież to właśnie śledztwo powinno było zmusić mnie do ujawnienia tajnego pseudonimu, udowodnić, że ukrywam prawdę. Nie mogłem tego na razie pojąć.

Tymczasem obecni w pokoju czekiści zainteresowali się mną i zaczęli przesłuchanie, a raczej wciąż rozmowę. Zdziwiło mnie, że dotychczas mnie nie zrewidowano i właściwie nie sprecyzowano żadnego zarzutu. Trzech młodych ludzi zaczęło mi zadawać pytania, chwilami jeden czy nawet dwóch wychodziło, widać odpoczywali, po jakimś czasie zmieniali się.

Przesłuchanie trwało trzydzieści sześć godzin, nieliczne przerwy nie trwały więcej niż pół godziny, dawali mi odpocząć na dwóch krzesłach i znowu musiałem odpowiadać. Gdy żądałem, aby mi pozwolono skorzystać z toalety, zawsze jeden z nich mi towarzyszył. We czwartek po południu, gdy rozpoczęła się druga doba mego aresztu, powiedziałem, że jestem głodny i muszę coś zjeść, jeden z czekistów zaofiarował się, że przyniesie mi jedzenie z bufetu, jeśli dam mu pieniądze; przyniósł chleb z kiełbasą i porcję herbaty. Po trzydziestu godzinach na wszystkie pytania odpowiadałem już tylko jednym zdaniem: „Odprowadźcie mnie do więzienia”.

Już po pierwszej godzinie zorientowałem się, o co właściwie chodzi, dlaczego wzięto mnie z ulicy, dlaczego major ujawnił mój pseudonim, dlaczego trwa wciąż rozmowa. Czekiści wiedzieli o mnie dostatecznie dużo, aby mnie uwięzić i osądzić za zdradę ojczyzny, gdyż będąc w ich przekonaniu obywatelem radzieckim, działałem — jak ciągle podkreślali — we wroziej wobec ZSRR organizacji. Delegaturze Rządu, utworzonej na terenach radzieckich. Do tego byłem sędzią Sądu Specjalnego i szyfrantem Delegatury (i o tym już wiedzieli), co miało oznaczać, że planowałem pozostanie w podziemiu i aktywną walkę z Armią Czerwoną. Co pewien czas któryś z nich groził mi więzieniem, procesem i skazującym wyrokiem, bardzo surowym, jak podkreślali, bo czas jest wojenny.

W rzeczywistości chodziło im o to, abym za cenę natychmiastowego zwolnienia zgodził się na współpracę. Ponieważ zabrano mnie z ulicy — zapewniali mnie — jeśli wkrótce wyjdę, nikt nie będzie wiedział, że byłem zatrzymany. Na początek, od razu na miejscu, miałem sporządzić możliwie wyczerpującą listę moich znajomych, i każdego scharakteryzować. O losach wojny, perspektywach Polski, a zwłaszcza podziemia związanego z Londynem, mówili jak o sprawach przesądzonych. Wojnę wygra ZSRR, a Polska będzie zapewne siedemnastą republiką radziecką albo rodzajem Mongolii — ani teraz, ani później nikt z naszych sojuszników jej nie pomoże, to są, jak mówili, „stare iluzje polskich nacjonalistów”.

Gdy odpowiadałem, że rząd londyński jest członkiem antyhitlerowskiej koalicji, a więc ich sojusznikiem, i dlatego ujawniliśmy się, słyszałem, że rząd na emigracji obiektywnie pomaga Niemcom, a nie ZSRR. Moskwa nie będzie miała z nim żadnych kontaktów, a cała działalność Delegatury we Lwowie jest bezprawną prowokacją, bo są to ziemie sowieckiej Ukrainy.

Przesłuchujący podkreślali wielokrotnie moją ciężką odpowiedzialność za przyjęcie funkcji sędziego Sądu Specjalnego, a więc bezprawne przywłaszczenie władzy, która we Lwowie należy wyłącznie do ZSRR. Powoływałem się z kolei na stan wojny i konieczność prawnego, międzynarodowego uregulowania kwestii granic w powojennej Europie, do tego czasu właśnie prawo międzynarodowe nie dopuszcza do żadnych jednostronnych zmian. Usłyszałem w odpowiedzi, że rząd radziecki wielokrotnie stwierdzał, że przyłączenie Zachodniej Ukrainy i Białorusi do ZSRR jest ostateczne i że jestem chyba dostatecznie rozsądny, by to zrozumieć. Powołali się przy tym na znaną im moją trzeźwą orientację w

sprawach międzynarodowych. Zrozumiałem, że Delegat poinformował ich o moim coraz bardziej krytycznym stosunku do naszych zachodnich sojuszników i ich polityki wobec Polski.

Po trzydziestu sześciu godzinach nie tylko ja, ale i moi czekiści byli zmęczeni i widocznie doszli ostatecznie do wniosku, że nie zmienię stanowiska. Przez parę godzin nie pytali mnie o nic, po czym jeden z nich, widocznie starszy rangą, powrócił do gabinetu, gdzie siedziałem wciąż w kącie, i powiedział: „No cóż, nie chcecie współpracy z nami, pójdziecie do więzienia, a tam już inni się wami zajmą!”

Wieczorem w piątek 1 września wyprowadzono mnie w asyście dwóch strażników z budynku na Pelczyńskiej, gdzie przebywałem od aresztowania. Przechodząc korytarzami przez przypadkowo otwarte drzwi jednego z gabinetów zobaczyłem sylwetkę, która wydała mi się znajoma. Poznałem tego człowieka, był kiedyś ze mną na studiach, teraz siedział obok czekisty przy stole, nad kartką papieru. Zrozumiałem, że układał listę swych znajomych.

Cela 78 a

Była to mała cela więzienna na drugim piętrze, przerobiona z dawnej pojedynczej, jeszcze austriackiej; przedzielono ją na dwie części cienką ścianką. Dostałem się do niej 1 września 1944 roku, po przejściu wstępnej procedury. Gdy strażnicy z ulicy Pelczyńskiej przekazali mnie straży więziennej, dwóch ponurych, umundurowanych ludzi kazało mi się rozebrać i zaczęli bardzo starannie przetrząsać moje rzeczy. Zabrali mi zegarek, który wciąż jeszcze miałem na ręce, krawat, portfel z dokumentami, złote pióro Watermana, banknot pięćdziesięciodolarowy i kilkanaście rubli. Z bucików wyjęli sznurowadła. Wystawili mi rodzaj kwitu, na którym brakło jednak wyszczególnienia odebranych rzeczy. Gdy następnie kolejny już strażnik prowadził mnie na piętro, nagle z krzykiem kazał mi podejść do ściany korytarza i obrócić się do niej twarzą. Zrobiłem to i usłyszałem kroki, ktoś koło mnie przeszedł; jak się wkrótce przekonałem, był to stale stosowany zabieg, mający na celu utrudnienie rozpoznawania się więźniów. Po chwili zatrzasnęły się za mną drzwi celi i znalazłem się w środku.

Na podłodze siedziało dwóch mężczyzn, obaj w średnim wieku, wychudli i zarośnięci. Jeden z nich okazał się Polakiem, lwowskim inżynierem, był to jedyny rodak, jakiego w ciągu całego mego tu pobytu spotkałem w tej celi. Drugi był to ukraiński inteligent, działacz bliski kręgom metropolity Andrzeja Szeptyckiego. W celi nie było niczego oprócz blaszanego kubła pod oknem. Więźniowie siedzieli i spali wprost na twardej podłodze z desek. Okno wysoko pod sufitem było nie tylko zakratowane, ale miało rozsuwaną zasłonę zaciemniającą z granatowego papieru — wojna jeszcze trwała i trwały naloty. Pod oknem był kaloryfer, wspiąwszy się nań można było zobaczyć kawałek ulicy i przechodniów.

Po dwóch dobach przesłuchania byłem zmęczony i nie miałem ochoty na rozmowy z moimi towarzyszami. Ograniczyłem się do paru słów. Usiadłem pod ścianą i odpoczywałem, w dzień leżeć nie było wolno. Wiedziałem już, że zaczyna się więzienny etap mojego życia; na obitej blachą wewnętrznej stronie drzwi ktoś zaczął, widać jeszcze za czasów niemieckiej okupacji, prowadzić kalendarz, zaznaczając kreskami kolejne dni i tygodnie. Ten kalendarz miał teraz odmierzać mój czas. Wysoko pod sufitem paliło się stale światło elektryczne. Od czasu do czasu słychać było szmer odsuwanej przykrywki judasza: to strażnik kontrolował, co robimy. Na noc położyłem się na podłodze, pod głowę podłożyłem jedną chustkę, z drugiej zrobiłem przepaskę na oczy, gdyż światło przeszkadzało mi zasnąć. Było ciasno, leżeliśmy we trzech w podłużnej celi nogami w kierunku drzwi, z głowami koło kubła.

Wczesnie rano więzienie budziło się do życia, słychać było ruch na korytarzu, otworzyły się drzwi celi, sprawdzano obecność. Ukraińiec pod nadzorem strażnika wyniósł z celi kubek, aby go opróżnić, zaczęto rozdawać jedzenie: otrzymałem pół litra płynu, rodzaj niesłodzonej herbaty, i kawałek chleba, około 30 dekagramów. Na obiad przyniesiono rodzaj kapuśniaku. Miał silny kwaśny zapach i na powierzchni widać było kolorowe plamy po nafcie, widocznie z brudnych naczyń. Inżynier siedzący obok mnie nie tknął tego jedzenia, twierdząc, że nie jest w stanie go przełknąć. Mimo że nie byłem właściwie głodny, postanowiłem zjeść całą porcję, co więcej, robić tak stale, aby przetrwać. Była to decyzja rozsądna, choć niełatwa, potwierdziły ją jednak wszystkie moje późniejsze doświadczenia. Tak postępowali wszyscy doświadczeni więźniowie.

Moi towarzysze mieli tytoń, machorkę w krupkach i kawałki gazety. Gdy uspokoił się ruch po śniadaniu, skręcili papierosy i ugościli mnie. Zaciągnąłem się parę razy, zakaszlałem, ale postanowiłem nie odmawiać sobie tytoniu. Paliłem niewiele jeszcze od czasów gimnazjalnych, ale nigdy nie byłem nałogowcem, sądziłem, że i w więzieniu nim się nie stanę. Jednak dla więźnia palenie to sprawa ogromnej wagi, przytępia poczucie głodu, uspokaja, wypełnia czas, jest rodzajem towarzyskiego rytuału. :

Dowiedziałem się zaraz, że śledztwo prowadzą nocami, zwłaszcza w pewne trudne do przewidzenia dni; paczki od rodziny przyjmują też w określone dni i pozwalają je pokwitować. Strażnicy są bardzo różni, niektórzy złośliwi, niektórzy ludzcy, część z nich to kobiety, większość to radzieccy partyzanci, dla których praca w więzieniu jest rodzajem nagrody i odpoczynku zarazem.

Po paru dniach inżynier dostał paczkę od rodziny. Słychać było chodzenie po korytarzu, otwierało się okienko przy drzwiach celi i strażnik pytał przenikliwym szeptem: „Jest tu kto na literę B?” Zgłaszali się więźniowie i jeśli adresat był w celi, strażnik przez okienko wydawał mu paczkę, odbierał pokwitowanie dając na chwilę do ręki surowo zakazany przedmiot — ołówek. Inżynier otrzymał kawałek wędliny, słodką bułkę, tytoń, kostkę masła. Były w paczce także zapalniczki, ale strażnik zabrał je, były zakazane, na nasze prośby zostawił jedną, aby zapalić papierosa. Z zapalniczkami był wciąż problem, zabierano je, chociaż palenie tytoniu było dozwolone. Niektórzy strażnicy dawali po parę sztuk, innych trzeba było wywoływać pukaniem i prosić o ogień. Niektórzy dawali, inni odpowiadali grubiaństwami. Inżynier od razu podzielił się częścią paczki ze mną i z Ukraińcem; taka zasada dobrowolnego podziału części otrzymanej paczki obowiązywała przez cały czas mego pobytu w celi 78a. Później dowiedziałem się, że w niektórych celach na Łąckiego praktykowano rodzaj więziennej komuny, paczki od razu i w całości dzielono między wszystkich więźniów.

Moi towarzysze pytali o nowości, gdyż sami siedzieli już ponad dwa tygodnie. Niewiele miałem im do powiedzenia, tym bardziej że nie mogłem mieć do nich zbyt dużego zaufania. Dowiedziałem się, że w celi obok nas, urządzonej z drugiej połowy dawnej całości, siedzi kilka młodych dziewcząt. Pukały do nas przez ścianę, dawały znać o nadejściu strażników. Czasami wieczorem słychać było, jak rozmawiają. Z drugiej strony celi mury były widocznie tak grube, że żadnych znaków życia nie można było zza nich wyłowić.

Cela 78a, rozmiaru małej łazienki poniżej 4 metrów kwadratowych, nie dawała prawie możliwości ruchu. W więzieniu na ulicy Łąckiego nie było choćby najkrótszych spacerów więźniów, w ciągu pięciu miesięcy mego tam pobytu nigdy w tym celu nie wyprowadzono ani mnie, ani nikogo. Robiliśmy więc przy otwartym oknie spacerować na tej przestrzeni, którą mieliśmy. Ponieważ nie było żadnych mebli, możliwy był marsz w kółko, kilka półkroków, obrót i z powrotem — powtarzaliśmy to codziennie dla utrzymania jako takiej sprawności.

Co dwa tygodnie był dzień uroczysty, prowadzono nas do łaźni, każdą celę osobno. Na co dzień można było przemyć oczy wodą z kubka, ja wykorzystywałem do mycia poranną ciepłą herbatę, prosząc o większą jej ilość. Po kilkunastu dniach okazało się, że wszyscy w celi mamy wszy, było ich pełno w całym więzieniu i dlatego dzień łaźni był także dniem dezynsekcji. Braliśmy ze sobą nasze rzeczy i umieszczano je w specjalnym kotle z parą. Rzeczy wychodziły z tego zniszczone, wszy przeżywały. W łaźni były ciepłe prysznice i fryzjer, kiedy nas golił i strzygł, przeprowadzano dezynfekcję celi. Wracaliśmy z łaźni jak z wycieczki, zapalaliśmy papierosy i częstowali jedzeniem z paczek.

Po dwóch tygodniach strażnik zapytał, „czy jest ktoś na literę Ż” — otrzymałem pierwszą paczkę, z samej żywności. Wiedziałem już, że rodzina mnie odnalazła i że będę miał pomoc. Kwitując odbiór napisałem prośbę o stare ubranie, koc, ręcznik i mydło, a następnym razem odesłałem swoje letnie ubranie. Zacząłem się upodabniać do zwykłego aresztanta, miałem swój worek, a w nim niezbędne rzeczy.

Pewnej nocy szeptem, tym szczególnym szeptem służby więziennej na Łąckiego, wywołano mnie na śledztwo; było to już kilka tygodni po moim aresztowaniu. Prowadzono mnie różnymi korytarzami, otwierały się i zamykały za mną różne kraty, wreszcie znalazłem się w długim i wąskim gabinecie. Na jego końcu stały trzy stoły, tworząc jakby literę T: były puste, tylko na jednym leżał pistolet automatyczny, pepesza z okrągłym magazynkiem, wymierzony w moją stronę. Za stołem siedział oficer. W kącie obok wejścia stało proste krzesło, na którym kazano mi usiąść.

Śledczy chwilę patrzył na mnie, wydobyl z szuflady arkusz czystego papieru, po czym przedstawił się niewyraźnie wymawiając nazwisko — brzmiało coś jak Kondratiew — i powiedział: „Jesteście oskarżeni o zdradę ojczyzny i to grupową, opowiedzcie dokładnie, jak do tego doszło”. Przypatrzyłem mu się przez chwilę, zanim jeszcze zaczął mówić, i uderzyło mnie, że wyglądał na człowieka, który się boi. Ciągłe spoglądał na swój automat jakby w obawie, że nie zdąży wystrzelić, gdy ja rzucę się na niego.

Czekając na śledztwo w celi ułożyłem sobie schemat zeznań. Wiedziałem już, że NKWD ma pełne rozpoznanie prac Delegatury i że informacje przekazał im, co uznałem za niemal pewne, sam Delegat. Ponieważ zgodnie z decyzją Delegatury na Kraj ujawniliśmy się, bezsensowne było zaprzeczanie naszej działalności w czasach hitlerowskich. Było oczywiste, że wielu jej form już nie będzie można kontynuować. Chodziło zatem przede wszystkim o ochronę ludzi — ponieważ działaliśmy w konspiracji, zdecydowałem się powoływać nieustannie właśnie na zasadę podziemia, to jest ukrywanie prawdziwych nazwisk. Miałem też zamiar uparcie twierdzić, że pełnione przeze mnie funkcje sędziego Sądu Specjalnego i zapasowego szyfranta wymagały szczególnej konspiracji, miałem wręcz polecenie minimalizowania kontaktów, utrzymywałem je jedynie z Delegatem i jego bliskim współpracownikiem Zygmuntem Łanowskim, który w ostatnich dniach przed swoim aresztowaniem przy końcu lipca 1944 był adiutantem Komendanta obszaru. Cała ta konstrukcja była wiarygodna i do tego pozwalała mi ochronić innych ludzi — pytany o znajomych wymieniałem tylko tych, o których wiedziałem, że zginęli albo są na emigracji. Wiedziałem także, że cechą radzieckiego systemu jest wielosłowie, bardzo je lubią w NKWD, licząc, że z opowieści więźnia uzyskają jakieś istotne informacje i poznają aresztowanego bliżej. Zwierzchnicy oczekiwali od śledczego protokołu przesłuchania i na ogół im dłuższy, tym był lepszy. Jeśli nie będzie miał takiego protokołu, dostanie naganę i odbije to sobie na mnie. Postanowiłem też wykorzystać moją wiedzę i doświadczenie prawnicze, zdobyte w latach 1939—41, co pozwalało mi w pewnym sensie rozmawiać ze śledczym fachowo.

Pierwszy seans trwał krótko, ograniczył się do zapisania mojego życiorysu, studiów, źródeł

utrzymania i okoliczności, w jakich znalazłem się w Delegaturze okręgu lwowskiego. Sędzia zapisywał spokojnie, ale zaznaczył, że to tylko początek.

Tymczasem w celi 78a przybywało lokatorów. Odszedł inżynier i pojawili się nowi Ukraińcy. Zostałem sam na sam z sześcioma nacjonalistami schwytanymi przez NKWD w Małopolsce, niektórych zabrano wprost z lasu. Gwałtownie pogarszały się warunki życia: wydawało się po prostu niemożliwe, aby siedmiu dorosłych mężczyzn mogło się zmieścić na tak małej przestrzeni. Spać musieliśmy teraz w poprzek wąskiej celi, nie mogliśmy wyprostować nóg, trzeba było wprowadzić ścisły reżim korzystania z kubła, nasze spacery były podobne do upornej karykatury słynnego obrazu van Gogha przedstawiającego spacer w więzieniu, tylko zamiast małego podwórza otaczały nas ściany małej celi. Z odejściem Polaka, inżyniera, ostro zarysował się dla mnie problem nieuniknionego ciasnego współżycia z nacjonalistami ukraińskimi, z których niewątpliwie niejeden miał krew polską na rękach. Łączył nas teraz wspólny wróg, łączył wspólny interes przeżycia i przeciwstawienia się bezwzględnyemu reżimowi.

Udało mi się dobrze ułożyć te stosunki, nigdy nie podejmowaliśmy dyskusji politycznych, nie mówiliśmy o naszych krwawych konfliktach, było to jakby chwilowe zawieszenie broni wymuszone przez sytuację. Pomogła mi znajomość języka ukraińskiego. Gdy moi towarzysze w czasie spacerów w kółko śpiewali półgłosem swe rzewne partyzanckie pieśni, nuciłem z konieczności wraz z nimi, bo w taki takt chodziliśmy. Na Nowy Rok składaliśmy sobie życzenia spełnienia marzeń, choć wiedziałem, że oni chcieliby widzieć we Lwowie niezależną, nacjonalistyczną Ukrainę, a oni wiedzieli, że ja myślę o odzyskaniu polskiego Lwowa i Małopolski Wschodniej. Myślę, że współżycie ułatwiało też pochodzenie moich współlokatorów, byli to przeważnie chłopci, wciągnięci do organizacji nacjonalistycznych przez emisariuszy z miasta, przede wszystkim studentów. W ich opowieściach regularnie pojawiała się postać studenta, który ich uświadamiał narodowo, organizował, informował, obiecywał zwycięstwo, a w ostatniej chwili często zniknął, zostawiając ich własnemu losowi. Wszyscy jednak byli przekonani, że walczą w słusznej sprawie i że prędzej czy później zbudują swe niezależne państwo, „Wilnuju Ukrainu”. Wszyscy też mówili ze mną po polsku, choć z silnym akcentem, byli ogłuszeni, wyrwani ze swego środowiska i pełni trosk o to, co się dzieje w gospodarstwie, z ich rodzinami — chłopci właściwie o niczym innym mówić nie mogli.

Pamiętam młodego, trzydziestoparoletniego małomównego Ukraińca ze wsi spod Lwowa. Bito go w śledztwie, gdyż złapany z karabinem w lesie nie tylko długo odmawiał wszelkich zeznań, ale w ogóle słabo rozumiał, co do niego mówi rosyjski śledczy. Niekiedy przez cały dzień nie zamienił z nami ani słowa, posłusznie wypełniał swe obowiązki w celi, maszerował w kółko, wynosił kubek; codziennie rano natomiast, gdy tylko była chwila milczenia, wzdychał i mówił cicho, jakby tylko do siebie; „Dziś w nocy znów byłem w domu”. Zostawił tam młodą żonę z kilkorgiem małych dzieci i karłowate gospodarstwo rolne wymagające nieustannej harówki.

Barwną postacią wśród moich ukraińskich współwięźniów, tą, która najbardziej utkwiała mi w pamięci, był Maksym Daniłowicz Jupin — człowiek już stary i bywały, o pokolenie starszy od wszystkich innych. Pochodził z okolic Bóbrki, miasta powiatowego w województwie lwowskim. Służył jeszcze w armii austriackiej w czasie I Wojny Światowej i był wtedy żandarmem wojskowym. Patrolował ulice miast i miasteczek, konwojował dezertersów, jak się dało, ściągając haracz od drobnych kupców i rzemieślników. Pamiętał swych austriackich przełożonych i wojskową gwarę niemiecko-polsko-ukraińską. Po 1918 wrócił do rodzinnej wsi na gospodarstwo i zaczął namiętnie kłusować w lasach pańskich i państwowych. Prowadził z władzami pasjonującą grę o posiadanie broni bez zezwolenia, ukrywał ją w lesie. Opowiadał o swoich przygodach z chęcią i swadą, lubił zwłaszcza wspominać domy

publiczne i prostytutki czasu I Wojny. Miał przy tym duże poczucie humoru. Narzekał, że dał się mimo swego wieku i doświadczenia namówić na udział w nacjonalistycznej partyzantce, nie wierzył już w jej powodzenie, co drażniło młodych, wciąż pełnych nadziei. On sam miał nadzieję, że ze względu na wiek, przyznanie się do winy i skrucę otrzyma niższy wyrok.

Jedynym inteligentem ukraińskim, którego zastałem już w celi, był działacz związany z Cerkwią grekokatolicką. Ten z kolei opowiadał stale o metropolicie Szeptyckim, jego zasługach, roli, wadze, jak mówił, dla całej Ukrainy. Obawiał się o los arcybiskupa, przypominając, że władze carskie w czasie I Wojny Światowej po przejściowym zajęciu Lwowa wywiozły Szeptyckiego w głąb Rosji i więziły w klasztorze w Suzdalu. Mówił też o słabym zdrowiu bardzo starego już władcy. On pierwszy zorientował się, że niezwykle bicie dzwonów w mieście, jakie z początkiem listopada 1944 roku usłyszeliśmy w celi, oznaczało jego pogrzeb. Wprawdzie nie pozwalano przysyłać nam w paczkach żadnych gazet czy czasopism, nie mówiąc już o książkach, zezwalano jednak więźniom posiadać podarty na małe kwadraciki papier gazetowy, który służył do skręcania papierosów. Takie strzępy gazet przychodziły w paczkach, było to dla mnie ważne źródło informacji. Zawsze prosiłem moich towarzyszy, aby przed wypaleniem dali mi przeczytać te kawałki gazet, i znajdowałem w nich różne wiadomości ze świata.

Pewnego dnia lektura ta przyniosła im nieoczekiwany i ważny plon. Znalazłem bowiem przedrukowaną przez lwowską prasę radziecką krótką wzmiankę z Lublina o działalności politycznej tamtejszych, jak to określano, „polskich patriotów”. Wzmianka podawała jako przykład spotkanie w którymś z lubelskich kin, gdzie przemawiał Adam Ostrowski. Nie sądziłem, abym się mógł mylić: w Lublinie, już po drugiej stronie barykady, działał były Delegat, aresztowany w lipcu we Lwowie. W śledztwie nigdy nie zapytano o niego, mimo że sam wymieniałem zarówno jego nazwisko, jak i funkcję, podkreślając, że sam się ujawnił władzom radzieckim.

Zastanawiałem się, co mogło go skłonić do takiego kroku, a raczej kroków. Nie było to bowiem, używając porównania z bohaterem powieści Galsworthy'-ego, przyjęcie islamu pod groźbą rewolweru dla ratowania życia: była to decyzja zrobienia kariery.

Kiedy po latach we Wrocławiu w rozmowie z moim przyjacielem Stanisławem Hubertem poruszyliśmy ten temat, mówiąc zresztą o całej grupie ludzi związanych z lwowską Delegaturą, którzy w 1944 roku wybrali taką właśnie drogę, Hubert powiedział mi: „Cóż chcesz, mieli niewyżyte chęci podróżowania sleepingami, a nie trzecią klasą”. Rzeczywiście, większość z nich z mniejszym lub większym sukcesem zaczęła się następnie w służbie dyplomatycznej.

Tymczasem ożywiły się moje kontakty z sąsiednią celą. Okazało się, że przy wpólotwartym oknie, stojąc na kaloryferze, można swobodnie zamienić parę słów, a nawet podać coś z ręki do ręki. Dziewczęta chętnie rozmawiały, dawały nam nawet żywność twierdząc, że mają jej dosyć, ostrzegały przed nagłą rewizją, informowały, co się dzieje w więzieniu. Miały różne wiadomości, ponieważ strażnicy wysługiwali się nimi przy sprzątanii korytarza. Były wśród nich Ukrainki z naszych terenów, były dziewczęta z radzieckiej Ukrainy: Polek w tym czasie nie było. Ostrzeżenie w więzieniu miało ważne znaczenie, gdyż od czasu do czasu spadały na nas nieoczekiwane rewizje. Wyprowadzano wtedy nagle wszystkich z celi, ustawiano na korytarzu twarzą do ściany i dokonywano skrupulatnego przeszukiwania i celi, i osobistego więźniów. Mimo bowiem całej surowości reżimu udawało się niekiedy przemycić niedozwolone przedmioty: igłę, kawałeczek ołówka, złamaną żyłkę, a nawet mały nożyk. Ja sam zdobyłem taki, przypadkowo zostawiony przez kogoś na podłodze w łaźni: kilkucentymetrowe ostrze zawinięte w szmatkę. Przeniosłem go szczęśliwie do celi i służył mi kilka tygodni. Przepadł w czasie jednej z nagłych rewizji.

W październiku zabrano jednego z Ukraińców na sąd, a na to miejsce pojawił się nowy, chłop z okolicy Brzeżan; był na pierwszy rzut oka, jak na człowieka ze wsi, jakiś okrągły i dziwnie smutny. Okazało się, że od lat choruje na ciężką gruźlicę, leczy się jedząc dużo masła, twierdził, że tak kazali mu lekarze. Kiedy jednak jeden ze współwięźniów, który właśnie otrzymał w paczce masło, chciał się z nim podzielić, chłop stanowczo odmówił: „Mogę jeść masło tylko od własnej krowy” — powtarzał przy każdym jedzeniu. Po kilkunastu dniach dostał paczkę z dużą ilością domowego masła, powiedzieliśmy mu, aby się z nami nim nie dzielił. Gdy w styczniu odchodziłem z celi, siedział jeszcze, obrzękły, kaszlał często; zdawałem sobie sprawę, że zdołał zapewne zarazić nas wszystkich gruźlicą.

Przy końcu października śledztwo zaostrzyło się. Wywoływano mnie częściej i ton śledczego stał się agresywny. Żądał, abym przyznał się do zdrady ojczyzny i wydał swoich współpracowników, którzy się nie ujawnili. Odpowiadałem, że nie zaprzeczam mojej działalności w Delegaturze, potwierdzam ją i wyjaśniam jej motywy, nie mogę jednak zgodzić się z kwalifikacją prawną, gdyż nie jestem obywatelem radzieckim. Usłyszałem znowu, że wszyscy mieszkańcy Lwowa są od 1939 roku obywatelami ZSRR, i że to, co robiłem, jest zdradą.

To właśnie śledczy poinformował mnie o upadku „antyradzieckiego”, jak to określił, Powstania w Warszawie i o kapitulacji Bora-Komorowskiego przed Niemcami. Widział w tym potwierdzenie zarzutu, że w rzeczywistości całe polskie podziemie kierowane z Londynu było wymierzone przeciwko ZSRR i pomagało Niemcom. Starłem się zachować bardzo spokojnie, ale śledczy podnosił głos i groził mi najsurowszym wyrokiem. Wciąż podkreślał, że dopuściłem się najcięższej zbrodni, jaką może popełnić obywatel. Przesłuchania trwały godzinami i wracałem do celi wyczerpany.

Pewnej nocy, gdy nikt z nas nie oczekiwał śledztwa, gdyż było właśnie święto radzieckie — 7 listopada, rocznica rewolucji, nagle wyprowadzono mnie z celi. Cekał na mnie inny śledczy, co gorsza od razu zauważyłem, że jest podпиты. Zaprowadził mnie nie do zwykłego gabinetu, gdzie byłem przesłuchiwany, lecz do piwnicy, do oddzielnego zakratowanego pomieszczenia. Usiadł za stołem, wyciągnął rewolwer i grożąc mi oraz przeklinając zażądał, abym natychmiast się przyznał, z kim kontaktuję się nielegalnie w więzieniu i przez kogo przesyłam do miasta informacje. Zacząłem temu zaprzeczać twierdząc, że to jakieś nieporozumienie, ale nie na wiele to się zdało, usłyszałem kolejną serię niezwykle ordynarnych wyzwisk i rozkaz, abym natychmiast zdjął marynarkę. W piwnicy był silny chłód, na dworze zima, śledczy był w zimowym, żołnierskim płaszczu. Ponieważ w dalszym ciągu nie przyznawałem się do niczego, w piętnaście minut stałem przed stołem rozebrany do krótkich slipów, bosi. Po chwili usłyszałem kolejny rozkaz: „Wychodzić!” Widocznie rozwścieczony oficer nałożył czapkę i wciąż z rewolwerem w ręce wyprowadził mnie z piwnicy. Przeszedłem z nim obok grupy strażników, widziałem, że patrzą na nas ze zdumieniem, poprowadził mnie na podwórze więzienia.

Było to to samo podwórze, na którym stałem w lipcu 1941 roku, oglądając setki świeżo ekshumowanych zwłok więźniów zamordowanych przez wycofujące się NKWD. W czasach, gdy więzienie służyło hitlerowcom, ktoś z nich wpadł na makabryczny pomysł i kazał wybrukować podwórze, bardzo starannie, płytami z żydowskiego cmentarza. Był mróz, prószył drobny śnieg, śledczy stanął i kazał mi, rozebranemu i bosemu, chodzić przed nim tam i z powrotem, dopóki wszystkiego nie powiem. Po jakiejś półgodzinie, o ile mogłem się zorientować, oficer krzyknął na mnie, abym szedł za nim, weszliśmy do budynku, oddał mi ubranie i odprowadził do celi.

Moi towarzysze, zaniepokojeni, rozcierali mnie długo nie rozumiejąc, co właściwie się stało. Z wielkim niepokojem czekałem następnego dnia. Minęło jednak kilka spokojnych dni, zanim

znowu wezwano mnie na śledztwo, tym razem rutynowe. Okazało się, że nastąpiła zmiana, przesłuchiwał mnie nowy oficer, nie zapamiętałem nawet jego nazwiska. Wszystko zaczynał od początku, cierpliwie i powoli — odpowiadałem według schematu, jakiego trzymałem się twardo, on wytrwale zapisywał.

Po jakichś dwóch tygodniach od nocy na płytach grobowych dostałem krótkiego, ale silnego ataku gorączki. Odtąd zdrowie zaczyna mi sprawiać kłopoty, choć psychicznie się trzymam. Jest to ważne, gdyż sytuacja w celi, w której jestem jedynym Polakiem, wyraźnie się pogarsza. Moja rodzina stara mi się pomóc, dzięki czemu mam dosyć wartościowego jedzenia. Niewiele straciłem wagi, ale fizycznie osłabłem. Częstouję moich towarzyszy, ale nie mogę nakarmić sześciu ludzi: tylko część z nich otrzymuje, i to rzadko, pomoc; zaczynają chudnąć i marnieją w oczach. Gdyby się zdecydowali odebrać mi jedzenie, nie dałbym im rady. Wiedziałem, że teraz wiele zależy od mojej determinacji i postawy. Ukraińcy myśleli zresztą, że jestem ważnym więźniem i mogę się poskarżyć władzom. W rzeczywistości było inaczej, mój pierwszy śledczy nie raz pytał, czy Ukraińcy biją mnie w celi, i wiedziałem, że nie miałby nic przeciwko temu.

Kiedy przyszedł atak gorączki, powiedziałem o nim dziewczynie z sąsiedniej celi, z którą najczęściej rozmawiałem. Była ze Wschodniej Ukrainy, została w 1941 roku we Lwowie i po powrocie Armii Czerwonej aresztowano ją. Następnego dnia nieoczekiwanie podała mi przez kratę lekarstwo. Okazało się, że była pielęgniarką i wyprosiła je u strażników. Miała bardzo miły głos, nigdy jej jednak nie zobaczyłem. Podałem jej mój adres, gdyż sądziłem, że będzie zwolniona, prosiłem, aby odwiedziła moją rodzinę. (Została odesłana w głąb ZSRR, pisała jeszcze czas jakiś do mojej matki i siostry; nazywała się Maria Hordenko.) Wtedy też przeżyłem najgorszą noc w więzieniu na Łąckiego. Po północy strażnicy weszli do celi dziewcząt i z nie znanych powodów zaczęli je katować. Słyszeliśmy zduszone krzyki i płacz, bieganie na korytarzu. Leżałem jak zwykle skurczony na podłodze, strażnicy otworzyli i naszą celę sprawdzając, co robimy. Nie można jednak było zrobić niczego.

Na początku grudnia nieoczekiwanie, zaraz niemal po kolejnym przesłuchaniu, wezwano mnie znowu na śledztwo. Znowu spotkałem nieznanego oficera, tym razem zupełnie odmienionego: był bardzo grzeczny, wręcz uprzejmy. Przedstawił mi się jako pracownik naukowy, historyk, którego tylko wojna zmusiła do pracy w NKWD. Zaczął ogólną rozmowę, pytał o moje poglądy, o znajomych. Podałem mu te same co poprzednio nazwiska ludzi z emigracji. Sam obszernie mówił o perspektywach okresu powojennego w Europie. Twierdził, że wojna dobiega końca, że prawdziwym zwycięzcą wyjdzie z niej ZSRR i on ustali porządek na naszym kontynencie. Powiedział nawet, co mnie zdziwiło, że niezależnie od tego, czy będzie wówczas rządził Stalin czy ktoś inny, powojenny okres będzie pod znakiem dominacji radzieckiej i to określi przyszłość Polski i Polaków. Pisał coś w rodzaju protokołu z tej rozmowy, a na koniec powiedział mi; „Nie wiem, czy i kiedy będzie wasz proces, rozumiecie chyba dobrze, że o tym nie decydujemy tu we Lwowie, ale rozstrzygnie się to w Moskwie”. Po tej rozmowie kilka tygodni nikt się mną nie interesował. Obchodziliśmy w celi Nowy Rok, 1945, otrzymałem świąteczną paczkę, moi Ukraińcy też dostali więcej niż zwykle. Nastrój był więc dobry — składaliśmy sobie życzenia, wymieniliśmy je także z dziewczynami zza ściany. Trzymały się dzielnie. W pierwszych dniach stycznia wywołano mnie ponownie. Tym razem dowiedziałem się, że śledztwo jest zakończone, wina moja udowodniona i że wkrótce stanę przed Trybunałem Wojennym.

Proces lwowskiej Delegatury Rządu

Jak zwykle w więzieniu, dokonało się to nieoczekiwanie: rankiem 17 stycznia 1945 roku wyprowadzono mnie z celi. Przypuszczałem, że idę znowu -na śledztwo, wiedziałem przecież, że w sprawach politycznych nie kończy się ono nigdy. Okazało się jednak, że

rozpoczyna się sąd. Znalazłem się w ciemnej sali, przy stole siedziało trzech oficerów w mundurach, za oświetlenie służyły świece wetknięte w butelki. Było jeszcze ciemno, ale więzienie i sąd pracowały zawsze według czasu moskiewskiego, choć w zimie było to szczególnie dokuczliwe. -W ciemnych rzędach ławek znalazła się grupa osób, wśród których od razu rozpoznałem swych kolegów i znajomych z Delegatury. Części nie znałem ani osobiście, ani z pseudonimów, które podano w akcie oskarżenia.

Major — przewodniczący sądu (o ile pamiętam, nazywał się Andriejew), któremu towarzyszyło dwóch innych sędziów, jeden również w randze majora i drugi podpułkownika — otworzył rozprawę. Oświadczył, że stoimy przed Trybunałem Wojskowym Lwowskiego Okręgu Wojskowego i że będziemy sądzeni jako kontrrewolucyjna grupa nazywająca się Delegaturą Rządu. Na rozprawie nie będzie obrońców, ale nie będzie też prokuratora, a więc od strony prawnej wszystko jest w porządku, jest natomiast na sali tłumacz, gdyż mamy prawo zeznawać w języku ojczystym. Tłumaczką była młoda dziewczyna, z akcentu Ukrainka, tłumaczyła nasze wypowiedzi na rosyjski z błędami i lukami, tak że trzeba było często powtarzać jej zdania.

Przed rozpoczęciem właściwej części rozprawy przewodniczący Trybunału niespodziewanie oświadczył, że ma dla nas ważną informację: podniósł ze stołu jakiś papier i zaczął czytać, starając się nadać lekturze uroczysty ton. Komunikat informował o dalszych postępach wielkiej radzieckiej ofensywy i zajęciu Warszawy. Sens tego nieoczekiwanego wstępu był dla mnie oczywisty: miał on nam udowodnić, że Polska i jej sprawy są w ręku Moskwy, wszystko rozstrzygnie Armia Czerwona, decyzja o naszym procesie lwowskiej Delegatury Rządu jest częścią polityki wobec Polski.

Wiedziałem już z losów moich współwięźniów, że rozprawy sądowe na Łackiego, w tym także grupowe, załatwiane są ekspresowo, w jeden dzień; więźniów zabierano z celi z rzeczami, gdyż po wyroku już tam nie wracali, przenoszono ich do innej części więzienia. Proces Delegatury trwał aż pięć dni. Przez cztery dni broniliśmy się przed stawianymi nam zarzutami, pozwalano nam swobodnie się wypowiedzieć, a następnie przewodniczący lub któryś z sędziów znowu powtarzali akt oskarżenia, uznając wszystkie jego punkty za w pełni udowodnione. Odwracając rzeczywistość i prawno-międzynarodową sytuację, akt oskarżenia zarzucał Delegaturze Rządu we Lwowie, że dążyła do zbrojnego oderwania części ziem od ZSRR. Spór, podobnie jak w śledztwie, które przeszedłem, dotyczył kilku kardynalnych spraw.

Po pierwsze — sprawa obywatelstwa. Tylko w stosunku do jednego z nas, Kazimierza Sobolewskiego, urodzonego i stale zamieszkałego w Sandomierzu, oskarżenie uznało, że nie jest on obywatelem radzieckim. Sądzonego jako cudzoziemca, który przyłączył się do grupy kontrrewolucyjnej walczącej przeciwko ZSRR. Wszyscy inni jako obywatele radzieccy byli oskarżeni o zdradę ojczyzny. Kwestionowaliśmy podobną kwalifikację prawną powtarzając po kolei argumenty o stanie wojny, braku ostatecznych prawno-międzynarodowych uregulowań, odmienności losów terytorium od losów obywateli, którzy chcą zatrzymać swe obywatelstwo. Powoływaliśmy się między innymi na działalność niemiecko-radzieckiej komisji, która jesienią 1939 roku załatwiała niektórym ludziom pozwolenie wyjazdu z ZSRR nie traktując ich, mimo formalnego przyłączenia Lwowa, jako obywateli tego kraju. Na wszystkie te i podobne argumenty przewodniczący Trybunału niezmiennie odpowiadał, że Zachodnia Ukraina jest na wieki przyłączona do ZSRR i wszyscy jej mieszkańcy są i będą traktowani jako obywatele radzieccy.

Drugi ogólny problem to charakter Delegatury, jej związek z rządem londyńskim i udział w antyhitlerowskiej koalicji, kwestia walk lwowskiej AK z cofającymi się Niemcami. I tu schemat dyskusji był podobny; zarówno rząd londyński, jak i jego Delegatura traktowane

były przez sąd jako wrogie wobec ZSRR, to znaczy pomagające Niemcom. Wreszcie trzecia ogólna sprawa, ujawnienie się Delegatury po wejściu Armii Czerwonej do miasta. Było ono traktowane przez sąd jako manewr, mający ukryć prawdziwe zamiary, wrogie wobec Armii Czerwonej. Tu zresztą sprawa wyglądała różnie, gdyż po pierwszych aresztowaniach część sądzonych przez Trybunał rzeczywiście ukrywała swą działalność.

W stosunku do każdego z oskarżonych były także sformułowane zarzuty indywidualne, w moim przypadku dotyczyły przyjęcia funkcji sędziego Sądu Specjalnego i szyfranta, co szczególnie miało świadczyć o moich wrogich zamiarach.

Niespodzianką było to, że w przerwach rozprawy mimo ciągłej obecności strażników nie przeszkadzano nam w rozmowach. Wysnułem z tego wniosek, że wyroki są już napisane i w rzeczywistości przebieg rozprawy nie ma większego znaczenia. Już na pierwszej przerwie w krótkiej rozmowie z Czesławem Niezabitowskim, prokuratorem Sądu Specjalnego, i Władysławem Grzędzielskim, dawnym kierownikiem lwowskiego Biura Informacji i Propagandy, których dobrze osobiście znałem, okazało się że Delegatura jest rozbita, część jej członków uwięzionych, a część, z Delegatem Adamem Ostrowskim, przebywa w Lublinie, przeszła na stronę PKWN, co więcej, działa tam politycznie. Są tam też niektórzy reprezentanci stronnictw i partii przy Delegaturze, przede wszystkim PPS — moi rozmówcy wymieniali nazwiska Przemysława Ogrodzińskiego i Marii Fiderer. Ostrowski we wrześniu 1944 roku opublikował w organie PKWN, lubelskiej gazecie „Rzeczpospolita”, list otwarty. W liście tym, nazywając siebie „byłym delegatem” potępił rząd polski w Londynie i jego działania oświadczając, że oddaje się na służbę nowym władzom. Potwierdziło to moje przypuszczenia, oparte na tekście przypadkowego skrawka gazety, który widziałem w celi. Mirosław Żuławski, pracownik lwowskiego BIP-u i redaktor akowskiego „Biuletynu Ziemi Czerwieńskiej” szybko przedzierzgnął się w korespondenta wojennego, a następnie redaktora tejże „Rzeczypospolitej”. W czerwcu 1945 roku w artykule wstępnym zatytułowanym Triumf jedności wyrazi radość z powodu wyroku wydanego na szesnastu Polaków, w tym ostatniego dowódcę AK generała Okulickiego, osądzonych wtedy w Moskwie. Inni nasi towarzysze, którzy zostali aresztowani później, opowiadali o tragedii Powstania, niewoli Bora-Komorowskiego, zniszczeniu stolicy, o masowych aresztowaniach we Lwowie, o zupełnym braku pomocy ze strony naszych sojuszników, osamotnieniu rządu w Londynie.

Jeszcze w czasie trwania rozprawy przekonałem się, że w skład naszej grupy, oskarżonej jako lwowska Delegatura Rządu, weszli różni ludzie, rozmaicie zaangażowani w konspirację — chodziło widocznie o to, aby stworzyć wrażenie procesu dużej i niebezpiecznej siatki; możliwe, że miejscowe władze chciały się w ten sposób wykazać przed swą centralą.

Przysłuchując się przebiegowi rozprawy zauważyłem, że moi współtowarzysze spoza ścisłego grona kierowniczego obrali różne linie obrony. Niektórzy uparcie zaprzeczali jakimkolwiek związkom z Delegaturą, twierdząc, że nie ma na to żadnych dowodów, a oskarżenie oparte jest na nieporozumieniu. Tak właśnie zachowywał się mój dawny kolega od Kistryna, a następnie z X gimnazjum, Andrzej Kórnicki. Rzeczywiście, na śledztwie nie mogli mu niczego udowodnić. Bardzo opanowany i spokojny, wciąż powtarzał, że nic nie wie, zabrano go przypadkowo i oczekuje uniewinnienia. Inni, zupełnie mi nie znani, zwłaszcza kobiety, przyznawały się tylko do kontaktów z pojedynczymi ludźmi, zaprzeczając, jakoby ich czyny miały coś wspólnego z samą Delegaturą, a tym bardziej z walką przeciwko ZSRR.

Grupa najbardziej zaangażowanych z Władysławem Swirskim, Władysławem Grzędzielskim i Czesławem Niezabitowskim nie tylko nie zaprzeczala swej działalności w Delegaturze, lecz podkreślała, że podejmowała ją świadomie, w celu walki z hitlerowską okupacją.

Taką też linię wybrałem ja sam. Kontynuując to, co mówiłem od razu po aresztowaniu, i co powtarzałem miesiącami w śledztwie, tu na sali sądowej dodałem jeszcze jeden argument: wskazałem na ogromne, bezinteresowne poparcie społeczeństwa polskiego Lwowa, które reprezentowaliśmy, poparcie, jakie mieliśmy cały czas. Przedstawiłem wysiłki Delegatury dla obrony tego społeczeństwa przed okrutną okupacją hitlerowską i w tym kontekście wskazałem na funkcję Sądu Specjalnego, który był jedyną tego rodzaju instancją ścigającą tych, którzy służyli wspólnym wrogom zarówno Polski, jak i ZSRR. Odrzuciłem zarzuty rzekomej walki przeciwko Armii Czerwonej, której pomagaliśmy, gdy się zbliżała i weszła do miasta, za co nam nawet wtedy dziękowało dowództwo radzieckie. Odrzucałem zarzuty ukrywania się, wskazując, że pozostałem we własnym domu i przy własnym nazwisku, że spotykałem się z przedstawicielami władz radzieckich, interweniując w sprawie aresztowanych. Mówiłem po polsku i musiałem wielokrotnie poprawiać tłumaczkę, która nie mogła dać sobie rady.

Nie miałem żadnych złudzeń co do wyniku naszego procesu. Brałem nawet pod uwagę możliwość spektakularnego wymierzenia nam najwyższego wymiaru kary, kary śmierci, choć przypuszczałem, że zostanie ona następnie zamieniona na dziesięć lat więzienia; była wtedy w sądach radzieckich taka praktyka. Wszyscy, nawet najstarsi wiekiem oskarżeni, trzymali się dobrze. Śledztwa mieli różne, najcięższe przeszedł Władysław Grzędzielski, który w Delegaturze odpowiadał w ostatnim czasie za sprawy bezpieczeństwa i starał się do końca osłaniać Delegata nie przypuszczając, że ten przeszedł na drugą stronę barykady. Ciężkie śledztwo miał także Marian Pokryszko, który kierował biurem legalizacji, przygotowywaniem fałszywych dokumentów. Obu ich bito i katowano.

Wyrok odczytano nam rankiem 21 stycznia. Tego dnia już nie wróciliśmy do swoich cel. Moi ukraińscy współwięźniowie dziwili się ogromnie, że proces trwa tak długo. Rozstaliśmy się przyjaźnie i nawet z pewnym szczególnym smutkiem, jaki towarzyszy więziennym rozłąkom. Przeżyliśmy razem kilka dramatycznych miesięcy, poznaliśmy wspólnie mechanizm więzienny, po wyroku każdego czekało nieznane, a tego więzień boi się najbardziej.

Wyroki były surowe. Trybunał uznał winę wszystkich bez wyjątku za udowodnioną, a w uzasadnieniu podkreślał, że walczyliśmy przeciwko ZSRR nie tylko w czasie okupacji hitlerowskiej, ale po wejściu Armii Czerwonej kontynuowaliśmy walkę „uchodząc w głębokie podziemie”. Czterech z nas, najbardziej zaangażowanych w sprawy Delegatury i pełniących szczególnie odpowiedzialne funkcje, przede wszystkim związane z bezpieczeństwem, otrzymało wyroki po dwadzieścia lat więzienia. Byli to: — Władysław Grzędzielski, przed wojną wicestarosta w Turce, w latach 1942—44 szef Biura Informacji i Propagandy przy Komendzie AK na obszar południowo-wschodni; na wiosnę 1944 roku przeszedł do pionu cywilnego i objął w Delegaturze stanowisko naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa. Mój dobry znajomy, znałem jego prawdziwe nazwisko, nie tylko pseudonim. Nie przeżył obozu.

— Czesław Niezabitowski, prokurator Sądu Specjalnego, aktywny członek Stronnictwa Ludowego. Był szefem Kierownictwa Walki Cywilnej na województwo lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie. Wydawał tygodnik podziemny „Za Wolność i Niepodległość”, organ Stronnictwa Ludowego. Po dwunastu latach więzienia, które odbywał w obozie karnym w Mordwińskiej Autonomicznej Republice, w miejscowości Potma, zwolniony wrócił do kraju. Do końca życia był członkiem Stronnictwa Ludowego, zmarł w Lublinie w 1961 roku.

— Kazimierz Waksman, dowódca tzw. Straży Samorządowej, formacji podziemnej, która miała odegrać rolę policji, brał udział w akcji „Burza”. Po wyroku wywieziony na Kołymę, wrócił do kraju w 1955 roku i osiedlił się na Śląsku.

— Władysław Świrski, doktor nauk ekonomicznych, specjalista od zagadnień rolnych. Jeszcze przed 1918 rokiem należał do polskich studenckich organizacji niepodległościowych w Kijowie. Jeden z najbardziej zasłużonych i doświadczonych wydawców podziemnej prasy. Od 1940 roku, a więc od czasów pierwszej radzieckiej okupacji Lwowa, aż do chwili swego aresztowania w 1944 roku wydawał biuletyn „Wytrwamy”. Dzięki sprawnej organizacji, którą pozostawił, pismo wychodziło jeszcze w 1945 roku. Świrski w czasie okupacji niemieckiej był związany ze Stronnictwem Pracy, a także z grupą znaną pod nazwą „Konfederacja Ziem Kresowych”. Znal znakomicie język rosyjski i, jedyne, zeznawał przed Trybunałem w tym języku, co zresztą niektórzy mieli mu za złe. Serdeczny mój przyjaciel, mimo swego wieku przeżył obóz, w 1956 powrócił do kraju, osiedlił się we Wrocławiu i tam, w Ossolineum, zdeponował swe lwowskie archiwum.

Dwóch oskarżonych otrzymało po osiemnaście lat więzienia. Pamiętam tylko jednego z nich, był to Kazimierz Sobolewski, lekarz z Sandomierza, studiował medycynę we Lwowie. W czasie okupacji działacz Komitetu Obrony Społecznej przy Delegaturze. Spędziłem z nim następnie długie lata w jednym obozie karnym, w Korniu na Północy. Zwolniony w 1955 roku, wrócił do kraju i do rodzinnego Sandomierza.

Dwóch oskarżonych, w tym ja, dostało po piętnaście lat więzienia. Oprócz mnie taki wyrok otrzymał młody człowiek, fryzjer z zawodu, wykonawca wyroków Sądu Specjalnego. Zarzucano mu bezprawne, zdaniem Trybunału, wykonywanie na terytorium radzieckim wyroków Sądu Polski Podziemnej.

Reszta członków sądzonej części Delegatury otrzymała standardowy w tamtych czasach w ZSRR wyrok: po dziesięć lat więzienia. Byli wśród nich:

— Andrzej Niezabitowski, syn Czesława, prokuratora Sądu Specjalnego. Zarzucano mu udział w pracach prokuratury i współudział w kolportowaniu czasopisma „Za Wolność i Niepodległość” — czym też w rzeczywistości się zajmował.

Z Andrzejem Niezabitowskim spotkałem się w Komi, na zesłaniu, w 1955 roku, wtedy też powrócił do kraju. Ukończył następnie studia politechniczne, pracował w górnictwie, ostatecznie osiedlił się w Krakowie. W latach dziewięćdziesiątych, będąc już na emeryturze, przeszedł przemianę duchową i zdecydował się na wyjazd z całą rodziną do Rosji, do Wołgogradu. Stworzył tam tzw. rodzinę misyjną działającą wokół odbudowywanego Kościoła katolickiego.

— Stanisław Czuruk, wspólnie ze swym kolegą, Andrzejem Niezabitowskim, brał udział w pracach prokuratury, zwłaszcza śledczych. Współdziałał z komórką legalizacji, pomagał w zaopatrywaniu w dokumenty osób ukrywających się przed represjami, w tym także ludzi pochodzenia żydowskiego, dla których komplet dokumentów był nieraz jedyną szansą uratowania życia. Aż do 1948 roku udało mu się pozostać w obozie przejściowym. Później wywieziony aż na Daleki Wschód, nad Morze Ochockie, przebywał w wielu obozach pracując jako górnik w kopalniach. Do kraju powrócił w 1955 roku. Osiedlił się w Zgorzelcu, podobnie jak jego ojciec został tłumaczem przysięgłym.

— Marian Pokryszko, mój serdeczny kolega jeszcze ze studiów uniwersyteckich, w Delegaturze niezwykle sprawnie kierował biurem legalizacji. Po wyroku dokonał z kilkoma innymi więźniami niezwykle śmiałej ucieczki z dobrze strzeżonego obozu przejściowego. Przedostał się na zachód i osiedlił we Wrocławiu. *

Dopiero po latach dowiedziałem się, że w dniu, kiedy zapadły wyroki na członków lwowskiej Delegatury, 21 stycznia 1945 roku, były Delegat, Adam Ostrowski otrzymał w Lublinie

nominację na podsekretarza stanu w Ministerstwie Administracji Publicznej w tzw. Rządzie Tymczasowym kierowanym przez Edwarda Osóbkę-Morawskiego.

* Dopiero w czasie redagowania tych wspomnień dzięki uprzejmości profesora Jerzego Węgierskiego, historyka okupacyjnych dziejów Lwowa, dowiedziałem się — a częściowo je sobie przypominałem — nazwisk niektórych innych osób sądzonych w procesie lwowskiej Delegatury. Jak już wspominałem, na ławie oskarżonych znalazły się także dwie kobiety. Były to panie: Maria Dąbrowicka i Józefa Kurylewicz; ta ostatnia zmarła w etapie, w drodze do obozu. Byli także: Leopold Czaczkes-Kucharski, Marian Lachowicz, Augustyn Flak — weterynarz, Waclaw Chładuński — malarz. Fryzjer i wykonawca wyroków Sądu Specjalnego, o którym wspominałem, nazywał się Zenon Konieczny. Jemu także udało się ucieczka z obozu przejściowego. Dzięki uprzejmości żony mego obozowego towarzysza i przyjaciela, Władysława Kruga, pani, która w tym samym czasie przebywała we Lwowie w tym samym obozie przejściowym, dowiedziałem się, że sądzony z nami Jerzy Piwoński, syn dyrektora gazowni lwowskiej, który otrzymał na procesie wyrok dziesięciu lat, został w nieznanych okolicznościach wkrótce zwolniony.

W obozie przechodnim

15 lutego 1945 roku, w miesiąc po procesie naszej grupy, wyprowadzono nas wszystkich na dziedziniec więzienia. Znowu, jak na sali sądu, znaleźliśmy się razem — dwudziestu mężczyzn i dwie kobiety. Po wyroku wszyscy mężczyźni zgrupowani byli w jednej wielkiej przejściowej celi, gdzie wraz z innymi więźniami oczekiwali na odesłanie do obozów pracy. Kobiety przebywały na innym piętrze, w podobnych warunkach. Po okresie wielomiesięcznego śledztwa i odosobnienia mieliśmy czas omówić tysiące spraw związanych z wydarzeniami ostatnich miesięcy. Wszyscy byli bladzi, zarośnięci, zmęczeni i osłabieni, ale poważnie chorych właściwie nie było. Jedna z kobiet wkrótce spodziewała się dziecka. Tam właśnie, w celi już osadzonych, spotkałem po raz pierwszy człowieka, który przeszedł na Łąckiego celę śmierci. Wyroków takich zapadało wtedy wiele; traktowanie skazanych na karę śmierci było okrutne — dostawali tylko połowę głodowego więziennego wikt, na noc, aby uniemożliwić zamach samobójczy, zakuwano im ręce, czasem boleśnie krępowano drutem. Ułaskawiony Ukrainiec, którego spotkałem, otrzymał dziesięć lat obozu. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o ascetycznej twarzy, leżał w kącie celi, z trudem się poruszał. Był to nauczyciel wiejski, nacjonalista, który w czasie okupacji niemieckiej zorganizował coś w rodzaju ukraińskiego uniwersytetu ludowego. Za to właśnie otrzymał najwyższy wymiar kary.

Na dziedzińcu więzienia stała duża ciężarówka i grupa żołnierzy. Świeże powietrze nieco nas oszołomiło. Pojawił się urzędnik administracji więziennej i jego pomocnik. Wykrzykiwano nazwiska i zwracano nam drobne przedmioty odebrane przy osadzeniu w więzieniu: krawaty, szelki, podwiązki, portmonetki. Ku memu zdziwieniu oprócz pustego portfela i krawata otrzymałem moje złote pióro.

W ręku dowódcy żołnierzy pojawiły się dokumenty i rozpoczęło się wyczytywanie nazwisk — wywołany przechodził pod straż żołnierzy. Kiedy wszystkich wyczytano, zaczęliśmy ładować się na samochód, pomagając sobie wzajemnie i ciągnąc worki z dobytkiem więziennym, nagromadzonym przez te miesiące z wałów od rodzin. Dołączono do nas kilka osób nie należących do naszej sprawy i przeładowany samochód ruszył za bramę więzienia.

Dzień był ładny, patrzyliśmy pólsiedząc na znajome miasto. Oparci o kabinę ciężarówki stali trzej żołnierze z wymierzonymi w nas automatami. Jechaliśmy przez całe miasto. Zmieniło

się znacznie, poszarzało, wynędzniało, na ulicach było widać wielu nowych przybyszów wyróżniających się ubiorem, dużo żołnierzy. W przeciągu krótkiego czasu, jaki mieliśmy od zawiadomienia nas o transporcie do chwili wyjazdu, powzięliśmy pewne decyzje. Chcieliśmy zawiadomić rodziny o wywiezieniu nas z więzienia. Wiedzieliśmy dobrze, jak długo rodziny poszukują więźnia, gdy straci on kontakt z bliskimi. Mimo zapewnień straży więziennej, że jedziemy, jak wszyscy z wyrokami, do obozu przechodniego, obawialiśmy się, że wywiozą nas od razu na dworzec, do wagonów.

Na skrawkach papieru, deszczułkach, kawałkach płótna — napisaliśmy kilka listów z prośbą do przechodniów, by natychmiast doręczyli je adresatom. Jeden z listów umieszczony był w główce od fajki, większość zawinięta w płótno. Postanowiliśmy w odpowiednim momencie wyrzucić je na ulicę. Widok chodników wypełnionych żołnierzami i przybyszami ze wschodu trochę nas jednak zdeprymował. Listy mogły wpaść w niepowołane ręce. Na zakręcie ulicy, gdy żołnierze starając się utrzymać równowagę mniej bacznie nas obserwowali, wyrzuciliśmy pierwszy list. Zauważyłem, że podniosła go kobieta, z wyglądu bardzo biedna. Zanim przejechaliśmy miasto, wszystkie listy były w ten sposób wysłane. Jeden z przechodniów przydeptał skrawek materiału butem i przeczekał, aż go wyminie kilku żołnierzy, obserwowaliśmy z dala, jak szybko podniósł naszą pocztę. Mieliśmy teraz nadzieję na szybkie ustanowienie kontaktów, dostawy przesyłek i listów.

Przypadkowo byłem w czasie jazdy świadkiem rozmowy starej, zniszczonej kobiety —jednej z osób dołączonych do naszego transportu — z Władysławem Świrskim, który był jej zwierzchnikiem organizacyjnym. Kobieta półgłosem składała raport o wypełnieniu zadań już po aresztowaniu Świrskiego. Miała przeszło sześćdziesiąt lat, otrzymała dziesięć lat wyroku i jechała samotna w nieznaną.

Tymczasem przejechaliśmy już przez całe miasto i zbliżaliśmy się do obozu przechodniego. Dzielnica, w której się znajdował, zwana Zamarstynów, była odległa i mnie osobiście mało znana. Przed wojną zamieszkiwała ją uboga ludność, przeważnie żydowska, i wiele domów było zrujnowanych jeszcze za czasów niemieckich. Obóz znajdował się w starych barakach dla bezdomnych, wzniesionych przez przedwojenny magistrat, i był otoczony podwójnym rzędem drutów kolczastych trzymetrowej wysokości i wieżyczkami. Zatrzymaliśmy się nieco z boku od wejścia — polecono nam zejść z ciężarówki, otoczyli nas żołnierze, staliśmy na miejscu. Przed wejściem do obozu ciągnęła się ogromna, kilkusetosobowa kolejka. Dużo było w niej kobiet, starych i młodych, mężczyźni w różnym wieku stali z małymi węzełkami w rękach. Kolejka posuwała się bardzo powoli. Przez chwilę wydało mi się, że są to krewni niosący paczki swoim bliskim, dziwiłem się tylko, że jest ich aż tak wielu. Pamiętałem dobrze dni przyjęć w więzieniu, gdy od świtu, w zimowych ciemnościach schodzili się ludzie i oczekiwali wiele, wiele godzin, dopóki przyjęto od nich paczkę.

Nagle któryś z moich towarzyszy odezwał się: „Patrzcie, co za wspaniały typ”. Obróciłem się i ujrzałem — u końca kolejki — rosłego Mongoła w szubie, z ciemną, smagłą skórą i wyglądem wojownika Tamerlana. W rękę trzymał karabin z najeżonym bagnetem. Wtedy zrozumiałem. Przed nami stała partia ludzi osadzonych w innym więzieniu, widocznie był to dzień czystki.

Po kilku kwadransach przyszła kolej i na nas. Dowódca konwoju zdał u wrót nasze dokumenty i oficer z obozu rozpoczął wywoływanie nazwisk. Schemat był prosty; nazwisko — imię — imię ojca — rok i miejsce urodzenia — paragraf — wyrok. Tego rodzaju dialog powtarzał się potem przez wszystkie lata: ilekroć więzień zmieniał miejsce pobytu, ilekroć przechodził przez nowe wrota, ilekroć imiennie sprawdzano obecność, każdy z nas recytował te dane z ogromną szybkością, zawsze w tym samym porządku.

Po przejściu wrót wprowadzono nas do baraku rozdzielonego na dwie części przez grupę żołnierzy. Rewizja. Szybko, szybko, rozwiązywać worki, ręce do góry, co w kieszeniach, zdjąć buty — pokazać. Żołnierze spieszą się i obok nich wyrasta na podłodze stos odebranych przedmiotów. Wędruje tam większość rzeczy, które przed godziną nam zwrócono. Moje złote pióro znika od razu w kieszeni rewidującego. Nie żałuję go — wiem już, że w więzieniu posiadanie jest często większym ciężarem aniżeli korzyścią.

Niektórzy usiłują protestować, zwłaszcza gdy zabierają im lekarstwa. Na podłodze pełno proszków, pudełeczek, buteleczek z kroplami. Pozwolono nam je otrzymywać po osądzeniu. Odbierając jednemu z naszych flakonik, żołnierz dziwi się głośno: „Po co tym ludziom tyle lekarstw?” Drugi odpowiada na reklamację: „Odbieramy, bo mogą to być trucizny — tu jest lekarz, każdy otrzyma, co mu się należy”.

Zrewidowani przechodzą na drugą stronę baraku, niektórym udaje się zmylić straż i uniknąć rewizji, niektórzy zręcznie przerzucają przedmioty na drugą stronę, już bezpieczną. Jeszcze chwila, formują nas parami i prowadzą do baraku mieszkalnego. Piętrowe budynki — wewnątrz połamane przegródki, ślady pieców, drzwi — a na podłodze, na gołych deskach, jak i w więzieniu, dziesiątki ludzi. Śpią, jedzą, palą papierosy, rozmawiają — tylko z chodzeniem trudniej, mało miejsca. Okazuje się jednak, że jeszcze się świetnie pomieścimy — zajmujemy jeden kąt, rozkładamy się razem. W dużym pomieszczeniu zamienionym na celę pojawia się normalne zainteresowanie nowymi przybyszami. Rozmawiamy głośno po polsku i już po chwili podchodzą do nas miejscowi z zapytaniem: z jakiego więzienia, za co sprawa, ile dali? Opowiadają o sobie, częstują tytoniem i jedzeniem. Widzimy, że mają wszystkiego pod dostatkiem. Ostatni okres w więzieniu głodowaliśmy — przesyłek nam nie doręczano, wikt więzienny pogorszył się: na cały dzień otrzymywaliśmy po 300 gramów czarnego chleba i pół litra zupy z łup kartoflanych, byliśmy wszyscy wycieńczeni. Rzucamy się więc na jedzenie i pytamy o szczegóły życia. Okazuje się, że przyjmują tu paczki bez żadnych ograniczeń, większość miejscowych otrzymuje codziennie gorące obiady od rodzin. W więzieniu teoretycznie pozwalano otrzymywać paczkę raz na dwa tygodnie — w praktyce rzadziej.

Wikt obozowy okazuje się też lepszy, zupa dwa razy dziennie, lepsza od więziennej, chleba też o 150 — 200 gramów więcej. Zasadniczy problem w więzieniu — wyżywienie — nie jest więc tu tak palący. Po kilku godzinach czeka nas nowa niespodzianka: spacer. Drzwi otwierają się i mieszkańcy celi schodzą na dziedziniec, formują czwórki, pół godziny marszu. Większość z nas wraca z silnym zawrotem głowy, ja też czuję się jakby pijany. Przez pół roku nie byłem ani razu na powietrzu — w więzieniu przywykłem do stęchlizny i bezruchu. Po spacerze odpoczywamy wszyscy, zmęczeni tak nasyconym wydarzeniami dniem.

Przed snem otrzymujemy jeszcze zupę z kawałkiem chleba, liczą nas, jak codziennie wieczorem strażnicy, przepędzając z jednej strony celi do drugiej — i już zapada noc. Od kiedy po wyroku jesteśmy razem, z inicjatywy wojskowych śpiewamy wieczorem pieśń religijną. Wszystkie nasze codzienne sprawy, jak w wojsku. Straż w korytarzu nie reaguje, na sali z kątów patrzą nieco zdziwieni nieznani nam jeszcze obcy ludzie. Pierwszy dzień w obozie przechodnim zakończony.

Dwutygodniowy okres spędzony w obozie na Zamarstynowie był dla mnie czymś zupełnie wyjątkowym. Po więzieniu dostaliśmy się w inny świat. Znakomita, codzienna łączność z rodziną, obfite odżywianie się, gazety, wiadomości ze świata, przechadzki — były po okresie pełnego odosobnienia czymś prawie nierealnym. Niektórzy nawet dorywczo pracowali, uzyskując prawo swobodnego poruszania się wewnątrz obozu. Zwykle jednak pytano o wyrok i nasze duże terminy i paragrafy zdrady głównej robiły ujemne wrażenie. Administracja obozu bała się wypuszczać tak groźnych przestępców do pracy. Dwa—trzy

razy na miesiąc — czasem częściej, czasem rzadziej — formowano transport, nazywany potocznie etapem, w głąb ogromnego kraju. Stwarzało to nastrój stałego oczekiwania, nastrój poczekalni dworca, z którego odjeżdżają pociągi w nieznane. Miejsce przeznaczenia etapu było zawsze tajemnicą.

Wielu skazanych starało się jak najdłużej utrzymać w obozie przechodnim, gdzie sąsiedztwo rodzin dawało możliwość znośnej egzystencji. W tym celu nawiązywano znajomości, starano się uzyskać pracę lub w czasie formowania transportów symulować choroby, czasem nawet przez łapówki wpłynąć na kierownictwo obozu. Dlatego też czas przebywania więźniów, nawet z naszej grupy, w obozie był ogromnie zróżnicowany. Ja — z dwoma kolegami — wyjechałem pierwszym transportem, po zaledwie dwutygodniowym pobycie. Inni utrzymali się po kilka miesięcy, rok, jeden zaś, jak wspomniałem, dzięki ogromnym staraniom i ofiarom materialnym rodziny pozostał w obozie kilka lat.

Tymczasem drugi dzień pobytu przyniósł nam wielką radość. Część z nas otrzymała od rodzin kosze pełne jedzenia, odzież, papierosy, a także — rzecz ogromnej wagi dla więźniów politycznych — świeże gazety. W posyłkach, jak zawsze, odszukaliśmy grypsy. Okazało się, że wszystkie wyrzucone przez nas z samochodu listy były jeszcze tego samego dnia wręczone adresatom. Nieznani przechodnie oddali je z ogromną szybkością, a gdy jeden z adresów okazał się nieaktualny, odnaleziono rodzinę więźnia na nowym mieszkaniu. W jednym z koszyków powróciła główka od fajki — znak spełnionego zadania. W przeciągu dwóch dni wszyscy z nas mieli łączność. Ja też otrzymałem kobiałkę zjedzeniem i tytoniem, gazety i długi list zawiadamiający o ważnych zdarzeniach minionego okresu. Paczki były kontrolowane tylko pobieżnie i przez te dwa tygodnie otrzymałem wiele listów, sam też codziennie na nie odpowiadałem. Grypsy chowałem w tym samym koszyku, w którym dawano mi jedzenie. Dowiedziałem się szczegółowo o sytuacji rodziny, znajomych, przyjaciół i o stanie spraw ogólnych. Inni również otrzymywali wiadomości i wymieniając je łatwo zrekonstruowaliśmy całokształt spraw minionego okresu.

Gazety przyniosły ważne wiadomości. W Jałcie odbywała się konferencja, która zdecydowała o losie naszych spraw. Nie mieliśmy żadnych złudzeń i jednolicie komentowaliśmy jej przebieg i znaczenie. Różnice zarysowały się jedynie w prognozach. Optymiści twierdzili, że sytuacja jest przejściowa i że wkrótce wszystko zmieni się radykalnie na lepsze. Inni, do których i ja należałem, uważali, że potrwa to kilka lat. Niektórzy liczyli na pomoc z Lublina w zmianie indywidualnego losu. Większość była przekonana, że przybliżający się koniec wojny zmieni układ sil i wpłynie na całokształt naszych spraw. W tym, co nas bezpośrednio dotyczyło, rozumieliśmy, że czeka nas rychłe wywiezienie w odległe rejony. Trzeba było się więc jakoś przygotować. Transport następował nieraz nieoczekiwanie, zwykle jednak wiedziano o nim na parę dni z góry, tylko nie można było ustalić, kto jest na liście. Kiedy wyczytywano nazwisko, zostawało bardzo mało czasu, nieraz dosłownie godziny. Bezpośrednio po przybyciu do obozu dowiedzieliśmy się, że etap tylko co odszedł i że przynajmniej tydzień będzie spokojny. Pierwsze więc dni nie myśląc o odjeździe korespondowaliśmy i jedli, jedli niezwykle ilości wszelkich potraw, własnych i towarzyszy. Po poście więziennym trudno się było opanować, wiedzieliśmy zresztą, że ten chwilowy dostatek szybko się skończy, więc jedliśmy na zapas. Wielu z nas chorowało na żołądek, nie przeszkadzało nam to jednak.

Funkcję pielęgniarki pełniła wtedy młoda łączniczka AK skazana na dziesięć lat. Dwa razy dziennie odwiedzała nas z tacą pełną lekarstw. Dawała nam różne leki, służąc zarazem za listonosza, miała szeroki kontakt ze światem zewnętrznym i załatwiała masę spraw. W rok później spotkałem ją na Północy, niedługo potem dowiedziałem się, że zginęła zastrzelona przez wartownika z wieżyczki strażniczej.

Z miasta, z grypsów, dochodziły wiadomości o losach, często dramatycznych; ludzi mi bliskich i znajomych. Przeżyłem wtedy nieoczekiwanie silny wstrząs, kiedy z listu matki dowiedziałem się, że mój serdeczny przyjaciel, do którego właśnie chciałem napisać, przeszedł na stronę okupanta, służy mu, jest unikany. Czytając bardzo powściągliwe słowa matki, zrozumiałem od razu, że to prawda: doznałem uczucia wręcz fizycznego bólu. Spaliłem natychmiast przygotowaną karteczkę, spłonęła i zamieniła się w popiół; spopielita się jeszcze jedna moja przyjaźń.

W celi oprócz nas, miejscowych Polaków, znajdowały się jeszcze dwie grupy więźniów. Pierwsza z nich — to byli Ukraińcy- Liczba więźniów w celi wynosiła średnio około stu osób, z czego ponad połowę stanowili oni, w większości młodzi chłopcy z okolicznych wsi i powiatów, członkowie band UPA, Bandery, a także żołnierze SS dywizji „Galicja”. Jawnie wrogi stosunek Polaków do tych ludzi splamiony osobiste aktami mordów i okrucieństw, był już w więzieniu nieco złagodzony wspólną dolą. W różnych celach śledczych, w zależności od układu sił stosunki polsko-ukraińskie były wrogie, neutralne lub nawet znośne. Rozmawiano rzadko, trzymano się oddzielnie, unikano bezpośrednich starć. W obozie przechodnim Polacy znajdowali się w wyraźnie korzystniejszej sytuacji. Mieli lepszą organizację, ruchliwy aktyw, pomoc miasta, lepszą informację, więcej paczek: jedzenia, tytoniu i pieniędzy. Ukraińcy, w ogromnej większości ludzie ze wsi, nieraz odległych od Lwowa, z wielkim trudem nawiązywali łączność ze swymi rodzinami, dostawali mało produktów, byli gorzej zorientowani w sytuacji, zarówno własnej, jak i ogólnej. Ich więzienni przywódcy, zwykle studenci lub wiejscy nauczyciele, ani liczbą, ani doświadczeniem i wykształceniem nie mogli się równać z inteligentami przewodzącymi grupom polskich więźniów. Nasi współtowarzysze trzymali się cicho i skromnie, zwracali się do nas wyłącznie po polsku, jeżeli prosili o coś, to raczej o tytoń aniżeli o jedzenie. Wyraźna różnica w materialnym położeniu postawiła przed nami pytanie, czy mamy pomagać Ukraińcom. Po krótkiej dyskusji w imię solidarności więźniów zdecydowaliśmy, że będziemy im oddawać nasz wikt obozowy. Dawaliśmy im też tytoń, rzadziej jedzenie otrzymywane z domu. Niektórzy z naszych, zwłaszcza młodzi akowcy, odnieśli się do tej decyzji niechętnie, podporządkowali się jednak bez większych oporów. Wielu Ukraińców pamiętało to nam latami, gdy spotykaliśmy się znowu w obozie na Północy.

Drugą grupę stanowili ludzie ze wschodu. Ubrani nędznie, w resztki wojskowych uniformów, nie posiadali w ogromnej większości niczego poza tym ubraniem. Grupa ta była bardzo różnorodna, jeśli chodzi o pochodzenie, wykształcenie i charaktery. Z początku nie rozróżniliśmy ich dokładnie — wyglądali bardzo jednorodnie. Nie było ich wielu, nie więcej niż 10—15 procent, trzymali się oddzielnie, ale mieli jedną przewagę nad Polakami i Ukraińcami — utrzymywali dobre stosunki z władzami. Pełnili funkcje odźwiernych i starszych celi, prowadzili pertraktacje ze strażnikami — czuli się w tych sprawach znacznie pewniej aniżeli którykolwiek z miejscowych. Będąc zdani na wikt więzienny, niektórzy z nich obcesowo nagabywali nas o jedzenie i tytoń, inni raczej żebrali, stojąc nieruchomo przed jedzącymi czy palącymi w oczekiwaniu datku. Powoli zaczęliśmy odróżniać wśród nich dwie odrębne kategorie. Jedną stanowił element zdecydowanie kryminalny — bandyci, opowiadający głośno o swoich grabieżach, gwałtach i rabunkach, aktywny, hałaśliwy i natrętny żywioł. Druga kategoria, spokojna i milcząca — to żołnierze radzieccy. Z jednym z nich, zupełnie młodym Uzbekiem, zawarłem bliższą znajomość. Widząc, jak wieczorem śpiewamy Wszystkie nasze, zapytał się, czy to modlitwa. Dowiedziawszy się, że tak — zdziwił się, że każdy z nas stoi przy tym zwrócony w innym kierunku. „Przy modlitwie trzeba, aby wszyscy patrzyli w jedną stronę — my zwracamy się na południowy wschód.” Opowiadał mi, że nie chciał wojować, skazano go za dezercję, że jest wierzącym muzułmaninem i pochodzi z wielkiego i pięknego miasta — Samarkandy. Na samo wspomnienie rodzinnego miasta ożywił się. Opowiadał o wspaniałym grobowcu Tamerlana, o meczetach, islamie i legendzie o bliźniakach Hasanie i Huseinie. Mówił biegle po rosyjsku — miał skończoną średnią szkołę. W rok później spotkam go znowu leżąc w szpitalu na

oddziale gruźliczym; młody Uzbek był już w agonii. Nie wytrzymał obozowych warunków i klimatu dalekiej Północy.

Czas biegł — pojawiły się słuchy o etapie. Zawiadomiliśmy rodziny. Prosiłszy o przysłanie kombinezonów robotniczych — sądziliśmy, że się nam przydadzą. Ja odesłałem wiele rzeczy, które uznałem za zbędne, zaczynając od poduszki. Z domu zacząłem dostawać ukryte w potrawach pieniądze. Chowałem je, przygotowując rezerwę na przyszłe ciężkie chwile. Nikt nie wiedział dokładnie, dokąd pojedziemy. Wymieniano rozmaite kierunki — Syberia, Kazachstan, Kamczatka. Każde z tych słów budziło wiele skojarzeń, wiele myśli.

Do naszej celi przyprowadzono chudego, wysokiego Rosjanina z małym węzełkiem pod pachą. Robił wrażenie starego i zmęczonego. Porozmawiałem z nim. Przedstawił się jako inżynier-budowniczy, od siedmiu lat w więzieniu, ostatnio w obozie pracy na Syberii. Przyjechał jeden, oczywiście pod konwojem, bo potrzebowano kogoś do prac budowlanych w okolicach naszego miasta.

Ugoszczony dziwił się zbytkami naszego pożywienia. Jadł mało, twierdził, że w więzieniu niebezpiecznie jest się objadać. Baliśmy się trochę podejrzewając, że jest szpiclem. Wystrzegaliśmy się mówienia przy nim na tematy polityczne. On sam opowiadał o swych losach: otrzymał wyrok dziesięciu lat za kontrrewolucyjną agitację — w towarzystwie przyjaciół skrytykował położenie ekonomiczne kraju. Żona i dzieci są w nędzy, on ma jednak nadzieję dotrzeć do końca wyroku. Stracił już wprawdzie dziesięć kilogramów na wadze, ale czuje się nie najgorzej. „Najcięższy jest etap” — powtarzał wciąż. Miesiąc był w drodze — od jednego do drugiego więzienia. „W tym bałaganie mogę tu tygodniami się męczyć” — mówił. Tego dnia przy wieczornym apelu zaczął głośno żądać widzenia się z komendantem obozu w sprawie osobistej, twierdził, że trzymają go w tym obozie bezprawnie. Twardość jego tonu zdziwiła nas bardzo i niektórych jeszcze bardziej umocniła w podejrzaniach, że jest agentem. Po kilku dniach wywołano go i więcej się nie zobaczyliśmy. Jego zachowanie i rady zrozumiałem znacznie później, gdy poznałem z bliska złożoną strukturę i funkcjonowanie Gułagu. Okazało się, że w pewnych sytuacjach więźniów wypełniający istotne dla obozu zadania mógł sobie pozwolić na traktowanie z góry przedstawicieli niższych władz więziennych.

Tymczasem etap przybliżał się. Więźniowie wychodzący do pracy twierdzili, że żołnierze mówią między sobą o dalekim transporcie na Pieczorę. Wywołało to niepokój wśród grupy wschodniej, zwłaszcza kryminalistów. Twierdzili, że to bardzo zła perspektywa, ale niektórzy z nich skłonni byli uważać to za plotki. Tymczasem 28 lutego zaczęła działać komisja lekarska i moje nazwisko zostało wyczytane wśródznaczonych na etap. Pożegnałem się z przyjaciółmi, gdyż obecnie w każdej chwili mogli mnie oddzielić. Wkrótce też zaczęto nas przeprowadzać z celi do celi.

Uważałem wywiezienie za nieuniknione i dlatego przyjąłem wiadomość spokojnie, sądząc, że mój wyjazd skłoni nareszcie rodzinę do przeniesienia się do Krakowa, gdzie już znajdował się mój brat. Bałem się ciągle, aby mój wyrok nie był dla rodziców czy siostry przyczyną represji, a nawet zesłania. Wyjechali ze Lwowa jesienią 1945 roku i wkrótce nastąpiła długa przerwa w korespondencji, mnie pisać nie było wolno, ich listy nie dochodziły. Dopiero w 1954 roku dowiedziałem się, że moi bliscy żyją, ojciec otrzymał katedrę na Uniwersytecie Łódzkim, a następnie Wrocławskim. Liczne próby rodziców, by udzielić mi pomocy, podania do ówczesnych władz ponawiane przez te lata, pozostały daremne. Gdy w 1956 wróciłem do kraju, zastałem matkę już w końcowym stadium nieuleczalnej choroby. Zmarła zaledwie w kilka tygodni po moim powrocie.

Dzień wyjazdu był dla całego obozu ogromnie nerwowy. Zwłaszcza silnie podnieceni byli

naznaczeni na etap bandyci. Przechodząc z celi do celi widziałem, że tym razem jedzie duża liczba recydywistów. Obawiałem się możliwości bójek. W ostatnich dniach doszło już do starcia, gdy nie otrzymawszy tytoniu jeden z nich z małą twarzą, krępy i silny, rzucił się na nas. Wobec zdecydowanej postawy całej naszej grupy szybko ustąpił pola. Obecnie podzielono nas, gdyż tylko część Polaków miała odjechać, a bandyci jawnie szykowali się do akcji.

Na drogę otrzymałem wiele żywności i ciepłej odzieży, co razem tworzyło pokaźny i ciężki worek. Pieniędzy miałem około 600 rubli, sumę w owych czasach dość poważną. Zaszłem je w starą kołdrę, którą otrzymałem z domu. Wieczorem stanąłem przed komisją lekarską, potem poprowadzono mnie do 228 fryzjerów — strzygą głowy, gołą, wygalają też włosy w tym miejscu, gdzie się tego zwykle nie robi. Fryzjerzy, więźniowie — brudni i brutalni. Operacja trwa krótko, lecz jest bardzo niemiła. Ci sami fryzjerzy-więźniowie, wyłącznie mężczyźni, wygalają i kobiety — nie tylko głowy, ale i okolice wzgórka łonowego. Bez tej operacji konwój nie przyjmie więźniów. Twierdzą, że to ma ceł nie tyle higieniczny, co profilaktyczny: ułatwia rozpoznanie uciekiniera.

W końcu późnym wieczorem kazano grupie, w której się znajdowałem, wziąć wszystkie rzeczy i przeprowadzono nas do oddzielnego baraku. Tu, po trzech, wprowadzano nas do dużej sali, gdzie konwój etapu przyjmował więźniów.

Wojska konwojowe, od czerwonych wyłogów zwane powszechnie krasno-pogonnikami, są władzą samodzielną, organizacją autonomiczną, zupełnie niezależną od władz obozów i więzień. Ich zadaniem jest wyłącznie transport więźniów, prawa ich są ogromne — mają faktycznie władzę życia i śmierci. Przejmując człowieka z rąk administracji obozu lub więzienia, konwój poddaje go przede wszystkim specjalnej rewizji. Rewizje to stały punkt programu życia więziennego czy obozowego. Rewizje przed etapem — to jednak sprawa zupełnie oddzielna. Latami opowiada się o nich niezwykle szczegóły. W zasadzie chodziło o uniemożliwienie przemycenia rzeczy, które w wagonie mogłyby służyć do ułatwienia ucieczki, ataku na konwój lub łączności ze światem. Była wojna i obowiązywały przepisy wojenne.

Zajął się mną dwóch ludzi. Jeden kazał mi otworzyć worek i wysypać wszystkie rzeczy na podłogę, kiedy to zrobiłem, zaczął je dokładnie przeszukiwać, a mnie polecił podejść do drugiego. Ten zażądał rozebrania się do naga i fachowo obmacywał każdą część garderoby, zwłaszcza zwracając uwagę na rąbki. Wszelkie metalowe przedmioty: sprzączki, guziki, a także gumki, ołówki, czysty papier, lekarstwa — wszystko było obrywane, odcinane, odbierane i wyrzucane. Z butów zrywano gwoździe i podkówki. Podobno cierpliwy więzień może z gwoździa z buta zrobić nóż. Po załatwieniu się z garderobą przyszła kolej na mnie. Komenderował szybko: „Ręce do góry!” — zaglądał pod pachy, „Otworzyć usta!” — palcem sprawdzał, czy coś nie kryje się za policzkiem, „Obrócić się, przysiad, pochylić się!” Stwierdziwszy, że niczego nie ukrywam, skomenderował: „Zabrać rzeczy! Wychodzić! Następny!”

Zaledwie zdążyłem włożyć buty i spodnie, a wszystkie przerzucone rzeczy włożyć do płaszcza w jeden toboł — gdy wepchnięto mnie do nowej sali. Duża cela była przepelniona i szumna. Grupa bandytów ustanowiła w niej swój porządek. Zorientowałem się od razu, że sytuacja jest beznadziejna. Na każdego wchodzącego, oszołomionego rewizją, na wpół tylko ubranego więźnia, trzymającego wszystkie swe rzeczy — rzucało się kilku bandytów, wrywało je i zabierało. Pośrodku sali siedziało ich kilkunastu starszych, przeglądali rzeczy i dzielili między siebie — pozostawiając mizerną część właścicielowi. W razie prób oporu więzień był bezlitośnie bity. Bandytów nie było dużo — około dwudziestu — mieli jednak organizację, charakter grupy bojowej i, jak się później okazało, zapewnioną bezkarność. W

sali było strasznie duszno i ciemno od dymu, pod ścianami, w wielkim tłoku cisnęli się ci, którzy już przeszli rabunek i teraz starali się uporządkować ostatki posiadanego dobytku.

Bandyci zabierali przede wszystkim tłuszcz, cukier, mięso i tytoń, z odzieży wiele wełnianych i w ogóle ciepłych rzeczy, buty, oprócz tego to wszystko, co któremu z nich specjalnie się spodobało. Jeśli ofiara zostawała zupełnie bez płaszcza lub obuwia — rzucono jej stary płaszcz wojskowy i gumowe chodaki. Wszyscy bandyci od razu przebierali się w zdobyte rzeczy.

Straciłem w tej operacji prawie całą żywność przyslaną przez rodzinę na drogę, sweter, ciepły szal i wiele innych rzeczy. Co chwila upychano kogoś nowego do celi, w której dosłownie nie było gdzie stopy postawić — i znowu ofiara traciła swój dobytek. Oczywiście najwięcej stracili miejscowi Polacy. Mniej uszkodzani byli Ukraińcy, którym rodziny nie przysłały tylu rzeczy, większość ludzi ze wschodu nie straciła niczego, gdyż po prostu niczego nie posiadała. Niektórych tylko zmuszono do zamiany lepszych butów na gorsze.

Wciśnięty w kąć, pólsiedząc, przetrwałem tak kilka godzin. Obok mnie, nie znany mi Polak, stary kolejarz w znoszonym mundurze, modlił się z książeczki, którą widać jakimś cudem udało mu się przenieść przez rewizję. Ja uważałem za sukces, że na razie ocalały moje zaszyte w koldrę pieniądze; nie znaleziono ich w czasie rewizji ani nie spostrzegli ich bandyci.

Nagle w sali rozległ się straszny wrzask, bandyci trzymali rozciągniętego kogoś opierającego się rabunkowi i jeden z nich wykręcał mu jądra. Po chwili półprzytomnego więźnia rzucili w kąć. Straż u drzwi, nie zważając na krzyki i wołania, nie reagowała, wpychając tylko nowych. Po jakimś czasie więźniów przestało przybywać, rewizja kończyła się lub może zapełniano inną celę. Znowu wybuchła gwałtowna bójka. Tym razem wbiegło kilku żołnierzy i przedarli się do środka roztrącając i trając więźniów. Widziałem, że bandyta perorował coś głośno, wskazując na młodego człowieka, który stał przed nim. Żołnierz bez słowa zamachnął się i grad ciosów spadł z lewej i prawej na twarz napadniętego. Sytuacja była jasna, lekcja widoczna. Konwój jest po stronie bandytów. Ten fakt trzeba było stale brać pod uwagę. Korzyści materialne żołnierzy konwoju, którym bandyci odstępowali cenniejsze zrabowane rzeczy za machorkę i papierosy, czasem za jedzenie, były w czasach wojennych znaczne. Pretensje więźniów politycznych były wyśmiewane.

Późno w nocy wyprowadzono nas na podwórze. Trudno było zorientować się, kto swój, a kto obcy. Wszyscy oprócz bandytów byli ogromnie zmęczeni i ogłuszeni. Ustawiono nas czwórkami i oficer głośno uprzedzał, że przy próbie wyjścia z szeregu konwój natychmiast użyje broni. Otoczyło nas kilkudziesięciu żołnierzy, część z karabinami i bagnietami. Kilkunastu prowadziło na smyczy psy. Ruszyliśmy powoli przez miasto. Było ciemne i puste. Wojna jeszcze trwała i obowiązywało zaciemnienie. Nie orientowałem się, gdzie jesteśmy, dopóki nie wyszliśmy na znaną mi ulicę prowadzącą do dworca kolejowego. Marsz w błocie, prawie po ciemku, wśród stałych okrzyków konwoju i szczekania psów był uciążliwy.

Gdy niespodzianie kolumna samochodowa zatrzymała nasz pochód, część żołnierzy rozpoczęła beładną strzelaninę w powietrze, powiększając ogólny zamęt. Po godzinie doszliśmy do dworca towarowego. Wzdłuż spalonych magazynów stał szereg wagonów, parowozu nie było widać. Od razu, w ciemności, zaczęto nas załadowywać do środka. Wagony były duże, towarowe. Po chwili znalazłem się na podłodze z workiem pod głową, nikogo ze znanych mi ludzi nie było blisko. O ile się orientowałem, kilku znajomych było w transporcie, trudno jednak było powiedzieć, gdzie się znajdowali. Nie mogłem zasnąć. W pewnej chwili usłyszałem szmery, jak gdyby myszy. Okazało się, że to ktoś leżący obok

mnie usiłuje wykraść z mego worka ostatki pieczywa, którym pogardzili bandyci. Podciągnąłem worek pod siebie, a po chwili w wagonie zabłysło jakieś światełko. Grupa bandytów zmontowała lampkę. Mieli łyżkę metalową bez trzonka, włożyli do niej kawałeczek masła, z płótna zrobili knot i zapalili pełzające światło. Dużo oczywiście widać nie było, ale w zupełnej ciemności wagonu zdawało się to czymś niezwykłym. Nikt nie spał. Bandyci rozmawiali głośno, domagając się czegoś od kogoś niewidocznego. Po chwili ucichli i jeden z nich powoli i głośno zaczął opowiadać jakąś historię. Mówił wyraźnie, z uczuciowymi intonacjami, o więźniu niesłusznie osadzonym w podziemiach na wyspie. Była to — z rozmaitymi zmianami i przekręceniami — treść Hrabiego Monte Chusto Aleksandra Dumas.

Rankiem otwały się z trzaskiem drzwi wagonu. „Wysiadać — z rzeczami!” Ustawiono nas znowu i zaczęto wyczytywać po nazwisku osoby przeznaczone do poszczególnych, oznaczonych numerami wagonów. Gdy przyszła kolej na mnie, usłyszałem, że razem wyczytano całą serię nazwisk polskich, w tym dwa dobrze znajome. Jedzie więc ze mną Kazimierz Sobolewski i podoficer Stebelski, dobry znajomy z więzienia. Reszta Polaków — nieznajomi. Wchodzimy pojedynczo do wielkiego towarowego wagonu. Pośrodku stoi żelazny piecyk, z lewej, u góry — małe zakratowane i zadrutowane drutem kolczastym okienko. Z prawej strony ciemno. W połowie wysokości wagonu ciągnie się szeroka półka z desek. Ani na podłodze, ani na półkach nie ma żadnej podściółki. Oczywiście najlepsze miejsca to te na półce około okna — ale próba, by zająć jedno z nich, nie udaje się. Na wierzchu siedzi już dwu bandytów, i krzycząc: „Zajęte!” bezceremonialnie zrzuca każdego, kto usiłuje się tam wspiąć. Decyduję się na miejsce na podłodze, gromadzi się nas tam około dziesięciu Polaków, zajmujemy całą dolną przestrzeń pod półką z oknem. Szybko, dopóki trwa ładowanie, poznajemy swoich. Jest to grupa AK ze Stryja, wszyscy skazani w jednym procesie, młodzi chłopcy, wyglądają dość zdecydowanie. Umawiamy się od razu, że w razie bójki występujemy razem i stawiamy opór do końca. Oby tylko nie było nas za mało.

Gdy zatrzęsnięto drzwi wagonu, okazało się, że jest nas Polaków dwunastu. Kazimierza Sobolewskiego i Edwarda Stebelskiego wczoraj obrabowano. Stebelski ma twarz pokrytą ogromnymi sińcami, jednego oka prawie nie widać. Stawiał opór. Chłopcy ze Stryja mają rzeczy niewiele. W wagonie jest około pięćdziesięciu osób. Nad nami, na najlepszych miejscach na półce, ulokowało się ośmiu ludzi, jak sądziliśmy — sami bandyci. Po ciemnej stronie też pełno, ale trudno się na razie zorientować, kto i jak tam się rozmieścił. Wybuchła bójka między nami i jakimś półwidocznym napastnikiem, który usiłuje wejść pod półkę. Napastnik szybko wycofuje się, gdy widzi, że podrywa się cała grupa. Widzimy jasno, że tylko jako całość możemy wywalczyć sobie miejsca.

Przystępujemy do urządzania legowiska. Część rzeczy podścielamy pod siebie — podłoga jest zimna, a podróż czeka nas widocznie długa. Kiedyśmy obliczyli nasze zapasy, okazało się, że z jedzenia pozostało nam bardzo niewiele. Podobnie jest z tytoniem. Rzeczy też częściowo straciliśmy, ale ubrani jeszcze jesteśmy nie najgorzej, nie ma już tylko zapasowych części garderoby. Wyglądając przez okienko widzimy konwój otaczający wagony, na razie jednak stoimy. W południe dają nam po kawałku chleba, konwój przynosi nam parę kubków, starych, blaszanych misek lub pociętych i brudnych menażek, na zupeł. Inne naczynia, własne, zostały odebrane przy rewizji.

W drodze na Północ

Wyjechaliśmy dopiero na czwarty dzień, 4 marca 1945 roku. W tym czasie nasza sytuacja w wagonie wyjaśniła się i polepszyła. Przede wszystkim otrzymaliśmy nieoczekiwanie znaczną pomoc materialną. Rodziny Kazimierza Sobolewskiego i Edwarda Stebelskiego dowiedziały się o miejscu naszego pobytu na dworcu. Za zezwoleniem komendanta konwoju otrzymujemy paczki. Przez okienko widać kobiety, które je przyniosły — konwój nie

dopuszcza ich blisko wagonów. W tych dniach otrzymaliśmy sporo jedzenia, tytoniu, trochę lekarstw. Sami jednak nie możemy niczego odpowiedzieć, nie mamy możliwości napisania grypsu. Nasze nowe bogactwo wywołuje jawne zainteresowanie wśród bandytów. Mają oni wprawdzie worki z tytoniem i żywnością zrabowane w trakcie rewizji, jedzą jednak dobrze i palą bez przerwy. Widać myślą o uzupełnieniu swych zapasów kosztem „panów”, jak nas nazywają.

Postanowiłem wdać się w pertraktacje. Z całej grupy Polaków ja jeden mówię biegle po rosyjsku. Przy wydawaniu nam pierwszych posiłków — dzienna porcja chleba około 300 gramów i pół litra zupy — widać od razu, że konwój uważa bandytów za odpowiedzialnych za sytuację wewnątrz wagonu. Jednego z nich mianują starszym wagonu, oni też rozdzielają wiadro zupy i bochenki chleba. Oczywiście, że z wyjazdem w głąb kraju ich pozycja będzie jeszcze mocniejsza.

Szybko ustalam, kto jest ich faktycznym hersztem. Przywódca ma około trzydziestu lat, silnie zbudowany blondyn, Rosjanin, ręce i pierś starannie tatuowane. Ubrany w wojskową, wcale porządną bluzę. Sam nie pełni żadnych funkcji, ale to on faktycznie naznaczył starszego wagonu proponując kandydaturę dyżurnemu podoficerowi. Inni go słuchają, ma adiutanta, młodego chłopca. Nazwisko herszta — Pawłów. Na oko wygląda mniej brutalnie niż wielu bandytów, z którymi już się zetknąłem.

Częstuję go papierosami, ciastkami. Zaczynam rozmowę. Odpowiada chętnie, mówi spokojnie. Na drugi dzień w imieniu grupy Polaków zawieram z nim umowę. Oddajemy dobrowolnie połowę naszych zapasów jedzenia i tytoniu — w zamian obiecuje bezpieczeństwo i wydawanie należnych racji przy rozdawaniu wiktów. Umowa ta była, dzięki stanowisku Pawłowa, dotrzymana do końca. Oszczędziła nam wielu cierpień i trudności w drodze. Mieliśmy w rezultacie sytuację znacznie lepszą niż inni Polacy, rozproszeni po wagonach. Nikogo z nas bandyci więcej nie uderzyli, nikogo nie rabowali w drodze.

4 marca, w dzień moich imienin, etap opuścił miasto. Jechaliśmy na północny wschód, później coraz bardziej na północ. Podróż od momentu załadowania trwała dwadzieścia siedem dni. Przez cały ten okres raz tylko, na parę godzin, opuściliśmy nasz wagon. Od razu pierwszego dnia bandyci zaproponowali, by go uszczelnić, chroniąc się w ten sposób przed chłodem. Poszedł na ten cel jeden z naszych koców. W zabitych drzwiach, których szczeliny zatkaliśmy, znajdowała się wmontowana osobliwa ubikacja: wąska rura z desek wychodząca na zewnątrz — z półką i pałką do przeczyszczania otworu. Urządzenie to zmuszało, pod groźbą zanieczyszczenia podłogi wagonu, do załatwiania dwu potrzeb fizjologicznych zawsze oddzielnie. Dla nieprzyzwyczajonych — rzecz trudna i męcząca. Obok ubikacji tworzyła się zwykle kałuża nieczystości i przyległe miejsca na podłodze należały do najgorszych. Ubikacja, zwana podobnie jak i kubel więzienny „paraszą”, znajdowała się po ciemnej stronie wagonu, gdzie koczowali Ukraińcy.

Rozmieszczenie przestrzenne pozostało w zasadzie bez zmian do końca podróży i określało w dużym stopniu strukturę społeczną, sytuację grup i osób w wagonie. W najlepszym, najwygodniejszym położeniu znajdowała się grupa bandytów. Półka koło okna umożliwiała im orientowanie się w świecie zewnętrznym, choć okienko było małe, około 30 na 40 centymetrów, ale stanowiło jedyny możliwy punkt obserwacyjny, było też właściwie jedynym źródłem światła. Patrząc przez nie można było niekiedy odczytać nazwy stacji kolejowych, które mijaliśmy, i w ten sposób zorientować się w położeniu. Można było stwierdzić, czy stoimy na stacji, czy, jak to się często zdarzało, gdzieś w polu, można też było zobaczyć przybliżających się żołnierzy, a nawet przez pukanie w szybę zwrócić ich uwagę i wyprosić jakąś usługę lub transakcję. Do okienka bandyci nie dopuszczali w zasadzie nikogo oprócz członków własnej grupy i osób, z którymi byli we względnie dobrych stosunkach: byłych

żołnierzy radzieckich, czasem także mnie. Przez cały czas jazdy nikt z grupy ukraińskiej nie próbował nawet korzystać z okna.

Oprócz okna górna półka miała drugą ogromną zaletę, było tam znacznie cieplej. Podłogę, na której myśmy leżeli, dzieliła od chłodu na zewnątrz tylko deska. Różnica temperatury między dołem a poziomem półki była bardzo znaczna i wyczuwalna bez termometru. Stojąc w wagonie miało się często wrażenie, że nogi tkwią w zimnej wodzie; podobnie schylając się, aby wejść pod półkę, czuło się stale piwniczny chłód ciągnący od podłogi. Wielotygodniowa jazda w tych warunkach odbiła się poważnie na naszym zdrowiu.

Wagon tego typu, w jakim jechaliśmy, nazywał się w potocznym języku obozowym cielęcym. Drugi typ wagonu etapowego, tzw. stołypin to trwała pamiątka po ministrze carskim okresu pierwszej rosyjskiej rewolucji. Zbudowany był zupełnie inaczej, był ruchomym więzieniem. Na zewnątrz mało czym różnił się od zwykłego dużego wagonu pasażerskiego, kursującego na kolejach sowieckich. Posiadał jednak znacznie mniejsze, zakratowane okna i każdy przedział był właściwie odrębną całą więzienną zamykaną z korytarza. Stołypiny kursowały stale pomiędzy etapowymi punktami, więzieniami i obozami i były doczepiane do zwykłych pociągów, zwykle jako ostatnie. Duże, kilkusetosobowe transporty z reguły przewożono w wagonach cielęcych w oddzielnych składach, a później, w latach 1945—53, dołączano je do pociągów towarowych, czasem z jednym, najwyżej dwoma stołypinami. W transporcie zawsze jeden lub więcej wagonów, również towarowych, urządzonych po wojskowemu, zajmowali żołnierze, w osobnych wagonach znajdowała się kuchnia i magazyn żywności. Pielęgniarka jechała w jednym wagonie z konwojem. Żołnierze w czasie bieglu pociągu pełnili służbę wartowniczą w specjalnych wieżyczkach na dachach wagonów. W czasie postoju rozstawiano warty ochronne wokół wagonów i sprawdzano obecność więźniów. Warty nie dopuszczały ludności do transportu i na postojach często słyszeliśmy głosy: „Stać — cofnąć się!” W związku ze zdarzającymi się wypadkami wycinania podłogi czy ścian wagonu i ucieczki więźniów, konwój stale sprawdzał całość wagonów.

Jechaliśmy w marcu 1945 roku w ostatnim okresie działań wojennych. Choć sytuacja na frontach była nader korzystna dla ZSRR i rezultat wojny przesądzony, wysiłek militarny był wciąż jeszcze znaczny. Odczuwaliśmy to w czasie jazdy, gdyż nasz pociąg musiał stale oczekiwać i przepuszczać transporty wojskowe zdążające na zachód. Jechaliśmy więc, zwłaszcza do Moskwy, bardzo powoli, nader często godzinami staliśmy na jakichś bocznych liniach, zapasowych torach, często w polu. Często zresztą zatrzymywano nas dla sprawdzenia obecności. Czynność ta, stały punkt porządku dnia więźnia, znana nam dobrze z więzienia i obozu przechodniego, tu nabierała specjalnie męczącego charakteru. Odbывała się kilkakrotnie na dobę, w tym zawsze przynajmniej raz, a często dwa i trzy, w nocy. Pociąg zatrzymywano i dyżurny podoficer z grupą żołnierzy obchodził wagony. Drzwi, zamykane na ogromne kłódki, rozsuwane, jak zwykle w wagonach towarowych, przymarzały i trzeba było dużego wysiłku, aby je otworzyć. Dwóch żołnierzy z bronią automatyczną ustawiało się w odległości kilku kroków od wagonu. Dyżurny otwierał zamek i krzyczał głośno, bijąc drewnianym młotkiem po drzwiach wagonu: „Prowierka — otwierajcie!” Najbliżej leżący więźniowie, zwykle na okrzyk starszego wagonu, pomagali rozsunać drzwi. Dwóch lub trzech żołnierzy z dyżurnym wchodziło do wagonu. Przez otwarte drzwi wrywała się fala mroźnego powietrza. Każdy ze sprawdzających miał w ręku drewniany młotek na długiej rękojeści, służący do opukiwania podłogi i ścian wagonu, aby wykryć ewentualnie podpiłowane miejsca. Żołnierze patrolujący na wagonach mieli podobne młotki i biegali, opukując dachy. Drugim przeznaczeniem młotków było bicie więźniów przy sprawdzaniu.

W nocy przy świetle elektrycznych latarek wszyscy więźniowie byli przepędzani na jedną stronę wagonu, a potem liczeni, gdy przebiegali na wolną część. Zbudzeni, oszołomieni więźniowie, niechętnie wypełzający spod skąpych okryć, gdzie zdążyli się nieco ogrzać, byli

stale poganiani młotkami. „Prędzaj, prędzaj, jak meteory, bez ostatniego!” — wrzeszczeli dozorczy i rzeczywiście na ostatnich sypało się najwięcej razów. Szczęśliwie było, gdy rachunek zgodził się za pierwszym razem, często jednak, zwłaszcza w nocy, mylono się i brakowało jednego lub dwóch więźniów. Przepędzano więc znowu wszystkich po parę razy, z narastającą złością wyładowującą się w uderzeniach i przekleństwach — dopóki rachunek się nie zgodził.

Żołnierze opukiwali młotkami podłogę i ściany wagonu, rozrzucając nasze rzeczy, deptając po nich, roznosząc śnieg i lód na podszwach. Miejsca na podłodze były więc stale tratowane i to zarówno przez nich, jak i przez samych więźniów zbijanych w stado przy przepędzaniu. Co kilka dni normalne sprawdzanie obecności łączyło się dodatkowo z rewizją rzeczy. Żołnierze przetrząsali nasze węzłki i legowiska w poszukiwaniu zakazanych przedmiotów i pieniędzy. Specjalnie drobiazgowo nie szukali, bo wiedzieli, że jesteśmy już po wielu czystkach, raczej wypełniali regulamin, ale w rezultacie wszystkie rzeczy znowu były przewracane, porzrzucone, podeptane i pomieszane. Najgorszym jednak rezultatem każdego sprawdzenia, zwłaszcza w nocy, było wyiębienie wagonu. Po odejściu żołnierzy i zamknięciu drzwi po ciemku szukano swoich legowisk, porządkowano rzeczy i znowu próbowano się ogrzać. Nieraz po dwu-trzech godzinach wpadała nowa kontrola i cała scena powtarzała się.

W ciągu dnia kilkakrotnie zatrzymywano pociąg dla zaopatrzenia nas w opał, wodę i dla wydawania żywności. Zaopatrzenie w opał było nader skąpe. Żelazny, okrągły piecyk na środku wagonu potrzebował dużo drewna, gdyż nie utrzymywał zupełnie ciepła, grzał tylko, dopóki się w nim paliło. W zasadzie przygotowanie opału wchodziło w obowiązki konwoju. Żołnierzom nie chciało się jednak tego robić i wrzucali nam do wagonu duże kawały surowego, mokrego drewna, zwykle części pni brzoźowych, a także piłę. Kilku więźniów piłowało drewno na zmianę pod nadzorem, przy otwartych drzwiach. Rozpalanie ognia było dość żmudne, choć jeden z bandytów stale opiekował się piecykiem i suszył na rozpałkę drobne kawałki. Oficjalnie nie wolno było mieć zapalek i konwój za każdym razem dawał nam kilka na rozpalenie w piecu. W drugiej połowie podróży drewna dawano zbyt mało i w wagonie całymi dniami panował dotkliwy chłód. Najzimniej oczywiście było na podłodze. Gdy sytuacja stawała się i dla bandytów uciążliwa, inicjowali krzyki, wołania i tupania, żądając od konwoju drewna. „Naczelnik zamierzajem!” — krzyczeli godzinami. Po dłuższej wymianie przekleństw żołnierzy z dachu i krzyków, które często donosiły się od razu z kilku wagonów, pociąg zatrzymywano i z przekleństwami zaczynało się rozdawanie mokrych pni, piłowanie i rozniecanie ognia.

Temperatura w wagonie wahała się jednak stale około zera, a często opadała i znacznie niżej. Trudno było się temu dziwić, kiedy na zewnątrz panował dwudziestokilkustopniowy mróz, na podłodze nie było żadnej podściółki, a przez tysiące szczelin przedostawał się mróz. Lód na podłodze tajał tylko w najbliższym sąsiedztwie pieca, metalowe części wagonu pokryte były od naszych oddechów białym szronem, który nigdy nie znikał. Manierka z wodą, którą trzymałem pod głową, stale zamarzała, i trzeba ją było rozgrzewać przy piecu. Chłód ciągle wzrastał. Był wprawdzie już marzec, ale jechaliśmy stale na północ i na północny wschód, z każdą setką przejechanych kilometrów robiło się zimniej. Jechaliśmy z początku przez Wołyń, potem przez Polesie, Homel, nareszcie wjechaliśmy w ogromne lasy Białorusi. Linia kolejowa była drugorzędna, dworce ubogie. Zwracało na siebie uwagę opustoszenie kraju. Godzinami jechaliśmy nie widząc ani żywej duszy, ani jednego domu. Pustka, pustka, lasy, zagajniki, niedbale zaorane, przyprószone śniegiem pola, czasem na horyzoncie wykwitwały olbrzymie wieże i kopuły cerkwi, w większości bez krzyży. Gdy podjeżdżaliśmy bliżej, było widać, że cerkwie są odrapane, zniszczone, często w ruinie. Na większych stacjach — tłum nędznie ubranych ludzi, przeważały kobiety spełniające większość funkcji i prac, a więc tragarzy, szoferów, robotników kolejowych, sprzedawców, dyżurnych ruchu. Na polach żerowały stada wron, często wzdłuż toru przebiegały jak mały płomień na śniegu lisy.

Konwój na dachu robił sobie zabawę otwierając do nich ogień z automatów, zawsze bezskuteczny.

Jedzenie wydawano zwykle dwa razy dziennie, jeden raz wodę z parowozu — zwykle ciepłą lub nawet gorącą, z nieprzyjemnym, metalicznym posmakiem. Staraliśmy się jej wiele nie pić, o myciu oczywiście nie było mowy. Pragnienie zresztą w takim chłdzie nie dokuczało. Opowiadano mi później wielokrotnie o letnich etapach na południe, do Kazachstanu, gdzie przy odżywianiu rybami i braku wody, pragnienie było najuciążliwszym strapieniem więźniów. Nam dokuczał głód i chłód.

Wyżywienie było nader nędzne. Wydawano chleb, bochenek na sześć osób. Bochenek mógł ważyć około dwóch kilogramów, tak że wypadało teoretycznie ponad 30 dekagramów na osobę. To była podstawa pożywienia. Chleb rozdawali bochenkami bandyci, zwykle starszy wagonu, na mniejsze porcje dzielono go za pomocą kawałków drewna. Bandyci oczywiście nie stosowali się do normy czy też zasady równego podziału. Dla siebie zostawiali po jednym bochenku na czterech czy nawet trzech, nam dawali to, co się należało, to znaczy jeden na sześciu ludzi, zwykle tyle samo otrzymywali żołnierze. Ubytek ponosili Ukraińcy, którzy dostawali to, co zostało, zwykle jeden bochenek na siedmiu lub ośmiu ludzi. Zależało to zresztą od wielu czynników, ilość chleba nie zawsze była jednakowa — były wahania nawet o cały bochenek. W początkach jazdy, gdy bandyci mieli jeszcze nagrabione zapasy, nie zabierali sobie tyle co później, czasem po prostu z kaprysu starszego Ukraińcy pozbawiani byli połowy należnego im bochenka.

Oprócz chleba raz dziennie wydawano nam zupę w wiadrach. Zwykle robiona była z pęczaku lub bobu z niewielką ilością tłuszczu, nieraz znajdowaliśmy w niej niedogotowane suszone kartofle w plasterkach, częsty produkt w więzieniach. Rozdział zupy był jeszcze bardziej niesprawiedliwy. Nikt właściwie nie wiedział dokładnie, ile się należy. Czerpak — 400 gramów, pół litra — mówili żołnierze z konwoju. Bieda w tym, że żadnej miary ani czerpaka nie było. Zupę rozdziałał starszy według swego klucza. On i jego pomocnik wylawiali najpierw tłuszcz, zagarniali krupę, bób czy kartofle i jedli w swym gronie z przywódcą na czele. Często zostawiali sobie nawet jedną menażkę na później. Dopiero potem otrzymywali inni, my (po około pół litra) i żołnierze radzieccy, ostatnim, Ukraińcom, dostawała się zwykle już tylko mniej więcej szklanka bardzo rzadkiej juszki.

Dopóki mieliśmy jeszcze jakieś własne zapasy, w pierwszej połowie podróży nie odczuwaliśmy tak bardzo niedostatku. Ci jednak, którzy nie mieli zapasów, a także krzywdzeni przy rozdziale Ukraińcy, zaczęli wyraźnie głodować i słabnąć. Raz na dzień lub rzadziej do wagonu wraz z podoficerem zaglądała pielęgniarka. Była to z pochodzenia Polka, przydzielona jako pomoc medyczna do naszego transportu, przymusowo delegowana z jednego z lwowskich szpitali. Ubrana w watowane spodnie i kubrak, omotana szalami, nie rozbierała się przez całą drogę. Bała się strasznie, ale będąc świadkiem warunków, w jakich jechali więźniowie, starała się w miarę swoich sił pomóc, zwłaszcza Polakom. Możliwości jej były nader ograniczone. Posiadała niewielki zapas najbardziej podstawowych lekarstw, trochę opatrunków, jodynę, strzykawkę i zastrzyki na serce. Miała też papier i ołówek. Zgodziła się przewieźć do Lwowa, do rodziny mojej i Kazimierza Sobolewskiego, listy napisane naprędce w czasie jednej z jej wizyt, gdy konwój mniej zwracał uwagę. Wstęp do naszego wagonu miała ułatwiony, gdyż tu znajdował się jedyny w transporcie człowiek z lekarskim wykształceniem — Kazimierz Sobolewski, absolwent lwowskiej medycyny, w czasie okupacji niemieckiej pracownik Instytutu profesora Weigla. W transporcie były wypadki różnych chorób i pielęgniarka, nie "mogąc dać sobie rady, wyprosiła u naczelnika konwoju pozwolenie na odwiedzanie w razie potrzeby lekarza. Przy tej sposobności napisaliśmy parę listów. Po latach dowiedzieliśmy się, że dziewczyna doręczyła je niewątpliwie osobiście ryzykując. Zachowałem mój list, zabezpieczony przez matkę, do dziś

dnia.

Po ośmiu dniach podróży zatrzymaliśmy się na dużej stacji kolejowej. Dzień był piękny, słoneczny, zimowy, dwudziestokilkustopniowy mróz. Zatrzymano nas na stacji towarowej. Po kilku godzinach postoju zauważyliśmy, że z sąsiednich wagonów naszego transportu wyprowadzają więźniów i prowadzą ich wraz z rzeczami, pod konwojem, gdzieś wzdłuż torów. Przez małe okienko trudno było stwierdzić, dokąd. Bandyty szybko domyślili się, o co chodzi: to łaźnia. Prowadzą nas do łaźni, a wagony w tym czasie poddane będą dezynfekcji.

Rzeczywiście, po jakimś czasie przyszła nasza kolej. Otworzono drzwi i skomenderowano: „Zbierać rzeczy i wychodzić do łaźni!” Wyszliśmy po raz pierwszy po dwóch tygodniach na świeże, mroźne powietrze. Po wagonie wydawało nam się ono niezwykle ostre. Stacja okazała się wielkim węzłem kolejowym na drodze do Moskwy — był to Briańsk. Uformowano nas w czwórki, żołnierze otoczyli grupę i poszliśmy, wszyscy pasażerowie naszego wagonu razem, paręset metrów w kierunku bocznego toru, gdzie stał duży parowóz — pod parą, ale silnie oblodzony — i kilka wagonów. Rozglądałem się, gdzie jest budynek łaźni, gdy wtem skomenderowano: „Włazić do wagonu!” Okazało się, że była to łaźnia kolejowa, mieszcząca się w specjalnych wagonach i zaopatrywana w gorącą wodę z parowozu.

Rozebraliśmy się, wydano nam żelazne wieszaki dla umocowania odzieży i pościeli, buty i inne drobiazgi skórzane trzeba było wziąć ze sobą, gdyż skóra w podobnych kotłach z parą pod ciśnieniem niszczy się zupełnie. Mieliśmy pod tym względem już doświadczenie z więzień. Po przejściu do umywalni każdy otrzymał kawałek mydła wielkości mniej więcej dwóch kostek cukru. Było szare, miało nieprzyjemny zapach i źle się pieniło. Trudności z mydłem miały potem trwać w obozie jeszcze długie lata, obecnie jednak nie dbaliśmy o to, gdyż wieźliśmy jeszcze ze sobą zapasy z paczek od rodzin. Bandyty na ogół nie łakomili się na nie i podczas rabunku mydło ocalało, pokrajane jedynie nożami przy rewizji dla sprawdzenia, czy nie ma w nim ukrytych przedmiotów. Konwój nie spieszył się specjalnie, gdyż postój był widocznie przewidziany na dłuższy czas, mieliśmy więc możliwość solidnego wymycia się i wygrzania w ciepłym pomieszczeniu, zanim wróciliśmy do naszego zimnego wagonu.

Przy wyjściu za drzwiami oczekiwała nas niespodzianka typowo więzienna: w wąskim przejściu stała nasza pielęgniarka, czerwona i zła, trzymając w jednej ręce wiadro z jakimś gęstym szarym płynem, w drugiej pałkę z nawiniętym pękiem szmat. Każdy z defilujących nagich mężczyzn musiał się zatrzymać i mokra szmata zwilżana cuchnącym płynem krocze delikwenta. Procedura była zupełnie nieoczekiwana, płyn ostry, z zapachem karbolu, miał chronić nas przed inwazją wszy. Pielęgniarka poznała mnie i jeszcze raz okazała względy, uniknąłem tej operacji.

Wieczorem tego dnia słyszeliśmy krzyki w sąsiednim wagonie, bandyci znęcali się nad kimś. W nocy skonał tam jeden z Polaków, starszy, pięćdziesięciokilkuletni człowiek, listonosz czy kolejarz z zawodu, chory na pęcherz. Był maltretowany przez bandytów i rzucony koło ubikacji, „paraszy”, gdzie rano znaleziono go martwego. Była to pierwsza śmiertelna ofiara naszego transportu.

Z Briańska ruszyliśmy w kierunku wschodnim, wjechaliśmy w okolice bardziej zaludnione. Na stacjach było więcej ludzi, pojawiły się wśród pól wieże wysokiego napięcia, migały lepiej niż gdzie indziej utrzymane szosy. 16 marca rano przez nasze okienko, do którego teraz dość często zaglądałem grając w szachy z przywódcą bandytów, zobaczyliśmy przedmieścia wielkiego miasta, charakterystyczny przemysłowy krajobraz, dużą ilość balonów na uwięzi. Była to Moskwa. Długie godziny objeżdżaliśmy miasto widząc kilometrowe ulice, autobusy, przechodniów, domy i sklepy. Jechaliśmy okrężną linią

kolejową spotykając ciągle transporty wojskowe, czołgi i działa załadowane na platformy, na dworcach wielu oficerów, żołnierzy, osoby cywilne. Wyglądanie przez szybkę naszego okienka, mimo drutu kolczastego utrudniającego obserwację, było tego dnia bardzo interesujące i rad byłem, że mogę z tego skorzystać. Sprawdzano nas dopiero, kiedyśmy odjechali kawałek, zapewne aby przy świadkach nie otwierać wagonów.

Jechaliśmy dalej na północny wschód. Kierunek naszej jazdy bardzo przygnębił bandytów. Ciągłe zastanawiali się, jak i my zresztą też, dokąd idzie nasz transport, wymieniali różne rejony obozów i porównywali złe i dobre strony każdego z nich. Do Moskwy niczego jeszcze konkretnie nie można było powiedzieć, dopiero po przejechaniu miasta wyjaśniło się, że jedziemy ciągle na północny wschód, a więc albo na Ural, albo na Północ do republiki Kornii. Ta ostatnia możliwość wyraźnie przerażała naszych recydywistów. Tymczasem położenie nasze zaczęło się wyraźnie pogarszać. Zapasy jedzenia skończyły się ostatecznie, tytoń był też już tylko w znikomej ilości. Ukraińcy wyraźnie głodowali, czasami prosili nas o okurki papierosów kręconych z machorki i palili je po kilku razem. Mielśmy jeszcze trochę tytoniu, starałem się od czasu do czasu częstować bandytów, zwłaszcza szefa, choć to uszczuplało nasze zapasy, ale sytuacja robiła się napięta. Obawiałem się, czy zechcą dotrzymać naszej umowy. Słyszałem bowiem wielokrotnie, jak rozmawiali, że warto by przetrząsnąć panów, u których są jeszcze różne rzeczy i zapewne ukryte pieniądze- Rzeczywiście, kilku z nas, i ja w tej liczbie, miało zaszyte ruble, które chowaliśmy na czarną godzinę w obozie. Dotychczas udało nam się przejść rewizję i rabunek bez szkody pod tym względem, ale co będzie, jeśli bandyci zechcą dokładniej przetrząsnąć nasze rzeczy? Perspektywa utraty pieniędzy i zapewne znowu części garderoby była mało zachęcająca. W panującym chłdzie całą odzież nosiliśmy na sobie, ratując się w ten sposób.

Mimo sarkania najbardziej wojowniczych akowców ze Stryja uważałem, że me warto dla paru dekagramów tytoniu narażać się na nowy rabunek czy bójkę. Kontakty między bandytami a konwojem były już bardzo zażyłe. Wiedzieliśmy, że w razie sporu konwój poprze bandytów przeciwko „faszystom”. Starszy wagonu miał niepisane prawo wyjaśniać zdarzenia w wagonie i konwój przyjąłby, jak zwykle, jego wersję. Konwój mógł też sam pobić więźnia lub, co gorsza, zastosować nadzwyczaj bolesną karę, polegającą na nałożeniu stalowych kajdanków, tzw. naruczników, które naruszały obieg krwi i powodowały ogromny ból. W naszym wagonie jeszcze nie stosowano tej kary, ale konwój groził tym stale. Nie chcieliśmy ryzykować podobnych przyjemności. Na jednej z małych stacyjek bandyci przywołali żołnierza i chcieli wymienić parę przedmiotów ze zrabowanej wcześniej garderoby na tytoń. Był to handel w latach wojny i powojennych ogromnie rozpowszechniony w całym ZSRR, zwłaszcza wzdłuż linii kolejowych. Zamieniano garderobę na żywność lub machorkę. Jednostką miary była szklanka machorki w krupkach, według niej oceniano wartość rzeczy. Teraz żołnierzowi coś wydawało się mało i żądał jeszcze jakiegoś przedmiotu. Bandyci już niczego nie mieli i przywódca zwrócił się do nas. Najbogatszy z nas był Kazimierz Sobolewski, namówiłem go szybko, aby poświęcił jedną z trzech par spodni, jakie posiadał. Z pewnym wahaniem zgodził się i spodnie powędrowały w świat. Żołnierz wrócił po chwili z garścią machorki, bandyci wzięli ją sobie, ale dali i mnie dla naszej grupy na parę papierosów. Niestety, Sobolewski nie palił, nie miał więc nawet tej rekompensaty. Bandyci zresztą nie nalegali i była to jedyna rzecz, którą daliśmy im poza tytoniem i produktami odstąpionymi jeszcze we Lwowie.

Robiło się coraz chłodniej, braliśmy kurs na północ i widać było, że jedziemy w okolice przypolarnie. Żyliśmy już wszyscy wyłącznie na wikcie więziennym, a ten pogarszał się. Chleb dawano nieregularnie, raz wcześniej rano, raz późnym wieczorem. Odstępy w czasie trwały nieraz prawie trzydzieści sześć godzin. Raz całą dobę, a raz dwie w ogóle nie wydawano żywności. Później jak gdyby część dodano — w rzeczywistości jednak nie otrzymaliśmy pełnej racji i wszyscy osłabli. Bandyci teraz bez ceremonii zabierali coraz więcej chleba i zupy dla siebie — kosztem Ukraińców. Głód przycisnął tych ostatnich i

próbowali protestować. Gdy jednak przy kolejnym rozdawaniu chleba jeden z nich zażądał większej porcji, trzech bandytów rzuciło się na niego i po chwili z rozkrwawionymi ustami upadł na podłogę. Inni nie próbowali zaczynać walki. My otrzymywaliśmy swoje porcje bez zmian.

Tymczasem zwałił się na nas nowy, nieoczekiwany cios. Jeden z chłopaków ze stryjskiego AK ciężko zachorował na krwawą biegunkę, dyzenterię. Wycieńczony więzieniem i podróżą, szybko opadał z sił. Z początku mógł jeszcze sam chodzić do naszej ubikacji, później prowadził go tam i podtrzymywał wierny towarzysz, na trzeci dzień już i podnieść się nie mógł, wypróżniał się pod siebie. Jeść przestał właściwie zupełnie. Staraliśmy się mu pomóc, najwięcej ofiarności okazał jego sąsiad leżący obok na podłodze. Dzień i noc z niezwykłym poświęceniem czuwał przy przyjacielu zupełnie prawie nie śpiąc. Stopniowo oddawaliśmy choremu wszystkie nasze ręczniki, szmatki, woreczki, chusteczki. O praniu nie było mowy, z ekskrementami i krwią wyrzucaliśmy wszystko do ubikacji. Pielęgniarka też była bezsilna. Gorzej, dwóch innych chłopców ze Stryja zaczęło skarżyć się na bóle w żołądku, osowiało i apatycznie oczekiwało choroby. Pielęgniarka na nasze usilne prośby zaczęła straszyć naczelnika konwoju możliwością epidemii i żądać odwiezienia chorego do pierwszego lepszego szpitala po drodze. Naczelnik nie chciał się zgodzić twierdząc, że śmierć jednego więźnia nie ma znaczenia — wystarczy potem spisać protokół i koniec. Tydzień trwał taki stan. Nasze szmatki skończyły się, chory bez spodni i bielizny leżał przymarzając do własnych odchodów. Jego przyjaciel, wychudły i blady, czuwał ciągle go pocieszając i pojąc od czasu do czasu wodą. Zdawało się już, że chwile naszego akowca są policzone.

Pewnej nocy na dużej stacji kolejowej, gdzie słychać było pociągi, głosy ludności i migają światła, przy świetle laterek pokazał się naczelnik naszego konwoju, pielęgniarka i nieznajoma kobieta, tęga blondyna w mundurze. Podeszli do chorego — widok i zapach były straszne. Kobieta okazała się lekarzem z miejscowego więzienia. Zdecydowała szybko i po półgodzinie żołnierze na noszach wynieśli naszego towarzysza z wagonu. Bandyty poinformowali nas, że jesteśmy w Wołogdzie, dużym mieście Północy, sławnym w ZSRR między innymi ze swego ogromnego więzienia mającego i oddział przechodni, i oczywiście szpital. Nasz lekarz źle rokował choremu, my jednak mieliśmy nadzieję, że uda mu się przeżyć.

Później, po wielu latach dotarły do nas słuchy, że nasz towarzysz wyżył, długi czas przesiedział w wołogodzkiem więzieniu nie mogąc dostać się do obozu, gdyż jego papiery gdzieś się zawieruszyły. Bywały i takie wypadki. Do końca pobytu w ZSRR, to jest do 1956 roku, nie udało nam się na pewno ustalić, co właściwie stało się z tym chłopcem. Dopiero w 1990 roku Kazimierz Jankowski, jeden ze stryjskich akowców z naszego wagonu, zawiadomił mnie, że nasz towarzysz podróży przeżył obóz, wrócił do kraju. Pozostali dwaj przenieśli chorobę lekko, na nogach, bez poważnych objawów.

Tymczasem nasz pociąg powoli, często zatrzymując się, wyczekując, jechał jednak stale na północ. Był już dwudziesty któryś dzień podróży. Wytworzył się pewnego rodzaju stały porządek dnia. Rankiem oczekiwaliśmy na przydział drewna i rozpalenie pieca. Niektórzy w ogóle się nie podnosili, większość doby leżąc w odrętwieniu — postępowali tak zwłaszcza Ukraińcy, oszczędzając w ten sposób siły. Gdy piec płonął, grzano się wokoło niego, niektórzy rozkoszując się zapachem podgrzewali na blasze kawałeczki wczorajszego chleba pieczolowicie przechowywane w szmateczkach. Rozdanie chleba było wielkim momentem. Oczekiwano go z napięciem przez cały dzień. Każdy otrzymaną porcję starannie oglądał, dbał, aby najmniejszy okruszek nie upadł i nie zmarnował się. Niektórzy zjadali wszystko od razu, chcąc choć na chwilę mieć poczucie sytości i nie mogąc opanować głodu. Inni dzielili chleb na kilka części, aby mieć przyjemność nasycenia się, nieznacznego, w ciągu dnia. Często zamrożony chleb trzeba było odgrzewać, gdyż w tym stanie był bardzo szkodliwy.

Rozdawanie zupy i wrzątku nie było już tak oczekiwane.

Pod koniec podróży ogromnie wzrosła rola tytoniu. W tym czasie ustąpiło zupełnie indywidualne palenie. Każdy papieros był konsumowany przez kilka, nawet kilkanaście osób. Wykorzystywano go do ostatka, liczono ilość zaciągnięć się i proszono o „jeden dym”, jedno zaciągnięcie się. Ostatni palacz z trudem mógł uchwycić wargami bez oparzenia papieros, który miał dosłownie kilka milimetrów długości i parę ziaren machorki. Palenie, zwłaszcza po jedzeniu, przybierało formę uroczystego obrzędu, w którym uczestniczyła cała grupa. W pierwszej fazie podróży często ugaszczaliśmy biedniejszych Ukraińców całymi papierosami, później zostawialiśmy im niedopałki, pod koniec sami przetrząsaliśmy wszystkie kieszenie, wysypując resztki, jakie zostały tam z lepszych czasów. Wzrastały też trudności z papierem do palenia. Według przepisów odebrano nam wszelki papier przy rewizji poprzedzającej załadowanie, ten zaś, który otrzymaliśmy na dworcu z paczkami, już zdążyliśmy wypalić. Czasem konwój dawał nam kawałek podartej gazety, często jednak i tego brakło. Wtedy to pomysłowość i doświadczenie więzienne mobilizowało ukryte rezerwy. Okazało się, że wielu ma kaszkiety, w kaszkiecie jest daszek, a w daszku — tekturka, która bardzo cierpliwymi manipulacjami daje się rozdzielić na cienkie kawałeczki papieru, doskonale do palenia. Zoperowano w ten sposób daszki.

Przekonałem się wówczas naocznie, że i brak zapalek nie oznacza katastrofy dla palacza. Wystarczy kawałek waty z kołdry czy też waciaka. Zebrana w rulonik i szybko i umiejętnie wałkowana gładką podeszwą buta, nagrzewa się, rozerwana zaczyna tlić się i można od niej przypalić papierosa.

Oprócz oczekiwania na jedzenie i opał, palenia w piecu i palenia tytoniu, dokuczliwych sprawdzeń i rewizji, pozostawały jeszcze rozrywki, i życie umysłowe. Przede wszystkim gry. Bandyty jeszcze na stacji we Lwowie z gazety i nadpalonego zapałką gumowego obcasa zrobili karty do gry. Obserwowałem przy tym ich zręczność: maleńkim ułamkiem ostrza żyłki pocięli papier gazetowy na równe części, skleili po kilka arkusików w jedną, dostatecznie sztywną do tasowania kartę, jako kleju używali rozmoczonego chleba ze śliną. Ze spalonej gumy zrobili niewielką ilość bardzo gęstego tuszu, wycięli z papieru szablon kolorów i odbijali poszczególne kolory różniące się tylko formą, wszystkie jednym tuszem. Figury oznaczali sobie zrozumiałymi kombinacjami zasadniczych znaków: pik, trefl, karo i kier. Otrzymałą w ten sposób talią grali godzinami — wyłącznie w swoim gronie — w nieznane mi hazardowe gry. Jedyną, którą rozpoznawałem, była gra w „oczko”.

Na ogół jednak w naszym wagonie grali bez realnych stawek, raczej dla wprawy, ćwicząc się w różnych szulerskich sposobach rozdawania i tasowania. Zwłaszcza z zapałem uczył się najmłodszy z nich, adiutant przywódcy. Hazard karciany kwitł potem w obozie, gdzie grano zawsze o jakąś realną stawkę, choćby trzeba ją było ukraść komuś trzeciemu. W innych etapach było podobnie, grano o rzeczy „frajerów”, jak określali bandyci każdego spoza swej grupy. Karty przechowywali bardzo umiejętnie i żadna rewizja ich nie znalazła, dowieźli je spokojnie do końca.

W pierwszych dniach pobytu w wagonie bandyci zrobili z chleba, którego mieli wtedy pod dostatkiem, szachy. Na swojej półce, prosto na desce, wydrapali gwoździem szachownicę. Szachy cieszyły się ich dużym zainteresowaniem, zwłaszcza przywódca gotów był grać godzinami lub też rozwiązywać po prostu jakąś końcówkę. Wkrótce przyłączyłem się do niego i przez całą drogę grywalismy regularnie, co bardzo polepszyło nasze stosunki i przyczyniło się do złagodzenia ciągle trwającego napięcia. Przy szachach lekko zawiązywały się rozmowy, w trakcie których dowiedziałem się wielu szczegółów o życiu w obozach, więzieniach i etapach. Mój rozmówca był recydywistą i znał doskonale dziesiątki miejsc. Grywali także i inni bandyci, czasem niektórzy ze stryjskich akowców, czasem któryś

z radzieckich żołnierzy, nigdy natomiast żaden z Ukraińców. Szachy były wtedy w ZSRR tak rozpowszechnione przez szkołę i organizacje młodzieżowe, że rzadko kto w młodszym i średnim pokoleniu nie umiał w nie grać.

Specjalną formą rozrywki było żywe słowo-opowiadanie, w języku więziennym „romans”. Brak światła, długie godziny mroku, zupełny brak słowa drukowanego i duża wrażliwość na słowo mówione — stworzyły w więzieniach, obozach i etapach typ gawędziarstwa, wielogodzinnego opowiadania historii, zwykle awanturkowej, pełnej przygód, romantycznej. Czasem była to przeczytana lub opowiedziana przez kogoś książka, czasem film lub teatralne przedstawienie, często biografia lub jej fragment, epizod z życia, czasem własnego, czasem cudzego. Było wiele typów takich gawędziarzy — dobry gawędziarz podobnie jak muzykant był ceniony, zwłaszcza przez bandytów, i w zamian za swe usługi mógł liczyć na znośne życie. Byli to różni ludzie, czasem ze środowiska recydywistów, czasem studenci, samoucy, czasem nawet ludzie z wielkim wykształceniem. Później, w wielonarodowym obozie, w różnych grupach etnicznych, azjatyckich i europejskich, spotykałem wielu takich artystów. Gawędziarstwo takie, znane w więzieniach, ale także w wojsku sowieckim, zwłaszcza na froncie, było dla nas Polaków i dla Ukraińców czymś nowym.

Opowiadanie tego typu jest samorodną formą artystyczną, jest dramatyzowane, gawędziarz zmienia głos, odgrywa sceny, daje swoje komentarze. Nie mieliśmy wybitnego recytatora tego typu w wagonie. Niektórzy z bandytów opowiadali jednak dla swego kółka, gwarą przestępców, długie i zawiłe historie. Nawet ci z nas, którzy znali trochę język rosyjski, mało z tego rozumieli. Bandyci natomiast z chęcią słuchali, kiedy streszczałem im znane powieści.

Najwięcej czasu poświęcano, rzecz zrozumiała, na rozmowy. Rozmawiano we własnym gronie, o swoich sprawach, były i rozmowy bardziej ogólne, w których brali udział członkowie różnych grup. Bandyci omawiali swoje wyprawy, przestępstwa, śledztwa i procesy, więzienia i etapy, życie w obozach; posługiwali się przy tym terminologią, która dopiero w następnych latach stała się dla nas w pełni zrozumiała. Żołnierze opowiadali często i głośno o swoich przygodach na froncie, epizodach służby wojskowej, niewoli i więzieniu, zwykle epizod związany był z rabunkiem lub wyczynami seksualnymi, czasem z aresztowaniem.

Nasze własne rozmowy toczyły się zazwyczaj wokół tematów AK i okresu okupacji, aresztowania, śledztwa i procesu. Czasami wyływały wspomnienia szkolne. Tematy osobiste, zwłaszcza rodzinne, na ogół omijano. O naszej przyszłości mówiliśmy mało nie mając ciągle jasnego wyobrażenia, dokąd jedziemy, co tam zastaniemy i jak w rzeczywistości wygląda życie obozowe. Na ogół sądziliśmy jednak, że damy sobie radę, wiedzieliśmy już, że etap jest najcięższym, najgorszym okresem kariery więźnia. Mój partner szachowy, przywódca bandytów, zapewniał mnie, że w obozie potrzeba ludzi wykształconych i że dam sobie radę.

Co do rozmów z bandytami, najczęściej, ze względu na znajomość języka, prowadziłem je sam. Większość naszych rozmawiała prawie wyłącznie między sobą. Kryminalistów, zwłaszcza ich herszta — Pawłowa interesowało dużo rozmaitych rzeczy. Życie swe spędzili przeważnie w więzieniach, obozach, niektórzy przeszli karne bataliony, zobaczyli kawał świata poza Rosją, inny świat. Wielu spraw nie rozumieli, pytali o stosunki społeczne, wyznaniowe, gospodarcze, o geografę, ustrój, zwyczaje, interesowały ich zjawiska przyrody, technika, medycyna. Spotykając w więzieniach rozmaitych ludzi, często z wysokim wykształceniem, dowiadywali się nieraz przypadkowo o różnych sprawach i żądali wyjaśnień. Chcieli mieć pojęcie, zrozumieć ogólną istotę, bez zagłębiania się, raczej jak dzieci oczekiwali prostej i przekonującej informacji. Konfrontowali ją zawsze ze swoim

osobistym doświadczeniem, krytyczni, a raczej podejrzliwi, szukali, czy nie ma sprzeczności pomiędzy tym, co sami wiedzą z własnego doświadczenia, i tym, co się im mówi.

Rozmowy z żołnierzami radzieckimi były bardziej zbliżone do naszych własnych, wszyscy oni kończyli szkoły, mieli wykształcenie ideologiczno-polityczne, orientowali się w wielu zagadnieniach i trzeźwo oceniali sytuację polityczną i własną na jej tle.

Najmniej rozmów, poza jakimiś technicznymi szczegółami bytu w wagonie, jak palenie w piecu czy oczyszczanie ubikacji, prowadziliśmy z Ukraińcami. Pamięć terroru banderowskiego, ich niechęć do języka polskiego, nasza do ukraińskiego i wspólna do rosyjskiego, specyficzna atmosfera wagonu, gdzie Ukraińcy byli grupą prześladowaną i izolowaną, radykalnie ograniczały nasze rozmowy. Porozumiewali się też prawie wyłącznie półszepem, między sobą, terroryzowani przez bandytów radzieckich i pogardzani przez żołnierzy.

Coraz wyraźniej wyczuwało się rozdrażnienie bandytów, zaniepokojonych przedłużającym się etapem i północnym kierunkiem jazdy. „Jedziemy w bardzo złe miejsce” — powiedział mi pewnego dnia Pawłów. Atmosfera wyładowała się pewnego dnia w krwawej bójce z jednym z żołnierzy radzieckich, politrukiem, gnieźdzącym się na skraju półki bandytów. Żołnierz po chwili uległ, z rozbitego nosa i ust długo lała się krew. Siedział w milczeniu, ponury, nie skarżył się. Niedługo przedtem opowiadał o swoich przeżyciach w niewoli i w obozie niemieckim, gdzie też nieraz był bity.

Na drugi dzień wybuchła nowa sprawa- Bandyci od rana coś po cichu konferują, nareszcie oświadczają Ukraińcom, a raczej całej ciemnej stronie wagonu, że będą wszystkich po kolei rewidować. „Wy tacy owacy — sypią się przekleństwa — podli faszyści, chowacie pieniądze i rzeczy i nie chcecie tytoniu kupić! Wychodzić zaraz po jednemu!” W wagonie cisza i konsternacja. Bandyci całą grupą schodzą z półki i ustawiają się do ataku. My milczymy i przyglądamy się. Każdy jednak zadaje sobie to samo pytanie — co robić, jeśli wezmą się i do nas? Jest nas już o jednego mniej, jesteśmy osłabieni, przeciwnik jest rozdrażniony, zdecydowany i ma zapewne gwarantowane poparcie konwoju. Przeżywamy bardzo niemiłe chwile siedząc w grupie pod półką i obserwując bez słowa rozwój wydarzeń. Bandyci wyciągają siłą pierwszego, każą mu rozebrać się, przetrząsają kieszenie, nie gorzej od żołnierzy obmacują każdą część garderoby szukając schowanych pieniędzy. Ukraińcy milczą i nie stawiają oporu, jeden za drugim staje rozebrany, od czasu do czasu krzyk świadczy o znalezieniu czegoś, ofiara traci banknot, zwykle niewielki — 10 lub 25 rubli, i dostaje jeszcze parę uderzeń. „Gad, chowa pieniądze — wszystko jedno zdechniesz!” — krzyczą bandyci. Oprócz pieniędzy konfiskacie podlega część garderoby. Wtem wybucha nowa sensacja. Krępy, silnie zbudowany, niski Ukrainiec z długim nosem, półrozebrany, nie chce zdjąć butów. Krzykiem i biciem bandyci zmuszają go do tego, przekonani, że ukrywa pieniądze. Chłopak zdejmuje buty i okazuje się, że nogi ma owinięte kawałkiem czerwonego, wełnianego koca. Poznajemy wszyscy od razu ten koc. To nasz, należał do jednego z akowców, ofiarowany jeszcze we Lwowie dla uszczelnienia wagonu. Tkwił oblodzony w tylnych drzwiach do tej chwili. Chcąc ogrzać nogi Ukrainiec widać zdołał jakoś oderwać spory kawałek na duże, ciepłe onuczki.

Zbrodnia wykryta. Szybko następuje kara. Przywódca, oburzony, zasypuje delikwenta stękiem wielopiętrowych, trudnych do oddania przekleństw i bije z rozmachem po twarzy, po głowie, kopie, wreszcie rzuca na ziemię. Chłopak oszołomiony, podtrzymując opadające spodnie, zatacza się tylko, nawet nie próbując się bronić.

Incydent ten, bardzo bolesny dla winowajcy, rozładowuje wojowniczość bandytów. Kończą rewizję. Plon przyniosła dostateczny. Na najbliższym postoju przywołują pod drzwi żołnierza

z konwoju. Część pieniędzy i rzeczy wędruje w wolny świat, a na półce bandytów pojawia się szklanka machorki i trochę cukru. Z radością palą wszyscy indywidualnie i przygotowują swoją ulubioną potrawę — tiurę. Do miski z zimną wodą kruszą chleb i dodają cukru. Taka mieszanka, w luksusowym wydaniu z dodatkiem cebuli, uchodzi wśród nich za przysmak.

Tymczasem krajobraz zmienia się, znikła tajga, wielkie lasy, coraz częściej widzimy rzadkie brzozy i bagna, karłowate drzewka. Raz przez okienko zobaczyłem przypadkiem niedaleko toru wysoki płot drewniany ogradzający kilka niskich, również drewnianych, budyneków. W rogach ogrodzenia stały na słupach drewniane wieżyczki z drabiną na zewnątrz.

„Wot i łagier” - powiedział patrzący za mną bandyta. Wjechaliśmy w kraj obozów. Na przestrzeni tysiąca kilometrów był to jedyny, oprócz stacji kolejowych, dowód istnienia człowieka w tym pustym, ponurym i mroźnym kraju. To tu, to tam wyrastały wieżyczki, czasem można było zobaczyć grupę więźniów w asyście żołnierzy. Szli wszyscy leniwie, z przodu jeden z konwoju z karabinem i bagnetem na ostro, drugi taki zamykał zawsze pochód. Obozy te wydawały mi się znacznie mniejsze, niż oczekiwałem, często zza płotów widać było suszącą się bieliznę. To lesne punkty obozowe — wyjaśniono mi — rąbią drzewa w lesie. Na cały obóz składa się kilkadziesiąt lub nawet kilkaset podobnych punktów.

Wielka stacja u zbiegu wielkich północnych rzek — Kotłas. Z daleka widać ogromną kopułę cerkwi. Dowiadujemy się, że w okresie nawigacji płynie się tędy północną Dwiną aż do Archangielska i że do zbudowania linii kolejowej często wożono stamtąd więźniów w te strony na barkach. Pod miastem widać dużo wieżyczek obozowych. Jedziemy dalej i wkrótce jesteśmy już w Kornii. Krajobraz robi się coraz bardziej pusty i dziki. Konwój przez dwa dni nie daje nam chleba. Jesteśmy bardzo osłabieni, ale pocieszają nas, że już blisko. Przejeżdżamy ogromny kilometrowy most przez potężną rzekę: to Peczora. Chmury są jakieś dziwne, inne niż u nas. Dzień ogromnie długi, nie możemy doczekać się ciemności.

Dwudziestego szóstego dnia podróży, wyjrawszy przez okienko, nagle zobaczyłem góry. Łagodne stożki błyszcząły w słońcu na wschodzie pokryte śniegiem, przypominające Czarnohorę. Zamykały horyzont i nie tylko horyzont. Nie mogło być wątpliwości — to był Ural — zamykał Europę. Dojechaliśmy więc do granicy Europy na północy. Dziwnie ponure i straszne wrażenie, po dwudziestu sześciu dniach jazdy przez równinę, zrobiły na nas te góry. Miałem na nie patrzeć przez dwanaście lat.

Konwój oświadczył, że to ostatni dzień podróży. Następnego ranka, 27 marca, dojechaliśmy do stacji. Przez okienko przeczytałem nazwę, była krótka — Inta. Pierwszy raz w życiu dowiedziałem się o istnieniu takiej miejscowości. Miałem tu spędzić ogromną ilość czasu, część życia, ale trudno było wtedy to przewidzieć, a tym bardziej uwierzyć w taką możliwość.

Konwój wydał nam chleb. Tym razem, po czterdzieste ośmiogodzinnej głodówce, nieco więcej niż zwykle — dużo połamanych kawałków, okruszków, widać opróżniali magazyn. Jeszcze kilka godzin staliśmy na stacji, potem podwieźli nas jeszcze parę kilometrów. Później dowiedzieliśmy się, że jeden wagon skierowano do sąsiedniej stacji, tam potrzeba było więźniów do pracy. Po raz ostatni otwarto drzwi. „Przyjechaliście — wychodzić z rzeczami!”

Podróż była skończona. Nikt w naszym wagonie nie umarł, dwadzieścia siedem dni transportu najgorzej znieśli Ukraińcy, my — Polacy — trzymaliśmy się średnio. Rzeczy przywieźliśmy ze sobą już niewiele. Kilku, w tej liczbie i ja, przewiozło schowanych po paręset rubli. Najlepiej ubranym z nas był lekarz Sobolewski, miał długie futro i wysokie buty z cholewami. Ja byłem w letnim płaszczu i marynarce z podłożonym kożuszkim. Kłuło mnie

w boku od zimnej podłogi wagonu.

Zamknięci przez dwadzieścia siedem dni w wagonie mieliśmy czas poznać się bliżej, zorientować w charakterach wystawianych na próbę wielu sytuacji. Najlepiej poznałem oczywiście polską grupę, gdyż zajmując razem miejsce i występując jako całość spędziliśmy wspólnie dużo czasu- Trzech nas, znajomych jeszcze z więzienia i obozu przechodniego, było ze Lwowa.

Drugą część stanowiła grupa stryjska, bardzo zżyta, koledzy jeszcze częściowo ze szkół, w tym dwóch braci, którzy wspólnie pracowali w konspiracji, wspólnie byli sądzeni i przed etapem za obrazę sądu wspólnie odbywali karcer w mokrym podziemiu. Wszyscy mieli wyroki od dziesięciu do dwudziestu lat katorgi, a więc w owym czasie najwyższe z możliwych. Chłopcy ci, pełni optymizmu, byli przekonani, iż wkrótce wszystko zmieni się na naszą korzyść. Nikt z nich oczywiście nie wierzył w długoletnie więzienie, nie mówiąc już o możliwości odsiedzenia w całości choćby najniższego wyroku.

Z Kazimierzem Sobolewskim poznałem się bliżej dopiero w obozie. W czasie drogi był przygnębiony, małomówny, rzadko wychodził spod półki, nie znalazł zupełnie ani rosyjskiego, ani ukraińskiego. Natomiast poznałem bliżej i zaprzyjaźniłem się z Edwardem Stebelskim, przed wojną plutonowym Straży Granicznej, radiotelegrafistą AK. Aresztowano go we Lwowie we wrześniu 1944 roku — kiedy ja już byłem w więzieniu — przy aparacie, którym nadawał komunikaty okręgu AK do Londynu. W momencie aresztowania zgodnie z otrzymaną instrukcją połknął cyjanek potasu. Trucizna okazała się jednak częściowo zwiertzała i Stebelski uległ tylko czasowemu paraliżowi. Po ciężkim śledztwie przed Trybunałem Wojskowym otrzymał dwadzieścia lat obozu. Był bojowy, zawzięty, twardy, aktywnie podtrzymywał nasze wystąpienia zbiorowe; bardzo koleżeński, dzielił się wszystkim, co posiadał. Sytuację oceniał trzeźwo, ale miał nadzieję na rychły koniec wojny, pomoc naszych sojuszników i rządu na emigracji. Okres likwidacji swojej grupy AK przeszedł bardzo ciężko, miał wiele zarzutów wobec kierownictwa. Wbrew regułom konspiracji rozkazano mu częste nadawanie depech do Londynu bez odpowiedniej ochrony. Rozkaz wykonał do końca, mimo iż zdawał sobie sprawę, że jego radiostację zlokalizowano i lokal otaczają czekiści. Fizycznie silny, emocjonalnie bardzo związany ze Lwowem, w okresie okupacji pracował jako ślusarz kolejowy.

Z grupy stryjskiej utkwili mi w pamięci dwaj bracia Jankowscy, Kazimierz i Karol, obaj uczniowie gimnazjalni, którym wojna przerwała naukę. Zapaleni akowcy, walczyli w trudnym terenie, narodowo mieszanym, ogarniętym terrorem niemieckim i ukraińskim. Byli, zwłaszcza starszy, motorem całej grupy, obaj bojowi, aktywni, solidarni, gotowi w każdej chwili podtrzymać zbiorowe wystąpienia. Niejednokrotnie nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji i byli bardzo zapalczywi. Zнали język ukraiński i posługiwali się w kontaktach z innymi grupami gwarą polsko-ukraińską.

Obaj bracia Jankowscy siedzieli na katordze do 1956 roku. Powrócili do kraju. W czerwcu 1990 roku Karol opublikował swe wspomnienia w cyklu artykułów prasowych w gdańskim „Głosie Wybrzeża”.

Inni chłopcy grupy stryjskiej pozostawili mi po sobie tylko jakieś fragmentaryczne wspomnienia. Jeden z nich, namiętny widać fotograf, godzinami opowiadał o aparatach, zdjęciach, wywoływaczach i odbitkach. Układał sobie plany na daleką przyszłość, gdy będzie mógł powrócić do ulubionego zawodu. Został mi też w pamięci małomówny chłopiec, którego sąsiad i przyjaciel zachorował na dyzenterię i który przez cały czas choroby czuwał nad nim z poświęceniem i cierpieniem wprost niezwykłym. Rysów samego chorego nie zapamiętałem, przypominam sobie natomiast wychudłą i bladą twarz tego drugiego

pochyloną nad nieruchomym kształtem człowieka leżącego w półmroku na podłodze wagonu. Po zabraniu chorego mówił tylko o nim.

Z grupy bandytów najbliższym poznałem szefa, Pawiowa. Bandyta-recydywista, z obozu wzięty do karnych batalionów, odznaczył się, i jak twierdził, dosłużył stopnia oficerskiego. Miał wyraźną niechęć do politruków. W przeszłości odbywał karę w rozmaitych obozach, był w miejscach bardzo odległych, we wschodniej Syberii i na Kółymie. W więzieniu i na etapie czuł się pewnie i swobodnie, o obozie mówił jak o miejscu doskonale znanym i nie przedstawiającym dla niego żadnej trudności. Obiecywał mi pomoc po przyjeździe i dotrzymał swego słowa. Umiał narzucić swą wolę reszcie bandytów i ci słuchali go bez sprzeciwu. Okres służby wojskowej zostawił w nim pewne poczucie godności i nawet honoru, co być może sprawiło, że dotrzymał zawartej z nami umowy. Był wesoły, rozmowny, miał dość szerokie zainteresowania. Miał wyrok dziesięciu lat obozu za zastrzelenie po pijanemu oficera intendenty, jak twierdził — złodzieja, który okradał jego ludzi. Nie przejmował się tym wcale i całą drogę zapewniał mi, że wkrótce będzie znowu na froncie, gdyż tam jest potrzebny. Nie mylił się. Kilka dni po przyjeździe do obozu dowiedziałem się, że Pawłów jest już ułaskawiony i wraca do swej jednostki, do karnego batalionu. Takie oddziały, złożone z pospolitych przestępców skazanych za ciężkie zbrodnie, istniały w wielu armiach w czasie II Wojny Światowej. Powierzano im szczególnie trudne zadania, ponosiły największe straty w ludziach, ale żadna armia ani wtedy, ani później nie chwaliła się nimi. Nie weszli w poczet wojennych bohaterów literacko-film owej legendy, która wciąż kształtuje społeczny obraz tych ogromnych zmaganiań.

Adiutantem Pawiowa był młodociany przestępca, najmłodszy z bandytów, na pierwszy rzut oka naiwnie wyglądający szesnasto- czy siedemnastoletni chłopak. Nie odstępował swego szefa, usługiwał mu stale. Był aresztowany w Przemyślu, złapany w czasie grabieży. Znalazł się tam z całą radziecką bandą podróżujących wyrostków, małoletnich złodziei i bandytów. Grasowali zwykle w pociągach i na dworcach kolejowych, kradnąc i rabując walizki. Miał już za sobą dom poprawczy i obóz, obecnie jako recydywista otrzymał dziesięć lat, czym nie przejmował się zupełnie. Aktywnie brał udział w bójkach, rewizjach i rabunkach. Był jeszcze bardzo chłopiący i miał, jak wielu młodocianych bandytów, coś małpiego w zachowaniu; ruchliwy, o wyrazistej mimice, skakał i bawił się drobiazgami. Ręce i pierś miał już gęsto tatuowane ordynarnymi rysunkami, zresztą wszyscy bandyci byli tatuowani. Pawłów miał na piersi ogromny rysunek człowieka duszącego węża.

Kilku pozostałych bandytów, w tym starszy wagonu, byli dość szablonowi. Silni, brutalni, nie przejawiali jakichś bardziej indywidualnych cech. Zachowanie ich też było dość jednolite, posługiwali się zwykle gwarą, podczas gdy Pawłów mógł mówić zupełnie poprawnie po rosyjsku, wypełniali rozkazy szefa, czasem tylko namawiając go, aby przycisnąć „frajerów”. Rzadko wdawali się w rozmowę z nami lub żołnierzami, na ogół mieli znacznie mniej zainteresowań.

Z grupy radzieckich żołnierzy utkwilo mi w pamięci trzech. Politruk Faks, o suchotniczym wyglądzie i przenikliwych oczach, wychowanek wojskowej szkoły politycznej, potem jeniec wojenny i więzień jednego z niemieckich obozów. Miał rozległe wiadomości z dziedziny polityczno-wojskowej uzupełnione własnym doświadczeniem. Był na froncie, w okrażeniu, w niewoli, w obozie, znowu trafił do własnej armii, znowu był na froncie, ale po kilku miesiącach został aresztowany i zasądzony na dziesięć lat obozu. Według ówczesnej radzieckiej przysięgi wojskowej powinien był raczej popełnić samobójstwo niż poddać się. Twierdził, że do niewoli dostał się nieprzytomny, ranny; sąd nie uwzględnił jednak tej okoliczności. Zarzucano mu pracę w niemieckim wywiadzie. Wyrok swój traktował dość bezosobowo, tłumaczył, że na obecnym polityczno-historycznym etapie sądy muszą wymierzać takie kary. „To prawa wojenne” — mówił. Miał nadzieję na zmianę z końcem

wojny, po zwycięstwie. Rozmawiałem z nim czasem, gdyż był osamotniony nawet w swojej grupie, a rozmawiać umiał bardzo inteligentnie. Bandyci go nie cierpieli. Czasami, gdy mieliśmy jeszcze dość tytoniu, częstowałem go papierosem, pamiętał mi to później długie lala. W obozie odegrał ponurą rolę agenta-prowokatora. Z jego działalnością związana była duża afera, której ofiarą padło kilkanaście osób.

Drugi z radzieckich żołnierzy, którego dobrze zapamiętałem, był Baszkirem, pochodził z Uralu. Miał dwadzieścia parę lat, był wysoki, przystojny, w szynelu bez oznak wyglądał ciągle na żołnierza służby czynnej. Doskonale znosił głód i chłód, o sobie mówił mało, trudno było dowiedzieć się, za co siedzi. Powtarzał stale: „Jestem wojak”. Uśmiechnięty, grzeczny, zachowywał się spokojnie. Bandyci go nie zaczepiali, był widocznie silny, ale do bójek się nie mieszał.

Trzeci z żołnierzy, wygnany przez Pawłowa na ciemną stronę wagonu, był młodym oficerem intendenty. Miał znikomy na owe czasy wyrok, coś około pięciu lat. Kierując jakąś stołówką dla oficerów sprzedawał na stronie partię win i wódki. Złapany, został błyskawicznie osądzony przez sąd wojskowy i wysłany pierwszym transportem do obozu. Twierdził, że jest to przejaw antysemityzmu, który jego zdaniem kwitł wówczas w armii radzieckiej. Karę więzienia uważał za niesłuszną, gdyż chciał szkody wyrównać pieniędzmi, wysłanie go transportem wraz z politycznymi uważał za złośliwą szykanę. Warunki etapu znosił źle, zwłaszcza głód. Bandyci szykanowali go, jak mogli, Ukraińcy, wśród których jechał, też uważali za obcego. Czasami przechodził na naszą stronę i prosił nas o niedopałek papierosa lub maleńki kawałek chleba. W obozie obawiał się przede wszystkim głodu. „Tam nas zmuszą do pracy i będą bić racjonowaniem żywności, ażebyśmy wypełniali normy... żeby tam choć kartofli można było dostać” — powtarzał mi wielokrotnie.

Po przyjeździe do obozu dzięki pomocy swoich współwyznawców i dzięki małemu wyrokowi oraz kryminalnemu charakterowi sprawy otrzymał miejsce intendenta w szpitalu, żył bardzo wygodnie, postarano mu się o zmniejszenie wyroku i po trzech latach, z poważną sumą pieniędzy zarobioną na różnych operacjach z materiałami lekarskimi, był na wolności. W stosunku do mnie i Kazimierza Sobolewskiego był zawsze bardzo uprzejmy, pamiętał tę niewielką pomoc w wagonie, jakiej od czasu do czasu mu udzielaliśmy, i gdy była po temu okazja, odwdzięczał się różnymi usługami.

Jechali też z nami dwaj esesmani. Jeden Ukrainiec z Małopolski, z dywizji „Galicja”, drugi Rosjanin, były jeniec. Obaj byli jeszcze w resztkach niemieckich polowych mundurów ochronnych. W śledztwie mieli ciężką przeprawę, otrzymali obaj długoletnie wyroki katorgi. Swoim ubraniem i częściowo zachowaniem wyróżniali się spośród szarych wieśniaków ukraińskich z podlwowskich wsi, ale przebywali razem z nimi, gdyż żołnierze radzieccy nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego. Obaj byli nastraszeni, śledztwo złamało ich fizycznie i moralnie. Rosjanin nadrabiał wisielczym humorem i przekleństwami, . Ukrainiec uparcie milczał, czuło się jednak, że obydwoj obawiają się aktów wrogości ze strony współtowarzyszy.

Ukraińcy w różnym wieku, wszyscy ze wsi, sądzeni za pomoc lub udział w partyzantce banderowskiej, byli również zastraszeni, oszołomieni, ogłuszeni, bici, głodni i pogardzani. Jak się później okazało, dla wielu była to pierwsza w życiu podróż pociągiem. Nie znali rosyjskiego. Ich zachodnioukraińskie narzecze wywoływało stałe kpiny i przedrzeźnianie Rosjan. Żaden z nich się nie wyróżniał, zachowaniem przypominali grupę chłopów, analfabetów z głuchej wsi na dalekiej pielgrzymce. Dawali się prowadzić, znosili wszystko, z małymi i wyjątkowymi incydentami, cierpliwie. Czasem widziałem wśród nich kogoś modlącego się cicho na kolanach. W rozmowach nie brali udziału, nigdy żaden z nich nie wyjrzał przez okno. Szeptali coś między sobą, szeptem dzielili chleb, jaki im z łaski rzucali

bandyci. Cała grupa znajdowała się w położeniu społecznych pariasów. Niektóre twarze zapamiętałem. Jednak i spotykałem później w różnych sytuacjach w obozie. Jeden z często modlących się zmarł wkrótce na gruźlicę. Niefortunny złodziej kawałków koca był przez dłuższy czas sanitariuszem w laboratorium, w którym pracowałem, okazał się sprytny i wytrzymały. Pomimo ciężkich losów odsiedział całe dziesięć lat, zostawiony na Północy na zesłaniu, dorobił się własnego małego domku pracując jako górnik.

Tymczasem wyszliśmy z wagonu niosąc rzeczy na plecach i w ręku. Formowano nas w czwórki. Staliśmy grupami pod każdym wagonem, wokół biegali żołnierze z konwoju, ale już pojawili się nowi ludzie.

Dwóch mężczyzn ubranych w białe kożuchy i futrzane spiczaste czapki szło od grupy do grupy, w każdej o coś pytając. Podeszli i do nas głośno wołając, czy nie ma wśród przybyłych lekarza. Odpowiedziałem za Kazimierza Sobolewskiego, mówiąc, że nie rozumiem po rosyjsku. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu usłyszałem odpowiedź dobrą polszczyzną: „Nie szkodzi, ja mówię po polsku”. Nowo przybyły zwrócił się do mojego towarzysza, pytając, gdzie i kiedy skończył studia, jaką ma praktykę i czy chciałby pracować jako lekarz. Rozmowa trwała krótko, gdyż uformowano nas w kolumnę i ruszyliśmy po torach kolejowych. Byliśmy na dużej bocznicy, krzyżowało się tu wiele torów, na horyzoncie dymiły kominy jak gdyby fabryk, widać było manewrujące parowozy i szereg budynków, przeważnie drewnianych, parterowych, rozrzuconych wśród rzadkich karłowatych drzewek. Miejscowość wydawała się gęsto zaludniona. Było słonecznie, ale zimno, około 25 stopni mrozu. Osłabieni podróżą i odwykli od marszu szliśmy, mimo popędzania przez konwój, nader powoli. W odległości mniej więcej półtora-dwóch kilometrów od miejsca wylądowania podeszliśmy do ogrodzenia. Kilkumetrowy parkan z nieheblowanych desek, na rogach znane dobrze z więzienia wieżyczki. Ogrodzenie było jednak bardzo duże, wielokrotnie większe od widzianych po drodze. Z wieżyczek wyglądali żołnierze z karabinami. W pewnym miejscu parkanu była wyrwa — przez nią zaczęto nas wprowadzać grupami do środka, starannie licząc. Znajdowaliśmy się w wielkim kwadracie o boku kilkuset metrów: wśród resztek niewielkiego lasu (spod słabego przykrycia śniegiem widać było mchy), wzdłuż usypanych żwirem chodników stały szeregi baraków — część już pod dachem, część dopiero w budowie. Barak, do którego nas wprowadzono, nie miał dachu, a tylko strop z belek, wewnątrz nie było zupełnie okien. Kiszkowate pomieszczenie z grubych pni uszczelnionych mchem, wewnątrz podzielone słupami na sekcje, pod ścianami dwa rzędy prycz: jeden pół metra od podłogi, drugi mniej więcej półtora metra wyżej. Prycze były zupełnie puste. Pośrodku baraku znajdowały się dwa duże żelazne piece na glinianym podmurowaniu, przypominające wielkie żelazne skrzynie. U wejścia, za przegrodką, stały dwie beczki z wodą.

Zaczęliśmy zajmować miejsca, znowu razem, dołączyło do nas paru kolegów z więzienia, którzy jechali w innych wagonach. Umieściliśmy się na górnej półce, przy końcu baraku. Wciąż wchodzili i znowu znikali jacyś nieznani nam ludzie, przyglądali się nam, coś ze sobą rozmawiali. Ubrani byli w waciaki i wołoki, w czapkach ze spuszczoneymi nausznikami. Oświadczono nam, że bez pozwolenia nie wolno opuścić baraku, gdyż mamy odbyć kwarantannę. Około baraku ustawione były bariery z drążków i chodzili jacyś ludzie, widocznie strażnicy.

Tymczasem rozpoczęto oficjalne przejmowanie nas z rąk konwoju. Weszła grupa żołnierzy: naczelnik transportu z naszymi dokumentami pod pachą oraz, jak się okazało, przedstawiciele administracji obozu. Rozsiedli się na pryczach pośrodku baraku i rozpoczęto wywoływanie nazwisk. Każdy wyzwany stawał przed komisją, podawał swe nazwisko, imię, imię ojca, rok i miejsce urodzenia, paragraf kodeksu karnego, nazwę sądu, który go skazał, i wyrok. Ci, którzy nie znali języka rosyjskiego, nie zawsze rozumieli, o co chodzi i ulegając

złudzeniom fonetycznego podobieństwa wyrazów dawali zupełnie fałszywe odpowiedzi. Na pytanie „Kak was zawut — Jak się nazywacie” niektórzy z Polaków podawali zawód. Wielu nie znało paragrafów, na podstawie których zostali osądzeni. Jedynie bandyci odpowiadali, tak jak celujący uczeń recytuje dawno wyuczoną lekcję.

Słuchając tych danych i znając kodeks karny zorientowałem się, że większość przybyłych to więźniowie polityczni skazani za zdradę główną na dziesięć lat. Innych wyroków prawie nie było. Była grupa osądzona za przestępstwa natury wojskowej, dezercję i maruderstwo, opuszczenie bez pozwolenia swej jednostki i inne. Była też kilkudziesięcioosobowa grupa skazanych za grabież, rabunek, bandytyzm i morderstwa. Polityczni stanowili jednak przeszło 60 procent transportu.

Gdy kolej doszła do naszego wagonu i zaczęto wyczytywać wyroki naszej grupy — wśród przedstawicieli administracji obozowej wynikło poruszenie. Po kilka razy sprawdzano nasze dane i coś z ożywieniem dyskutowano. Takich wyroków nie było w żadnym wagonie, oprócz nas mieli je tylko esesmani, Kodeks w zasadzie nie znał większej kary niż dziesięć lat — wyższa była wprowadzona specjalnym dekretem, stosowana wtedy na ogół rzadko.

Już wkrótce udało mi się wyjaśnić, że administracja obozu nie chce przyjąć więźniów skazanych na katorgę. Zgodnie z ówczesnymi przepisami obowiązującymi w Gułagu musieli oni odbywać karę w specjalnych, oddzielnych obozach, w obozie na Incie katorżników nie było. Konwój, który nas przywiózł, miał polecenie dostarczyć wszystkich więźniów do Inty i uznał, że swe zadanie wykonał. Administracja obozu po krótkiej sprzeczce, wiedząc, że nie może zmusić konwoju do dalszego wożenia małej grupy skazanych, postanowiła chwilowo zatrzymać katorżników, a następnie sama przekazać ich do najbliższego, właściwego obozu pod Workutą.

Po krótkiej naradzie kazano nam odejść na stronę i wszystkich z wysokimi wyrokami i z katorgą umieszczono oddzielnie, około drzwi baraku na górnej półce, skąd usunięto wszystkich innych. Mieliśmy stanowić odrębną brygadę katorżników. Dzięki protekcji Pawiowa kilka godzin później zostałem brygadzystą tej grupy, była to moja pierwsza funkcja w obozie. Od razu było widać, będziemy traktowani inaczej, gorzej niż przeciętni więźniowie. Uwagi rzucające przez administrację obozu i żołnierzy nie wróżyły niczego dobrego. Rzeczywiście, nasze wysokie wyroki przez lata były w życiu obozowym dodatkowym źródłem zagrożeń, dopóki kolejne fale represji nie przyniosły, po 1950 roku, licznych więźniów skazanych na dwadzieścia pięć lat. Był to wtedy nowy standard wyroku w procesach politycznych.

POSŁOWIE

W obozie miałem spędzić przeszło dziesięć lat, a następnie jeszcze rok na zesłaniu w tej samej miejscowości, na Incie. Do Polski pozwolono mi wrócić dopiero w kwietniu 1956 roku.

Gdy wkrótce moich towarzyszy podróży—katorżników odesłano do obozu pod Workutą, zostałem jako robotnik fizyczny skierowany na budowę nowych baraków. Zdrowie moje pogorszyło się gwałtownie, nastąpił wybuch gruźlicy płuc, której nabawiłem się w celi więziennej. Na moje szczęście Kazimierz Sobolewski został właśnie kierownikiem malej, prymitywnej przychodni lekarskiej urządzonej w rogu baraku. Dysponował tylko jednym lekarstwem: butelką jodyny. Po paru dniach, gdy już nie mogłem chodzić, Sobolewski odesłał mię do centralnego szpitala zwanego Sangorodok, kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Razem ze mną pojechał młody Ukrainiec z taką samą diagnozą: gruźlica płuc, wysięk, naruszenie funkcji serca. Wkrótce Kazimierz Sobolewski otrzymał z Sangorodka wiadomość, że zmarłem, nie zdziwił się temu wcale, jak mi później opowiadał, gdyż stan mój był krytyczny; w rzeczywistości zmarł odesłany ze mną Ukrainiec.

Długi czas przeleżałem w szpitalu, udało mi się wyżyć głównie dzięki pomocy rosyjskiego lekarza Mikołaja Makiejewa, wybitnego specjalisty, w przeszłości lekarza szpitala na Kremlu, który mając dziesięcioletni wyrok za antyradziecką propagandę jako więzień kierował w Sangorodku oddziałem chorób płucnych.

Gdy pod koniec 1945 roku, już po zakończeniu wojny, Kazimierz Sobolewski został przeniesiony do Sangorodka dla zorganizowania tam laboratorium analiz lekarskich, zacząłem, jeszcze z gorączką, mu pomagać. Zdobyłem obozowe kwalifikacje laboranta, kiedy kolejny nawrót choroby w 1946 roku omal nie powalił mię całkowicie: po nim z trudem uniknąłem odesłania do punktu zbiorczego inwalidów, miejsca powolnego dogorywania więźniów. Znowu pracowałem w szpitalu i w charakterze to laboranta, to felczera, utrzymywałem się na powierzchni. Były to najgorsze lata w Gułagu — lata głodu, masowych epidemii, terroru kryminalistów i ogromnej śmiertelności więźniów.

W 1948 roku wraz z grupą Polaków zostałem przeniesiony do obozu przechodniego, oświadczone nam, że zostaniemy odesłani do Polski. Nie zdążyliśmy, po paru miesiącach oczekiwania decyzję cofnięto — wybuchł kryzys berliński, zaczęła się zimna wojna. Każde zaostrzenie sytuacji międzynarodowej powodowało zaostrzenie sytuacji więźniów politycznych, odczuliśmy to znowu, gdy wybuchła wojna w Korei.

W 1949 roku zaczęto na Incie organizować nowy, szczególnie ciężki obóz karny, przewidziany wyłącznie dla więźniów politycznych — otrzymał on oficjalną nazwę „Obóz specjalny nr I — Minłag” Odsyłano do niego więźniów, których specjalne komisje Gułagu uznały za szczególnie niebezpiecznych; w 1950 roku i ja znalazłem się w Minłagu. Wiadomo nam było, że w przypadku wybuchu wojny, z czym powszechnie się liczone, wszyscy więźniowie zostaną natychmiast zlikwidowani. Obóz ten był przeznaczony głównie dla cudzoziemców i szczególnie niebezpiecznych przestępców politycznych z ZSRR, Rosjan było w nim mało. Siedzieli tu hiszpańscy anarchiści, którzy po wojnie domowej szukali schronienia w ZSRR, i schwytani w Mandżurii oficerowie japońscy, siedzieli niemieccy generałowie, dyplomaci i uczeni — specjaliści w dziedzinie broni rakietowej, którzy odmówili współpracy z władzami radzieckimi, siedzieli rumuńscy i węgierscy oficerowie wywiadu, kaukascy nacjonaści, Ukraińcy z oddziałów Bandery i faszyci z bałtyckich formacji służących Niemcom. Siedzieli biskupi, księża, przywódcy sekt, wybitni uczeni, pisarze, artyści. Była w Minłagu wielka grupa polskich akowców, w tym także z oddziałów z okolic Grodna, które walczyły jeszcze długi czas po zakończeniu wojny. W obozie było na co dzień w użyciu dwadzieścia siedem języków, stykali się ludzie różnych ras, narodowości, plemion i

kultur. Wśród Rosjan i szerzej, obywateli radzieckich, znaleźć można było ludzi skazanych w słynnych czystkach i procesach, o których słyszałem w czasie studiów prawniczych z ust radzieckich wykładawców. Siedzieli więc jeszcze ostatni eserowcy rozgromieni w latach dwudziestych, siedzieli trockiści i bucharinowcy, wreszcie świeżo przysłani sekretarze partii ze słynnej sprawy Komitetu Partii w Leningradzie i lekarze kremlowscy z ostatniego wielkiego procesu za życia Stalina. Rozmowy, które prowadziłem w tym obozie, dyskusje, opinie i zachowania ludzi, którzy będąc nieraz wrogami znaleźli się razem na jednej przyczynie więziennej, w warunkach pod każdym względem krańcowych, pozostały w mej pamięci jako jedyne w swoim rodzaju, wręcz niezwykle doświadczenie.

Więźniowie Mintagu pracowali w pobliskich kopalniach węgla, nie mieliśmy nazwisk, przez lata byliśmy jedynie numerami. Ja sam miałem numer „P—475”; był wybitny na kawałku płótna i przyszyty na plecach mojej bluzy.

Śmierć Stalina i upadek Berii oznaczał punkt zwrotny w historii obozów, sytuacja więźniów stopniowo i powoli zaczęła się polepszać. Z cudzoziemców pierwsi odczują to Niemcy — to oni, w tym i skazani za zbrodnie esesmani, pierwsi zostają zwolnieni i odesłani do swej ojczyzny. Polacy odczują zmianę losu dopiero od 1954 roku, gdy stopniowo zwalniani z obozu otrzymują karę zesłania w tych samych okolicach. Wyjazdy do Polski, i to całych grup, zaczną się dopiero w 1955 roku.

Wszystkie te lata przebywam w grupie polskiej, w większości młodych akowców. Daje mi ona oparcie i pomoc, chłopcy są solidarni i twardzi, pracują ciężko, są odporni na obozową demoralizację i wciąż nie tracą nadziei me tylko na własne zwolnienie i powrót do kraju i rodzin, lecz także na pomyślny dla nas zwrot historycznych wydarzeń. Jest wśród nich grupa lwowska, łączą nas szczególne więzy. Zwyczaj obozowy kazał wtedy przy spotkaniu z nowymi więźniami podawać zarówno miejsce swego pochodzenia, jak i etap, którym przybyło się na Północ. Była to ważna informacja, wystarczała nieraz, aby się zorientować, z kim ma się do czynienia. Przez wszystkie te lata powtarzałem, że jestem i z lwowskiego etapu 1945 roku.